



WIELKA LITERA



# Eustachy Rylski

---

Obok Julii

**Eustachy Rylski**



# Obok Julii

---





*Część pierwsza*  
*Poranek*



Życie nas wycenia. Jeżeli w skali od jednego do dziesięciu dostaniemy pięć, możemy być zadowoleni. Ja dostałem więcej i będę musiał za to zapłacić, gdyż życie wyceniło mnie ponad moją wartość.

Chociaż jako mędrzec czuję się niedoceniony, to w pozostałych wymiarach istnienia, a nie jest ich mało, życie wyniosło mnie do poziomu, jaki mi się nie należy i do jakiego nie aspiruję.

Gdy spoglądam na siebie z boku, jak zawsze z czułością, w połączeniu miłości i trwogi, ale bez taryfy ulgowej, nie mogę się nadziwić, że tylu lepszych ode mnie ma się gorzej. Jestem tym, a mówiąc ściślej, bywam, zakłopotany.

Nie mówię, że chciałbym się znaleźć w ich sytuacji, ale gdybym się w niej znalazł, to nie miałbym dojmującego wrażenia, że zasiadłem do obiadu, na który mnie nie stać.

Znam wielu mówiących: nie martw się rachunkiem, bo nim ci go przedstawią, przeminiesz. Zestarzejesz się, stracisz wszystkie apetyty, zdrowie, urodę, wdzięk, wszelką łatwość, każdą okazję, znajomych, przyjaciół, jeżeli ich kiedykolwiek miałeś, ludzi, z którymi było ci dobrze, zwierzęta, choć tak bardzo cię wyróżniały, uparcie przywoływane nastroje. Anachroniczny i groteskowy mościć się będziesz we wspomnieniach, ale one nie będą chciały się do ciebie przyznać.

Bo co łączy tego omszałego, wychudzonego, przedwczesnego starca z pięknem, zdrowiem i młodością, które tak uporczywie wabi? Jakże ma do nich prawo?

Nawet jeśli dwudziestolatek zanurzony w życiu, przypominający Alaina Delona i być może na niego upozowany, który wychodzi właśnie z zielonego stawu, zwracając uwagę wianuszka naprawdę prześlicznych dziewcząt z każdego brzegu, ma coś wspólnego z tobą, to treści tego wspomnienia nie uwiarygodnia żadna sprawa, która mogłaby was teraz łączyć.

Wspomnienia nie biorą się znikąd. Coś je wywołuje. Moje wspomnienia wywołuje rozpanoszona we mnie nostalgia, która tak łatwo ześlizguje się w stronę dwuznacznych okoliczności. Co mam na myśli?

Nigdy w pełni niezaspokojony apetyt na przyjemności, który powinien zostać już zaspokojony. Jak długo można naciągać życie?

Jak długo przekonywać je można, że przyjemności są należnym mi ekwiwalentem za dobrowolną rezygnację z tego, co inni nazywają szczęściem?

Z losem zawarłem deal. Oddaję mu pożytki małżeństwa, rozkosze ojcostwa, przewagi



wykształcenia, sprawiedliwą władzę nad bliźnimi i ich nieustający szacunek, pewność drogi, jaką kroczę, i celu u jej końca, wiarę w Boga i przecucie wyróżnienia, jakim zostanę za nią wynagrodzony, wielopokoleniowe wigilie, wielkanocne śniadania przy suto zastawionym stole, chrzciny, śluby, pogrzeby, rodzinne zjazdy i bale, i wszystkie inne uroczystości, do których przepustką jest zawsze bezawaryjne podłączenie do życia; oddaję to wszystko za zdolność odczuwania przyjemności w każdych okolicznościach i z byle powodu.

Kontrakt został zawarty i wykonany. Moje późne dzieciństwo i wczesna młodość stały się nieustającą, zmysłową – a tylko takie są coś warte – przyjemnością.

Mimo wrodzonego pesymizmu, niewiary w sens istnienia i metafizycznego lęku, jakim podszyty byłem, od kiedy pamiętam, każdy kontakt z materią mój umysł przerabiał natychmiast na przyjemność.

Przywołuję więc długie, upalne lato 1963 roku i sierpniowy dzień, kiedy rozkosz istnienia osiągnęła apogeum.

Już świt zapowiedział wszystko, co najlepsze. Nie miałem zwyczaju budzić się wcześniej, niż to było konieczne, i z wielu osaczających mnie deficytów deficyt snu był najuporczywszy, ale tego sierpniowego dnia obudziłem się przed piątą nie po to, by znów zasnąć.

Nie potrafię opisać piękna, jakie ujrzałem, zbyt mnie wzrusza, gdy je sobie przypominam. W każdym razie przez otwarte w połowie mansardowe okno z odpadającą farbą zobaczyłem przed sobą jak na dłoni ruiny raubritterskiego zamku na szczycie zalesionej góry, z której poumykała już szarość świtu. Słońce wydobyło odcień upalnego letniego dnia, za który oddam wszystkie barwy ziemi, a krystaliczna przejrzystość powietrza, niezwiastująca w naszych starych, niewysokich górach niczego dobrego na resztę dnia, nie budziła obaw, gdyż impet tego niezapomnianego i nigdy niepowtórnego lata unieważnił wszystkie dotychczasowe reguły.

Nie odmówiłem sobie naturalnie przyjemności zerknięcia na swoje dwudziestoletnie ciało, które tak niewiele potrzebowało słońca, by się ozłocić, zatrzymane jeszcze w chłopczości, drobne i kształtne, niepokojąco kształtne, jeśli przykładać do niego miarę męskości, wyrażającą się zawsze w pewnym złamaniu zasad proporcji i umiaru.

Czerpałem z niego wszelkie możliwe korzyści. Silne i sprawne, było jednocześnie otwarte na zmysłowość, od której męskość stroni.

Trzeba było mojego szczęścia, by to zręczne ciało uzupełniła twarz niebudząca wątpliwości, z kim się ma do czynienia. Niezapowiadająca niczego dobrego na przyszłość, choć wtedy tego nie podejrzewałem, rozkapryszona, miękka, zmysłowa w najgorszym stylu, przykuwała uwagę dziewcząt i młodych kobiet, na których mi zależało. Twarz na

młodość, lato, upał, prowincję, małe przygody, jednodniowe nadzieje, niepełne iluminacje, na zazdrość rówieśników, zalotność, rzewność, najtańsze sentymenty i na cały ten egzystencjalny chłam, któremu przydajemy znaczeń, jakich nie ma.

Chciałbym powiedzieć, że o tym wtedy nie wiedziałem, ale to by nie była prawda. Oszukiwałem się jak inni. Mawiałem sobie w duchu, że na prawdę, na zimną, bezlitosną, niekarmiącą się nawet strzępem złudzenia prawdę o istnieniu, to ja mam jeszcze czas. Bo wiedziałem więcej niż trzeba.

Szósta rano to koszmarna godzina od października do kwietnia; sierpniowego dnia, który nie ma w planach żadnego załamania, żadnej zdrady w postaci deszczu lub trwałego zachmurzenia, jest równie przyjemna jak pozostałe.

I tylko dziewiąta wieczór, kiedy dzień przechodzi w zmierzch, a zmierzch w noc, upał już nie dokucza, ale i chłód nie zniechęca, gdy papierosy smakują najlepiej spalane na ławeczce przed domem, tylko dziewiąta wieczór ma prawo czuć się nieco lepsza od pozostałych.

Do dziewiątej dojdziemy w swoim czasie, bo na razie jesteśmy przy szóstej lub kilka minut później.

Zeskakiwałem przed bramą bazy transportowej z roweru, jak wszystko inne ponemieckiego, gdy nocny dozorca placu, nikczemny typ, któremu od roku zamierzałem przyłożyć, powiadomił mnie, że Julia Neider wróciła i zatrzymała się w starej szkole.

Benio nie miał powodu, by mnie oszukiwać, ale ponieważ nie wierzyłem ani jednemu jego słowu, jeśli nie dotyczyło podstępu, nielojalności, chamstwa lub bestialstwa, to uznałem, że informacja nie ma żadnego związku z moją piękną nauczycielką i że cokolwiek mogłoby się do niej odnosić, nie może pochodzić od tego pokraccznego, silnego jak mała gnoma biorącego noc za nocą w urzędzonej po swoim portierni, jakby dni go onieśmielały.

– Idź do diabła, Beniu – powiedziałem mu pół roku wcześniej w kanciapie nad wulkanizatornią, gdy przedstawił mi kaźń, jakiej poddaje swoje konie. Kupował je za bezcen, już do niczego się nienadające, i wykańczał w ciągu miesiąca przy zrywce drzew w górach.

I Benio sobie poszedł, a na jego w połowie sparaliżowanej twarzy nie pokazał się żaden grymas, mimo że ta niesparaliżowana połowa była do niego zdolna.

Wtedy zakiełkowała we mnie myśl, że powinienem skuć mu mordę, że to jest wykonalne, z moralnego punktu widzenia słuszne i że nie muszę się spieszyć, gdyż mam na to całą młodość, lecz sprowokowany do tego przez opatrność, nie będę się ociągać.

Pomyślałem sobie, że poczuję się dzisiaj jeszcze lepiej, jeżeli swój plan urzeczywistnię, że powrót Julii Neider nie ma związku z tym zamiarem, choćby dlatego, że jest

nieprawdopodobny, ale mogę go użyć jako pretekstu.

Obudziła się we mnie ochota na bójkę, jakby to było sobotnie popołudnie w gospodzie Nad Wrzosówką po ćwiartce wódki i godzinnej, rozkosznej rozmowie o niczym z przygodnymi kumplami.

Znamy to usprawiedliwione, a częściej nieusprawiedliwione natręctwo, gdy na dobrym rauszu, ale jeszcze nie pijani, toczymy wzrokiem po sali, wstajemy od stołu pozalewanego oranżadą i powstrzymywani obłudnie przez kompanów ruszamy w zadymioną i rozwrzeszczaną otchłań z nadzieją znalezienia tam swej ofiary, a potrzeba gwałtu krąży nam w żyłach wraz z alkoholem i sokami młodości.

Nie potrafimy oprzeć się tej pokusie, a ona odwzajemnia się nam subtelnym pięknem. I nic nie wiemy o bólu, kalectwie, śmierci, bo i ta pokusa nic o nich nie wie, bo nie jest ani trochę dojrzała od nas.

Jeżeli mamy szczęście, trafia się nam jakiś niemłody safandula lub ostateczny flek, jeżeli szczęście obdarzy nas swymi względami umiarkowanie, biesiadnicy schodzą nam z drogi jedni ze strachu, inni dla świętego spokoju, jeżeli szczęście odwraca się do nas plecami, giniemy.

Nie przesłyszeliście się. Cios na odlew rozjuszonego ładowacza w kwiecie męskości zabija lub nieodwracalnie okalecza. My jednak, ruszając w głąb gospody sobotnim popołudniem, nic nie wiemy o ogniu, z którym rozpoczęliśmy igraszkę. I dobrze, bo cóż warta by była nasza młodość, gdybyśmy wiedzieli.

Prowokując więc w sobie ten apetyt przed szóstą rano na wybetonowanym placu bazy transportowej i warsztatów, którymi pod nieobecność mych szefów w praktyce zarządzałem, zabrałem się do przestawiania potężnej tetry łomoczącej żelastwem z miejsca, w którym ustawiłem ją wczorajszego popołudnia, na miejsce, w którym parkowała przedwczoraj rano.

Wykonywała ten kontredans po tragicznej śmierci brygadzysty Romanowskiego – inne w naszej firmie się nie zdarzały. Przesąd, że unieruchomiona ładowała się emocjami, hodowała zemstę, utwierdzała się w przekonaniu o swej przewadze nad ludźmi, zasmakowała w pewności, że jest czymś więcej niż ciężarówką zabierającą kilkotonowe dłużyce z lasu, ten przesąd trzymał się uporczywie placu.

Tatrę niepokoiłem dwa razy dziennie bezsensownymi manewrami.

Byłem na początku swoich doświadczeń z mechanizmami, lecz już wtedy nie miałem wątpliwości, że trzymać je trzeba krótko. Wszelki respekt, jaki wzbudzały, obracał się w końcu przeciwko temu, kto go odczuwał. Śruba zrugana jak należy, żeby nie wiem jak się zapiekła, puszczała; traktowana z respektem stawiała niedopuszczalny opór nawet najzawziętszemu kluczowi.

Lubiłem grzechot ciężarówki przysposobionej do zwożenia świerków wielkich jak sekwoje, jęk lin i łańcuchów, którymi była omotana, i rzeźenie ustawionych na sztorc rozwór, gdy miotałem nią w przód i w tył.

Przestawiając ją o kilkanaście metrów w tę lub tamtą stronę, na więcej nie było miejsca, gasiłem w niej złudzenia jakiegokolwiek autonomii.

Zaczął się ruch na placu, gdy z papierośnicy udającej srebrną wyłuskałem sporta z radomskich dziesiątek. Wysechł jak wszystko tego lata na pieprz. Obróciłem go kilkakrotnie w palcach, wyczuwając wiotkość, ale i charakter. Rozejrzałem się za ruską zapalniczką na benzynę, zrobioną z karabinowej łuski, którą ze względu na ciężar zawsze gdzieś odkładałem.

Trzymałem się zasady, by nie palić na czczo, lecz bywały dni, kiedy ją unieważniałem. Zdarzało się to wtedy, gdy zadowolenie z istnienia domagało się jeszcze jednej przyjemności, która nic nie kosztuje.

Nie pamiętam, czy zastanawiałem się w tych odległych latach nad tajemnicą, z jaką nas wiążą papierosy, ale chyba tak, skoro podejrzewałem, że wszystko, co robimy, pozbawione zwieńczenia w postaci papierosa, więdnie. Że ten rozkoszny nałóg, biorący nas w posiadanie kilkadziesiąt razy dziennie, wynagradza nudę i bezsens codziennej krzątania. Że najwyszukańsza nawet rozmowa, do której zresztą młodość mnie nie skłaniała, bez tytoniowej asysty traci na rzecz ordynarnego bełkotu korzystającego z nikotynowej łaski i wszystkich jej rytuałów. Że seks zwieńczony, ozdobiony lub, jak kto woli, znieczulony papierosem, wygasza w nas podejrzenie, że zajęliśmy się w istocie czymś nieporadnym, śmiesznym, co nam nie przystoi, na co nie bylibyśmy w stanie spojrzeć z boku bez wstydu.

Tracimy czas. Przeciekają nam przez palce minuty, godziny, dni, czasami lata. Reagujemy na to niepokojem, jaki nie był mi już obcy, a później trwogą, której wtedy jeszcze nie znałem. Papieros jej nie zmniejsza, lecz trzyma na odległość.

Więc mimo zasady, że nie palę na czczo, tego poranka zapaliłem, bo rozpoczynający się sierpniowy dzień tego upalnego, niepowtarzalnego lata 1963 roku mnie do tego skłonił. Przy sobie, jak zwykle, miałem dwa gatunki papierosów – niedobre i dobre.

Pierwsze to były giewonty. Napelnione drobno zmielonym tytoniem tak gęsto, że rozsadał bibułkę, były jednocześnie miękkie i nigdy niedosuszone, niby lekkie, ale jednocześnie gorzkie, w zależności od pory roku kwaśne lub słone, pozbawione charakteru. Palone w ostateczności lub przez znanych mi skądinąd rówieśników, którzy nie odróżniali kobiety ładnej od brzydkiej, upału od zimna, ciszy od zgiełku, szczęścia od nieszczęścia, życia od jego pozorów i nie mieli na nic apetytu, bo wszystko, co czynili, nie brało się z potrzeb, lecz z przyzwyczajień. Dla nich miałem giewonty, jak również dla

wszystkich pozostałych niezdolnych do ukształtowania sobie o mnie jakiegokolwiek opinii.

Lewe kieszenie natomiast zamieszkiwały radomskie sporty w dziesiątkach, do których dzięki swojej zmysłowej urodzie i prowincjonalnemu, fryzjerskiemu wdziękowi miałem dostęp.

Wysuszone na słońcu, na piecu lub w kloszach lamp, przechowywane w papierośnicach i unieruchomione w nich białą gumką jak od majtek, przetoczone między palcami przed paleniem, by zwiotczały, oddawały te niewielkie w końcu starania z taką hojnością, że ich renoma nie była przesadzona.

Powiedziałbym, że jak na swoje zalety były niedocenione, ich lokalna sława nie dorównywała tej, jaką cieszyły się gorsze, ruskie bielomory lub równe im francuskie guluazy bez filtra i żitany, które poznałem kilkanaście lat później.

Na ławeczce pod rowerową wiatą przysiadł się do mnie Sulga. Przez chwilę w milczeniu przypatrywaliśmy się monterom i ich pomocnikom, którzy, zwykle spóźnieni, podczas tych upałów stawiali się do pracy pół godziny przed czasem.

Prawdę mówiąc, nie było czego obserwować, gdyż warsztatowy ludek w przeciwieństwie do szoferów i ich załóg niczym się nie wyróżniał.

Monterzy zbliżali się do czterdziestki, ich pomocnicy byli dziesięć lat młodszy. Praca, jaką wykonywali, nie stawiała im celów nie do osiągnięcia. Ciężarówka, i te nowe, i te z amerykańskiego demobilu, nie wymagały, w zasadzie, niczego poza zdrowiem. Trzeba było umieć szarpnąć śrubę i mieć odporność na smary i lejące się zewsząd oleje. Robota była brudna i, poza regulacją pomp wtryskowych mających swoich dwóch bezczelnych kapłanów, nie wymagała praktyki ani umiejętności.

Obydwaj z Sulgą mieliśmy prawo do pewnej wyższości nad monterami, którą ja ukrywałem, a on demonstrował przy każdej okazji.

Lubiłem go, choć na to nie zasługiwał. Miał talent do unikania niebezpieczeństw, po wielkopańsku je ignorował. Naprawdę nazywał się Fabian Sulgowski. Jego próba przekonania placu, że jest dobrze urodzony, jednak się nie powiodła. Zdemistyfikował go ojciec zimą 1959 roku, przyjeżdżając na bazę gdzieś spod Żagania i rozpytujac o syna w sposób, który demaskuje ponurych debili, figury w sferach wyższych niespotykane, bo skryte w gorsecie nienagannego wychowania. Sulga po nieprzewidzianej wizycie ojca się zaciął, trwale spochmurniał, odgrodził od bliźnich, dla których nie miał litości. Pogardał każdym poza swoim wujem, pilotem RAF-u, ale w tego wuja nikt już nie wierzył, bo plac oszukać można było tylko raz. Mnie wyróżniał nienawiścią lub uczuciem bardzo do niej zbliżonym. Schlebiało mi to, bo nienawiść wyklucza pogardę.

Prawdę mówiąc, nie byłem w bazie nawet obiektem niechęci, jeżeli już, to pokpiwano ze mnie, słusznie zresztą, bo nie reprezentowałem żadnego gatunku, jaki dałoby się

rozpoznać. Nienawiść Sulgi mnie nobilitowała, a kto nie lubi tych, którzy nas nobilitują?

Po kilku minutach milczenia, kiedy rozdeptałem na betonie już drugiego peta, Sulga zapytał, czy nie wypisałbym mu automatu do świateł. Odpowiedziałem, że tylko wtedy, jeżeli przyniesie zużyty, co go nie zmartwiło, bo wiedziałem, że nie o automat chodzi.

– Dostaje w kość, jak żadna – rzekłem niby od niechcienia. – W przyszłym tygodniu złamię jej kark. Będzie jak jagnię.

– O kim mowa? – zapytał Sulga, oglądając się za jednym z monterów.

– O tatrze po brygadziście Romanowskim – odpowiedziałem. – W przyszłym tygodniu będzie jak jagnię. Mógłbyś wyprawiać się nią na czeską stronę i zabierać świerki z pogromu. Jest tam tego cały czas od cholery podobno.

Ale Sulga stanowczo odmówił. Stwierdził, że jak zna życie, to na tatrę po Romanowskim nie znajdzie amatora ani na tej, ani na żadnej innej bazie, żeby nie wiem ile dała zarobić przy dłużycy czy czymkolwiek innym, że inżynierowi też się to nie uda, jak już wróci z urlopu, bo na pierwszy rzut oka widać, że nie spokorniała.

Próbowałem wyjaśnić temu dwudziestoletniemu młodzieńcowi, który nie przesadzał z intelektem, że tatra po Romanowskim jest gotowa na pojednanie, bo już wie, że niezgoda dla niezgody to prosta droga na złom.

Sulga zaprzeczył ruchem głowy i wiedziałem, że nie da się przekonać. Wiedziałem też, że inżynier, jak wróci z urlopu, to mi tego nie daruje, bo i jemu nie darują ze względu na wiosenny pogrom świerków po południowej stronie gór.

Nic nie było do wynegocjowania w tej sprawie, więc po trzecim sporcie zapytałem, o co chodzi z tą Julią Neider, a on mi odpowiedział, że nie wie, o kim mówię, i że nie zna suki.

Czemu zaraz suka, jęknąłem, a Sulga warknął, że każda z nich warta jest pozostałych i wszystkie są takie same.

Dochodziła siódma i w bazie odezwała się praca; łoskot żelaza ciskanego o beton, młoty, kowadła i przekleństwa. Żaden mechanizm jeszcze nikogo na serio nie rozjuszył, ale kto by się układał z piórem od resora, felgą czy kołowrotem.

Upał się ustalił. Tego lata od połowy czerwca o siódmej rano nie zostawał w powietrzu już nawet ślad po rzeźkości świtu i nawet w najgłębszym cieniu się nie kołatał. Wszystko było jak w kowalskich cęgach rozżarzonych do czerwoności.

– Dobrze, Sulga – powiedziałem, nie mając ochoty ruszać do przegrzanej kanciapy nad wulkanizatornią. – Wypiszę ci automat bez zdawania zużytego, a ty to zapamiętasz.

– Niby co? – zapytał szofer, zrozumiałe, że podejrzliwie.

– Normalnie, Sulga. Wyświadczę ci przysługę, za którą będziesz mi wdzięczny. Nie mówię, że masz mi ją okazywać z byle okazji, ale jeśli zażądam rewanzu, to go znajdę.

– Obejdzie się – skwitował szofer i wstał lekko z ławeczki.

Wysoki, bardzo szczupły, o małej, rasowej głowie, nie miał w sobie nic dupiastego, co trzyma przy ziemi. Jeśli dodać, że nosił się czysto i pachniał mieszanką amphory i prince'a Alberta, to podejrzenie, że tymi zaletami kamuflował prostactwo, nie przychodziło łatwo. Na pierwszy rzut oka budził sympatię, a nawet zaufanie. I naprawdę nastarać się musiał, by od siebie odstręczać. A jednak, odstręczał, jakby bał się zobowiązań, jakie nakłada na nas przyzwoitość. Dlatego nie zaskoczył mnie, gdy na odchodne rzekł:

– Nie wygląda dobrze.

– Kto? Nauczycielka?

– O niej mówię. Mój pomocnik widział, jak szła z kartonową walizką od PKS-u do starej szkoły. Tego, który przyjeżdża przed piątą. Wlokła się raczej z twarzą skrytą pod kapeluszem i zaraz zauważył, że ta suka nie wygląda dobrze.

– Jeździsz ciągle z tymi dwoma pajacami, Sulga?

– Nie lubię, kiedy tak mówisz o moich chłopakach. Pytasz w związku z czym?

– W związku z Julią.

– A co ona ma z nimi wspólnego?

Rozłożyłem ręce. Bocian wrócił do gniazda na kominie kotłowni znad niedalekich łąk, które po raz pierwszy od objęcia tych ziem przez przybyszów ze wschodu wyschły do cna.

– Była piąta?

– Coś koło tego – odpowiedział Sulga. – Bez urazy, Ruczaj. Jeden z moich chłopaków widział, jak wlokła się od PKS-u do starej szkoły, w kapeluszu nasuniętym na twarz, i nie wyglądała dobrze. Tylko tyle.

– Julia Neider – rzekłem z przekonaniem, też wstając z ławki – nie może wyglądać źle. Nie znasz jej, nic o niej nie wiesz, opowiadasz głupstwa. Nie ma nawet trzydziestki. Co mogłoby się jej stać, żeby wyglądała tak, jak mówi jeden z twoich pajaców?

– No właśnie, Ruczaj. – Sulga uśmiechnął się cierpko i oddalił.

Świt również. A jego miejsce już dawno zajął poranek, jak wszystkie tego lata, z prezentami.





Poranek to nie jest dobra pora na śmierć. Choć nic o śmierci nie wiemy, to dajemy jej prawo do pewnych pór roku, miesięcy, dni, a nawet godzin.

Śmierć w listopadzie jest do przyjęcia, wobec śmierci w maju, czerwcu lub lipcu podnosimy bunt.

Śmierć po południu, wieczorem lub w nocy jest w stanie wynegocjować naszą zgodę, grudniowy, przejmujący zimnem, ciemnością i najgorszymi myślami świt, kiedy do dnia jest tak bardzo daleko, znieczula w nas żal za życiem depresyjnością i brakiem perspektyw.

Ale jeśli dożyjemy poranka, to chcemy się dowiedzieć, w co on ma zamiar przejść i jaki będzie dzień, który nam szykuje. Godzimy się na śmierć, ale nie na jej kaprysy. Skoro nie wykończyła nas noc i nie zabił świt, który ze swej natury to lubi, to czemu miałyby skończyć z nami poranek mało mający wspólnego z tą robotą.

O poranku się nie umiera. Chyba że się jest młodym mężczyzną z rodziny mego ojca. Trzeba wam wiedzieć, że byli to ludzie o wdzięku, urodzie i seksapilu, do jakich nawet się nie zbliżyłem.

Kobiety i mężczyźni z rodziny lub spoza niej, pamiętający mego rozstrzelanego o poranku ojca, obserwując mnie, mawiali: jesteś do ojca podobny, by dodać po chwili na stronie albo i nie: lecz tylko pozornie. Mieli rację, bywali w tym niedelikatni, obcesowi, czasami wręcz grubiańscy, mieli jednak rację.

Wystarczyło spojrzeć na fotografie z dawnych lat, których mieliśmy dzięki przytomności mej dzielnej babki cały kuferek, by się zorientować, jaka przepaść nas dzieliła. Jak nic w tych mężczyznach nie było z kelnera, fryzjera, apasza, panicza z dworu, lalusia, jak bardzo jednolici byli w swej wytworności przy wszelkich różnicach, jakie wymusiły na nich czasy i okoliczności.

Męska szlachetność biorąca się z odwagi, zdrowia, tężyzny, skłonności do przygód, zgody na ostateczność, hojności, pogardy dla życia i pewności, że się jest ponad nawet w najgorszej opresji, ta skłonność do wyboru wszelkiej wyższości nad niższością, nawet jeżeli sytuacja podpowiadałaby w tym względzie ostrożność, ta męska szlachetność naznaczała w tym samym stopniu mego ojca, jego brata, dziadka i jego trzech braci, pradziadka i wszystkich, którzy się na nich przez kilka pokoleń poskładali.

Wiedli dobre życie, co nie zdarza się często, a jednak wybierali śmierć, tę bladą wychudzoną, która nie rozwiązuje tajemnic, nie jest bramą do lepszego lub innego świata,

nie obiecuje żadnych łask ani przygód.

Bałem się śmierci. Myśl o niej trzymała się mnie tym uporczywiej, im głębiej zanurzałem się w uroki życia. Śmierć jednak lub prowadzące do niej kalectwo były w firmie nieustającą możliwością, jej mroczną sygnaturą. Chcąc nie chcąc, dużo się rozmawiało o śmierci w robocie, w domu, knajpie, jej cień padał na każdy blask, mocował się z nim, nie przestawał się czaić.

Młoda męska śmierć nieróżniąc się fizjologicznie od żadnej innej, a przecież wyróżniona jakimś podejrzanym sensem, usprawiedliwiona kanonem męskiego życia, brawurą, która to życie wynosi do znaczenia, jakiego nie ma i nigdy nie miało.

Byłem obok tego. Bałem się tej religii i, co ważniejsze, za grosz jej nie wierzyłem – nawet wtedy, gdy jako sługa Kima Sewastopola z Antibes sprawdziłem, jakim pięknociom ona służy – lecz ani teraz, ani wtedy nie umiałem się radykalnie od niej oddalić. Jakbym miał wobec niej jakieś zobowiązania.

Niespodziewany powrót Julii Neider, którego naturalnie nie miałem obowiązku przyjąć do wiadomości, to był zły omen.

Julia, jaką zapamiętałem – urodziwa, bardzo młoda, impulsywna, apodyktyczna, żywiołowa, wszechstronnie utalentowana i uwodzicielska – nieopuszczająca, jestem tego pewien, najsubtelniejszych i najplugawszych męskich marzeń, nie stawiała śmierci szlabanu ze swej dziewczęcości.

Śmierć sumienia nie ma, ale ma poczucie formy; jeżeli nie musi, to się nie czepia.

Julia przy wszystkich swoich zasługach dla życia sprzedawała śmierć. Najprzyjaźniejszym jej żywiołem była ekstaza, od której do śmierci, a wiem to dopiero teraz, jest niebezpiecznie blisko. Śmierć dopada nas wszędzie. Nie ma miejsc od niej wolnych, ale powiedzmy, że szkoła należy do najmniej podejrzanych o związki z tą nieuchronnością.

W moim przypadku, a może powinienem powiedzieć w naszym, tak nie było, chociaż początki zapowiadały, że nie wyjdziemy poza banał pocziwego dzieciństwa.



Rozpoczęło się 4 września 1948 roku. Dzień był pochmurny, chłodny i choć nie padało, czuło się w powietrzu jesień. Dzieci były jednak podniecone i uradowane.

Ustawiono nas w pary i tak się złożyło, że Marta stanęła na początku z Szymonem, a ja na końcu z Olą. Formowanie nas w jakiś porządek trwało w nieskończoność, a niemłode już nauczycielki biegały hipopotamim truchtem po prostokątnym dziedzińcu wysypanym jasnymi kamyczkami, które chrzęściły i wystrzelały spod nóg.

Potem nas gdzieś zaprowadzono, jedni mówili, że do kościoła, inni – że pod pomnik; ani jednego, ani drugiego sobie nie przypominam, skończyło się najprawdopodobniej spacerem do asfaltowej szosy, która od miejsca, gdzie musieliśmy zawrócić, wznosić się zaczynała serpentynami ku przełęczy i nieznanemu nam światu. Następnie odwiedziliśmy klasy. Zapamiętałem ławki z otwieranymi pulpitemi, niemieckie encyklopedie, globus i wypchanego jeżozwierza. Na końcu woźny Wierbłowski poczęstował nas kakao i bezami od piekarza Kubiaka.

Szkoła odciskała na ciałach i duszach wszystkich dzieci swoją pieczęć, coraz wyraźniejszą w miarę kończenia jednej i rozpoczynania następnej klasy, przybywania przedmiotów i obowiązków, ale może naszą czwórką zawładnęła najmocniej. Marta, Szymon, Ola i ja chłonęliśmy świat z obcą dzieciom powagą, męczącym uporem i przekonaniem, które w moim przypadku miało cechy ponurego żartu, że czas nam ofiarowany wykorzystać należy do spodu.

Nauka uplasowała się na marginesie naszych doznań, chociaż to, czego się dowiadaliśmy, było interesujące. Prawdziwą atrakcją stanowiło to, co szkoła miała nam do zaoferowania poza celem, w jakim istnieje. W miarę upływu czasu stawało się to coraz bardziej podniecające, a arytmetyka, rysunki czy analiza czytanek schodziły na drugi plan. Toteż nie uczyliśmy się najlepiej, wystarczająco jednak, by nie mieć kłopotów z promocjami.

Akademie, wycieczki, zawody sportowe, kółka zainteresowań, a nawet coraz dłuższe poranne apele wysuwały się nieodwołalnie na pierwszy plan. Naturalnie korzystaliśmy z tego każde na swój sposób, gdyż wyróżniając się wśród innych, różniliśmy się też między sobą.

Późną wiosną 1953 roku nasza czwórka była na dobrej drodze do ukończenia piątej klasy. W szkole od dnia, w którym ją poznaliśmy, wiele się zmieniło.

Przede wszystkim odeszły prawie wszystkie stare nauczycielki, sumienne,

wykształcone panie, mocno sterane przejściami wojennymi i coraz bardziej obcą im terażniejszością. Znały swoje przedmioty, były obowiązkowe i oddane dzieciom. Miewały kłopoty motoryczne, chodziły ciężko, kołysząc się na boki. We włosy wtykały grzebienie, wsuwki, czasami jakieś gałganki. Lubiły ścisnąć pod pachami skórzane torebki z lepszych czasów, w których miały po kilka chustek do nosa. Nosiły się na szaro. Celebrowały żałoby po straconym rodzeństwie, po poległych na wojnie synach, mężach, którzy gdzieś przepadli na zawsze.

Nie przychodziło nam do głowy, by nadawać im oryginalne przezwiska. Nietrwałe, rotujące określenia typu: prukwa, kura, makolągwa, świadczyły o braku kontaktu z tym psującym się ciałem pedagogicznym.

Na początku lat pięćdziesiątych przyszło czworo nowych nauczycieli, w jakiś czas później jeszcze dwoje. Wśród nich Julia Neider.

Obezwładnili nas. Wydali nam się piękni, zręczni, szybcy. Zbiegali po schodach po dwa stopnie. Do szkoły przyjeżdżali rowerami i zeskakiwali z nich w biegu. Umundurowani, szczupli, wręcz wychudzeni, nie dysfunkcja fizyczna była jednak tego przyczyną, ale energia i pasja. Bez dzieci, żon, mężów, sami jakby niespłodzeni przez rodziców, powynosili się w naszych oczach do rangi symbolu, z którego odczytaniem nie mieliśmy problemu.

Śmiali się często, choć nie pamiętam, żeby się uśmiechali. Głosy ich, w przeciwieństwie do głosów starych nauczycielek, brzmiały ostro, modulowane najpiękniej w poleceniu, rozkazie, połajance. Sześcioro ich było tylko, a szkoła dudniła od ich krzyku; na lekcjach, na przerwach, przed ósmą i po drugiej.

Wzięli nas w karby dyscypliny, która nam się spodobała. Nauczyli nowych pieśni. Wydały się pociągająco groźne i obce. Nie odnajdywaliśmy w nich znajomych tonów. Wypływały z nas jak rwąca rzeka ze stromymi brzegami, jednały z przemocą i prowokowały gniew, jakiego żadne z nas się po sobie nie spodziewało. Bo nie był to nasz gniew, ale w miarę zaprawiania się w tonach i słowach czuliśmy się w nim coraz pewniej. Chronił nas przed zniechęceniem i odpędzał zmęczenie. Nadawał naszemu istnieniu sens, co z tego, że na razie przed nami ukryty.

Dzięki nowym pieśniom i uczuciom, jakie wyzwalaly, bezładne wycieczki, niby parami, do zagajnika po drugiej stronie nieodległej szosy, obsranego zazwyczaj dokumentnie przez miejscowe moczymordy, zamieniły się w wielogodzinne marsze na azymut w regularnych kolumnach.

Naszej przemianie towarzyszyła łatwość, która rozzuchwala.

Konsekwentnie grupowano nas w stado. Szkoła się przyczaiła. Podporządkowana obcym jej rygorom jakby w nich zasmakowała, przechodząc na stronę gwałtu.

Później przez pewien czas – gdy spoglądałam na to z perspektywy wielu lat, jakie mam za sobą, niedługo – zastanawiałem się nad tą łatwością, gdy jako przodownikowi hemingwayowskiego klanu, wyrodzonego w bezładną grandę, której się na serio bano, było mi trudno. Przyjemnie, czasami rozkosznie, lecz trudno.

Więc późną wiosną 1953 roku Marta, Szymon, Ola i ja byliśmy tuż przed promocją do klasy szóstej. Świadectwa zapowiadały się tak sobie, lecz to w przypadku naszej czwórki traciło znaczenie, jakby ktoś spoza szkoły zawyrokował: oni nie są tu po to, by się uczyć.

Stopniem Marty była czwórka, Oli – naciągana trójka, ja nie lubiłem polskiego, a Szymon – gimnastyki.

Marta w ostatnim roku bardzo wyrosła, Ola była drobna, ja po chłopięcemu kruchy, Szymon natomiast grubokościsty, obły, tłustawy. Marta nieskora do figli i zabaw, ciężka raczej, z zaznaczonymi już piersiami, zapowiadała senną nieco kobiecość, która się na ogół podoba. Ola płaska jak deska, ruchliwa, bystra, niepokojąco urodziwa i niepokojąco nieprzewidywalna nawet w kleszczach narzuconej nam dyscypliny. Szymon stanowił jej zaprzeczenie, powolny i zasadniczy, ze zmysłem do obserwacji, jaki na razie do niczego nie służył. Gdyby nie przesładujące go lekcje wychowania fizycznego, mógłby powiedzieć, że urodził się dla każdej szkoły, z tą, przez którą tak sumiennie przechodziliśmy, włącznie. Co do mnie natomiast, to poza chudością, jaka w czasach, do których wracam, była chłopięcą normą raczej niż ewenementem, konstituowałem w sobie pierwsze egzystencjalne trwogi wywołujące ból brzucha i gorączkę. W wolnych chwilach zastanawiałem się nad sensem tego, co mnie otacza, i nasłuchiwałem Boga.

W tych zmieniających tak wiele miesiącach zaznaczył się też charakter stosunków, jakie zapanowały między naszą czwórką.

Domy Marty i Szymona były zasobne. Niczego z rzeczy w tych latach osiągalnych w nich nie brakowało. Mieli nawet radia. Marta zawdzięczała to umiejętnościom ojca, dobrze zapowiadającego się, młodego jeszcze doktora, a Szymon – pracowitości głównego buchaltera miejscowego gospodarstwa rolnego. Marta miała rodzeństwo, Szymon był długo oczekiwany jedynakiem.

Toteż ta dwójka przychodziła do szkoły domyta, doprasowana, zaopatrzona w drugie śniadania zapakowane w pergamin. Marta miała codziennie świeżą kokardę, kołnierzyk, fartuch i podkolanówki z pomponikami, Szymon doprasowaną koszulę i skórzane buty wypucowane do połysku. Oboje przywodzili na myśl dobrze utrzymane zwierzęta domowe. Ufność, krągłość, lśniącą sierść. Być może to właśnie powodowało, że przebywali ze sobą częściej niż z innymi i że wrześniego dnia 1948 roku, zapowiadającego już jesień, ustawiono ich w pierwszej parze na szkolnym dziedzińcu.

Podobny kontakt łączył mnie z Olą, z odmiennych jednak powodów. Oboje byliśmy

pólsierotami; Ola nie miała matki, ja – ojca.

Wychowywany byłem przez dziadków pamiętających swoje dwory, służbę, rauty, polowania, teatry, kasyna, nieustające długi, upiorne zastawy kredytowe, katorżniczą od czasu do czasu pracę, swoje Dyneburgi, Kijowy, Winnice i Lazurowe Wybrzeża, wspominających od niechcienia kuzynów starostów, wujów ministrów, stryjów namiestników, spowinowaconych z nimi unickich biskupów i austriackich admirałów, a potem ruską Spartę w stepach Naddonia, gdy u boku miało się kozackich esaulów, nogajskich chanów, bałtyckich baronów, młodziutkich kadetów i starych sztabskapitanów, całą tę desperację, dzielność i malowniczość do wspomnień i nostalgii.

Ola nie miała rodziny, o której można by cokolwiek powiedzieć, gdyż wzięli się co najwyżej z krzaków na ugorze, nawozu na gumnie, kamienia przy drodze. Spłodzono ją bez żadnego dającego się sprecyzować zamiaru, podobnie jak jej dwóch młodszych braci.

Ja miałem podjąć służbę w krainie kontynuacji, do przesady pozaludnianej przez moich przodków, Ola, jak sądzę teraz i pewno sądziłem wtedy, nie miała takiego obowiązku. Łączyło nas braterstwo dusz, a nieco później, jakkolwiek dwuznacznie by to zabrzmiało, ciał, bo byliśmy siostrą i bratem.

Wiosna, jak to w naszych starych, zachodnich górach bywało, przysłała spóźniona, trafiając w drugą połowę maja, lecz co mogła, to uczyniła, by nam wcześniejszą absencję wynagrodzić. Perspektywa wakacji wypełniła nas radosnym podnieceniem, łagodzącym nasze świeże i najświeższe przyzwyczajenia. W coraz dłuższych i łagodniejszych dniach nikt nie miał zapału do rygorów.

Przyszedł czerwiec, suchy i upalny, budynek szkolny opustoszał, lekcje odbywały się na dworze lub nie odbywały się wcale. Mecze w szczypiorniaka lub w dwa ognie nie przypominały tych z jesieni. Szkolny tor przeszkód nie wystawiał nikogo na próbę. Nie uczyliśmy się nowych pieśni ani nie powtarzaliśmy tych znanych. Smakowaliśmy uroki lenistwa i braku zobowiązań, które podczas dwumiesięcznych wakacji stają się trochę nużące.

Jesienią nasza wypreparowana ze szkolnego żywołu czwórka, wybrana wedle nieznanym nam kryteriów, zaczęła poznawać Julię, jak poznaje się tajemnicę. Zaintrygowała nas, uczyniliśmy ruch w jej stronę, poczuliśmy respekt i zatrzymaliśmy się w pół kroku.

Wcześniej przemykała gdzieś obok zwolniona z obowiązków, które mogłyby ją w oczach dzieci i dorosłych spospolitować, jak posłaniec tylko ważnych wiadomości, obca temu, co można by polubić i uznać za własne, więc bezpieczne. Nagle stała się dostępna, na wyciągnięcie ręki, jako nowa wychowawczyni naszej klasy. Nie trzeba było miesiąca i szczególnej wnikliwości, by dostrzec, jak bardzo wyrastała ponad pięcioro nowych

nauczycieli.

Przyjeliśmy za dobrą monetę, że była nieślubną córką radzieckiego generała stacjonującego w Polsce, choć ona sama nigdy tego nie powiedziała i nie brała udziału w tkaniu na swój temat żadnej legendy. Nie wystarczała sobie. To zauważało nawet dziecko.

W tym sensie stanowiłem jej przeciwieństwo; jak sięgnę pamięcią, potrafiłem być dla siebie całym skończonym światem, co nie znaczy, że nie przebywałem w innych. Lecz od zarania nie interesowałem się niczym tak bardzo jak sobą i starość tego we mnie nie zmieniała.

Julia stawiała siebie na końcu. Głodna była wydarzeń i przygód, ale jakby bez celu. Roznosiły ją zdolności, za którymi nie nadążały refleksje. To czyniło ją obojętną, by nie rzec bezwzględna w stosunku do wszystkiego, co nie było skrajnością i brawurą, więc obcym mi, jak sobie to teraz przypominam, dzieciństwem i młodością. Dla niej młodość, nieważne jej czy cudza, to była droga do śmierci, po nic.

Od samego początku naszych coraz bliższych kontaktów namawiała nas na jakąś pieprzoną ostateczność. I to, co nas pociągało bez niej, z nią zaczęło się stawać nie tylko trudne, lecz niewykonalne.

Odbierała nam prawo do sedna dzieciństwa, jakby już w nas przeminęło, jakby już zostało z nas raz na zawsze przepędzone. Odbierała nam prawo do beztroski, niekonsekwencji, nieumiejętności łączenia przyczyn ze skutkami, wrzasków, przesądów i lęków sunących jeden za drugim, na które tak łatwo – musiałem się co do tego jeszcze ludzi – znaleźć sposób w nieodgadnionym, lecz bezpiecznym świecie dorosłych. *Symfonia Leningradzka* była tego najlepszym przykładem.

Zaprawieni w regułach wilczego stada, bez współczucia przyjęliśmy wiadomość o spodziewanej śmierci naszego klasowego kolegi, zmagającego się od urodzenia z wadą serca. Miał na imię Olgierd i było w nim coś białego, mroźnego, północnego, jakby od zarania, lato czy zima, skutą był lodem.

Poszliśmy całą klasą zobaczyć go na marach. Leżał na wąskim, żelaznym łóżku w towarzystwie czterech zgaszonych gromnic, sam jak gromnica. Nie mieliśmy na tę wycieczkę zgody szkoły, która zawładnęła też naszą prywatnością, jaką są na przykład niewinne rytuały, gdyż wszystko, co czyniliśmy, miało być spełnianiem obowiązku wobec bezwzględności.

Przeciskając się między sobą w ciasnym mieszkaniu, ujrzelśmy Julię pochyloną nad zmarłym. Zajmowała jedyne w tym biednym wnętrzu krzesło i było widać, że jest tu od dawna.

Osamotniony, nie zimniejszy niż za życia, Olgierd został dostrzeżony. Znaczący



przedtem nie więcej niż jeden z bezpiecznych kotów zamieszkujących podziemia naszej szkoły, został też doceniony. Julia zauważyła go i doceniła. Do głowy nam jednak wtedy nie przyszło, że tylko po to, by go w postaci, jaką przybrał, wykorzystać.

Dzień po pogrzebie Julia poleciła nam zostać po lekcjach i wysłuchać symfonii *Leninradzkiej* Szostakowicza, puszczonej ze sfatygowanej płyty przez szkolny radiowęzeł.

Okropne to było przeżycie i prawdę mówiąc, nic bardziej żalosnego nas w szkole ani poza nią nie spotkało. Jeśli pominąć jakość koncertu, a biorąc pod uwagę czasy i najciemniejszą porę roku – przejście jesieni w zimę, na styku listopada i grudnia – jeśli pominąć te dwie okoliczności wystarczające, by spopielić najradośniejszą muzykę, symfonia *Leninradzka* opowiadała nam o bezdennym smutku i niewyobrażalnej nędzy ludzkiego losu, o jego znikomości wobec wydarzeń, nad którymi nikt nie panuje.

Krucze jest nasze istnienie i najczęściej byle jakie, od trwogi do trwogi, zdawała się mówić ta skończenie piękna, zmysłowa, uwodzona przez życie dziewczyna i bez względu na to, co sobie uroiła, życiu oddana, a my, pełni dziecięcego entuzjazmu dla istnienia nawet byle jakiego, odpowiedzieliśmy jej solidarną niezgodą.

Opór klasy, nie tyle wobec symfonii, ile wobec kaprysu nauczycielki chcącej podporządkowanie uczynić cnotą, stał się tak silny i tak, oprócz nas czworga, radykalny, że Julia po tygodniu odpuściła.

Kaban Wolski, jeden z trzech przerośniętych z klasy siódmej, do niedawna przychodzący do szkoły z wypatroszonym mauzerem, nim zaaresztowano mu z tego powodu ojca, wykrzykiwał przed letnimi ubikacjami: ta pizda oszalała od tego kacapskiego zgreda i jego pitolenia! Co nam do nich?! W sracz nimi kinąć i po robocie!

Mieliśmy wrażenie, że stare nauczycielki, wraz z kierownikiem Leszczyńskim, wysłuchały tych refleksji z cichą satysfakcją, a reszta młodych nauczycieli bardzo nieśmiało podzielała dezaprobatę przerośniętego siódmoklasisty.

Gdy pięćdziesiąt lat z okładem później wspominam tę fantasmagorię, domyślam się celu, w jaki mierzyła Julia, zbyt młoda i niedoświadczona, by uczynić to wyłącznie na własny rachunek.

Grzęznąc na straconych pozycjach, rozczarowana daremnością wszelkich starań, osaczona przez najciemniejsze podejrzenia co do sensu istnienia i mimo pierwszej młodości już nim znudzona, niedająca się nabrać na żadną z religii, postanowiła ćwiczyć się w niezłomności, której użyje w nieznaney jeszcze sprawie. Mierzyła się, jestem tego teraz pewien, z przyszłością, o jakiej strach pomyśleć.

A wracając do śmierci, którą rozpocząłem poranek, to pewnego lutowego dnia, gdy mrozy w naszej kotlinie straciły umiar, a dzieci zebrano w świetlicy i pozwolono im nic nie

robić, Julia, korzystając z pewnej prywatności, zapytała Martę, co nas do Szostakowicza zraziło, a Marta, nieuleczalna prymuska, odpowiedziała, że niedojrzałość czy coś w tym stylu. Poprawiłem ją wtedy, niepytany przez Julię, czego ona nie lubiła, że to taka muzyka, która gra jeszcze po własnej śmierci, a powinna siedzieć już cicho. Młoda nauczycielka odpowiedziała: nie gardź śmiercią, która, koszując życie, działa na jego rzecz. Czym ono by było bez niej?

Gdzie ona to przeczytała, kto jej o tym powiedział, z kim to ustaliła?

Tak czy owak, Julia Neider, jaką zapamiętałem z dzieciństwa, kręciła się przy śmierci. Z własnego wyboru albo i nie. Więc jej niespodziewany przyjazd do S. tuż po świcie nie wróżył mi nic dobrego.



Od dwóch miesięcy poranki przechodziły w południe, same nie wiedząc kiedy. Między ósmą a dziewiątą skwar ustalał się już w swych najwyższych rejestrach, a blask rozpanoszonego słońca wypychał cień pod mury domów, krzaki, tępione bez miłosierdzia ponemieckie drzewa.

Co można rzec o letnim południu, poza tym, że trwa długo, bo wykorzystuje do maksimum możliwości, jakie stwarza upał?

Światło i temperatura wyjaławiają świat z nastroju i tajemnicy, a cień się kompromitująco skraca. Przez poczucie władzy nad latem południe, skądinąd oczekiwane w naszych stronach z powodu wilgoci, deszczów i niekończących się chłódów, przedstawiło nam się tego roku od strony, z jakiej nikt go nie znał.

Nie narzekałem na południe, lecz rozumiałem narzekania innych. Zniechęcały mnie do tej niespodziewanie rozdętej tego lata pory dnia ostentacyjność i nadmiar blasku, ale nie dzieliłem się tą niechęcią z innymi, bo im dokuczało suche gorąco, które mój organizm, jak wszystko inne, przerabiał na przyjemność. Pokryty od góry do dołu dyskretną warstwą wilgoci, brałem z upału to, co najlepsze, i nawet jego uciążliwość zamieniałem w korzyść.

Nie mówiłem chłopakom z placu, że służy mi gorąco lata, by nie usłyszeć w odpowiedzi, że im też by służyło, gdyby, podobnie jak ja, mogli nic nie robić, co było kłamstwem trudnym do sprostowania.

Bo prawda to była tylko w niewielkim stopniu. Faktem jest, że tego lata, opuszczony przez swoich dwóch szefów, pracowałem mniej niż zwykle, za to, jak mi się zdawało, z sensem.

Ale przekonania monterów, ich pomocników, szoferów i ładowaczy, że tylko fizyczny znój czyni z zajęć pracę, nie zmieniało żadne doświadczenie własne lub cudze. Byli tego pewni nawet wtedy, gdy interwencja rozumu ratowała ich z opresji, wyprowadzała z sytuacji, na które siła, wytrzymałość, odporność na cierpienie nie wystarczały.

Niewątpliwie byłem obiektem niechęci, jaką żywili do każdego, kto nie uczestniczył w ich wysiłkach. Ale ponieważ nigdy nie próbowałem dać im do zrozumienia, że taki sam jestem jak oni, że cokolwiek nas dzieli, jestem jednym z nich, to omijała mnie najjadowitsza forma ich pogardy, raniąca jak grot.

Zranić mnie nie mógł żaden z nich, gdyż, przywołując instynkt, otworzyłem sobie dostęp do ich świata, a mój świat zaryglowany był dla nich na amen. Nawet nie próbowali do niego zaglądać. Mogli tylko o nim coś sądzić, kierując się obserwacjami, z których nie

potrafili, jestem tego pewien do dziś, wyciągnąć żadnych wniosków.

Nie ma co ukrywać, żyliśmy w nieprzyjaźni, która nie wykluczała rozmów, wspólnych jednodniowych planów, a nawet konszachtów w złych i dobrych sprawach.

Minąć musiała dziesiąta, gdy do mego, pozał się Boże, gabinetu wkroczył Wasyl Horanin, wnosząc jak zwykle zapach smarów i przemocy. Był nonszalanckim szoferem niemogącym dogadać się ze swymi ładowaczami, więc często ich zmieniał. Nie reprezentował dobroduszości ludzi ponad miarę wysokich. Odwrotnie, miotała nim zajadłość kurdupła wtedy, gdy z młodszym bratem, Jurkiem, rozpędzał okoliczne wesela tak, że od kilku lat żadne nie dotrwało świtu, jak i wtedy, gdy w gospodzie Nad Wrzosówką plugawym językiem prowadził rozmowę na dowolny temat.

Wbrew powolnym, wręcz majestatycznym ruchom nosił w sobie gotowość do zwady z byle powodu. Nie liczył się z nikim. Wpasował się w czas bezkarności dla chamstwa i prostackich gwałtów, lecz trzymał się zasad. Jedną z nich była wzajemność.

Liczyć mogę na twoją złość lub jeszcze lepiej furię, tak jak ty liczyć możesz na moją. Odpowiem na każdą prowokację bez odkładania jej na potem, ale nie zapomnij, że ja podlegam temu samemu prawu przemijania i że w tym względzie, podobnie jak ty, nie powinienem liczyć na specjalne traktowanie.

Wywrzeszczę ci w sam pysk najplugawsze obelgi i oczekuję, że masz w pogotowiu nie gorsze i że ich użyjesz w zgodzie ze swym chojrackim sumieniem, bym ci mógł przypierdolić.

Nie postawisz mnie w sytuacji bez wyjścia lub takiej, jakiej do następnej soboty będę wyglądał, tylko zrobisz dla mnie to, co ja usiłuję zrobić dla ciebie.

Upatrz mnie sobie, zapamiętaj, zatrwoż się, zesraj ze strachu i daj mi, kurwo sakramencka, szansę na nie mniejszą radość.

Osacz mego anioła stróża, by zgubił do mnie drogę, by nie podpowiedział mi umiarkowania, by nie wynegocjował ze mną warunków, na jakich mogę się cofnąć bez ujmy na honorze, a możesz być pewien, że ja podobnie rozprawię się z twoim aniołem.

Przyznać muszę, że zapałem do przemocy Wasyl Horanin nobilitował wszelkie łajzy, zrównując je ze sobą w uprawnieniach do chuligańskich obyczajów.

Pół roku wcześniej mniej więcej ten przywilej przyniósł mi korzyści, na jakie nie liczyłem.

Zawsze zdarzało mi się zamyślać w najmniej odpowiednich momentach. Rzeczywistość, w jakiej przebywałem, stawała się z sekundy na sekundę drugorzędna, a jej miejsce zajmowała przestrzeń niewiele w istocie od niej różna, lecz gotowa mi się podporządkować. To podobieństwo rzeczywistości i nierzeczywistości zakotwiczało mnie w nieuwadze. Tym bardziej że wycieczki do świata wyobrazonego nie niosły ze sobą

żadnego zagrożenia. Toteż moje starania, by mieć się na baczności, gdy prowadziłem długie i głośne rozmowy z sobą samym, nie były przesadne. Byleby nie wpaść pod tramwaj. Więc gdy na placu, zimowego dnia, przeszedłem się po śrubach od kół ciężarówki, zwanych szpilkami, które Wasyl dokładnie sobie poukładał, gdyż każda z dwunastu miała przynależny sobie otwór w każdym z dziesięciu kół, stek przekleństw, jakie ruszyły natychmiast za mną, wydał mi się przedsmakiem tego, co może mi się nie spodobać.

Mocne szarpnięcie za ramię przywróciło mnie rzeczywistości i uświadomiłem sobie, że będę się musiał na godzinę pochylić nad tymi cholernymi śrubami i je podpasowywać do otworów i muter lub przygotować się, że oberwę.

Obydwie możliwości wydały mi się umiarkowanie atrakcyjne, więc zacząłem szukać trzeciej. Nie potrzebowałem wiele czasu, by się we mnie ukonstytuowała. Przybrała postać zabawnej pychy, jaka od tego lodowatego przedpołudnia dorosłała wraz ze mną, stając się zaletą, z którą miałem same kłopoty.

Powiedziałem Horaninowi, bo jego to była ciężarówka, że te śruby mogę mu dopasować najwcześniej w przyszłym tygodniu i że jeżeli może poczekać, to nie ma sprawy.

Odwróciłem się plecami, wiedząc, że mojej oferty nic nie ubezpiecza, odwrotnie, schlebająca mi w chwili przedstawienia, zapowiadała jak najgorsze dla mnie konsekwencje.

Wróciłem do Horanina i odezwałem się tak, jak to się robi w sprawach nieważnych, drobnych, lecz męczących:

– Chyba nie myślisz, Wasyl, że zostawię swoją pracę, pochylę się nad twoimi felgami i zacznę dobierać do nich te pieprzone śrubki. Nawet ci w tym nie pomogę. Nie licz na to. A wiesz czemu? Bo to nie jest moja robota, nigdy nie była i nie będzie. Ty masz swoją robotę, ja swoją i one się nie krzyżują ani na placu, ani poza nim. Ale nie mówię, że nic się nie stało. Jest zimno, palce grabieją, wiatr przeszywa na wylot. Namordowałeś się przy tych szpilkach i masz prawo mieć tego dosyć. Dlatego umówmy się, że jestem ci coś winien. Jakbym miał u ciebie dług, ale po stronie mojej roboty, a nie twojej. Nic więcej ze mną nie załatwisz. Jasne?

Odwróciłem się i odszedłem, a za mną poleciało kilka plugastw.

Pół roku przeszło z okładem. Nie wróciliśmy do naszego sporu, lecz umowa obowiązywała. Nie miałem wątpliwości, do kanciapy nad wulkanizatornią Wasyl Horanin wszedł jako wierzyciel.

Rozsiadł się na krześle, oparł piersią o stół i pochylił ku mnie całe chude, wyrosnięte ciało. Miał metr dziewięćdziesiąt, ale krótkie stosunkowo nogi, więc siedząc, zawisł nade mną i gdybym zechciał spojrzeć mu w twarz, to musiałbym unieść głowę.

– Z czym przychodzisz, Wasyl? – zapytałem, nie odrywając się od aktu zgonu przedostatniego studebakera z amerykańskiego demobilu, pełniącego już funkcje wyłącznie dekoracyjne, choć nawet do nich przestawał się nadawać.

– Ze sprawą.

– Naszą?

– Chciałbyś, hrabia.

Przez wiska hrabia używano, gdy chciano mnie dotknąć lub okazać brak szacunku. Gdy ktoś przychodził po pożyczkę lub rzecz, jaka mu się nie należała, zwracał się do mnie po imieniu, zdrabiając je czasami, jeśli sprawa wyglądała na beznadziejną.

– A jak ona brzmi?

– Sprawa?

– Wybacz mi, Wasyl, to określenie, ale gdybyś mógł ją doprecyzować.

– Że sobie nie poradzisz, hrabia.

– Że jak?

– Że sobie nie poradzisz.

– I co wtedy?

– Będzie kiepsko.

– A konkretnie?

Górami był Horanin w tej rozmowie nie tylko dlatego, że dzieliło nas dwadzieścia centymetrów wzrostu na jego korzyść, że miał nade mną bezdyskusyjną przewagę siły, odwagi, męskiej fantazji, zadzierzystości i brawury, więc tego, co na placu i w bazie cieszyło się największym szacunkiem, ale miał też przewagę przychodzącego po dług nad tym, który ma go zwrócić.

Dlatego moja próba prowadzenia rozmowy tak, jakbym się tych przewag nie domyślał, zawiodła. Byłem skrepowany i coraz bardziej nieswój. Prawdę mówiąc, czułem przed nim respekt nawet wtedy, gdy nic do mnie nie miał.

Wyjął z kieszeni kraciastej, flanelowej koszuli paczkę sportów w dwudziestkach i zapalił, nie częstując mnie. Nic dobrego to nie wróżyło.

– Konkretnie, to dłonie masz za kruche. – Puścił mi dym prosto w twarz. – Jak to hrabia.

– Do czego zmierzasz, Wasyl?

– Do tego, że z Beńkiem sobie nie poradzisz.

– Z Wajszczykiem?

– A jest na placu jakiś drugi?

– Czemu miałbym sobie z nim radzić?

– Nie pajacuj, hrabia. – Od Horanina ciągnął zapach smarów jak od rozebranego

silnika. – Bo to przyrzekłeś.

– Komu?

– Sobie.

– No to nic ci do tego, Wasyl, jeśli sobie.

Nikogo na placu nie zawiadomiłem o swoim zamiarze, włącznie z potencjalną ofiarą. Nie pochwaliłem się nim, jakby to się stało w sobotnie popołudnie po fajrancie. Wywietrzał mi z głowy kaprys, nim się w niej zadomowił. Chwila apetytu na bójkę minęła wraz z nastaniem upału. Nic w mej niechęci do nocnego portiera się nie zmieniło poza tym, że stępała od konformizmu. Lecz Wasyl to drapieżnik. Przeczuwał każdą zapowiedź gwałtu w promieniu kilometra albo i lepiej. Moja poranna zachcianka zawisnąć musiała nad placem jakimś zapachem, na który Wasyl trafił.

– A poza tym cię lubię – rzekł, uśmiechając się nieprzyjaźnie. – Kto by cię zresztą nie lubił.

Odchyliłem się od stołu, mając za sobą otwarte okno i hałas kuźni. Nonszalancki uśmiech mi nie wyszedł.

– Jesteś mi coś winien – usłyszałem. – Nie myśl, że nie pamiętam. Namęczyłem się przy tych szpilkach. Pamiętasz, jak zimno wtedy było? Wiatr skuwał na sztywno. Ale robiłem swoje, bo wiedziałem, że mnie w tym nie zastąpisz, choć powinienes. Nie było łatwo, ale co należało zrobić po raz drugi, zostało zrobione.

– Przykro mi, Wasyl.

– Przecież wiesz, że to nie wystarczy. Wykrwawisz Beńka, jesteście kwita. On cię wykrwawi, trudno. Cofniesz się, dług wzrośnie.

Gdybyśmy rozmawiali na placu lub w pomieszczeniu dającym szansę na jakiś taktyczny manewr, wymknąłbym się z tego nelsona. Kanciapa nad wulkanizatornią nie stwarzała takiej możliwości. Nic mi w tej rozmowie nie sprzyjało, nawet tak życzliwy mi zwykle upał. Strużki potu poczułem pod koszulą.

– Co proponujesz? – zapytałem głucho.

Chudą, kościstą twarz Horanina z zapadniętymi policzkami, jakby zjadł zęby, złagodziła ulga, czyniąc ją prawie piękną. Można się było po nim spodziewać wszystkiego poza ustępstwem. Powiedział cicho: kastet.

– Kastet?

Skinął głową.





Kastet to bandycki sznyt, znajdujący w S. swoje miejsce. Bo w naszej wsi z dwiema czynnymi liniami tramwajowymi, basenem górnym i dolnym, z bukszpanowymi alejkami wyłożonymi asfaltem lub złotym żwirem, wodociągami, kanalizacją, gazem i podupadającą z roku na rok, lecz ciągle niezłą restauracją Pod Minogą i jednocześnie w naszym mieście, w którym bezpieczeństwa wieprze brały na siebie ogrodzenia, by przechadzać się z nimi między domami, gdzie pijacy obsrywali coraz gęściej kwietne klomby, a rwąca rzeka spływająca z gór w wysokim kamiennym ocembrowaniu nie była już w stanie zabrać ze sobą łańców, przepalonych garnków, zużytych butów, żelastwa nienadającego się nawet na złom, gdzie każda stuletnia lipa, mocarny dąb, strzelisty świerk lub koronkowy modrzew trwały z zawieszonym wyrokiem śmierci, w naszej ni to wsi, ni to mieście, gdzie niewiele ludzkich spraw znało swoją przynależność, ocierałem się o bandycki świat, który, trzymany na dystans, się nie dobijał.

Obywatele po wyrokach za kradzieże, napady, ciężką chuligankę, a nawet zabójstwa byli obok nas. Mijaliśmy ich na ulicach, wystawiali z nimi na przystankach, siadywali obok w kinie Śnieżka, podrywali czasami te same dziewczyny nad stawem obrośniętym tatarakiem i grązelami, tańczyli na całonocnych zabawach w domu ludowym, zagadywali czasami obojętnie, czasami przyjaźnie o to lub tamto, lecz pamiętało się o granicy między światem, pożał się Boże, prawa i bezprawia i się jej nie przekraczało.

Przynależność do klanu wyznawców Hemingwaya, bo była to religia, nie upodobanie, dobrze to charakteryzuje. Byłem tego lata jednym z kapłanów tego wyznania, choć powoli osaczały mnie wątpliwości zapowiadające utratę wiary lub, co niebezpieczniejsze, kąpiel w odmętach herezji.

Pociągał nas ten infantylny i niezbyt mądry pisarz jak nikt. Wyostrzał nam apetyt na życie i tak wyostrzony przez młodość, zdrowie i wszelką sprawność. Gotowi byliśmy na smakowitości podsuwane na olbrzymim półmisku w restauracji otwierającej nam, byliśmy tego pewni, nieograniczony kredyt.

Tu wiała się w upale droga z Nicei do Antibes, z zaprzyjaźnionymi oberżami, którą pokonywaliśmy czerwonym kabrioletem. Obok piękne, życzliwe nam kobiety do uwiedzenia, z którymi będziemy prowadzić te niekończące się hemingwayowskie dialogi o niczym, niosące spokój i odpoczynek.

Po południowej stronie gór jesienny sezon korrid w Estremadurze, Kastylii lub Andaluzji i Cagancho, de Triana lub nawet sam Villalta popisywać się będą głównie dla

nas. Trochę dalej, lecz przecież nie na końcu świata, jest Kenia ze wszystkimi zwierzętami stworzonymi przez Pana Boga dla naszych krwawych rozrywek, a bliżej toczy się wojna, na której nie może nas przecież nie być. Rany opatrują nam młodziutki, zakochane w nas pielęgniarki, dla których jesteśmy nieznośni w sposób przez kobiety uwielbiany. I łamiąc wszelkie nakazy rekonwalescencji, tropimy pstrągi w potokach Abruzji, a pielęgniarki, już w skórach kochanek, darzą nas podziwem tym większym, im bardziej stawiamy na swoim. Wieńczy to wszystko hotelowy taras na włoskiej lub francuskiej Riwierze, z którego nocą, przy cygarze i szklance haiga, słuchamy cykad.

Gdy pochylaliśmy się nad tymi cudownościami, nie słyszeliśmy słów pisarza: a gówno, to wszystko iluzja, prawdziwa jest tylko śmierć, bo braliśmy z niego tylko to, na co byliśmy gotowi. Bo tworzyliśmy klan, a może nawet zakon dziewięciu młodych ludzi z nieprzesadnie męczącą regułą.

Moją przepustką do niego była znajomość pisarza i zdolność zapamiętywania szczegółów, bez których nie byłoby tak bardzo nas uwodzącej całości.

Zapamiętywałem za nich wiązania nart w Kolorado, trampingi w Montanie, wszystkie perriery z ginem Gordona, wszystkie białe reńskie i czerwone francuskie i wermuty Noilly Prat, temperaturę morza w delcie Rodanu, zapach lawendy na wzgórzach Prowansji, mechanikę półtorametrowej strzelby na słońce i kaliber powtarzalnego springfielda.

A jak zagadać trzeba było do dziewczyny hemingwayowską kwestią, to miałem ją na końcu języka wyrwany ze snu nawet w środku nocy. Bo gdyby biletem wstępu do klanu lub zakonu miała się stać wypreparowana ze wszystkich literackich okoliczności męskość, tobym się do niego nie dostał.

Kuracjuszki z okolicznych sanatoriów i wczasowiczki z dwóch nieodległych kurortów zimowych przychodziły moim kompanom łatwiej. Wyczyny sportowe, jak zjazd szusem na nartach wiązanych langrimenami ze Śnieżnych Kotłów po śniegu, lodzie i gryfach skał, nie były czymś wyjątkowym, skok tygrysem przez półtorametrową barierkę do basenu był czymś oczywistszym niż zejście do niego po drabince, ale oddanie, z jakim asekurowali się podczas wypadów na dansingi do sąsiednich powiatów, więc na nieznane sobie i wrogie terytoria, były poza zasięgiem mej lojalności. I prawdę mówiąc, między innymi z tego powodu w tych awanturnicznych eskapadach im nie towarzyszyłem.

Przyjaźń, jaką się darzyli, nie była mi dostępna z powodu mizantropii, jakiej ona by nie zaakceptowała. A ich zgoda na nagłą śmierć budziła we mnie trwogę.

Poza wszystkim każdy z nich był ode mnie okazalszy, choć może mniej ozdobny. Nosili w sobie zapowiedź hemingwayowskiej zwalistości. Na razie jednak ich kształtne, atletyczne sylwetki realizowały się w ruchu. Dekada ich dzieliła od ociężałości, która nie bierze się z utraty sił lub zdrowia, lecz z szacunku dla własnej substancji.

Stolarz, buchalter, nauczyciel wychowania fizycznego w gimnazjum, szlifierz kryształów, instruktor w muzeum ornitologicznym w C., trener narciarski, dentysta tuż po studiach i zawodowy deptacz stoków. Ostrzy, wysportowani goście z okolicy, niemający nic wspólnego z żywiołem samochodowym naszej bazy i placu, wyniesieni ponad resztę upodobaniem do literatury, po jaką nie sięgnęliby nigdy, gdyby nie legenda Hemingwaya, która wyszła im naprzeciw.

Ale w tym urojonym świecie twardych mężczyzn podszytym seksownym tragizmem byłem tym niesprawdzonym. Jedynym niesprawdzonym.

Nie wykluczam, że kiełkująca we mnie wiosną i latem 1963 roku niechęć do pisarza i jego akolitów wzięła się z podejrzania, że próby męstwa, jakiej prędzej czy później zostaną poddany, nie przejdę.

Sierpniowy dzień, którym tak bardzo się cieszyłem, podsunął mi okazję. Nie czułem się z nią najlepiej. Perspektywa bójki z nocnym portierem, który o świcie wydał mi się łatwą ofiarą mego kaprysu, w południe nie budziła nadziei na nic. Miałem przewagę młodości, wygimnastykowania i najpewniej kondycji, lecz dłonie wyróżnione w mej fryzjerskiej, podmiejskiej powierzchowności szlachetnym kształtem nie nadawały się, Wasyl Horanin miał rację, do bójki. Ruchliwe, niespokojne, smukłe, złożone z kostek jak patyczki i widocznych ścięgien, obciążone skórą, jaką zranić mogła kartka papieru, domagały się kastetu. A kastet to obca mi rzeczywistość, z której mogłem się już nie wydostać.

Poza tym nie miałem pomysłu na konfrontację z Wajszczykiem, nic nie wiedziałem o jego możliwościach, ale w miarę przechodzenia poranka we wczesne przedpołudnie, gdy kontrast między światłem a cieniem nie jest już tak radykalny, wydały mi się większe niż o świcie, kiedy do głowy przyszedł mi nieoznajmiony nikomu pomysł.

Zaprzatając myśli śniadaniem, postanowiłem uznać się za gościa, który temu nikczemnemu gnomowi uczyniłby zbyt wielki honor, stając z nim do walki. Rzecz nie jest przesadzona, lecz odłożona na bliżej nieokreśloną przyszłość, a Wasyl Horanin nie jest w stanie wymusić na mnie niczego, co mogłoby mi zaszkodzić.



Utwierdzony w tym przekonaniu przez głód, który zdecydowałem się spuścić ze smyczy, wybrałem się do spółdzielni po bułki pipki, margarynę i pomidory; tego lata pojawiły się już w lipcu. Z chwiejnych, drewnianych, przypominających drabinę schodów zawrócił mnie telefon.

Dzwoniła Marta Kowal. Słuchawka zadrżała mi w dłoni, gdyż nigdy wcześniej się to nie zdarzyło i, jak sądziłem, nie mogło się zdarzyć w przyszłości.

– Czy wiesz, co się dzieje z Julią Neider? – zapytała, jakbyśmy rozmawiali przez telefon codziennie. – Podobno od kilku godzin siedzi samotnie w starej szkole i na nas czeka. Po siedmiu latach? Czy to możliwe?

Odpowiedziałem jej po chwili, jaka mi była potrzebna na ochłonięcie, że wszystko jest możliwe, ale powrót Julii Neider najmniej, na co Marta Kowal stwierdziła, że też by tak uważała, gdyby nie to, że wspomniały jej o tym dwie osoby, z których jedna widziała Julię osobiście. Czy nie uważam, że powinniśmy się do tego jakoś odnieść.

– Co proponujesz? – zapytałem.

– Żebyś ją odwiedził, Janku.

– Gdzie?

– W starej szkole.

Nie aspirowałem do świata Marty Kowal, a gdyby nawet przyszło mi coś takiego do głowy, tobym go nie dostał.

Studiowała podobno z powodzeniem medycynę we Wrocławiu, mieszkała w akademiku, jakiego bym sobie najpewniej nie wyobraził, jej ojciec na wizyty lekarskie jeździł seledynowym P70, ferie zimowe i wakacje spędzała u ciotki w Warszawie.

Znajomość z kimś tak nierokującym nadziei na przyszłość jak ja rodziłaby podejrzenie, że straciła instynkt samozachowawczy i że w wyniku tej straty mogłaby się zdarzyć przygoda rujnująca jej plany. To była sprawa symetrii, nie upodobań.

Wiem, że robiłem na niej wrażenie jak na wszystkich innych dziewczynach, że się jej przynajmniej fizycznie podobałem, lecz zasada, że to, co osiągamy, jest zasłużone, a to, co nas omija, bywa skutkiem naszych zaniedbań, zastąpiła podział klasowy w tym wyrównanym do znudzenia i schamiałym do szczytu miejscu i czasie, w jakim upływała nasza wspólna młodość.

Zapytałem Martę, co to za pomysł z tą starą szkołą, a ona odrzekła, że gdyby była Julią, to wracając po siedmiu latach nieobecności, wybrałaby miejsce swych uniesień, a nie

żadne inne, to znaczy przypadkowe.

– Chyba to rozumiesz, Janku? – dodała.

Od najwcześniejszych lat Marta miała ten rodzaj inteligencji, który pociąga erotycznie, gdyż jest częścią natury, a nie efektem ambicji upodabniających kobiety do mężczyzn. Wystarczyło na nią spojrzeć, by wiedzieć, że ambicja to ostatnia rzecz, jaka ją będzie męczyć. Do tego, co po stronie życia przychodziło jej lekko, była w najnaturalniejszy sposób dobrze podłączona.

W istocie bardzo sexy, zawsze jakby senna i trochę nieobecna. Gdy mijalem ją w przestrzeni, że tak powiem, publicznej, a zdarzało się to kilka razy w roku, robiła na mnie wrażenie dziewczyny, którą łatwo uzależnić od siebie posłusznym kutasem i jeżeli nie już, to w nieodległej przyszłości nie będzie sobie skąpić związanych z tym ekscytacji. Natomiast mogła nie wiedzieć, że nie powinna zwlekać, gdyż należała do tego rodzaju kobiet, które przedwcześnie zażywnieją.

Przeszło mi przez głowę jeszcze kilka konstatacji, nagłych odkryć i aksjomatów, lecz sprowadzając rzeczy do właściwej im miary, nabrałem wielkiej ochoty, by ją zerznąć. Miałem wrażenie, że okazja się już szybko nie powtórzy, że ustawiając przed sobą to zadanie, pozbywam się tego, które wymusić chciał na mnie Wasyl Horanin.

Zapytałem Martę o numer jej telefonu; w S. pięć rodzin miało prywatne.

– Chcesz, abym podała ci cyfry, a ty je zanotujesz?

– Tak byłoby najprościej – powiedziałem – skoro mamy postanowić coś w sprawie Julii Neider.

Stanął mi jak kołek i już nic nie było dla mnie ważne.

Jakby miała tego świadomość.

– No, nie wiem... to chyba nie jest możliwe. Ojciec zabronił mi takich rzeczy.

– To tylko cztery cyfry, dziewczyno.

– Przecież wiem, ale ojciec nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że ci je podałam.

– Ojciec nie powinien o tym decydować. Jesteś dorosła, jak chcesz, to dajesz.

Niczego nie musiałem sobie wyobrażać. Poczułem ją pod sobą białą i senną. Kilka dni temu oglądałem z przeciwnej strony stawu jej nieopalone, już nieco zbyt pełne ciało, z trudem mieszczące się w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, naznaczone tą bezbronnością, na jaką skazuje nas niedoskonałość, której nie potrafimy lub nie możemy ukryć.

– A nie chcę, to nie daję. – Ton głosu Marty zwiastował zgodę. Miałem męską pewność, a ona rzadko wyprowadza nas w pole. Reszta była kwestią czasu i okoliczności.

– Ale chcesz?

Nieznośnie się ta cisza dla mnie przedłużała.

– To jest proste, Janku. Ale nie zawsze i nie dla każdego.

– O czym mówisz?

– O tym, czego po mnie oczekujesz. Nie ma w tym nic złego, chociaż czasem musisz być gotów na odmowę. To się zdarza.

– Ojciec nie byłby kontent?

– Nie tylko.

– Matka?

– Moja matka nie ma tu nic do rzeczy. To nie jest sprawa mojej matki. Jestem dorosła.

Jak możesz mieszać do tego moją matkę? Zaczęłam trzeci rok medycyny. Muszę się zastanowić.

– Więc na czym stoimy?

– Zadzwoń.

– Kiedy?

– Za godzinę.

Nie wyróżniałem jej, kiedy byliśmy blisko, jeżeli już kogoś, to Olę Hnatiuk, oberwaną, niedomytą, wychudzoną, papierowoblada, zaniedbaną na wszystkich dziewczynskich frontach, a jednak zwracającą uwagę swoim blaskiem. Nic nie potrafiło go przytłumić. Nawet w najgorszej formie przykuwała wzrok. Marta była pospolita. Ale i tak nad każdym i wszystkim górowała Julia i wobec niej różnice między nami traciły znaczenie. Julia z tym swoim niesamowitym rosyjskim profilem, który zauważyła ciotka Rina, a była rzeźbiarką i w sprawie profili się nie myliła, i z tą swoją zwinnością drapieżnego zwierzątka w nieustannym ruchu. A my, Szymon, Ola, Marta i ja, no cóż, znaliśmy się, nic więcej.





Bo nigdy nie stworzyliśmy zespołu, kompanii, zgranej paczki. Nie byliśmy sobie oddani i nie powodowała nami żadna lojalność wobec naszych zamiarów, planów, momentów słabości, jakichś najwątlejszych prób wybicia się na niezależność, w których znaleźlibyśmy chwilę na odpoczynek.

Nawet wtedy, gdy Julia podsunęła nam taką możliwość i Marta w imieniu naszej czwórki poinformowała ją, że zainscenizujemy bajkę Ezopa o lwie i zającu i wystawimy ją w szkolnej świetlicy z okazji, której już nie pamiętam. Julia utwierdzała nas w tym zamiarze, nawet sama zrobiła dekoracje wymagające nieprzeciętnej zręczności, zdawała się patronować temu przedsięwzięciu i dała nam samodzielność, na jaką, przekonywała nas Marta, widocznie zasłużyliśmy.

Ale na tydzień przed premierą, w jakimś nagłym szalonym gniewie, jaki wywoływaliśmy u Julii tym, co innych by wzruszyło, posłała nas w kompletną pustkę.

Wilgotny, północny mróz, wiatr od Zatoki Fińskiej, głód, bezsenność, karabiny na sznurkach z bagnetami na sztorc i towarzystwo zbłąkanych, ordynarnych dusz – zrobiło się strasznie i bez sensu.

„Chwyć za karabin, lęk w sobie skrusz / Kropniemy kulkę w świętą Ruś”, oznajmiała Julia raz po polsku, raz po rosyjsku, zmuszając nas, co przychodziło jej zdumiewająco łatwo, do powtarzania okrutnych strof głośno, cicho, szeptem, wrzaskiem.

„Dobrze ci Katiu? / Ani drgniesz?” – pytała Olę Hnatiuk, ta odpowiadała jej zrazu zdziwieniem, a potem chęcią ucieczki dokądkolwiek, a Julia wydawała na nią wyrok:

„A leż na śniegu, ścierwo, leż”.

Ola zapadała się w sobie, kurczyła, rejterowała z i tak byle jakich pozycji, zamieniała się w lód lub poddawała gorączce, lecz w żadnym z tych stanów nie stawała się skłoną do najpodlejszych zdrad i najwyższych poświęceń rewolucyjną suką, wymieniającą swe wdzięki na kierenkę w pończosze.

Nic nie pojmowaliśmy z apoteozy buntu, rewolty, nikczemności, demonicznego blasku, jaki bił z tych może i pięknych, lecz nieprzystępnych strof. Uroda rebelii dla rebelii, przemocy dla przemocy, śmierci dla śmierci nie zrobiła na nas wrażenia, a szelmowski język, jakim zagadywał do nas poeta, tylko trwożył.

„Krugom agni, agni, agni”, powtarzała Julia jak w transie. Nie widzieliśmy ich. Maszerowaliśmy w ciemność.

Poza Martą, bo Marta wśród desperacji, miraży, ruskiego naplewatielstwa, które tak

kusiły Julię, znalazła sobie przestrzeń bez zgiełku i nie pozwalała się z niej ruszyć. Jej suwerenność łądygi na pogorzeliisku nie wzięła się z wyboru. Najsolidniejsza z naszej czwórki, stanęła po stronie umiaru, przewidywalności i nudy, jaka się z tym wiąże. Senna, trwająca na swojej pozycji, żeby nie wiem jak próbowano nią miotać, samiczka.

Choroba, jaką zapowiedziała nam Julia, czyli oddanie się obcym i niezrozumiałym ideom, mogła nas ostatecznie wykończyć, tym bardziej że, w przeciwieństwie do Szostakowicza, z Błokiem mieliśmy się skonfrontować sam na sam. Ale Marta, jako jedyna z naszej czwórki, by ją przeżyła, bo na jej jady miała antidotum.

Poznałam poetę, zakochałam się w jego wierszach, zarazę was tą miłością, zachorujecie i nikt nigdy was już z tego nie wyzwoli, rzekła Julia trzeciego lub czwartego dnia intensywnych prób.

Oglądaliśmy po kolei cienką, zaczytaną książkę w szarej płóciennej oprawie, z której po otwarciu posypały się kartki zapisane cyrylicą. Ujrzeliśmy pociągłą twarz młodego mężczyzny z gorejącymi oczyma i czapką gęstych, ciemnych włosów.

Ładny, powiedział Szymon. Zasługiwał się Julii, jak mógł, domyślając się, że bardzo wątpliwa była skłonność pięknej nauczycielki do niego i że warunkowo został przez nią zaakceptowany. Ola Hnatiuk go poparła. Na mnie ta odległa od wszystkiego, co znane, twarz robiła jak najgorsze wrażenie, lecz się do tego naturalnie nie przyznałem.

Marta przypatrywała się długo fotografii pod bibułą, która ją chroniła, i oddając książkę Julii, odezwała się, miałem wrażenie, w imieniu nas wszystkich: nie podoba mi się. I odnosiło się to nie tylko do powierzchowności, lecz i duszy tego obcego człowieka. Następnego dnia Marta zawiadomiła nauczycielkę, że wracamy do Ezopa. Ale nic już z tego nie wyszło. Błok unicestwił go w nas skutecznie.

Być może wtedy Julia postanowiła Martę z naszej czwórki wyeliminować. Jeżeli Ola mogła zagrozić jej wkrótce w wyścigu do piękna, to Marta mogła w każdej chwili podnieść miękki bunt, na jaki ekspedycji karnej jeszcze nie wymyślono.

Głos zawiadamiający mnie o powrocie Julii Neider i sugerujący odwiedzenie starej szkoły, gdzie się zatrzymała, należał do kobiety, która wszelkie przewagi osiąga łatwo, bo jej na nich nie zależy. Był to też głos kobiety dobrze wychowanej, której nie skąpiono starań. Był to też głos kobiety delikatnej. A poza tym Marta była słowna, bo solidna, można było na niej, w przeciwieństwie do Oli, polegać. W ciągu godziny, gdy uporałem się ze śniadaniem i magazynowymi drukami PZ, odezwała się przez telefon:

- Chciałeś pogadać o mojej matce?
- Niekoniecznie – odrzekłem, wypełniając rubrykę „sporządził” w ostatnich kwitach.
- Zapytałeś o nią.
- Bez związku z Julią i numerem twego telefonu.

– To nie jest dla mnie łatwe.

– Tylko cztery cyfry.

– Nie mówię o cyfrach. Ani o Julii.

– Więc?

– Chciałabym powiedzieć ci coś, co mogłoby cię zawstydzić.

– Chcę, żebyś mi coś takiego powiedziała. Umówmy się i mi to powiesz.

– Wiesz, to, co uchodzi za dziwne, niecodzienne, nieprzyzwoite, bywa czasami...

zupełnie normalne, zupełnie zdrowe.

– Wiem coś o tym.

– Myślę, że nie wiesz nic, że nie masz o tym pojęcia. Czy możemy wrócić do mojej matki?

– Skoro się upierasz.

– Widujesz ją?

– Na ulicy lub w tramwaju. Kiedyś w kinie. Świetnie wygląda.

– O to chodzi, Janku. Miała siedemnaście lat, kiedy mnie urodziła. Wiesz, Janku, wojna; ludzie się z życiem spieszyli.

– Nadal nie wygląda na więcej.

Nie była to prawda naturalnie, lecz po nagłym wyjeździe Julii i po tym, jak Ola Hnatiuk z roku na rok traciła swój blask, nie było w S. ładniejszej kobiety niż doktorowa, a Marta nie stanowiła nawet jej marnego odbicia. I o ile u Marty upływający czas zapowiadał rychłe zmiany na niekorzyść, o tyle nie trzeba było znawcy kobiet, by dostrzec, jak miesiące i lata umacniają doktorową we wdzięku i doskonałości. Była stworzona do czegoś lepszego niż małżeństwo, w którym tkwiła, i bezczynne życie w S.

Słyszałem przyspieszony oddech Marty. Odezwała się cicho i po dobrej chwili:

– Chyba nie potrafię ci tego powiedzieć, Janku.

– Umówmy się.

– Tym bardziej. Miałaby dla ciebie *Śniadanie u Tiffany'ego*.

– Kto?

– Moja matka. Moja matka miałaby dla ciebie *Śniadanie u Tiffany'ego*, gdybyś...

– Tak?

– Gdybyś zechciał się z nią spotkać i je odebrać. Książkę... Jezu! O czym ja mówię, przepraszam...

– O Julii Neider, która podobno wróciła i zatrzymała się w starej szkole.

Z kuźni buchnęły płomienie. Gdyby to była noc, oświetliłyby plac i wszystko wokół niego. Machinalnie zamknąłem okno. Czuję się zakłopotany.

– Spotkasz się z nią? – zapytała pokornie Marta.

– Z Julią? Daj spokój. Przecież to nieprawda.

Od pół roku miałem narzeczoną, nie dziewczynę, przyjaciółkę, kochankę, sympatię, tylko narzeczoną. Poznaliśmy się przez wspólnego znajomego na prywatce, jak wszyscy. Trochę ze sobą tańczyliśmy, trochę rozmawialiśmy, następnego dnia umówiliśmy się do kina Zdrój w C. Sprawę przesądził radziecki film *Diabeł morski*, w którym Anastazja Wertyńska zakochuje się w kimś, kto zdaniem mej przyszłej narzeczonej bardzo mnie przypominał. Zadurzyła się we mnie z tego powodu, tym bardziej że film szedł jeszcze przez dwa tygodnie przy pełnej sali.

Zaczęliśmy spędzać ze sobą niedzielne popołudnia, w zależności od pogody zamawiając kawę i ciastka w kawiarence Marysienka, która była *en vogue*, w związku z czym jej bywalcy męczyli się na miękkich pufach, zastępujących krzesła przy niskich stolikach wielkości szachownic, lub, jeśli dzień na to pozwalał, na spacerach po parku zdrojowym w C.

Chodziłem przepisowo, krok za Halinką, niosąc jej torebkę, a potem włączone na cały regulator radio tranzystorowe, które w tych latach stało się obowiązkowym rynsztunkiem każdego szanującego się narzeczonego. Mijaliśmy się podczas tych niemających końca spacerów z identycznymi parami, a *Koncerty życzeń* czy *Podwieczorki przy mikrofonie* przekrzykiwały się wzajemnie.

Rozmowy, tak sędzę, ograniczały się do sporów o wyższości Mylène Demongeot nad Bardotką lub przewagi Delona nad Belmondem. Rozmawiało się też o wielu innych, nieważnych, nic nieobchodzących nas sprawach, bez zaczepiania o seks, bo seks był na potem.

A potem miała być egzystencja, jaką niektórzy z mych rówieśników już rozpoczęli i w jakiej trwali od kilku lat starsi koledzy, próbujący znaleźć w związkach, jakie ze swymi Halinkami stworzyli, strzép sensu.

Jeżeli ten strzép miał się czegoś ucześcić, to przekonania, a jeszcze lepiej pewności, że związek, w jakim się trwa, to związek z kobietą godną szacunku. Niektórzy dodawali – najwyższego.

Nudy, jaka spowijała nasz związek ani ciał, ani dusz, ani wspólnych wspomnień, wzruszeń, fascynacji, rodzin, tradycji i co tam przychodziłoby jeszcze do głowy, nic nie było w stanie przepędzić. Od kilku tygodni myśl o niedzielnym popołudniu wzbierała we mnie falą mdłości.

Jeżeli Halinka, więc i wiele jej podobnych, zdrowych, rozsądnych, odpowiednio wyglądających, pouprzedzanych do wszystkiego, co nie było ich codziennością, istot, była na potem, to Marta Kowal zjawiała się na już. Dwuznaczność, w jaką zamierzała mnie wpasować tak, bym stracił panowanie nad pożądaniem i długo go nie odzyskał, a więc

bym stał się sługą jej pomysłu, jawiła mi się tak obiecująco, że straciłem kontrolę nad dniem i nie zauważyłem, jak południe samo się wykończyło pionowym upałem i abdykowało przed popołudniem, które jest dyskretne i zmysłowe.



Popołudnie to dobra pora dnia, gdy ma się na nią plan. Jak go się nie ma, to popołudnie go na nas jakoś wymusi, bo latem trwa długo.

Świadomość, że to jest czas, kiedy dzień się chyli, choć początek popołudnia jeszcze tego nie zapowiada, wzbudza niepokój, który nie paraliżuje, ale szuka okazji. A ta w młodości zdarza się zawsze. Są też inne korzyści, na przykład wydłużające się cienie drzew, budowli, ludzi, zwierząt lub wrażenie, że skwar szlachetnieje, że ulega temu, co go powściąga.

Światło też się zmienia, choć na początku tej pory raczej w naszej wyobraźni, bo jeżeli przyjąć, że popołudnie zaczyna się po pierwszej, to światło jest równie jaskrawe jak w szczycie południa i nic się w tym względzie nie dzieje do trzeciej.

Jeżeli mamy skłonność do południowej melancholii, najgorsze już za nami. Nie mówię, że odpuszcza ona w rytm godzin zbliżających nas do wieczora, lecz w miarę ich upływu łagodnieje.

Moja melancholia, odziedziczona po ojcu partyzancie, była tego lata, jak wszystko inne, przyjemnością. Zabierałem ją ze sobą nad staw za państwowymi łąkami i kamienistą rzekę, którą przechodziło się w bród, i trzymałem przy sobie jak nieabsorbującą przyjaciółkę.

Staw, udekorowany od wschodu tatarakiem, grązelami i widokiem bezkresnych łąk, a od zachodu i północy olchowym i leszczynowym gąszczem, ciemny, otchłanny, nawet w upał wypełniony wodą, wygrał tego lata rywalizację z pięcioma okolicznymi basenami, gromadząc publiczność z kilku miejscowości i po raz pierwszy zyskując renomę miejsca, w którym należy się pokazać.

Być może pod wpływem urody okolicy ludzie zachowywali się tu bardziej powściągliwie niż na basenach. Mniej tu było wrzasków, popisów, przekleństw, chamskich zalotów. Dwa kilometry brzegu dawały szansę na intymność i ludzie nie byli blisko siebie.

Nie mogłem się w tych dniach doczekać fajrantu, kiedy zjem szybki, byle jaki obiad w gospodzie Nad Wrzosówką, nie zaglądając do domu, wskoczę na rower i po półgodzinie znajdę się nad wodą.

Lecz tego dnia popołudnie nastąpiło z przykrościami. Zaczęło się od kontystki Asi, która, mijając mnie na placu w drodze do swego biura, zawołała:

– Wreszcie jakiś mężczyzna!

Przyzwyczajony do damskich pochwał zapytałem, czy mowa o mnie, tylko dla porządku.



Kontystka Asia nie była ani młoda, jak to kontystki, ani ładna, ani miła, ale łączyło nas niezakłócone sprzecznymi interesami zawodowe koleżeństwo. Potwierdziła moje podejrzenie i krzyknęła tak, by inni usłyszeli, a po placu zawsze ktoś się kręcił:

– Przecież to, co on wyprawia z końmi w górach, jest przerażające!

– Wajszczyk? – zapytałem nie bez nadziei, że to nie o nim mowa, ale była to nadzieja płonna.

– Chyba nie okaże mu pan litości, kiedy będzie o nią prosił?

– Ma się rozumieć – odrzekłem niepewnie.

Z natury byłem tchórzem. To jedna z różnic dzielących mnie od mężczyzn z rodziny ojca, ale pochlebiałem sobie, że twarde i bliskie wielu niebezpieczeństw życie zahartuje mnie do tego stopnia, by tchórzostwo ustąpiło dzielności. Iluż to tchórzy we wszelkich odmianach i życiowych konfiguracjach zdobywało się na dzielność.

Tak czy owak, poczułem gorąco atakujące od wewnątrz i w jednej chwili oblałem się zimnym potem. Dobrze, że kontystka Asia tego nie zauważyła, gdyż była zawsze czymś zaaferowana.

Kwadrans później do kanciapy nad wulkanizatornią zapukał Witek Stefanowicz, jeden z ładowaczy Horanina. Przyniósł kastet, o który, jak się pochwalił, nie było łatwo. Zatrząsałem się jak zwierzę przewidujące swój koniec. Zużyty i zaśniedziały kastet wyglądał złowieszczo. Czuć go było krwią.

Sprawy przybierają zły obrót, jeżeli nie rozwiążemy ich natychmiast, bo wymagają namysłu. Jeżeli nic nie przychodzi nam do głowy i wpadamy w panikę, to po nas. Nie byłem od niej daleki.

Kastet mnie zobowiązywał i wprowadzał w świat, w którym nie miałem czego szukać.

Kanciapę wypełnił sobą, jakby nieprzyjemności było mało, narzędziowiec Bolek zmagający się od lat z puchliną wodną, która tak go rozpierała, że pękała na nim skóra. Miał karpi pysk i wytrzeszczone rybie oczy. Stuczterdziestokilogramowy cymbał bez wieku, skrupulatnie pilnujący narzędzi i mający w nich wyjątkowy porządek. Wydębić od niego klucz, rozetkę, śrubokręt, młot lub cęgi to była mordęga, lecz dzięki temu nic nigdy mu nie przepadało i wszystko leżało na swoim miejscu.

Kiedy siedemnastoletni, tuż po maturze w liceum sportowym, rozpocząłem pracę w bazie jako młodszy mechanik, podpuszczony przez starszych kolegów zwróciłem Bolkowi uwagę, że coś ostatnio zmizerniał i wychudł. Nie był aż tak głupi, by nie rozpoznać w tym kpiny, do jakiej na początku pracy nie miałem prawa. Ruszył ku mnie nie na żarty, a ja, rozbawiony własnym dowcipem i rozochocony młodością, zacząłem tańczyć wokół niego, imitując bokserką walkę z cieniem i wyprowadzając w powietrze ciosy, które, gdyby doszły celu, nie zrobiłyby na Bolku najmniejszego wrażenia.

Był niczym góra jakiejś napęczniałej do granic eksplozji substancji, która czyniła go niemożliwym do poruszenia. Był jak żeliwna dwucetnarowa beczka z olejem napędowym. Spróbujcie zrobić jej krzywdę.

Zabawnie to musiało wyglądać, gdyż kilku monterów, szoferów i ładowaczy kręcących się po hali napraw nagrodziło mój gówniarski popis rechetem, jaki tak łatwo im przychodził.

Narzędziowiec zabrał się z hali upokorzony i do fajrantu już nic nikomu nie wydał. Przeprosiłem go następnego dnia, co nie zrobiło na nim dobrego wrażenia, więc obiecałem mu pół litra jeszcze przed wypłatą. Przyjął to ze zrozumieniem, gdyż łasy był na wszystko, co dało się włożyć lub wlać w otchłań, jaką stanowiło jego wnętrze.

Trzy lata później byłem mu ciągle winien te pół litra, lecz Bolek miał resztki mózgu zatopione w płynach, jakie w nim wzbierały, i już nic nie pamiętał.

– Połóż go tutaj. – Wskazałem Witkowi stół, jak zawsze zaścielony papierami, by nie sprawiał wrażenia, że się w biurze opierdalam.

– Nie przypasujesz? – zapytał Witek, podając mi kastet na otwartej dłoni.

Nie pasował. Bogu dzięki, nie pasował. Na moich cienkich, kościstych palcach bezużyteczny był jak za szeroka obrączka. Gdy opuściłem rękę, kastet spadł na podłogę. Nie miał się czego trzymać; stanowił broń, jaką skierowałbym przeciw sobie, gdyż każdy cios zadany za luźnym kastetem pogruchołałby mi palce.

– Pakuł pod spód upchać trzeba – poradził Bolek narzędziowiec – albo czego tam...

– Wypadną – stwierdził Witek i dodał z wyrzutem: – Musiałby być damski.

– Kastet? – zapytał Bolek.

– Gdyby takie robili.

Bolek zarechotał. Historia z damskim kastetem przypadła mu do gustu. Było z czym wrócić na plac. W końcu nie wgramolił się do mnie po schodach jak drabina na darmo.

– A ty w ogóle w jakiej sprawie? – zapytałem go zniecierpliwiony.

– Musi być zaraz jakaś sprawa, hrabia?

– U mnie tak. – Wskazałem stół założony robotą. – Jest ich dosyć i bez was.

Zabrali się do wyjścia.

– A kastet?

– Niech zostanie – powiedział Witek.

– Nie przyda się.

– Na wszelki wypadek.

Kastet mnie już nie zobowiązywał, więc wśród złych wiadomości był dobrą odmianą.

Ale tak oczekiwanego przeze mnie popołudnia nie rozjaśnił cień, jaki, nie mogłem w to uwierzyć, sam na siebie rzuciłem.

Popołudnie boleśnie weryfikowało mój poranny kaprys. Pretensje do samego siebie podszywało coś, co w tym miejscu, tego lata, wobec tych kumpli, nieprzyjaciół, figur mi obojętnych, nie powinno nawet zakiełkować – trwoga, na którą kilka lat potem znalazłem sposób w postaci pychy i zuchwalstwa. Lecz tego sierpniowego dnia 1963 roku nie miałem jeszcze tej asysty.

Pół godziny później, gdy ciasnota kanciapy, słońce ogrzewające ją od zachodu, smród ryglowanych na piecu wulkanizacyjnym opon ciągnący w górę wypłoszyły mnie na plac przed bramę, natknąłem się na Ludwika zwanego Końcówką.

Był po dwóch pięćdziesiątkach karbidówki, wychylonych jedna za drugą na stojąco w gospodzie Nad Wrzosówką, co oznaczało, że zostanie po fajrancie i do wieczora wyreguluje pompę wtryskową zajechanej na śmierć pragi. To już mu się bez dwóch szybkich, lato czy zima, nie udawało.

Lubiliśmy się. Niewiele starszy ode mnie miał już dziesięcioletni staż pijacki i na następne dziesięć lat już się nie zanosilo.

– Poradzisz sobie – rzekł, poklepując mnie po ramieniu.

– Ludwik, o czym ty mówisz? – jęknąłem.

– Przecież wiesz, Jasiu. Chętnie bym cię zastąpił, ale już się do tego nie nadaję. Palców u rąk nie starczy, żeby wyliczyć, ile razy Wajszczyk zakapował mnie u inżyniera, więc jak go będziesz łomotał, pomyśl o mnie.

– Przecież ja...

– Poradzisz sobie. Skończyłeś liceum sportowe, jesteś młody, szybki, ładuj z buta, kolana, łokcia, oszczędzaj dłonie. Przyłóż mu z góry taboret, ale to już na koniec. Gdyby jeszcze migał, wsadź mu na łeb ten metalowy kosz, co do niego zbiera zużyte bolce, i walnij raz jeszcze przez blachę. To go przymgli, gdyby łapał kontakt. Ale już go raczej nie złapie. Liczymy na ciebie. Chłopaki, czy to na bazie, czy na hali, mówią: ten hrabia, to nic mu nie brak na pierwszy rzut. Pokaż im, że drugiego już nie potrzebujesz, bo pierwszy wszystko załatwia, a tym dla ciebie poprzecznym pokaż wała, jakiego jeszcze nie oglądali. Daj pozór, Jasiu, i zrób dzisiaj swoje. A poza tym poważałem jego kobitę; lubiła wypić, ale to nie powód, by ją zatłuc.

Zdarza się, że coś ucina rozmowę. Mimo że na wyciągnięcie ręki mamy moc argumentów, dajemy sobie z tym spokój, bo one już nic nie mają do rzeczy. Końcówka uciał sprawę i ją przesądził.

Miał byle jaką, sinoczerwoną twarz i szlachetne spojrzenie. Ta różnica pomiędzy twarzą demolowaną przez nałóg a oczami, które się temu oparły, wymuszała współczucie i szacunek. Chciało się zapytać: cóż mógłbym zrobić dla ciebie, przyjacielu?

Okazja się nadarzyła. Nie mogłem mu powiedzieć: Ludwik, to jakaś paranoja. Nie pakuj

mnie w to.

Kiwać mogłem siebie, nie Końcówkę. W niektórych sprawach był cholernie serio. Zamęczony nałogiem, z którym sobie nie radził, kierował się niepodważalnym moralnym porządkiem. Przynajmniej w firmie.

Miałem pecha, że właśnie tego bajecznie pięknego, letniego dnia, jaki mógł mi się już w życiu nie zdarzyć, pieprzony, młodzieńczy kaprys się usamodzielniał i wystawił mnie na próbę. Przez otwarte na oścież okna księgowości kontystka Asia puszczała z pocztówki *Lucille* Michaja Burano.

Przestałem się zastanawiać, jak wymknąć się z pułapki zastawionej przez samego siebie, a zacząłem – jak wzbudzić w sobie złość na dozorcę placu, nocnego portiera, który pozamykałby wszystkie furtki, gdybym próbował zrejterować. Przypominałem sobie despekty, jakich ze strony Wajszczyka doświadczyłem, gdy rozpoczynałem pracę w bazie, i ten rodzaj nieżyczliwości, jaką nie przestawał mnie ranić nawet po trzech latach, które wyniosły mnie w firmie ponad niego.

Jakby tym wymyślanym i celebrowanym w puste noce chamstwem miał wziąć odwet na ciemniźcielach w imię ciemżonych. W tym względzie miał za sobą miejsce i czasy.

Nastrój był przeciw takim jak ja, żebym nie wiem jak próbował chronić się w nie swojej skórze. W ostatecznym rozrachunku nawet Końcówka był po stronie Wajszczyka, tak jak jest się po stronie nielojalnej ojczyzny, wrednej rodziny, znieawidzonej żony.

Żebym przeklinał najgrubszymi słowy, usmarował się ropą od stóp do głów, wypijał duszkiem pół litra z gwinta i hałasował gdzie popadnie, to i tak byłem obcy. Nieodwołalnie obcy. Plac i baza czekały na mój wstyd, kalectwo, a może nawet śmierć. Śmierć? A czemu nie?

Wajszczyk był silny i najpewniej w furii nieprzewidywalny. Ciągnęła się za nim opinia podejrzanego typu z mroczną, bandycką przeszłością, a niewielki wzrost, łeb jak u kabana i pięć centymetrów krótsza noga nie czyniły go bezbronnym, lecz nieobliczalnym. Należał do mężczyzn, o których się mawia, że lepiej im schodzić z drogi, i, prawdę mówiąc, konsekwentnie się tego trzymałem.

Wtedy nawet, gdy w przepełnionej spółdzielni zwrócił uwagę mojej babce, chcącej kupić słoik bevitu poza kolejną za odliczone czterdzieści pięć groszy, że kiedy on narażał życie za Polskę, to hrabie jebane piły szampana ze frycami w swoich pałacach, a gdy babka mu odpowiedziała, że na wojnie straciła dwóch synów, a on, Bogu dzięki, żyje, to rzucił, że na tym polega sprawiedliwość ludzkich dziejów.

Nie stanąłem w obronie babki. Nie zajrzałem do portierni i nie zaproponowałem mu, by moją babkę przeprosił. Nie zrobiłem też nic w sprawie mego dziadka, którego tak podziwiałem i lubiłem słuchać, gdy Wajszczyk kilka lat wcześniej rugał go przez

kwadrans, bo mu się nie spodobało, że dziadek chory na prostatę próbował się odlać w zaroślach nieopodal zapuszczonego, przypominającego chlew obejścia Wajszczyków.

Pozwoliłem mu też okulić bezkarnie szuflę naszą łagodną jak baranek sukę. Nie przyłożyłem Wajszczykowi zza węgła kamieniem w łeb, już wtedy dwunastoletni, ani nie włożyłem mu leszczynowej tyczki w szprychy kół jadącego roweru, by mu je wyłamało, jak uczyniłby to niewątpliwie mój kompan od chłopięcych figli, ogrodowych złodziejstw i podwórkowych rozrób, Dolek Pasławski. Puściłem to w niepamięć, udawałem, że nic o tym nie wiem.

Nie upomniałem się o konie nabywane przez Wajszczyka za bezcen, przez udrękę przy zrywce świerkowych dłużyc zamieniane w szkielety, które trzeba było chronić przed jastrzębiami, by ich nie porwały, a po sezonie, pozostawiane same sobie w górach, nierzadko ranne i połamane, bo nie chciała ich przyjąć żadna rzeźnia.

Nie okazywałem oburzenia, gdy zamorzył głodem sparaliżowaną żonę. Wypłukałem z pamięci słowa kadrowego Chyćki, który przy okazji szachów powiadomił mnie o roli nocnego portiera w najbrudniejszych sprawach, jakimi zajmowały się tak zwane organy i przy jakich nawet w tej ponurej ferajnie nikt nie chciał współpracować.

– Beniek – mówił łagodnie kadrowy Chyćka, pustosząc moje pole, gdyż w szachach był niezmordowany – wzywany był jeszcze kilka lat temu do najbrudniejszej roboty i muszę panu powiedzieć, panie Janku, że nigdy nie odmawiał. Jakby mu to pasowało.

Wstyd się przyznać, lecz do tego nikczemnika nie umiałem wzbudzić w sobie nienawiści, która nie pozwoliłaby mi się cofnąć przed zemstą. Nie mogłem przywoływać złości, o sojuszniczej w takich sytuacjach furii nie wspominając. Nie zawładnęła mną męska pewność, że rachunki się wyrównuje, nawet jeżeli są nieco przeszacowane. Odwrotnie, odczuwać zacząłem więź z moją potencjalną ofiarą. Poczułem się osaczony wraz z nią.

Próbowałem w Wajszczyku znaleźć jakiś ślad przyzwoitości. Nie był demonem zła, zacząłem myśleć, tylko jedną z ludzkich mend, upodloną duszą, zdegradowanym do elementarnej biologii nieszczęśnikiem, emisariuszem bied, kompleksów, niespełnień, od jakich zaroily się po wojnie te piękne, cywilizowane strony. Gorszy był niż inni, lecz z tego samego parszywego i, nie oszukujmy się, pospolitego ludzkiego rodzaju.

Upalnego sierpniowego popołudnia, kiedy powietrze stanęło i po raz pierwszy od kilku tygodni zaczęło wilgotnieć, nic z siebie nie wykrzesalem. Nie było we mnie złości, która tak wiele ułatwia, ani dojrzałej rozwagi pozwalającej zobaczyć sprawy we właściwych proporcjach.

Z otwartego na oścież biurowego okna leciały przeboje tego lata; Wydrzycki, Karin

Stanek, Niebiesko--Czarni. W mej głowie zamieniały się w hałas.

Odrąbałem siekierą dwa metry sztywnej od rdzy, postrzępionej liny od wciągarki i zrobiłem z niej pętlę. Nie wierzyłem, że jej użyję, tak jak nie wierzyłem, że dozorca placu odwzajemni się dziewięciokilogramowym dolnym piórem od resora, które zaniósł mu na portiernię Witek Stefanowicz od kastetu.

Wajszczyk miał je tam znaleźć, gdy wieczorem przyjdzie na plac, by odsłużyć kolejną noc. Zostanie w ten sposób zawiadomiony, że sprawy między nim a mną zaszły daleko i że rozejm jest ponad możliwości sekundantów, nawet gdybyśmy ich znaleźli.

Błazeństwo tego oczekiwanego, miałem wrażenie, że przez wszystkich, przedstawienia z niewyznaczoną jeszcze godziną i miejscem nie czyniło go mniej dramatycznym.

Odwrotnie, byłem wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że im śmieszniej, tym okrutniej.

Gdy opuszczałem plac, kilkuosobowa kompania z Bolkiem narzędziowcem na czele, skrzyknięta po robocie na ciepłe piwo, które trzymano w wiadrach z wodą, by się nie zagotowało, przypatrywała mi się z posępną ciekawością. Wietrzyli krew, ale mnie się wydało, i nie sądzę do dziś, bym się mylił, że rozglądali się za śmiercią lub nieszczęściem, jakie by do niej doprowadziło.

Gdy ich mijałem, któryś wrzasnął: Głowa do góry, Ruczaj! Jeszcze żyjesz!



Rzekę przechodziło się w bród. Nie było innej drogi do zielonego stawu, chyba że przybywało się z sąsiednich miejscowości. Wcześniej trzeba było przejść lub przejechać na rowerze kilkudziesięciohektarową państwową łąkę. Zryta tego lata, jak okiem sięgnąć, przez krety, broniła się przed spacerowiczami, zarastając zdumiewająco szybko i skutecznie powydeptywane ścieżki tak, że wchodziło się na nią za każdym razem jak na nietkniętą ludzką stopą.

Rower nie bardzo dawał sobie na niej radę, toteż prowadziłem go, ciesząc się równiną rzadką w naszych okolicach, gdzie ciągle coś pięło się w górę lub schodziło w dół.

Każdy ma swoich faworytów, coś, co go w niepodważalnym pięknie naszej strefy szczególnie pociąga, bo daje spokój, odpoczynek, niezbędne wzruszenia, odwołanie się do tego, co nie przemija, lub, po prostu, zapomnienie.

Moją przestrzenią, od kiedy pamiętam, jest łąka. Gdybym w przyrodzie szukał ojczyzny, znalazłbym ją właśnie tam. Wraz z kretami, jaszczurkami, myszami, dudkami, wszelkimi rodzajami bąków, byłbym oddanym jej obywatelem.

Gdy jesień przechodzi w zimę i świat szarzeje, łąka daje nam nienarzucające się piękno, nie wymagając zachwytów, w przeciwieństwie do gór, mórz, lasów, jezior, szczytów i dolin. Łąka jest pogodzona z tym, że się jej nie zauważa.

Toteż każdego dnia tego lata, im bardziej zbliżałem się do rzeki, która, wpływając na równinę, traciła swój charakter, tym bardziej zwalniałem, jakby dwudziestominutowa wędrówka łąką miała się już nie powtórzyć.

Rzeka od strony łąki była przyjazna, łatwa do pokonania w bród. Płytko, senna, rozgrzana słońcem, z piaszczystym dnem upstrzonym otoczkami. Z rowerem czy bez roweru wchodziło się do niej z przyjemnością. Od połowy do przeciwnego brzegu przypominała o swej naturze. O impecie, skłonności do kaskad, niespodziewanych zakrętów, nierzucanych na wiatr pogrózek, gdyby w górnym biegu nie ujarzmiono jej kamiennym ocembrowaniem, trzema jazami, a w połowie – kilkunastometrową tamą.

Dno gwałtownie się obniżało, kamienie się wyostrzały i przybywało ich z każdym krokiem, a miejsca między nimi wypełniał muł, a nie piasek. Prąd nadrabiał lenistwo z prawego brzegu. Woda nawet tego bezdeszczowego lata sięgała połowy ud, więc rower miało się ochotę porzucić. Nie wszędzie łatwo było wyjść, rzeka często znosiła i trzeba się było zmierzyć z wysokim mulistym brzegiem. A za nim po kwadransie, jeżeli się szło, lub po kilku minutach, jeżeli jechało się rowerem, spotykało się inną porę dnia i trochę inną



porę roku.

Z powodu topól, wierzb i leszczynowych zarośli w niewielkiej rozpadlinie chłodniej było niż na łące, wilgotniej i, co zrozumiałe, ciemniej. Jeżeli było popołudnie, miało się wrażenie wieczoru, jeśli wieczór – zmierzchu. Zamieszkiwać tam mogły strzygi, wiedźmy, od października do kwietnia, jak amen w pacierzu, demony i wszelkie inne niechętne nam moce, przed jakimi trzeba się mieć na baczności.

Drogę przez ostępy zarastały chwasty na wysokość człowieka, o które lepiej się było nie ocierać, bo pojawiały się bąble i gorączka. Jej koniec wieńczył dąb, jak ze słowiańskiej legendy, stojący na pagórku wśród soczystej trawy. Zachęcał do odpoczynku i zapowiadał ciepłą, nasyconą słońcem i światłem przestrzeń z polem kukurydzy. Potem jeszcze sto metrów nad rowem melioracyjnym i zaczynała się woda; od wschodu ciemna, otchłanna, od zachodu płytsza, rozjaśniona złotym żwirem.

Lato 1963 roku przy wszystkich swoich naturalnych wdziękach, urodzie pór dnia, którą zachwycały i bez niego te ładne strony, niewarte byłoby nieustającej o nim pamięci, gdyby nie kąpiele w zielonym stawie, wielkością porównywalnym z niejednym jeziorem, i wszystkie związane z tym rytuały.

Dochodziła czwarta, gdy odpowiednio opalony, wygimnastykowany, zręczny, zblatowany ze swym ciałem, oddałem mu władzę nad sobą. Nie mogłem się doczekać, kiedy wystawię je na osąd innych, na spojrzenia dziewczyn i młodych kobiet, których po zachodniej stronie stawu tego lata nie brakowało.

Nie miałem też nic przeciw temu, by wzrok skrofulicznych chudzielców, grubasów ze wzdętymi brzuchami, pięćdziesięciolatek skrywających w granatowych balonówkach swoje przepukliny, osobników mających kłopot ze skórą, która mimo słońca trwała uporczywie w bladości, młodzieńców niepotrafiących wyrosnąć z dziecięcych krzywic, mężczyzn z opadającymi ramionami, na których nie trzymała się żadna marynarka, lub chłopów jak się patrzy, zeszepeconych robotą nawet ponad ich siły, okablowanych sinymi żyłami, by wzrok ich wszystkich wyrażał tak bardzo schlebiającą mi zazdrość.

Na zachodnim brzegu paszportem nietracącym ważności było zręczne, smagłe, nieskażone niedołęstwem, młode ciało. Nie mówię, że to było jedyne kryterium przynależności do lepszej strony życia, lecz wśród kilku innych przesądzające o pozycji. W każdym razie do miejsca, w którym wody stawu wrzynały się w niewysoki, piaszczysty brzeg, tworząc zatoczkę ocienioną brzoza-siostrami, nie wszyscy mieli jednakowe prawo.

Ludzie przypadkowi ustępowali miejsca małżeństwom z dziećmi, te zabierały swoje rzeczy, gdy pojawiała się zawsze krzykliwa i rozdokazywana kawalerka, a ona czmychała przed gośćmi z klanu Hemingwaya.

Zapatrzeni w siebie, wsłuchani we własną fizyczność, lubiący swoje odbicia w lustrze lub sklepowych wystawach, korzystający z każdej chwili, by rzucić na siebie okiem, nie gustowali w bójkach, jak na przykład mężczyźni z placu i bazy, za to wzbudzali respekt swoją atletycznością i poglądem narzuconym innym, że jakby co, to sprawy są przesądzone na ich rzecz.

Nie mieli poczucia humoru na swój temat i prawo do wybranych przez siebie miejsc, ulic, ławek, stolików w kawiarniach, prawo do sposobu przechadzania się po parku zdrojowym w C. i wyławiania z niego co atrakcyjniejszych kuracjuszek, krótko mówiąc, prawo do blasku w coraz bardziej szarzejącej rzeczywistości traktowali serio.

Kiedy oparłem rower o jedną z brzoź nad zatoczką, rozgościli się tam już Hugon Trener i Tosiek Buchalter, a to znaczyło, że nikt inny nie mógł w zatoczce przebywać. Przywitaliśmy się niewylewnie, zapalili z Tośkiem po sporcie i zaraz Hugon wymógł na nas konkurs trójskoku z miejsca. Jak zawsze wygrał.

Był niewysokim, krępy osiłkiem o niespotykane mocnych nogach, wyciskał stuosiemdziesięciokilogramową sztangę z przysiadu pięć razy z rzędu. Gdyby żył w górach poważniejszych niż zachodnie Sudety, byłby jak Schramm, Toni Sailer, Jean-Claude Killy. Na nartach jeździł brawurowo i elegancko, często szusem, tam gdzie inni asekurowali się slalomami. Rzemieniem spinał but z nartą zjazdową nawet bez centymetrowej tolerancji.

Trenerem był niecierpliwym. Irytowała go nieporadność, szydził z safandulów, nie akceptował tchórzostwa, a moim zdaniem nawet zdrowego rozsądku, jeżeli dotyczyło to nart.

W rewanżu zaproponowałem mu wyścig do dwóch skalnych wysepek na środku stawu. Odmówił, bo w tej konkurencji nie wygrywał ze mną nikt, kogo znałem. To była jedna z przyczyn, dla których odwiedzałem to miejsce nawet wtedy, gdy kąpiel nie była przyjemnością.

Wskoczyłem do wody z brzegu, wybijając się odpowiednio, by nie wyrznąć głową w dno – powolne oswajanie się z wodą nie było w cenie – i przepłynąłem motylkiem sto dwadzieścia metrów do skałek, a wróciłem leniwym, nonszalanckim kraulem.

Rad z uznania dla mych umiejętności – pochlebstw nie miałem nigdy dość – wyciągnąłem się na trawie. Wraz z sennością na łagodniejącym słońcu wrócił spokój, miara rzeczy, niczym niezakłócona przyjemność pierwszej młodości.

Pomyślałem, że firma, która mnie karmi, jest w moim życiu epizodem przedłużającym się ponad plan, lecz z perspektywy wielu dobrych lat, jakie mnie czekają, bez znaczenia. Że nocny portier, Horanin, Ludwik Końcówka, kontystka Asia, szoferzy, monterzy i ich pomocnicy nie narzucą mi swojego kodeksu, a tym samym sposobu widzenia rzeczywistości, bo o rzeczywistości, w jakiej będę przebywał i do jakiej mnie

przeznaczono, nie mają pojęcia. Że nasze ścieżki nigdy nie będą wspólne, bo wędrujemy każdy w swoją stronę. Która jest moja, jeszcze nie wiem, lecz tak czy inaczej nic im do niej. Że te stare góry, świerkowe lasy, z których na chłama rabowano drzewo, miejscowości jak z landszaftów ozdobione raubritterskim zamkiem Kynast, przepastny dom zajmowany z dwiema starymi kobietami, czarodziejskie, choć trudne dzieciństwo, jakie mi w nim upłynęło, nędza, jaką heroicznie próbowaliśmy uczynić przynajmniej w pewnym stopniu znośną, że wszystko dobre i złe, co mnie spotkało, spotyka i co spotykać będzie mnie jeszcze przez czas jakiś, to tylko epizod. Wyłącznie epizod aspirujący co najwyżej do wspomnień, jakie od czasu do czasu będę przywoływał.

Słońce grzało łagodnie, ludzki gwar usypiał, wyprowadziłem z siebie lęk. Obok miałem Tośka Buchaltera zajmującego jakieś podrzędne stanowisko w biurze pobliskiej garbarni, gdzie pracował za beznadziejne pieniądze. Tosiek o urodzie byka rozplodowego należał do klanu dzięki kobietom, które go utrzymywały na poziomie paru łachów z komisum. Hugon Trener kartkował powieść, na którą nas namawiał.

– O czym? – zapytałem, już cały w spokoju i przyjemności.

– O Watykanie – odpowiedział Hugon.

– Tytuł?

– *Spiżowa brama*.

– Autor?

– Tadeusz Breza.

– Czytałem gdzieś recenzje, mówili w radiu, że dobra, ale Hemingway to nie jest.

– Ma się rozumieć, graf. – Hugon natychmiast się zaasekurował, bo mimo że czytał z nas najwięcej, to literatura była przestrzenią jego wielkiej niepewności i kiedy wspominam tamten czas, to myślę, że nawet z Hemingwayem, wrogą.

Odwzajemniłem mu się kilkoma zdaniem o Bayardzie Sartorisie. O granicach brawury, jakie ten młody mężczyzna, kombatant wojny we Francji, nieustannie przekracza, kierując się ku śmierci. O beznadziejnym pogrążeniu się w losie własnym i losach bliskich, na jakie się godzi, i o tym, że mając siłę, energię, zdrowie, wszelkie możliwości, by się temu przeciwstawić, nie robi tego, jakby hrabstwo, do jakiego wraca po wojnie, nie znało takiego sprzeciwu.

Opowiedziałem im o przenikliwie zimnych, wilgotnych grudniowych porankach w Missisipi, na które tak dobra jest gorąca kawa ze spirytusowego prymusa i pierwszy papieros. O konnych włóczęgach po hrabstwie Yoknapatawpha i tych sąsiednich.

O tym, jak z przygodnym wojennym kumpem przesiaduje w obskurnym barze, jakich na Południu nie brakuje. „Wyglądasz jak nieboszczyk, Bayard. Jakby cię już nie było wśród nas”, mówi przygodny wojenny kumpel, a Sartoris mu na to: „W tym rzecz, Slady.

W tym rzecz”.

– Niezłe – pochwalił Tosiek Buchalter.

– Za mało, Tosiek.

– Jasne – skwitował sprawę Hugon Trener. – Jest jak ten gość, co umiera przy ognisku pod Kilimandżaro, bo poharatał go bawół, a żona, jak nikt, kogo znał dotychczas, gada mu rzeczy już nie dla niego.

– W tym rzecz, Hugon – odpowiedziałem mu stylem Bayarda Sartorisa, skoro on mówił do mnie Hemingwayem, bo takiej tego lata służyliśmy religii.

– Jest jak Jordan, gdy dowiaduje się, że może być już po nim, albo ten matador, dla którego każdy byk jest już za dobry.

– Jest lepszy, Hugon. Znacznie lepszy. Nie męczy go żaden cel.

I mówię im o wojnie secesyjnej, która odzywa się w losach wnuków. O prostackiej pewności siebie i prostackiej przewadze Północy nad wytwornym Południem, przewadze osiągniętej w imię praw ludzkich, pod którymi każdy z nas by się podpisał. I o tym, że Faulkner niezłe przyłożył Hemingwayowi w jego własnym domu, że wszedł na pole Hemingwaya, wbił w nie swój lemiesz i zaczął orać głębiej.

Z mych pleców wyparowała ostatnia kropla wody. Byłem przyjemnie rozgrzany przez chylące się słońce. Obserwowałem spod oka biedronkę szukającą przygód na moich palcach. Czułem woń skoszonej trawy i słyszałem za sobą Helenę Majdaniec. Przyjemność płynęła przeze mnie jak gorączka.

Tosiek i Hugon przyjęli mój wybór, choć wiem, że granica herezji była bliska. Nie wspomniałem im, że Sartorisa mam już za sobą tak jak Jordana i tego gościa, co umiera pod szczytem Kilimandżaro, i starego matadora, dla którego każdy byk jest już za dobry. Przypadkiem uchyliłem drzwi do dworku panien z Wilka i oczarowany nastrojem zacząłem przysłuchiwać się ich rozmowie podczas śniadania, a lato tam było takie jak u nas.

Nie powiedziałem o tym, bo nie byli gotowi na te panny, na ten beztrosko ubożający folwark, na nostalgię Wiktora Rubena i nie mogłem mieć o to do nich żalu.

Nie pamiętam, kiedy przestałem mówić, słuchać Hugona, odpowiadać Toškowi, gdyż w półśnie, jaki zdarza się nam po ostrym pływaniu, stanęła na mej drodze dorodna blondynka bez wieku budząca w S. niechęć nietutejszą elegancją.

– Chcesz mnie namówić na romans z twoją matką? – zapytałem Martę Kowal.

Po drugiej stronie telefonicznego drutu zrobiło się cicho.

– To nie jest nic złego – chwilę wcześniej przekonywała mnie Marta. – Nigdy nie będę tak ładna jak moja matka, bo gdybym miała być, tobym już była. Wiem, że jej się podobasz. Jest kobietą w najlepszych swoich latach opuszczoną. Nie interesuje już mego

ojca i on jej nie interesuje. Stworzycie dobrą parę. Zaczynam trzeci rok medycyny i wiem, o czym mówię. Nie namawiałabym nikogo na nic, w czym byłby najdrobniejszy okruszek zła.

– Czy nie ma już trzydziestu pięciu lat? – zapytałem z tą arogancją młodości, jaka nie liczy się z niczym.

– Nawet dwa lata więcej. – Głos Marty stawał się coraz bardziej rzeczowy. – Ale to nie zmienia faktu, że po ucieczce Julii nikt nie jest ładniejszy.

– Gdzie?

– Wszędzie, Janku. Gdziekolwiek spojrzysz. Gdziekolwiek spojrzysz, kochany.



A spoglądałem wokół zachwycony światem, jaki mnie otaczał. Nie szukałem słów gotowych go wyrazić, choć wiedziałem, że gdy uroda chwil, w jakich żyję, przeminie, pozostaną we mnie ich obrazy, których nie opiszę.

Jeżeli poradzę sobie z przepiórkami, brzoźami jak siostry nad wodą, trawą pochylającą się w podmuchach nieodczuwalnego wiatru, a nawet ze światłem popołudnia ustępującego już przed wieczorem, to próba złączenia przyczyny w postaci tych letnich oczywistości ze skutkiem, jakim są oczarowania, iluminacje i radość z istnienia, zawsze będzie jałowa.

Wróciła niedziela sprzed miesiąca, kiedy lato nie dopięło jeszcze swego. Pod dębem jak ze słowiańskich legend spotkałem odpoczywającego w drodze nad staw Sławka Zieglera. Wyróżniała go wśród nas energia, chłopięca zapalczywość, jasna odwaga, nim nie zgasły od heinemediny. Choroba zrobiła, co było do zrobienia w dwa tygodnie. Ziegler wrócił do szkoły raz na zawsze odcięty od życia, jakie jeszcze niedawno wiedliśmy wspólnie.

Przysiadłem się i zapaliliśmy po sporcie. Nie odzywaliśmy się przez ten kwadrans, a może mniej, bo Ziegler, jak każdy okaleczony, widział ostrzej, czuł głębiej, zauważał więcej. Dostrzegł więc przewagę mojej pełni i zobaczył, jak moja próba ukrycia tego skazała się sama na porażkę.

Doświadczyłem wtedy podstawowej opozycji, do jakiej istnienie w swym egoizmie, w niepojętej obojętności, a więc okrucieństwie, dało mi prawo. Moja przyjemność żywiła się jego nieszczęściem i od niego zależała.

Czym żywi się teraz, pomyślałem, wyciągając się coraz wygodniej na trawie, z dłońmi złożonymi pod brodą; czym cierpieniem? Kto w tej chwili się męczy, bym ja mógł się cieszyć? Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na to wtedy, nie potrafię dzisiaj.

Tym bardziej niemi byli w tym względzie Tosiek Buchalter, Hugon Trener i Franz Girej, który do nas dołączył. Okazja, by to potwierdzić, zresztą się nie nadarzała, bo chłopaki mieli plany prostsze. Nadeszły żniwa. Kuracjuszki przybywały i odjeżdżały przez cały rok, lecz te, na które warto się było zasadzić, uprzywilejowane przez młodość, wdzięk, brak chorób, jakie by je deformowały, i ochotę na niezobowiązujące przygody, leczyły się w lecie. Chłopcy wiedzieli, że życie jest krótkie, młodość to mgnienie, a następnego lata będzie o rok gorzej.

Powiedziałem im, że dobrze się składa, bo po drugiej stronie stawu mam klienta do kilku słów na już. Prawdę mówiąc, składało się tak sobie, bo klient był z paczki, do której straciłem dostęp.

Podział na młodzież studiującą – kilka dziewcząt i kilkunastu chłopców w całej okolicy – i niestudiującą ustalił się sam i nikt go nie podważał. Wakacje temu sprzyjały.

Ci, co studiowali, czuli się lepsi, choć w praktyce nic z tego nie wynikało. Nie zajmowali w tramwaju mijającym pola, łąki i zagajniki tylnego pomostu w drugim wagonie, z którego bezpiecznie wyskakiwało się w biegu. Nie aspirowali do podwójnego stołu przy szczytowej ścianie gospody Nad Wrzosówką, więc nigdy tam nie zaglądali. Nie siadywali w kinie Śnieżka w środkowym rzędzie, dzielącym salę na pół i umożliwiającym wyciągnięcie nóg i swobodne spacerowanie w tę i w tę. Nie mieli prawa do głośnego komentowania tego, co dzieje się na ekranie. Nie spacerowali ławą po centralnej alei parku zdrojowego w C., a w zdrojowej kawiarni Kaprys mogli zająć najlepszy punkt obserwacyjny przy bufecie i telefonie tylko wtedy, gdy nie było tam gości od Hemingwaya. Mówiąc najogólniej, nie mieli prawa do pozycji zależnych od liczby, siły, impetu lub wyobrażenia o sobie, jakiego nikt nie śmiał zweryfikować.

Miejsca nad zielonym stawem, jakie zajmowali, były lepsze od przeznaczonych dla rodzin z dziećmi lub psami, lecz, ma się rozumieć, gorsze niż moje, Tośka Buchaltera, Hugona Trenera, Franza Gireja, Hirka Deptacza, Funia, Belmonda, Lusia Ornitologa i kilku innych, którym ustępowali wszyscy.

– Pozwól na moment, Szymek – odezwałem się, przystając kilka metrów przed zmierzwionymi kocami, na których oprócz Szymona siedział jeszcze mój sąsiad z ulicy Piekarskiej, studiujący łączność na Politechnice Wrocławskiej, jego narzeczona Dunia i polonista znany mi wyłącznie z widzenia.

– Teraz? – Szymon nie ruszył się z miejsca.

Dunia przypatrywała mi się w sposób, jaki znałem i jaki nie przestawał mi schlebiać. Wdzięczyła się w kostiumie bikini i rozchyłała zbrązowiałe od słońca uda. Patrzyłem na jej ledwo zakrytą cipkę. Nie przeszkadzało jej to nic a nic, a jej narzeczony wobec mego apetytu był bezsilny, bo staw i jego okolica to teren mej bezdyskusyjnej przewagi.

– Innej okazji nie będzie – odpowiedziałem, nie spuszczać wzroku z Duni, która była ładna, kiedy rozebrana.

– O co chodzi?

– O Julię.

Zaczął się zastanawiać. Spojrzał na polonistę, ten skinął głową i Szymon wstał, i przesłonił mnie sobą. Z bliska straszne było z niego chłopisko. Wzrostu Wasyla Horanina, lecz dwa razy od niego szerszy, barwy różowego marmuru, obłożony równo sadłem. Znieruchomiał, ale cycki mu jeszcze drgały.

– O Julię?

– Nie błażnuj, Szymek. Wiesz, o kim mówię. Podobno wróciła. Wiem to od Marty



Kowal, od jednego z szoferów i nocnego portiera z placu. Cała trójka mylić się nie może.

– No i?

– Marta uważa, że powinienem Julię odwiedzić, a ja uważam, że mogę to zrobić z tobą.

– Gdzie?

– W starej szkole.

Szymon rozejrzał się wokół i przestąpił z nogi na nogę. Miał widoczne iksy i słycać było, jak udo ociera o udo. Wszystko w nim przylegało do siebie.

– Czekasz na odpowiedź?

– Po to przyszedłem, Szymek.

Ni z tego, ni z owego objął mnie ramieniem i poczułem odór potu. Nie było w tym geście przyjaźni, raczej protekcja. Zapytał:

– A czemu nie odwiedzamy pani Dymkiewicz od botaniki? Albo Stasi Sasim od arytmetyki ani, na przykład, Juraszki. Od czego tam on był? Mieszkają w pobliżu i też nas uczyli.

– Bo Julia była piękna.

– Rzecz gustu, stary.

– Kochaliśmy się w niej.

– Mów za siebie. Czemu mamy ją odwiedzać? Bo nas wybrała? Bo prześladowała nas bez opamiętania? Bo zrobiła sobie z nas zabaweczki na sprężynce? Bo miała fioła na punkcie rewolucji i nas do niej przypięła? Na chama, jeżeli mam być szczery. Do dziś, jak słyca: symfonia, to rzygam. Bo nie mieliśmy przez nią dzieciństwa, jakie się chce zapamiętać? Czemu mam ją odwiedzać?

– Widać, że studiujesz, Szymek. Trafiasz w punkt raz za razem. Będziemy mieli okazję ją o to zapytać. Może odpowie.

Przywalił mnie swoimi stoma kilogramami, lekko licząc, jak głazem.

– Ale mnie to nie obchodzi, stary. Julia to przeszłość, do której nie wrócę. A wiesz czemu? Bo nie warto. Jestem w innym miejscu i czasie. Zostawiłem ją za sobą raz na zawsze. Nie ma już znaczenia. Jakby jej nigdy nie było. Nie zawracaj mi głowy.

– Każdy widzi to inaczej, Szymek.

– Przepraszam cię, stary, ale wyleciało mi z głowy. Mietek?

– Janek.

– Jasne, pamiętam. Powiem ci taką rzecz, której nie powinienem mówić, ale powiem, bo jesteś moim kolegą z klasy. – Odwrócił się do towarzystwa na kocu i krzyknął: – Jeszcze moment, dzieci!

Jakby go przywoływali.

– Za tydzień wyjeżdżam z Polski.

– Dokąd? – zapytałem i natychmiast pożałowałem ciekawości, której nie umiałem ukryć.

– Do Drezna. Na kongres. Będą tam ludzie z całego świata, ale opukani. Nikt przypadkowy. A ty mnie wywołujesz do jakiejś nauczycielki ze szkoły podstawowej. Zastanów się, Mietek.

– Janek.

– Właśnie. Zastanów się.

Ktoś znów puścił piosenkę Heleny Majdaniec. Słyszeć ją było lepiej niż nad zatoczką z brzożami.

– Czego ona nas uczyła? – zapytał Szymon, przysłuchując się piosence.

– Rosyjskiego.

– No to bez powodzenia. Nie znam i nie lubię tego języka. Rusków zresztą też.

Chciałem mu powiedzieć, że przeciwnie niż ja, ale dosyć było tych różnic jak na pierwszą po siedmiu latach rozmowę. Zapytałem go tylko jeszcze o adapter, z którego w nieskończoność leciał muzyczny przebój tego lata.

– To magnetofon – odpowiedział Szymon.

– Skąd biorą prąd?

– Z baterii?

Wiedziałem o radiach na baterię, o magnetofonach nie.

– Tak myślałem, Szymek.

Wyciągnął do mnie rękę jak pęto kielbasy. Odwróciłem się i szybko odszedłem. Chwilę potem zastanowiłem się, czyby nie zawrócić i nie powiedzieć mu czegoś przykrego, co upokorzyłoby go wobec kolegów i dziewczyny demonstrującej ledwo zasłoniętą cipkę. Mimo przewagi wzrostu i ciężaru nie miałby ze mną najmniejszych szans, lecz powstrzymała mnie myśl, że jeżeli poprą go polonista i sąsiad z Piekarskiej, to oberwę. A tego sierpniowego popołudnia przechodzącego już w wieczór, nie mogłem sobie na to pozwolić.



Pod tym względem różniłem się od rówieśników. Od najwcześniejszego dzieciństwa zamieszany byłem w starość.

Chylące się ku ziemi ciała, powolniejący krok, niedokończone gesty, załzawione oczy i bezradniejące twarze, stan zagubienia w oswojonej przecież przestrzeni, niechęć do wymiany najpierw zdań, a potem myśli, zgoda na wszelką abdykację, kruchość zdychającego ptaka, który potrzepocze się nam w rękach i rozpadnie, to była norma, nie ewenement.

Nagłą śmierć, przerażającą w swej nieodwracalności, nobilituje zawsze jakaś legenda. W powolnym upadku ciała i proporcjonalnym do niego zmierzchu ducha nie dostrzegałem nawet strzępu nadziei.

Gdy skarżyłem się na starość, bezprzykładnie dzielną, lecz jednak starość, dwóch najbliższych mi kobiet, słyszałem w odpowiedzi: cóż, takie są prawa natury.

Zanurzony w naturze jak nikt, kogo znałem, i pokumany z nią na własnych warunkach, wygrażałem jej nie tylko w imieniu mej ciotki i babki, lecz i własnym.

To, że biorąc z materii piękno, musiałem jednocześnie przyjąć jej grozę w postaci zmierzchu, rozpadu, smrodu, szczyń, gówien i tego, co ona tam jeszcze ma dla nas w zanadrzu, rodziło we mnie, zaledwie dwudziestoletnim, głęboki sprzeciw.

Materia miała mi służyć, nie przerażać. Z wszystkimi wdziękami, urodą, obietnicami zbyt była prostacka, by cokolwiek przesądzać. A jednak przesądzała, i to nie na żarty.

Starość dwóch najbliższych mi kobiet, z których jedna umierała na raka jelit, irytowała mnie z powodu pokory, z jaką znosiły swój stan. W końcu bunt, jaki wobec praw życia podnosiłem, był, póki co, w ich imieniu. Ale też wiedziałem, że moja niezgoda zwekslowała mnie na wygodną pozycję obserwatora, by nie rzecz recenzenta obydwu starości.

Byłem, nie ma co ukrywać, z racji wrodzonego tchórzostwa obok śmiertelnego cierpienia malowniczej postaci, jaką była siostra mego nieżyjącego od kilku lat dziadka, i obok heroicznego starań mojej babki, by to cierpienie stępić cierpliwością i oddaniem.

Kończąca swój bieg w wieku lat osiemdziesięciu trzech ciotka była legendą kilku rodzin, które się na mnie złożyły. Żywiołowa, niezmordowana w korzystaniu z uroków życia, dzięki trzem coraz praktyczniejszym małżeństwom coraz zamożniejsza, bezdzielna z wyboru, szalona, lecz nietracąca siebie nigdy z pola widzenia, przyciągająca mężczyzn niczym magnes i nieodmawiająca ich sobie, była jednocześnie depozytariuszką urody, zdrowia, seksapilu i dystynkcji rodziny Ruczajów.

Pod tym względem zawiodłem ją na całej linii. Nie pogodziła się nigdy z moją pospolitością i to, co budziło podziw okolicznych dziewcząt, młodych kobiet, kobiet w ogóle, i zazdrość rówieśników, ją obrażało. Jej niechęć była w proporcji do nadziei, jakie wiązała z moim przyjściem na świat w dwa miesiące po żołnierskiej śmierci mego ojca, którego najzupełniej słusznie adorowała. Powiedzieć, że nie byłem w jej typie, to banał. Kompromitowałem rodzinę w tym, co najważniejsze.

Mogłem być niewykształcony, leniwy, głupi, chaotyczny, nieodpowiedzialny, ostatecznie źle wychowany, ale miałem być mężczyzną, czyli prezentować się jak mężczyzna, bo o wszystkim, czy godzimy się z tym, czy nie, przesądza ciało i z niego pochodzą nasze męskie lub niemęskie czyny.

Co do mej babki natomiast, to niezdolny byłem tego lata do wzajemności, ale przecież przyjdą następne, pocieszałem się w duchu. Nadejdzie dzień, gdy odpowiem na jej bezwarunkową miłość uczuciem, jakie wyjdzie z zaułków mej duszy, bo się już w nich nie pomieści.

To złudzenie odpowiadało mej ówczesnej naturze, lecz ból, jaki odczuwałem, ilekroć zbliżałem się do naszego przepastnego domu w zapuszczonym ogrodzie, złudzeniem już nie był. Teraz wiem, że tak boli poczucie winy, i nie wykluczam, że wtedy też to wiedziałem. A więc coraz wolniejszym krokiem zbliżałem się do naszego zaniedbanego domu z górującym nad nim zamkiem Kynast.

Przygotowałem się na chłód kamiennego holu, chłód, którego żaden upał nie potrafił przepędzić. Hol dzielił dom na część zamieszkaną i niezamieszkaną, co nie miało znaczenia, ponieważ niczym się od siebie nie różniły.

Po śmierci dziadka i odejściu jego ukochanych psów obydwie części opustoszały i zastygły w spokoju. Stare kobiety nie odgrażały się, w przeciwieństwie do dziadka, opatrności, martwych wewnątrz nie ożywiały przekleństwa, nie niosło się echem szczekanie psów, nie przyjmowały wizyt, zapadały się w starość, a ta w ciszę.

Zamykałem za sobą drewnianą furtkę wiszącą, od kiedy pamiętam, na jednym zawiasie, gdy za plecami usłyszałem Wiernikową. Była czterdziestoletnią, więc jak mi się wtedy wydawało, posuniętą już w latach, życzliwą nam sąsiadką. Jedyne życzliwą w żywiole niezrozumienia, pogardy, wcale niecichej satysfakcji z powodu naszych kłopotów, trudności, nieszczęść. Miała sporo od siebie starszego, nieatrakcyjnego męża piekarza, wypluwającego mękę z resztkami płuc, toteż nie była mu wierna.

Opowiadano o jej kilkuletnim romansie z miejscowym wikarym, a połączenie dyskretnej urody z religijną żarliwością czyniło ją bardzo pociągającą.

Kiedy trzy lata temu wrześniowy ranek zastał nas szukających grzybów w żółknącej brzezynie, oboje znaleźliśmy to, czego nam brakowało. Ja – niedoświadczoną jeszcze

przyjemność, a ona – religijne uniesienie, gdyż podczas zbliżenia wzywała Boga Ojca, Syna Bożego, jego matkę i zastęp świętych; istnienia większości z nich nawet się nie domyślałem.

– Dzwonił do pana inżynier – rzekła, zbliżając się na dwa kroki. Poczulem zapach chleba; pomagała mężowi w piekarni, którą mieliśmy po drugiej stronie ulicy.

– I co? – zapytałem, starając się doprowadzić do pionu pokładającą się na wszystkie strony furtkę.

– Nie zastał pana.

– Tego się domyślałam. O co prosił?

– O rozmowę błyskawiczną do Pogorzeliccy na jego koszt.

– Czy będę ją mógł zamówić z piekarni?

Skinęła głową. Stała wyprostowana, dorodna, wysoka, niczego jej nie brakowało.

– A tak między nami, pani Moniko, czy dalej się pani podobam? Wodzi pani za mną wzrokiem? Myśli pani o mnie, nim zaśnie?

– O to inżynier nie pytał.

Czas oczekiwania na błyskawiczną do trzech godzin, poinformowała mnie telefonistka, nie kryjąc satysfakcji. Zapytałem, czy będę miał okazję do jakiegoś rewanżu, gdyby rozmowę zrealizować zgodnie z nazwą. Telefonistka, już odmieniona, z sekundy na sekundę łaskawsza odrzekła, że to nie jest niemożliwe, i nie rozłączyła się, jakby oczekiwała jakichś gwarancji, ale ich nie dostała i po chwili w słuchawce, jak zawsze, pozostały tylko chrzęsty, rżenia, odgłos przelewającej się wody.

Piekarnię poprzedzał sklep, w którym regularnie okradano moją babkę, gdy w zastępstwie została w nim na kwartał ekspedientką. Do sklepu wiódł wysoko sklepiony korytarz wyłożony pięknymi, kamiennymi płytami. Pod ścianą stała ogrodowa ławka, naprzeciw wyplatane krzesła, gdyż na pieczywo z reguły się czekało. Usiedliśmy z Wiernikową obok siebie w przeciagu. Nie mogło być lepiej, gdy wczesny wieczór zaczął wprowadzać do kamiennego korytarza pierwsze zapowiedzi nocnego chłodu.

Na rozmowę postanowiłem poczekać w piekarni, co nie było racjonalne, lecz każdy pretekst był dobry, by odwlec powrót do domu.

– Jak się miewa pańska ciotka? – zapytała Wiernikowa, zdecydowana mi potowarzyszyć.

– W ogóle czy dzisiaj?

– Jak się miewa w ogóle, to wiem. Musiał pan zauważyć, że pomagam czasami pana babce przy prześcieradłach i basenach. Żal patrzeć.

– Wiem coś o tym, Moniko. Mam pretensję o swoją obojętność.

– To młodość, panie Janku.

– Tak sobie właśnie to tłumaczę. Pół wieku temu przedstawiono ją cesarzowej Aleksandrze Fiodorownie w Piotrogradzie, a teraz umiera na żelaznym łóżku, na materacach, z których wypada włosie, skazana na łaskę innych, w gównach, szczynach, krwi, nędzy, pod rozpalonym od upału dachem... Chryste Panie, co to jest?

– Chryste Panie – powtórzyła Wiernikowa, a ja wzruszyłem ramionami, sam nie wierząc w to, co przed chwilą jej powiedziałem.

Każdy kolejny papieros oddalał moment, kiedy miałem pójść do Benia Wajszczyka mieszkającego przy tej samej ulicy, by go ostrzec przed udziałem w przedstawieniu, które plac postanowił sobie naszym kosztem zorganizować. Zaplanowałem to nad zielonym stawem po rozmowie z Szymonem o powrocie Julii Neider.

Kąpiel w stawie, status towarzyski, jaki tego lata osiągnąłem, przyjaźń, jaką darzyło mnie kilku starszych ode mnie pierwszorzędnym mężczyzn, uroda tego miejsca zawsze podnosząca na duchu dały mi miarę rzeczy, jaką plac zawsze zakłócał. Wynaturzenia i dzikość obyczajów placu nie powinny mnie skłaniać do niczego, na co nie mam ochoty.

Trwoga z południa już nad stawem wydała mi się przesadzona, a teraz w przeciągu na korytarzu dzielącym piekarnię od sklepu, na ławce obok dorodnej i miłej Wiernikowej, w oczekiwaniu na błyskawiczną znad morza zawstydziała.

Porozdrażniało ludzi lato, zmęczyła harówka przy powalonych świerkach z czeskiej strony, rozzuchwalała nieobecność inżyniera, jedyne, przed którym czuli respekt, więc powariowali.

Ale co my do tego mamy, Beniu? Chcą się zabawić, niech się zabawią, ale nie naszym kosztem. Nie dajmy się paranoi tylko dlatego, że ludzie z placu i na bazie zwietrzyli krew. To ich problem, nie nasz. Nic do ciebie, w zasadzie, nie mam, Beniu, choć nikczemny z ciebie typ. Jak ty masz coś do mnie, mogę przeprosić. Jest, jak mówię, sam przyznaj.

Te i podobne zdania miałem już w kieszeni. Trzeba było tylko wskoczyć na rower, zjechać w dół ulicy, wywołać Wajszczyka z domu, jeżeli jeszcze nie poszedł na portierski nocny dyżur, i go przekonać, że nie musimy tańczyć, jak nam zagrają. Nie powinno zabrać mi to więcej niż kwadrans. Błyskawicznej i tak wcześniej nie będzie.

Ale zwlekałem. Nie wiedziałem wtedy czemu, nie wiem i teraz. Tak czy owak zwlekałem, zajmując się papierosami. Wiernikowa też w końcu zapaliła.

Zacząłem jej opowiadać o wymarłej rodzinie Skode, do której Ruczajowie nie mieliby dostępu, gdyby nie podróżna, więc przypadkowa, znajomość na wołżańskim statku, zakończona niedobranym małżeństwem.

– Po stronie Ruczajów było zdrowie, impet, wszystkie apetyty, po stronie Skode – legendy. Połakomili się na nie Ruczajowie. Ciotka obsesyjnie powracała do jednej z nich, co moją racjonalną, galicyjską babkę niezmiernie irytowało i powiem ci, Moniko, że nie

wiem, czy w przerwach między bólami ciotka nie wraca do nich nadal.

– Nie ma przerw, panie Janku. W tej chorobie nie ma takich przerw, więc nie wraca.

A co to za legenda?

– O chłopcu przemienionym w żurawia.

– O chłopcu przemienionym w żurawia? Czy to możliwe?

– W legendzie. Karmił się nią ostatni Skode, bo gdy kładziono go z dwiema kulami w głowie na drewnianym, surowym stole w karczmie gdzieś nad Dźwiną, to więcej w nim było ptaka niż człowieka. Weronika Mironowa komenderująca bolszewicką bandą, która przez rzekę wdarła się na wschodnią Łotwę, nie mogła nadziwić się temu truchłu, które kilka godzin wcześniej hołubiła jak syna i kochanka. A bandycką sotnię podniesiono o świcie. Tym zdaniem ciotka zaczynała zawsze swą opowieść o ostatnim z bałtyckiej rodziny Skode, do której, zdaniem mej babki, nie miała żadnych praw, lecz była jak sroka, która kradnie, co pod ręką.

– Nic a nic nie rozumiem z pańskiej opowieści – rzekła piekarczowa, miażdżąc peta na kamiennej płycie – ale bardzo jej ciekawa.

Przysunąłem się do niej. Poczulem na barku jej ciało nienapoczęte jeszcze przez lata. Zapragnąłem jej jako żony, kochanki, matki. Stała się dla mnie jak Mironowa dla ostatniego ze Skode, po którym odziedziczyłem imię. Miałem wrażenie, że Wiernikowa nie pachnie chlebem, tylko szarym mydłem, jak wtedy w jesiennych brzożach trzy lata temu, obok pustych koszyków, choć grzybów nie brakowało. Objąłem ją ramieniem. Nie broniła.

– Bandycką sotnię, Moniko, podniesiono więc o świcie – szepnąłem jej do ucha.

Odwróciła do mnie twarz. Oczy miała jakby zielone.

Odezwał się telefon. Rozmowa przyszła po kwadransie. U nieznaney telefonistki zaciągnąłem dług.





Z uporczywym zamiarem zrobienia ze mnie dżentelmena męczący był to gość. Nie mógł trafić gorzej. Nie rozumiem teraz i nie rozumiałem wtedy, co go do takiego projektu skłoniło. Jaka ambicja nim powodowała, by mi w tym względzie nie odpuścić? Jaka chmura przesłoniła mu pole widzenia, gdy nie przestając mnie obserwować, zadał mi gwałt swoją pewnością, że samego siebie trzeba bezwarunkowo, nieustannie, ostentacyjnie szanować, nie rezygnując z pychy, jaka kaleczyć będzie wszystko, co podejmie próbę pokumania się z nami na warunkach, jakich w stu procentach nie zaakceptujemy.

Impregnował mnie, Bogu dzięki bez powodzenia, na idee, religie, pasje, entuzjazmy, przesadne zachwyty, dobro, jakim zechcielibyśmy odwzajemnić zło, miękkość i ustępliwość przed przewagą, przekonując mnie do flegmy i chłodu, jakie pozwalają mężczyźnie zachować twarz w najopresyjniejszych sytuacjach.

Skłaniał mnie do grandezzy, jakiej uczyć się trzeba za młodu, by w wieku lat trzydziestu trzech, kiedy nic już w nas nie zmieni się na lepsze, móc powiedzieć samemu sobie: oto stoję po stronie miecza. Bo tylko temu, kto stoi po stronie miecza, sprzyjają inne strony. Może się wybrać w nie na wycieczkę, ale wycieczka ma to do siebie, że się z niej wraca. Dżentelmen zawsze wraca na stronę miecza, bo tylko ona daje mu wybór.

Nienagannie był wychowany i tym zjednywał sobie wszelkie ożywione i nieożywione byty z natury mu przeciwne. Fizys go zdeterminowała. Niewysoki, barczysty, krępy, krótkonogi, o dużej łysej jak kolano senatorskiej głowie i apoplektycznej, zsiniałej od wódki twarzy, nie mógł, nawet gdyby chciał, przycupnąć w melancholijnej łagodności, jaką tak bardzo lubimy u innych.

Był jak młot twardy i jednoznaczny. Gdyby nie przedwojenna, jezuicka szkoła, byłby niczym zwierz. Miał przepalony głos, który w słuchawce telefonu ochrypl jeszcze bardziej, gdy zapytał mnie, jak się miewam. Nic go to nie obchodziło teraz na wczasach w nadmorskiej Pogorzeliczy. Ponieważ w mej naturze leżała rezerwa dla cudu istnienia, odpowiedziałem, że tak sobie. Liczyłem na więcej – rzekł poważnie – z drugiej strony w charakterze dżentelmena nie leży ślepa wiara w wartość życia, więc umiarkowanie, z jakim traktuje własny los, mu odpowiada.

Odzywa się w kwestii kłopotu, jaki czerwcowe huragany sprawiły braciom Czechom, i przypomina mi, że obiecaliśmy im więcej.

Odpowiedziałem, że na moje rozeznanie robimy, co możemy, że drzewo z naszych lasów

nie może doczekać się tartaku od dwóch miesięcy.

– Nasze drzewo, panie Janku, to ekonomia, czeskie – polityka. Jak wybór jest oczywisty, to znaczy, że go nie ma. Co z tatrą po Romanowskim?

– Trzymam ją krótko, inżynierze – odrzekłem zgodnie z prawdą.

– Powinna pracować. Rozmawiał pan z Sulgą?

– Boi się. Uważa, że ona jeszcze kogoś zamorduje.

– Przesądny dupek.

– Jak oni wszyscy, inżynierze.

– Pogoda?

– Upały.

– U nas też, jak w jakimś Biarritz albo i lepiej. Sądziłem, że można pana zostawić na placu, że pan już dorósł i nie wytnie żadnego cholernego numeru.

– O jaki cholerny numer chodzi, inżynierze?

– O cholerny numer z Wajszczykiem. Ma pan prawo zasadzić się na każdego, kto panu podpadł, ale nie wtedy, gdy mnie pan zastępuje. Relacja się zmienia, chyba pan to rozumie? Wajszczyk to pana podwładny, ma go pan chronić, nie narażać.

Poczułem ulgę. Absurd został zracjonalizowany. Kaprys unieważniony. Fantasmagoria ostatecznie przepędzona. Ołowiane chmury nade mną porozrywał wiatr od morza.

Żeby nie przedstawić się inżynierowi takim, jakim byłem w istocie, zagrałem zawiedzionego chojraka, ostrego gościa, którego stępia obowiązek wobec umiarkowania. Nie charakter, lecz obowiązek.

Odezwałem się:

– Czuję się zawiedziony.

– Dobrze mnie pan słyszy, panie Janku? – zapytał tonem, jakim rozmowę się raczej rozpoczyna, niż kończy.

Odpowiedziałem, że nieźle.

– Kiedy w południe dowiedziałem się od kontystki Asi o pańskim planie co do nocnego portiera, ledwo ją słyszałem, dlatego pytam.

Powtórzyłem mu, że słyszę nieźle.

– Coś panu opowiem.

– Kiedy, inżynierze?

– Teraz. Chyba pan nie myśli, że dzwonię do pana w sprawie tych czeskich dłużyc, które obchodzą mnie tyle co nasze, więc nic. Fatyguję pana w sprawie ważniejszej.

– Tak?

– Niechże pan posłucha. Opowiadano o tym w mojej rodzinie, bo sprawa dotyczyła jednego z wujów matki, cenionego pułkownika artylerii cesarskiej. Po manewrach

w okolicach Szegedu obraził przypadkiem węgierskiego szlachcica z tamtych stron. Każdy wiedział, co to węgierski szlachcic na początku wieku i jak bardzo z takim indywiduum trzeba uważać.

Lecz wuj mej matki tkwił w wieku dziewiętnastym, jak wielu mu podobnych, i nic nie wiedział o ambicjach młodych narwańców znad Cisy, ich chorobliwych rojeniach o niepodległości swego niedużego, płaskiego jak naleśnik, zakurzonego kraju.

A wspominał o tym, bo rzecz dotyczyła tego kurzu podczas letnich spiekot, jakie męcza tam ludzi i zwierzęta.

Wuj mej matki, daleki od stawiania czegokolwiek na ostrzu noża, stukrotnie przeprosił, lecz Madziar, niechże pan to sobie wyobrazi, uznał to za dodatkową obelgę. Być może w głosie pułkownika doszukał się śladu protekcyjności, do czego upoważniała go ranga i pochodzenie znad Dniestru, którym nie płyną śnięte od upału ryby, jak w nieodległej, żółtej od mułu Cisie.

Pułkownik został spoliczkowany. Nie było wyjścia. Wuj mej matki miał wybór broni, a szlachcic – miejsca. O czas się nie spierano, bo każdy wiedział, że ma to być świt.

Jak mnie pan słyszy, panie Janku? Dopytuję, bo to, co powiem teraz, jest ważniejsze od tego, co już powiedziałem.

Pułkownik na pojedynek nie przystał. To człowiek głęboko religijny, więc udział w pojedynku, bez względu na rezultat, był dla niego grzechem ciężkim, na który pokuty jeszcze nie wymyślono. Próbowano przekonać go po dobroci, lecz wuj okazał się nieprzejednany.

Ostatnie to były jego manewry, ostatnia kolacja przy świecach w pałacu jakiegoś miejscowego barona, gdzie bieda szła o lepsze z pretensjami, ostatnia kolacja w towarzystwie ludzi grzecznych, rozmownych, honorowych, a poranne polowanie na przepiórki w przypałacowym parku ostatnie, którego, że tak powiem, nie zaszczylił.

Ten utalentowany artylerzysta z nieodległą perspektywą na generalski lampas musiał czmychać z armii i, co boleśniejsze, z życia, jakie znał.

Gdy wrócił nad Dniestr, ani on nikogo nie rozpoznał, ani nikt jego. Kto mógł, odwrócił się plecami, bo stygmat tchórzostwa był, w co uwierzyć trudno, zaledwie dzień drogi za wujem.

A wie pan, co jest w tym najfiglarniejsze? A to, że pojedynki w armii cesarskiej były zakazane. Surowo zakazane.

Zapytam wprost, panie Janku, chce pan odejść z armii? Słyszysz mnie pan?

Aż za dobrze, pomyślałem. Od kilkunastu sekund miałem gorączkę, a w drżącej dłoni trudno mi było utrzymać słuchawkę. Chryste, ile bym dał za trzaski, grzechot lub rżenie, częsty akompaniament telefonicznych rozmów zamiejscowych. Ta była czysta

jak łaża. Żeby cokolwiek odpowiedzieć, udałem, że nie rozumiem pytania.

– Chce pan odejść z placu? – Wręcz łaskawy był inżynier. – Chce pan zostać tym, kim pan jest w istocie, to znaczy nikim? To plac czyni pana kimś, kogo da się jakoś rozpoznać. Nikt nie powie: oto młody Ruczaj, bo to nic nie znaczy. Młody Ruczaj z placu, to inna sprawa. Plac to pańskie przeznaczenie. Niechże się pan nie łudzi, że ma pan jakiś wybór, że to i tamto, że jak pan oszuka siebie albo innych, to wyjdzie pan na swoje. Prawda nie brzmi źle.

Ma pan plac, ludzi, którzy pana lubią, nie lubią, którzy z pana pokpiwają, którzy panem gardzą i którzy, być może, będą pana szanować, jeżeli pan zacznie szanować siebie. Chce pan podzielić los wuja mej matki? Nie namawiam. O czym mówimy? O tym, że próbuje się pan wyłgać z własnego zobowiązania na oczach monterów, szoferów, pomocników i ładowaczy. Kombinuje pan jak koń pod górę. A rzecz jest prosta.

Moje pytanie zabrzmiało głucho:

– Jak prosta, inżynierze?

Odpowiedź przyszła po chwili:

– Jak drut.

Atak paniki mniej był zmasowany, niż mógłbym się spodziewać. W każdym razie przygotowałem się na więcej, toteż fala gorąca, jaką schłodziły strumyki potu ciekące mi po plecach, rąbnęła w moją godność i się rozpadła, a za nią nie ruszyły następne. Gdy do mych stóp przydreptał podtruty karaluch, czułem już tylko wilgotne zimno.

– Lubię pana, lecz z tego powodu nie stawiam ponad innych. – Głos inżyniera jak zwykle był pełen uprzejmości, jakiej mnie przez resztę życia tak bardzo brakowało. – Nawet jak jest pan lepszy od innych, to inny jest pan, koniec końców, jak każdy z nich. Jest pan tam?

– Naturalnie – odrzekłem cicho.

– Dobrze mnie pan słyszy?

– Jakbyśmy rozmawiali twarzą w twarz.

Karaluch znieruchomiał przy moich stopach i była taka chwila, w której pozazdrościłem mu śmierci. Nawet jak na chwilę nie trwała długo.

Jak można letniego wieczoru, w pierwszej młodości, która nie musi o nic zabiegać, bo wszystko ma z należnych jej uprawnień do zdrowia, wdzięku, egoizmu, nieodpowiedzialności, zazdrości śmierci? Jeżeli już się o nas otrze, to szukamy przed nią ratunku.

Nie będę ukrywał, że przez kwadrans nie opuszczała mnie myśl, że śmierć karalucha w tym samym momencie, w którym inżynier wydał w moim imieniu wyrok na nocnego portiera, potraktowałem jako zły znak. Przez kwadrans lub kilka minut dłużej.

Na takie momenty są czarownice, a czarownicą była Julia Neider. Nie taką jak te z bajek, wiejskich podań, mniej lub bardziej literackich legend, tylko z kości i krwi, więc mocniejszą.

Omen czy nie omen, chciałem gdzieś umknąć przed zobowiązaniem, jakim się obciążyłem i jakie zostało odkryte i rzucone motłochowi na plac. Zapragnąłem dać nogę od siebie, ulicy Piekarskiej, bazy, placu, nawet Wiernikowej. Nie mógł mi się trafić w tej sytuacji nikt lepszy niż Julia, nawet jeżeli jej powrót był wątpliwy.

Wskoczyłem na rower i ruszyłem w dół, opłotkami na skróty, między domami w zapuszczonych ogrodach, bukszpanowymi alejkami, wśród tarnin i zdziczałych róż, ku starej szkole.



Nie jest już taka ładna czy nigdy nie była? – zapytałem w duchu sam siebie, gdy wyszła mi naprzeciw, jakby mnie oczekiwała. Musiałem być za surowy, by dostrzec w niej i docenić ten pociągający mnie później w kobietach rodzaj bezbronnej nieprzynależności do czegoś, co by je określało.

Wszystko w Julii było takie jak przedtem, tylko zmęczone, wyblakłe, przykurzone, pozbawione blasku, pożegnane z młodością. Za głupi byłem, by wiedzieć, że stygmat cierpienia na doskonałość czyni kobietę niezrównaną, bo nasze pożądanie przegrywa walkę ze wzruszeniem.

Gdy wracam myślami do tego wczesnego wieczoru na progu nieczynnej od trzech lat szkoły, zamienianej wiosną i latem na spartański dom wycieczkowy, z Julią Neider wychodzącą mi naprzeciw, to wiem, że na docenienie niepowtarzalności naszego spotkania byłem za surowy.

Gdybym był mężczyzną, Julia wzruszyłaby mnie do dna duszy nawet tym, że smukłą dłonią przesłaniała sobie prawą część twarzy, jak sam to robię od wielu lat, gdy nie czuję się pewnie. Chciała mi powiedzieć: jestem teraz taka, jaki ty będziesz? Miała to na końcu języka? Gdybym był mężczyzną, tobym się zatrzymał i przynajmniej nad tym zastanowił, ale nim nie byłem lub, by sobie nie naurągać, jeszcze nie byłem, więc zagrała we mnie wyłącznie chłopięcość przyznająca sobie wszelkie zasługi.

Zamigotałem jej zdrowiem, głupotą, zmysłami. Zbliżyłem się do niej na odległość oddechu, cały w tych swoich przewagach, wolny od lęku, jakim jeszcze tak niedawno napompuwał mnie inżynier, bez zobowiązań wobec jakiegoś pieprzonego honoru, z chwili na chwilę bezpieczniejszy, a Julia, spłoszona taką bezceremonialnością, oparła rękę na mej piersi i rzekła głosem, którego nie rozpoznałem: nic z tych rzeczy, mój drogi.

Bo też nie rozstaliśmy się w przyjaźni. Siedem lat temu, na przełomie maja i czerwca, gdy chłody i deszcze dały wreszcie za wygraną, Julia zamknęła nas na klucz w klasie na pierwszym piętrze w pustej już szkole i kazała zastanowić się poważnie nad formą pantomimy, w jakiej przedstawimy kazachską baśń o El Dinie, by pokazać to na uroczystości zakończenia roku.

Ponieważ Błokowi i jego *Dwunastu* stawiliśmy opór, z którym nawet energia Julii sobie nie poradziła, to ukarała nas ich przeciwieństwem. Kazachska baśń nie była dla nas, gdyż my, między innymi dzięki Julii, byliśmy już gdzie indziej. Mogli ją zainscenizować uczniowie pierwszych klas, ale nie przedostatniej. Poczuliśmy się upokorzeni.



Marta zawyrokowała, że nie powinniśmy Julii o nic prosić, tylko się zbuntować.

Zapytałem dlaczego, a ona odrzekła, że to głupie.

– To, co robimy?

– Tak, Janku, to, co robimy, jest głupie.

– No to chodu – syknęła Ola. – Przez okno.

Szymon zajęczał, że to za wysoko, ale on i ja wiedzieliśmy, że rzecz została zadecydowana przez dwie bardzo młode kobiety, które w Julii od jakiegoś czasu dostrzegały rywalkę, a nie nauczycielkę.

Gdy spuszczaaliśmy się po piorunochronie na dach sali gimnastycznej, by na dwa dni zniknąć w lesie na zachodnim grzbiecie, nim nas odnaleziono, wiedziałem, że uczestniczę w przestępstwie, za które spotka mnie kara. Ale nie przypuszczałem, że kara przybierze postać nagrody. I że moje życie stanie się nagrodą, jaką otrzymam za karę.

Tak czy owak, znalazłem się obok Julii. Dotykaliśmy się nagimi ramionami na wąskim, białym, żelaznym łóżku, nakryci prześcieradłem, które pachniało wiatrem. Oprócz naszego stało tu jeszcze dziewiętnaście identycznych łóżek z siennikami, których woń, w zależności od miesiąca ich napełnienia, może być przykra lub przyjemna.

Okna klasy wychodziły na północ i w środku panował półmrok pozwalający odpocząć od upału.

– Tak właśnie myślałam – szepnęła Julia, przyciskając prawą stronę twarzy do poduszki.

Nie mogłem nacieszyć się jej bliskością. Czułem pod lewą łopatką, biodrem, pośladkiem i łydką ostrą ramę łóżka opadającego ku Julii, która w ten sam sposób opadała ku mnie. Smakowałem rozkosz, jakiej zaznałem z kobietą, która jeszcze przed chwilą oddalona była o przestrzeń niemożliwą do wyobrażenia.

Nie przestałem czuć podniecenia, tego nieustającego łakomstwa, które zaspokajane, nigdy nie ma dość, co wynika ze zdrowia, młodości i prostoty.

Nie ma co ukrywać, gdy późne popołudnie przeszło w wieczór, poczułem, że mam na własność coś, czym mogę rozporządzać, do czego przyznałem sobie prawo napisane przez naturę.

I kiedy wspominam ten dzień po dziesięcioleciach doświadczeń z innymi kobietami, nie mogę sobie przypomnieć – cieszyłem się Julią czy sobą obok niej. Czy egoizm młodości, jedyne, co mi do dziś po niej pozostało, pozwolił mi choć na chwilę, po ludzku, pomyśleć o niej nie tylko jako obiekcie własnych przewag, ale bratniej duszy.

– To nie dla ciebie! – krzyknęła Julia osiem, może siedem lat wcześniej, wyrywając mnie z kłębowa, w jakim licytowaliśmy się zaciekle, gdy we trzech napadliśmy Kabana Wolskiego w sprawie magnezu, za który mi nie zapłacił.

Namówiłem na tę przygodę dwóch braci Karykowskich, najsprawniejszych w naszej klasie, sądząc, że przyjmą na siebie ciężar walki, lecz w trakcie, gdy wzrost, waga, wiek i adres Kabana, Nadrzeczna 3, koło grobli, zaczęły brać górę, postanowili oddać mi pole. Nie miałem takiej ambicji i to, co zapowiadało się na łatwe zwycięstwo, zmieniało się w klęskę, a Julia pojawiła się za letnimi ubikacjami w samą porę.

Miałem rozbite wargi, pęknięty nos, skręconą nogę i poranione kostki palców, bo Kaban Wolski szczyrzył zęby. Julia zaprowadziła mnie do pustego już pokoju nauczycielskiego, kazała usiąść na krześle i mokrą chusteczką z monogramem gasiła płomienie na mej twarzy.

Wstyd przegrał natychmiast ze szczęściem, a bliskość ciała nauczycielki powyszczuwała ze mnie emocje związane z bójką.

Znałem ciepłe, jałowe pieścizoty dwóch starych kobiet, którym się poddawałem, by nie sprawić im przykrości, ale to nie miało nic wspólnego z Julią, jej delikatnością, uwagą w awangardzie nieznanym mi, lecz przeczuwanym tajemnic.

Nie pachniała niczym, jakby była czystym powietrzem. Przywykłem do woni biedy, pośpiechu, zapracowania, jaka w naszych stronach nie odstępowała ludzi, wydała się nie tylko inna, lecz nieskalana. Anielica w piekle powojennej codzienności. Więc nieosiągalna na zawsze.

– Tak właśnie myślałaś? – zapytałem, układając twarz na jej obojczyku, zamykając jej doskonale ciało, w przeciwieństwie do twarzy nietknięte jeszcze przez lata, jakie minęły, w mocnym uścisku.

– Tak właśnie myślałam – odrzekła. – Opuściła mnie Marta, Ola, Szymon i ty, raz na zawsze. Jeśli wrócicie, myślałam, to inni. Dlatego o nic już nie walczyłam. Podjęto wobec mnie decyzje, a ja się im poddałam. Postanowiłam być posłuszna i ze wszystkim pogodzona. Dlatego to już nie było potrzebne.

– Co?

– Spójrz, mój miły.

Uniosła się na łokciu. Zgarnęła włosy za ucho. Odsłoniła dziesięciocentymetrową, źle zrośniętą bliznę od potylicy, przez policzek do zuchwy.

– Co to jest? Chryste!

– Brzytwa, nóż, szkło... nie wiem. Ale wiem, że w waszym imieniu. W imieniu dzieci poddanych wymaganiom bezwzględnej nauczycielki, którym nie umiały sprostać. W imieniu tych, od których oczekiwałam mniej niż od was, i w imieniu tych, od których nie oczekiwałam niczego, i w imieniu tego miasteczka, które nie zamierzało zdobyć się na żaden niekonieczny wysiłek. I w imieniu każdej swoloczy, jaka postanowiła się mnie nie bać, bo jej powiedziano, że już nie musi.

Obsypałem Julię pocałunkami bez wartości.

– To miało być oko, policzek, usta. W ostatniej chwili obróciłam głowę i ostrze trafiło nie tam, gdzie trzeba. Zraniona, lecz nie oszpecona ostatecznie, mój miły. A miano mnie raz na zawsze oszpecić, żebym nie mogła pokazać się ludziom. Rozumiesz, mój miły?

Nie starałem się zrozumieć. Słowa współczucia przychodziły mi lekko, miałem ich pod ręką więcej niż trzeba, więc mogłem w nich przebierać. Wstyd przyznać, lecz zajęty byłem, jak zwykle, sobą. Pamiętam nawet, że przytulając Julię coraz mocniej, zerknąłem w szybę otwartego okna, by sprawdzić własne w nim odbicie. Do diabła, nie wyglądałem źle.

Z oddalonej o pół kilometra szosy, równoległej do budynku szkoły, słyszałem rżenie naszego ostatniego dzemsa, który dobiegał już swych dni, a cisza obydwu zapuszczonych boisk do szczypiorniaka i siatkówki była zastanawiająca. Nawet kozy wypasane na pierwszym zachowywały się jak duchy.

– Co było potem? – zapytałem szeptem, przysuwając wargi do ucha Julii.

Odpowiedziała, że nic, co chciałyby wspominać.

– Opowiadano, że wyjechałaś do Rosji razem z ojcem, którego przeniesiono do jednego z północnych garnizonów.

– Do Rosji? – Julia wyswobodziła się z mego uścisku i położyła płasko na sienniku, nakrywając piersi zgiętą w łokciu ręką. – Do Rosji się nie wraca, jak się nie musi. Nie musiałam wracać do Rosji.

– Więc co się z tobą działo przez tych siedem lat?

Julia zamknęła oczy, rozchyliła wargi i jej twarz odmłodziła.

– Siedem lat? Myślałam, że więcej. Chorowałam.

– Na co?

– Tego nikt nie wie. Ale jestem już zdrowa.

– A twój ojciec? Opowiadano, że jako ruski generał...

– Nie mów, mój miły. Nie zapomniałam mu niczego. – Julia zacisnęła powieki, a mimo to łza wymknęła się spod nich i spłynęła po policzku. – Życia nie starczy, by zapomnieć. Nie pytaj o niego.

Zapytałem raz jeszcze ze szczeniackiej ciekawości przekonany, że nie muszę słuchać jej przestroóg. Nie ona zadecyduje, czy mi coś powie, ja zdecyduję, czy zechcę jej wysłuchać.

W klasie zrobiło się szaro; nastąpiła dobra godzina na opowieści. Chciane albo niechciane. Musiało to Julię przekonać. Nieopowiedziana historia lubi stanąć w gardle. A poza wszystkim, nie ona była tu szefem.

Powiedziała coś o zimnych oparach i rzekach o rozległych zakolach, o sierpniowym zimnie, że aż strach.

Zapytałem, o czym mowa, a ona zawahała się, nim odrzekła, że o Rosji, jakiej nie lubi.

– Na północ od Moskwy, w stronę Kargopola i tych jezior, do których nie można się dostać. Moja matka też jej nie lubiła, zawsze było jej zimno. Zziębnięta, lato czy zima, na kość. Mam to po niej. To nie był kraj dla niej ani mąż. Ale uparł się na nią. Zawziął, jak na zaszczyty w Krasnoj Armii. Bydlę ponure. Rozumiesz, mój miły?

Wtrąciłem, że to się zdarza, jakbym to odniósł do sytuacji, o jakiej wiem swoje, a Julia na to rzekła jak przez sen:

– Ale nie w życiu, mój miły. Ognisko dymiło bez ciepła, tylko taki smród, jakim się przechodzi na wilgotnym chłodzie. Ojciec i jego dwóch podkomendnych w samych rubachach na brzegu Swidu. Niby ryby łowili, ale raczej nie. Litrowa butelka strasznej wódki wędrowała z rąk do rąk. Ale z pieśnią im nie szło. Same ruskie basy. Potrzebowali wyższego głosu, bo to się gdzieś ścieliło przy samej ziemi, razem z tymi oparami. Coś o brzezynie, jarzębinie, kozaku; matka tego słuchać już nie mogła. A ojciec ją zaczepiał: Aniućka, przyłącz się, pociągnij górą. Ale jej do śpiewu nie było; obca temu obyczajowi. Rozumiesz, mój miły, zupełnie obca. Musiało być jej coraz zimniej, bo zaciskała na sobie szynel, a oni porozchelstywani, w samych rubachach nad wodą.

– Grzała ich wódka – wtrąciłem takim tonem, jakbym coś właśnie odkrył.

Julia się odwróciła. Plecy miała nietknięte słońcem, co tego lata nie było łatwe. Ledwo ją słyszałem, gdy odezwała się po dobrej chwili, która wystarcza, by coś wymyślić.

– Ojciec wstał znad wody i podszedł do ogniska. Coś matce powiedział, ona mu coś odpowiedziała, on krzyknął, a ona umilkła. Wyjął z kabury rewolwer i zapytał niby grzecznie: kiedy pokochasz moją ojczyznę, ty kominternowska suko? A matka mu odpowiedziała: nie czekaj, lejtnancie, bo się nie doczekasz.

Strzelił jej w twarz. Z bliska. Nic nie zostało, jakieś strzępy. Był trzydziesty ósmy, porozwalano już wszystkich, komandarma i resztę, ojciec był bezkarny. Miesiąc potem awansował. Nad rzekę już nie jeździł, pieśni nie próbował.

– Co ty mi opowiadasz? – Pochyliłem się nad Julią przez bark. – Czym mnie straszysz?

– Byłam z matką. Komu miała mnie zostawić? Czteroletnia dziewczynka pamięta wszystko. Strzał i jęk.

– Jezu... Twoja matka żyła jeszcze?

– Umarła natychmiast. Jęknął akordeon. Kiedy ojciec strzelił, akordeon zsunął mu się z ramienia i upadł na kamień. To on tak jęknął.

– Ten akordeon?

Skinęła głową.

– Słyszę go do dziś. Chciałeś mnie zapytać, czy wróciłam do Rosji?

– Już nie.

– Chciałeś mnie zapytać, czemu wróciłam do S.

Potwierdziłem.

– By wyjechać. – Julia opadła plecami na poduszkę. – Raz na zawsze. Duszę się. Musisz mnie zrozumieć i pomóc. Przyjechałam po pomoc.

– Do nas?

– Nie, do ciebie. Przecież wiesz, mój miły. Nie chcesz mojej śmierci.

– Prędzej wybrałbym swoją! – krzyknąłem w porywie egzaltacji i chcąc nie chcąc,

zawarłem kontrakt z odpowiedzialnością.

– To mi pomóż. Mam dolary.

– Amerykańskie?

– A jakie?

Wobec zobowiązania, jakie podjąłem o świcie, każde inne wydało mi się zabawą.

Zapytałem Julię, czego po mnie oczekuje poza tym, że nie pozwolę jej umrzeć.

Odpowiedziała rzeczowo:

– Czytałam w gazetach, że zabieracie drzewo z Czech po czerwcowych huraganach.

– Kłamiesz, Julio. – Czułem na plecach chłód, który nie mógł się brać z tego, co wokół nas. – Zabieramy, ale to tajemnica. Nie piszą o tym po gazetach. To tajemnica.

Rzeczowość Julii mi się nie spodobała. Przyjemna rozmowa o nieszczęściach innych zaczęła się konkretyzować w sposób, jaki odpowiada tylko durniom niełąączącym przyczyn ze skutkami.

– Przeczytałam też...

– Nie upieraj się, Julio.

– No dobrze, powiedziano mi, co za różnica.

– Kto?

– Ktoś. Mam dolary.

– Już mówiłaś. Ile?

– Wystarczy.

– Dokąd?

– Jak najdalej. Na razie do Chebu.

– Co to jest Cheb?

– Miasto w Czechach niedaleko granicy, ale piętnaście kilometrów dalej są już

Amerykanie.

Była taka chwila, jestem jej pewien, gdy to wspominam, gdy Julia zawahała się mimo ufności. Miała prawo się dusić, bo czasy zrobiły się wredne. Nie okrutne, bezlitosne, kategoryczne jak te, którym tak skwapliwie służyła, tylko ciasne, wredne i nikczemne.

Miała prawo się zawahać. Ale to przesądziło sprawę na jej rzecz. Ten moment

niepewności sprawił, że postanowiłem zrobić coś dla siebie. Przez chwilę nie dłuższą niż niepewność Julii pomyślałem, że los podsuwa mi możliwość sprawdzenia siebie na serio, jaka może się już nie powtórzyć, bo los, przeznaczenie, fatum czy co tam za nas decyduje, przekona się, że podsuwanie mi okazji to strata nie tylko czasu.

Miałem wrażenie, że to szlachetniejsza próba niż ta, na którą namawiali mnie Wasyl Horanin, Witek Stefanowicz, Ludwik Końcówka, inżynier i kontystka Asia, niż ta, jakiej oczekiwał plac.

Nie znałem jeszcze pokerowej zasady, że niewykorzystana karta już nas nie wyróżni, lecz instynkt mężczyzny, jakaś pamięć złożona w genach podpowiedziały mi, że jeżeli się cofnę, to przegram. Nie tylko młodość.



Do stołu z ruletką zasiąść trzeba, a kasyna się nie ominie. I choć życie z definicji jest przegrane, a nadzieja, że da się w nim też coś wygrać, iluzoryczna, to jak się ma dwadzieścia lat, można tego nie wiedzieć.

Nie pamiętam, co chciałem wygrać, potwierdzić, przełamać, zgwałcić lub wyróżnić. Czemu zaprzeczyć, kogo przekonać, lecz duma, jaka się we mnie zaczęła panoszyć, wielkiego pola manewru mi nie zostawiła.

Mogłem zrobić krok w przód lub pozostać na miejscu, to znaczy cofnąć się do bezpiecznej strefy zdrowego, przyjemnego, nieco egzaltowanego i samolubnego życia.

Myślę, że moje tchórzostwo brało się nie tyle z lęku przed męskimi wyzwaniem, bo zdarzało się mi je prowokować, ile z zerowej tolerancji na niewygodę. A odwaga to niewygodę. Niewygodę zaś, małą czy dużą, przeciwna jest najmarniejszej nawet przyjemności. Zaprzeczyć mogłem wszystkiemu poza przyjemnościami, bo bez nich nie istniałem. Lecz zdarzyło się coś, czego żadne sedno znanych mi spraw nie zawierało.

Gdy wywołany kilka minut wcześniej Fabian Sulgowski, stojąc plecami do swego odpicowanego domu, rozwielnionego w odpicowanym ogrodzie, w którym odpicowana żona zajmowała się dwojgiem odpicowanych dzieci, warknął nieprzyjaźnie: – Chyba żartujesz, Ruczaj – poczułem żądło, ból i satysfakcję. Nie jad tak działa, tak działa duma.

Nie uważałem, że w życiu jest coś lepszego od niewyszukanych przyjemności, i nie uważam tak nadal, lecz zdarzają się momenty, nieważne jak zdradzieckie, w których przykrość staje się przyjemnością z samej istoty swego przeciwieństwa, bo szukamy mroku, by docenić blask.

Odezwałem się głucho:

– W jakiej sprawie, Sulga?

– O co pytasz?

– W jakiej sprawie twoim zdaniem żartuję?

Stałem w półmroku, bo wieczór przeszedł już w zmierzch i wszystko złagodniało. Leszczyny pod metalowym parkanem zlewały się z niebem, a niebo z horyzontem.

Pies sąsiadów już nie ujadał. Sulga nie krył pretensji.

– Mam przewieźć tę sukę przez granicę?

– Za sto pięćdziesiąt dolarów – odrzekłem. – Gdybym był na twoim miejscu, tobym się nie zastanawiał. Żeby przycumować taką flotę, musicie we trzech tyrać przez pół roku pod warunkiem, że wóz wam będzie sprzyjał i pogoda. A tu, nim zaczniesz świtać, już ją macie.



Ty i tych dwóch pajaców, z którymi robisz. Więc nie mów mi, że żartuję.

– A ryzyko?

– Ryzyko kosztuje więcej niż sto pięćdziesiąt dolarów, ale go tu nie ma. Wiem od chłopaków, jak jest na granicy. Czesi sprawdzają rejestrację i numer nadwozia, jeżeli auta są od nas. Raz na dziesięć przelotów prawo jazdy, to wszystko. Zresztą, co innego mieliby sprawdzać, paszportów i wiz nam nie wydano. Kryminał jest wtedy, gdy wracasz na pusto.

– Tak bym właśnie wrócił, gdybym pojechał z tą suką przez granicę. Dlatego mówię, Ruczaj, że żartujesz.

– Zapytam cię raz jeszcze, Sulga, w jakiej sprawie żartuję, a ty mi odpowiesz poważnie, żebym nie tracił czasu.

– Moja praga nie weźmie dłużyc, a tam nic innego nie ma. Nie tną na papierówkę. Z czym mam wracać?

– Dostaniesz tatrę.

– Tatrę?

– Po Romanowskim. Do powrotu inżyniera, a potem na tak długo, jak długo będzie ci służyć. Biorę to na siebie. Nie trać okazji.

Zwykle nasłuchać się nie mogłem tej przednocnej ciszy, kiedy wszystko milknie, nawet zamęczone upałem psy na łańcuchach, drutach, powrozach, przykute do lodowatych zimną i rozgrzanych latem blaszanych beczek po olejach, wpasowanych, dom po domu, w cegły z augsburskiego kościoła.

Lubiłem to intermezzo, po jakim odzywały się niezawodne wilgi i te z psów, które doszły do siebie po udręce spiekot, i pijacy, nim nie zmorzył ich sen najsprawiedliwszych. Ale tego wieczoru nasłuchiwałem tylko swojej nadziei.

– Pogadaj z Horaninem – rzekł po namyśle Fabian Sulgowski.

– Czemu z Horaninem?

– Bo ja tej suki przez granicę nie przeprawię.

Asteniczna, czymkolwiek by się okrył, zawsze wytworna sylwetka szofera zaczęła wsiąkać w tło, jakie w sierpniu lubi przypodobać się nocy w przeciwieństwie do zmierzchów czerwcowych lub lipcowych, które nocy nie ustępują, bywa, że do świtu.

– Wietrzę tu podstęp.

– Nie ma podstępu, Sulga.

– Może i nie ma.

– Horanin to narwany skurwiel, a ze skurwielami interesów się nie przybija.

– Usłyszałeś odpowiedź, Ruczaj.

– A ty straciłeś okazję, jaka długo ci się nie trafi, a może nigdy.

Właśnie miałem się odwrócić i ruszyć zawiedziony w stronę furtki, gdy Fabian zapytał cicho:

– Już idziesz?

Waha się, pomyślałem. W istocie to przewidywalny, inteligentny gość. Musiał się podroczyć, to zrozumiałe. Odpowiedziałem mu równie cicho:

– A co, chcesz zaprosić mnie na lemoniadę, przedstawić żonę, dzieci, pokazać dom?

Opowiedzieć rodzinie, co przeszło ci koło nosa?

– Daruj sobie te żarty. – Fabian zmarkotniał. – Późno już. Powiedziałeś, że będzie za to sto pięćdziesiąt waszyngtonów.

– Zgadza się.

– I że masz je przy sobie.

– Powiedzmy.

– To mi je daj, żebyśmy się już nie musieli spotykać drugi raz w tej sprawie.

– Za co?

– Za milczenie.

– Żartujesz.

– Pasowałoby mi zakapować cię, bo psiarnia odpuściłaby mi te ulotki, co ich nie roznosiłem, ale nie zakapuję, jak dostanę walutę, co mi się należy jak psu kość.

– Żartujesz, Sulga.

– Obaj ześmy pożartowali, a teraz już nie żartujemy, bo zrobiło się późno. Waluta.

– Nie mam jej przy sobie.

– Mówiłeś, że masz.

– Żeby cię zachęcić.

Mroczny zwykle Sulgowski uśmiechnął się i twarz mu zeszpetniała.

– No to zachęciłeś.

Nie było czasu na trwogę. Nic by jej też nie sprzyjało; ani cisza w starannie utrzymanym ogrodzie, ani łagodność sierpniowego zmierzchu, ani oględny, miły w sposobie bycia szofer. Więc kiedy ostrzegł mnie, że poczeka do dziesiątej, ale żebym nie próbował go kiwnąć, bo ci, którzy próbowali, do dziś tego żałują, jego przestroga wydała mi się tak nierzeczywista jak propozycja, z którą do niego przyszedłem.

Kiedy zamknąłem za sobą furtkę i wskoczyłem na rower, poczułem raczej pustkę, jak wieczorami, po których zbyt wiele sobie naobiecowałyśmy, a na które nie mamy innego pomysłu niż lęk.

Dopiero gdy znalazłem się przed Julią w zupełnie już ciemnej klasie, by powiedzieć, że wszystko jest na dobrej drodze, lęk zaatakował tego dnia po raz trzeci, ale, sam w to nie mogłem uwierzyć, po raz pierwszy to był partner, nie przeciwnik. Poczuję się z nim jak

zawsze źle, lecz pewnie. Jakbym pierwszy raz w życiu stanął po wspomnianej przez inżyniera stronie miecza i jakby to od zarania była moja strona.



Julia zauważyła zmianę. Gdy oznajmiłem jej, że wszystko jest na dobrej drodze, miała mnie za chłopaka, który opuścił ją godzinę wcześniej, ale gdy wyciągnąłem dłoń i rzekłem twardo: waluta, to pieniądze oddała komuś, kogo nie znała.

Żadnych złudzeń, Julio. Skoro to tylko interes, to traktujmy się jak ludzie, którzy się interesami zajmują.

To co nas teraz łączyło: mnie, Julię i Sulgę, skrupulatnie nas podzieliło. Staliśmy każde po swojej stronie, a ponieważ strony są cztery, to wolna była celem każdego z nas.

Już sposób, w jaki kilkakrotnie przeliczyłem dolary, uświadomił Julii, że serdeczność, jaką jej okazałem, i współczucie, gdy opowiedziała mi historię swej matki, zostały zawieszane.

Dostałem pięć dwudziestek, osiem piątek i dziesięć jedynek. Jakby ktoś wiedział, że będą podzielone.

Kwadrans potem, już na granicy zmroku i nocy, pchnąłem furtkę. Fabian czekał na mnie w towarzystwie Wasyla Horanina. Dolary przeliczył jeszcze skrupulatniej niż ja, gdy odebrałem je od Julii, stęknął: w porządku, i jak gdyby nigdy nic zapytał, co tam u suki. Przesyła serdeczności, odpowiedziałem.

Wasył podsunął mi umorusaną smarami paczkę sportów w dwudziestkach. Nie skorzystałem. Powietrze to była ciepła wilgoć, po raz pierwszy od wielu tygodni, a od góry Kynast ciągnęło nieznanym tego lata chłodem.

– Sprawy mają się tak. – Sulga stanął między mną a Horaninem. – Pięćdziesiąt waszyngtonów bierze Wasył w zamian za swoją tatrę do rana. Pięćdziesiąt biorę ja za to, że ją do rana przejmuję. Po dwadzieścia pięć bierze każdy z moich chłopaków za to, że wezmą w tym udział. Ruczaj obywa się smakiem.

– Nie może być sprawiedliwiej – odpowiedziałem mu spokojnie, jak ktoś, kto przynajmniej na jakiś czas znalazł się po stronie miecza.

W tym spokoju, wręcz zadowoleniu, musiało być coś, co cwanego Sulgę zreflektowało, bo po chwili zastanowienia zdradził mi wariant niebrany przez nich na serio pod uwagę, gdy umawiali się z Wasylem Horaninem na łatwy zarobek kosztem suki i jej psa.

– Powiedz mu, Wasył. – Fabian wskazał mnie głową i Horanin powiedział, że nim na dobre rozjarzy się brzask, Fabian pojedzie pierwszy jego tatrą z dwoma swoimi ładownicami, a ja za nim tatrą po Romanowskim, którą wyprowadzę z placu z dziewczyną w pudle na narzędzia pod kanapą czy gdzie. W górach uzupełnię bak

pięćdziesięcioma litrami nafty z baku Horanina, ale do Kamiennej muszę sobie poradzić z tym, co jest. Fabian granicę przejeżdża, mnie na niej zatrzymują. Tłumaczę im, że brakuje ładowaczy i pomocników, w związku z czym się nimi dzielimy. Mam szczęście i knedle mi wierzą. Za granicą dziewczyna idzie, gdzie chce, a chłopcy Fabiana pakują obydwaj wozy. Kolejność powrotu jest odwrotna, bo gdybym miał z pięcioma tonami świerków się rozpierdolić, to na swój rachunek.

– Jest tak? – Horanin spojrział na Sulgę i było widać, że jest.

Wariant to był, biorąc sprawy na zimno, mało prawdopodobny, lecz uzgodniony. Jakby się domyślili, że rozmawiają z kimś, kogo do końca nie znali, z kimś, kto przeszedł na stronę, o jakiej wiedzieli niewiele, poza tym, że umacnia w nieprzejednaniu. I że mają do czynienia z mężczyzną wprawdzie bardzo młodym, lecz nie gorszym od nich, który w interesie kobiety poza zasięgiem każdego z nich robi coś na rzecz honoru. Lecz honor honorem, a życie życiem. Nie mogłem nie zapytać:

– Jak?

Odpowiedzieli, że jak wszyscy. Od granicy do Górnej na drugim biegu i hamulcu ręcznym. Jak się spali, to już będzie równiej. Od Agnieszkowa na trójce, bez obaw. Horanin dodał, że podobne drogi robi zimą na wylodzonym śniegu.

– Nie mam prawa jazdy – dodałem, nie żeby się wycofać, bo byłem jak po lornecie, ale żeby podnieść swą wartość w ich oczach i przekonać, że mimo przeciwności losu zrobię swoje.

Nie zwrócili nawet uwagi, jakby to było oczywiste, bo przecież żaden z nich o posiadanie prawa jazdy mnie nie podejrzewał.

– Na twoim miejscu, Ruczaj – rzekł wręcz przyjaźnie Fabian Sulgowski – zastanowiłbym się, gdzie ukryć sukę w kabinie, bo wielkiego wyboru tam nie ma.

Równie przyjaźnie mu odpowiedziałem:

– Ale to już nie twój kłopot, Sulga.

Zmierzch uwinął się w try miga i nim dogadaliśmy sprawy, zastała nas ciepła, sierpniowa noc, która zneutralizowała strumień chłodu, jaki zaatakował ją od góry Kynast.

Doświadczałem nieznanymi mi rzeczy. Nie wiem, czy Sulga by mnie zadenuncjował, ale może takie podejrzenie było mi na rękę, bo odcinało wyjścia. Zdarza się, że postępujemy mężnie, bo zmusza nas do tego sytuacja, a nie nasza natura.

Męstwem jest obojętne, co nas do niego skłoniło, świadkowie naszej odwagi nic nie wiedzą o pochodzeniu, a my, i to jest najważniejsze, w miarę upływu dni, tygodni, miesięcy, a bywa, że lat, umacniamy się w przekonaniu, że jedyną przyczyną naszej dzielności był honor.







To zabawne, czym w chwilach opresji potrafimy się przejmować, co nas męczy, niepokoi, zastanawia. Mnie męczyło wrażenie, że bak tatry jest pusty i nafty nie starczy nawet na wyjazd z S.

Kiedy cofnąłem potężną ciężarówkę i podprowadziłem pod portiernię, wydało mi się, że stuosiemdziesięciokonny motor nie pracuje równo, że zamiera, jak to się dzieje, gdy pompa nie podaje paliwa, bo go zaczyna brakować. Kiedy dodawałem gazu, miałem wrażenie, że obroty się nie zwiększają, a gdy go zwalniałem, motor wprowadzał podwozie i kabinę w jakieś nieznane mi paroksyzmy.

Sierpniowe noce już nie są jasne. Dochodziła czwarta, a było jeszcze ciemno. W portierni nikt nie zapalił światła; robiła wrażenie opuszczonej.

Wcisnąłem klakson, odezwał się głucho, jakby w niemocy współpracował z motorem. Wrzuciłem na luz, zaciągnąłem ręczny i załomotałem w drzwi.

Długo trwało, nim ukazał się w nich Wajszczyk. Wyglądał na przestraszonego. Rolę gościa wyrwanego ze snu zagrał źle. Widać było, że czuwał.

Poprosiłem go, by zwolnił łańcuch blokujący wyjazd z placu na główną i w praktyce jedyną ulicę w S. wyłożoną dobrą, granitową kostką. Odparł, że odpowiada za to, co jest na placu, i nie wypuści mnie przed siódmą. Wspomniałem o telefonie inżyniera, jego poleceniu, by w związku z pogromem lasów po czeskiej stronie żaden sprawny samochód nie wagarował, bo to kryminal.

– Do mnie nie dzwonił – rzekł dozorca placu tonem niesugerującym ustępstwa.

– A kiedy inżynier do ciebie dzwonił i w jakiej sprawie? Za kogo ty się masz, Beniu? To ja zastępuję szefa. Jak jest coś do uzgodnienia, to inżynier uzgadnia ze mną, więc się nie upieraj i zwolnij łańcuch.

Wajszczyk odrzekł, że zastępcą to ja dla niego nigdy nie byłem, nie jestem i nie będę.

– Wypisujesz kwity i tyle. A teraz odstaw wóz na miejsce i zabieraj się stąd. W nocy nie masz czego tu szukać. Ani ty, ani nikt inny. Przepędzę każdego, gdyby co, bo taką mam na placu odpowiedzialność.

Niesparalizowana połowa twarzy zdolna do wyrażania najgorszych uczuć – inne nią nie władały – znów przybrała swój nikczemny, niebezpieczny wygląd.

Nie wiedział, że nie mam wyjścia. Co sądził o mym zamiarze wyprowadzenia tatry, budzącej najgorsze obawy u przesądnych szoferów, o czwartej nad ranem z chronionego przez siebie placu – nie wiem. Lecz nie podejrzewał, że jestem w sytuacji, która wymaga

ode mnie stanowczości. Bo gdyby podejrzewał, jego nieprzejednanie byłoby ostrożniejsze.

Tak jak jemu nie wyszła rola zaspanego dozorca, którego budzi ze snu niespodziewana wizyta, tak mnie musiała się nie powieść kreacja człowieka, z jakim się nie układa.

Nie wiedział, że dotknięty przez piękną nauczycielkę, o której swego czasu tyle musiał słyszeć, zostałem aplikantem spraw nieprzewidywalnych. Nie wiedział, jak szybko się o tym przekona. Bo też odezwał się jak ktoś, kto tego nie wie:

– Gdyby było, jak mówisz, hrabia, tatra garażowała by na bazie przy stacji pomp, jak te, które są w kursie, a nie na placu. Ona w kursie nie jest. Sam przyznasz.

– Powiem ci, Beniu – odrzekłem grzecznie, bo byłem już daleko – że nie potrafię nie przyznać ci racji jako twój, lubisz to czy nie lubisz, przełożony, ale w praktyce albo zwolnisz łańcuch, albo go przerwę i obciążę cię kosztem jego wymiany. I postaram się, Beniu, żeby to było parę złotych.

Łańcuch miał grubość tych, jakimi palikowano krowy na pastwiskach, więc jego cena też była niewysoka, żeby nie wiem jak liczyć. Na miejscu nocnego portiera nie potraktowałbym tego jako argumentu na moją korzyść, lecz wyraz mej odmienionej – przecież to oczywiste – twarzy, na miejscu dozorca placu, by mnie zreflektował.

Wajszczyk jednak stał się idiotycznie zasadniczy, absurdalnie oficjalny, wyniosły i wręcz protekcyjny, nie z przyczyny poglądu na obowiązek, bo ten skurwysyn poglądów nie miał na nic, lecz prostactwa.

Miał pecha, bo nie było okazji ani czasu, by go przekonać, że nie rozmawia już z kimś, kogo znał, kto zwijał się jak ślimak przed jego chamstwem, kto potrafił mu się postawić zawsze kosztem swego zdrowia, tylko z kimś, kto, nim ustalili się na dobre w męskich przewagach, będzie zagadką dla samego siebie. Z kimś, kto będzie miał, Bogu niech będą za to dzięki, kłopot z rozpoznaniem siebie na placu w środku sierpniowej nocy i w górach, nim rozjaśni je świt, i w ciężarówce wyładowanej świerkowymi dłużycami metr ponad szoferkę, i przy kapitanie, z którym żarty nie kończyły się nigdy dobrze, i z chłopakami, jakim schodzono z drogi w naszym powiecie, i z wielkim urką w Prowansji, i ze zdziżalnymi Serbami na drodze do Saluzzo, i nawet z arystokratycznym kuzynem z Antibes.

Co miał zresztą wiedzieć Wajszczyk, skoro ja wiedziałem niewiele więcej. Trzecia sprawiedliwość, na jaką powoływałem się w późniejszych latach, tej nocy nie miała nic do rzeczy.

Dozorca placu nie tylko nie zwolnił łańcucha, lecz stanął w jego obronie. Jego strata, a jakkolwiek by to złowieszczo zabrzmiało, mój zysk.

Wskoczyłem do szoferki i pojechałem po nim. Strzelił łańcuch i jego kości. Usłyszałem tępe uderzenie pod przednią osią ciężarówki.

Wykręciłem na ulicy i dodałem ostro gazu, aż koła zabuksowały na pokrytej nocną wilgocią kostce. Usłyszałem za sobą łomot rozwór, łańcuchów, lin i wszelkiego żelastwa, w jakie omotana była tatra z dwukołową przyczepą na dyszlu, i poczułem, że rozpiera mnie dzika radość.

Silny byłem mocą tych blisko dwustu koni pod maską potwora, który wyraźnie głodny kolejnej śmierci wynagradzał zaspokojenie swego apetytu i drapieżności piękniejącą z chwili na chwilę pracą motoru. Jakby bak napełniono naftą do pełna, pompę wtryskową dopiero co wyregulowano, a końcówki jej wtryskiwaczy wymieniono.

Na drugim biegu wyjechałem serpentyną ponad pałac Steinerów i już na wysrebrzonym asfalcie z czasów niemieckich, z którym dopiero kilkanaście lat potem rozprawiły się mrozy, roztopy i przeładowane ciężarówki, zatrzymałem się, by zabrać Julię.

Miała plecak obciążony kozłą skórką, wełniane skarpety zrolowane powyżej kostek, nic niewarte pionierki. Siadła obok mnie i nieciekawa kabiny i jej zakamarków, wpatrzyła się w powolny, już nieco jesienny świt.

Szosa wiodła raz lekko w górę, raz lekko w dół, wzdłuż zalesionego stoku. Po trzech kilometrach wyskoczył przed nas Sulga ze swymi chłopakami identyczną tatrą, łomoczącą żelastwem jeszcze ostentacyjniej niż moja, gdyż taki to był szoferski sznyt.

Pruliśmy więc jeden za drugim osiemdziesiątką na czwartym biegu lekko w górę i lekko w dół wzdłuż stoku, który coraz bardziej dziczał, a po dziesięciu kilometrach skęciliśmy w lewo, ku Śnieżnym Kotłom, wąską krętą drogą pokrytą jeszcze doskonalszym i, miało się wrażenie, bardziej srebrnym asfaltem. Pogasiliśmy lampy, zredukowali szybkość o połowę, liny, łańcuchy, rozwory ucichły, a motory grały swoje.

Świat był mój.

Opuściłem szybę i do środka wsączył się zapach świerkowych lasów o świcie, nie tak intensywny jak sosen, lecz jak się w nim rozsmakować, to zalecający się dyskrecją i szlachetnością, o jakiej pospolite sosny mogły tylko śnić.

Świadomość, że po drugiej stronie gór przyroda dokonała pogromu monumentalnych drzew, jednego po drugim w królewskim majestacie, rozrywała serce. Wyobraziłem sobie, jak huragan łamie je w połowie, u nasady, wrywa z korzeniami, wali na siebie, splątuje gałęziami i jak jedne na drugich schną w żarze kontynentalnego lata, z którym nigdy nie miały nic wspólnego. Jak atakuje je leśny motłoch – mniszki, ćmy, brudnice, korniki – zamieniając majestat w chrzęszczące pod stopami szkielety, a później próchno. Jak z upływem tygodni stają się same zarzewiem nieszczęść dla drzew ocalałych, przenosząc na nie śmiertelną zarazę.

Za Agnieszkowem pojawiły się poranne mgły zapowiadające jesień, gdyż zamiast opadać, jak to w maju, lub rozwiewać się na nieboskłonie, jak w czerwcu i lipcu, snuły się

wśród koron drzew jakby niezdecydowane, co ze sobą począc.

Na końcu asfaltu zatrzymał nas konny patrol Wojsk Ochrony Pogranicza. Żołnierze sprawdzili dokumenty obydwu ciężarówek, podnieśli szlaban i wpuścili nas na leśny dukt przeciwpożarowy, który pięć lat potem tak dobrze przysłużył się bratnim armiom.

Po trzech kilometrach mordęgi – gdy ciężarówki wyły na pierwszym biegu, jedną stroną wpadając w błotniste, mimo dwumiesięcznej suszy, rozpadliny, a drugą wspinając się na muldy z kamieniami lub litą skałą – stanęliśmy przed następnym szlabanem i budką wartowniczą.

Wyszedł z niej Czech słusznego wzrostu i zapytał, jak zamierzam samotnie załadować auto. Odpowiedziałem, że brakuje wyszkolonych, skłonnych do ryzyka ładowaczy i że dwaj z pierwszego wozu opędzą i mój. Czeski strażnik wspiął się na drabinkę i zajrzał do kabiny. W przeciwieństwie do naszych konnych wopistów sprawiał wrażenie kogoś, kto rzadko dowierza samemu sobie.

Jego uwagę zwróciła półnaga modelka w wyuzdanej pozie, przyklejona do blachy nad wstecznym lusterkiem, której zdjęcie rok temu plac podarował brygadziście Romanowskiemu z okazji jego czterdziestych urodzin. Zdjęcie sprowadzono z Wrocławia za trzysta złotych, nie licząc kosztów operacyjnych. Modelka była doskonała w swej dziewczęcości, lecz plac i baza solidarnie uznały, że jest za chuda, niewarta wydanych pieniędzy i dwutygodniowych starań.

Brat Czech zapytał, kto to jest, jeśli dobrze go zrozumiałem i jeśli on mnie dobrze zrozumiał, usłyszał odpowiedź, że kuzynka. Kazał mi ją odkleić i włożyć do schowka.

Gdy go otworzyłem, powypadały z niego szmaty pachnące naftą i smarami. Żołnierz rozpoczął bardzo metodyczne ich przeglądanie, a było tego od cholery w różnych kształtach i kiedyś kolorach i nie wiem, do czego brygadziście miały służyć.

Nic dobrego ta skrupulatność nie zapowiadała i podzielałem pogląd wyrażany od czerwca przez bazę i plac, że knedle to mendy.

Po kilku minutach żołnierz poprosił, bym wyłączył motor i zapytał, po co mi tyle szmat i czy nie lepiej zrobić z nimi jakiś porządek, poprać je i poukładać wedle starszeństwa albo znaczenia, i poinformował, że wjechałem do kraju, w którym do porządku przykłada się wagę, i że żaden czeski szofer nie pozwoliłby sobie na taki bałagan w kabinie, nie mówiąc już o zdjęciach kuzynek, które rozpraszają uwagę i robią wrażenie kurew czy czegoś w tym rodzaju.

Odrzekłem, że gdyby był szoferem, wiedziałby, że szmat w aucie nigdy dość, i gdyby ich było drugie tyle, to też znalazłyby swoje przeznaczenie.

W tym momencie przeszła mnie trwoga nagła niczym kula, której nie widzimy, a w chwilę potem już nie czujemy, gdyż nim ból śmierci się rozwinie, umieramy.

Julia nie powstrzymała kaszlu, jaki u natur nerwowych pojawia się w najmniej odpowiednim momencie. Można go stłumić, zamienić w inny dźwięk, lecz nie powstrzymać. Pojawia się wtedy, gdy ma okazję coś zepsuć.

Nie mam wątpliwości teraz i tym bardziej nie miałem jej wtedy, że czeski strażnik usłyszał ten stłumiony, niejednoznaczny dźwięk, który wydobył mu się spod dupy na skórzanej kanapie. Nie mógł go nie usłyszeć, chyba że głuchy był jak pień.

Lecz konfuzja zmieniająca mu twarz na ludzką sugerowała, że złożył to wydarzenie na karb swej niedoskonałej fizjologii. Wyśmiewana przez ludzi z placu i bazy czeska kuchnia – kluchy, kapusta i piwo – usprawiedliwiłaby taką reakcję organizmu, lecz może nie w każdej sytuacji.

Tak czy owak, Czech spoważniał jeszcze bardziej, ale stracił śmiałość, co dostrzegłem, gdy zapytał o moją licencję, rejestrację, zlecenie wyjazdu i dowód poświadczający obywatelstwo.

Zawiadomiłem go ze spokojem człowieka zuchwałego, że bez tych czterech dokumentów nie śmiałbym się ruszyć, bo wiem, że wjechałem do kraju, który lubi porządek. Czech zaaprobował ten pogląd, zsunął się ciężko z kabiny i podniósł szlaban.

Ruszyliśmy w dół.

Zrobiło się jasno, ale to już nie był blask z poprzedniego dnia. Jakby przełamało się lato.



Nie zjechaliśmy nawet na pobocze. Rozwielmożniliśmy się po chamsku na szosie, bo coś w tym małym kraju od nas zależało.

Wlaliśmy pięćdziesiąt litrów nafty z beczki, którą wiozł Sulga, do baku mojej tatry i wypieprzyliśmy ją do rowu melioracyjnego, bo coś ten śmieszny kraj nam zawdzięczał.

Pogrom nie wyglądał, przynajmniej tu na północy, tak dramatycznie. Jego ofiary były dyskretniejsze, niż to sobie wyobrażałem. Świerki po czeskiej stronie gór wyrastały drobniejsze niż te po naszej i musiało mieć to związek z wilgocią i deszczami.

Długo sprawnie, cicho, bez przekleństw, wrzasków, nieustannych połajanek, bez przemocy i okrucieństwa były zrywane przez radzieckie ciągniki gąsienicowe, a nie przez konie.

Słońce wstało niepewne, duchota była trudna do zniesienia, bo lepka, a wiatr od południa zapowiadał zmiany.

Przypatrywałem się ładowaczom Sulgi, jak zręcznie operują wciągarką, jak pewnie i odważnie klinują okorowane bale, by założyć im stalową pętlę, z jakim spokojem i szybkością uwijają się wokół rozkraczonej między wspornikami tatry.

Żaden trening nie przybliżyłby mnie do ich roboty i żadne pieniądze by z nią nie pokumały, bo wymagała, oprócz wprawy, tej męskiej nonszalancji wobec własnego bezpieczeństwa, która była poza moim zasięgiem.

Pogodzony z myślą, że do pewnych rzeczy się nie nadaję, w latach późniejszych oczywistą, zbyt łatwo w czasach pierwszej młodości przyjąłem ją za pewnik. Nawet nie spróbowałem na serio się jej oprzeć.

Unikałem zaniepokojonych oczu Julii, gdy powtórzyłem wyraźnie, że musiałem pomylić hamulec z gazem, bo w przesady nie wierzę, że nie mam prawa jazdy ani wprawy.

– A pomyliłeś, mój miły? – zapytała.

– Tak mi się wydaje. Na bramie nie zahamowałem w porę.

– A nie zahamowałeś?

– Tak mi się wydaje, Julio.

– A próbowałeś?

– To jest odruch, Boże... Ale tatra zrobiła swoje.

– Co ty opowiadasz?

– To morderczyni.

Od południa w górę, serpentynami, zbliżał się zielonoszary zakurzony willys bez

plandeki. Julia przesiadła się z kanapy na podłogę, ginąc z ewentualnego pola widzenia. Auto z dwoma leśnikami zatrzymało się obok pierwszej ciężarówki. Przez chwilę rozmawiali z Sulgą, potem podjechali do mnie.

Leśnicy byli młodzi, rumiani, odkarmieni, stworzeni do wymiany zdań o niczym. Zrobiłem, co można, by im uświadomić, że tej skłonności nie podzielam. Przyjęli to ze zdziwieniem ludzi pogodnych, korzystających z okazji, by cieszyć się innymi.

Objężdżając tatrę zwirowym poboczem, ruszyli ku granicy. Po kwadransie, kiedy wracali, rzekłem do Julii, która znów usiadła na podłodze, by jej nie dostrzegli z szosy:

– Nie mają tu nic do roboty poza węszeniem.

– Kogo przejechałeś? – zapytała Julia.

– Nocnego portiera z placu.

– Nocny portier? Kto to?

– Nie możesz go znać ani pamiętać. Gnom.

– Nazywał się Gnom?

Przez czas jakiś obserwowałem willysa w bocznym lusterku na półmetrowym wysięgniku, nim znikł za zakrętem.

– Nazywał się Wajszczyk. Nocny portier i wozak. Benio Wajszczyk.

Julia poruszyła się gwałtownie. Oparła dłoń na moim nadgarstku i zacisnęła mocno palce. Więcej to znaczyło, tak myślę teraz, a co myślałem wtedy, nie pamiętam, niż najczulsza pieśczoła, bo zapowiadało wspólnotę w niebezpieczeństwach.

– Nie odplącę ci się nigdy, mój miły – szepnęła i pocałowała mnie w policzek. Jak siostra.

Chłopcy Sulgi spięli łańcuchy na uniesionych rozworach. Podmuch gorącego wiatru przegonił pył z jednej strony drogi na drugą. Z sosnowej drągowiny wyjrzała łania, zwierzę na północnych stokach już wytępione.

Powiedziałem Julii, że niczego w naszej sytuacji nie można przesądzać, i jestem pewien, że słowo „naszej” podkreśliłem. Powiedziałem jej, że nie mogę wrócić do S., że mnie tam zaaresztują, osądzą i powieszą. Że być może już jestem poszukiwany.

Julia uśmiechnęła się bez zachęty. Jej uśmiech mnie nie przywoływał.

– Wiejemy razem – wyszeptalem, jakby nas ktoś podsłuchiwał. – Jak nazywa się to miasto?

– Cheb – odpowiedziała.

– Wiejemy razem do Chebu, a potem gdzie zamierzałaś. Spaliłem za sobą mosty. Nie chciałem, ale spaliłem. Tak wyszło.

– A co z drzewem, autem, twoimi kolegami?

W sosenkach nie było już łani. Odezwałem się cicho:



– To nie są moi koledzy.

– Cieszę się.

– Nieprawda, Julio. Ale nie mam wyjścia.

– Naprawdę się cieszę. Nie będę sama.

– Źle to wyszło, ale już nic nie zmienimy. Połamałem tego gнома na śmierć.

Zbliżył się do nas młodszy z chłopaków Sulgi, nieprzeciętny chojrak na pierwszy rzut oka – barczysty i zgrabny. Źle miał w głowie od urodzenia, ale pracował jak maszyna.

– Podjeżdżaj, hrabia, będziemy cię pakować.

Powiedziałem mu, by nie mówił do mnie hrabia.

– Dobra – łaskę okazał – ale podjeżdżaj.

Przekręciłem klucz. Motor zaniósł się nierówno. Przygazowałem na luzie, lecz mu to nie pomogło.

– Jak mam cię przekonać, miły, że to dobra dla nas wiadomość?

Julia patrzyła mi w oczy. Zeszpecona blizną, gdy zdecydowała się jej już nie ukrywać, nieoswojona, dzika, odległa jak inny kontynent, lecz taka, jakiej się można było spodziewać. Dziewczyna nie na każde życie, ale na życie, jakie się czasami zdarza jak najbardziej. Dodała cicho:

– Zaskoczona jestem, to tyle.

Zapytałem, nie wierząc jej słowom:

– Ile, Julio?

– Ile chcesz, mój miły.

Wskazała głową miejsce przed nami.

– Podjedziesz?

– Muszę.

– To podjedź, a ja wysikam się w lesie. Zostawiam plecak. Pilnuj go. Naprawdę się cieszę.

Ostatnie zdanie wypowiedziała już na szutrowej drodze, tuż przed skokiem przez głęboki rów odprowadzający wody.

Rzekłem jej, gdy odwrócona do mnie profilem cała była w chęci ucieczki, że od dwóch godzin siebie nie poznaję i nie jest mi z tym źle. Nie miała już okazji do tego się odnieść.

Za rowem był zrąb, za zrębem las, a za lasem lokalna kolej ze stacją na żądanie.

Wynikało to z odbitego na pergaminie fragmentu wojskowej mapy, który Julia też pozostawiła.

Co tu ukrywać, już nie wróciła. Przez kwadrans, a może i krócej, żyłem nadzieją, lecz, jak wspominam to teraz, umiarkowaną. Jakie ja zresztą mogłem łączyć z nią nadzieje?

Myśl, że Julia to wędrowny ptak, który jak się go usidli, to zginie, była jeszcze przede

mną, lecz pewność, że jej obecność przy mnie to nasza wspólna klęska, warowała już obok.

Sięgnąłem do jej plecaka z kozłą skórką na wierzchu. Była w nim zmiana bielizny, torebka z ligniną, „Komsomolska Prawda” sprzed dekady z fotografią jakiegoś młodego, ruskiego buca w uniformie i *Le Phénomène Humain* Teilharda de Chardin.

Nie znałem francuskiego ani zresztą żadnego innego języka, ale tego jezuitę kojarzyłem dzięki coraz wnikliwszym lekturom „Tygodnika Powszechnego”, który od dwóch lat moja babka prenumerowała i zaczytywała na amen w przeciwieństwie do ciotki Riny nienawidzącej wszystkiego, co pachniało Kościołem.

Teilhard de Chardin nie opuszczał łamów tej szlachetnej gazety. Nie pamiętam żadnego jej numeru, w którym ktoś nie powoływałby się na tego zakonnika, nie afirmował go lub mu się nie przeciwstawiał. Lecz kimkolwiek byliby jego przyjaciele, wrogowie lub mentorzy, nie mogli przypominać Julii Neider, jaką znałem i jakiej nie znałem.

Przyszło mi to do głowy wiele tygodni, a może nawet miesięcy po tym zapowiadającym zmiany poranku na południowych stokach Sudetów, ale obecność tej książki w bagażu Julii zastanowiła mnie zaraz potem, jak wziąłem ją do ręki, i umocniła w podejrzeniu, że przez granicę przewiozłem kogoś, kto stawałby się dla mnie coraz bardziej męczącą zagadką.

Byłem więc sam, coraz bezsilniejszy wobec okoliczności. Zdawanie się na los to nigdy nie była moja specjalność, ale miałem wrażenie, że od dziś nic innego mi nie pozostaje.

Willys z dwoma leśnikami, do których przysiadł się jakiś cywil, pędził pod górę z południa na północ na złamanie karku, jakby kogoś ścigał. Pozostawił za sobą pył szutrowego pobocza i z tego pyłu wynurzył się Sulga, zawiadamiając mnie, że tatra jest zapakowana po szczyt i że ruszam pierwszy.

Nie wiem, czy los podpowiedział mi opór, ale na pewno nie moja natura, bo raczej go unikała. Powiedziałem, że ruszam drugi.

– Nie taka była umowa – odezwał się Sulga.

Odrzekłem, że widocznie się zmieniła.

– Kiedy?

– A co to za różnica, Fabian.

– To się moim chłopakom nie spodoba.

Rozejrzałem się wokół. Pył opadał powoli. Świt przeszedł w niewyraźny poranek.

– Pieprzę ich – odezwałem się zimno. – Możesz im to powtórzyć, Fabian.

Sulga przeszedł się nerwowo w tę i z powrotem. Wskazał plecak, do którego schowałem książkę, ligninę i gazetę.

– Dostałeś na pamiątkę? – zapytał.

Nie włączyłem startera, nie zwolniłem hamulca, nie ruszyłem przekładni. Cztery tony żelastwa i drugie tyle drewna wrastały w szutrową drogę.

Odpowiedziałem cicho, nie dając szoferowi i jego pomocnikom nadziei na ustępstwo:

– Na przechowanie.



Nie pamiętam nadziei, jaka mną powodowała, gdy z czterema tonami świerkowej dłuźcy zjeżdżałem w dół ku kotlinie spowitej smogiem. Jak znam swój pesymizm, co do rzeczy pierwszych, to nie miałem żadnej. Nawet na to, że tatra morderczynie załatwi problem za mnie, bo już wspinając się nią ku granicy, poczułem, że jest mi oddana jak pies. Że codzienne, dające jej naprawdę w kość, manewry na placu zaprawiły ją w posłuszeństwie. Sprawowała się więc nienagannie, podpowiadając mi rozważę w miejscach, których mogłem się lękać.

Wbrew swej naturze, sam tym zdziwiony, postawiłem na swoim i Sulga ruszył pierwszy. Trzymałem się go tak blisko, że nawet gdyby chciał, nie mógł mi wyciąć żadnego numeru na drodze, sprawić, bym zginął, bo on i jego pomocnicy zginęliby wcześniej.

Ręczny spaliłem po kwadransie, pierwszy bieg ograniczał prędkość do dwudziestu kilometrów na godzinę. Przed zakrętami wrzucałem na luz, bo nie radziłem sobie z synchronizacją skrzyni, hamulca i sprzęgła. Pedał blokady trzymałem przy podłodze, auto zwalniało do dziesięciu, lecz na to, by je zatrzymać, hamulca nie starczało i na tym polegała niewygodność tego zajęcia. Zatrzymanie załadowanej do pełna ciężarówki na leśnej drodze przeciwpożarowej od granicy do Kamiennej było niewykonalne, bo hydraulika systemu takich obciążeń nie przewidywała.

Miałem też nieustępujące wrażenie, że stalowa lina na cal z okładem nie utrzyma dłuźcy na miejscu, zaczną się zsuwać na kabinę i nic nie zatrzyma ich bezwładem, trzeba więc będzie skakać w bok, wybijając się z progu szoferki tak daleko, jak to możliwe, by nie wpaść pod tylne koła lub, co częstsze, pod koła równie masywnej dwukołowej przyczepy.

W chwilach tej jedynej w moim życiu, wręcz archetypicznej próby odwagi, szacunek dla pracy Sulgi, Wasyla Horanina, Jasia Gambala i kilkunastu innych szoferów, ich pomocników i ładowaczy przykrył wszystko inne.

Trudniej, niż podsuwała mi to wyobraźnia, nie było, prowadzący mnie Sulga podpowiadał manewry, awizował kłopoty, regulował tempo, lecz mój strach przewyższył ten, z jakim potrafiłem się zmierzyć. Dobrze, że nie miałem świadków.

Godzinę potem, już blisko siódmej, chłopcy Sulgi zwalili moje drzewo na przytłaczającą swym ogromem stertę pomordowanych świerków. I mimo pracujących na okrągło trzech okolicznych tartaków ta rzeźnia miesiąc później utopiła się sama w zrzynekach, trocinach,

sokach i drzewo trzeba było wozić do odległych miejsc, które też sobie z nim nie radziły.

Dwukołową przyczepę zostawiłem w nieodległej bazie, na plac wróciłem ze straceńczym fasonem. Miejsce obok portierni okupowała ta sama kilkusobowa ferajna żegnająca mnie kilkanaście godzin wcześniej radą: głowa do góry, Ruczaj. Jeszcze żyjesz! Jakby ich ktoś na pół dnia zabrał, potem ustawił z powrotem.

Rozstąpili się przed maską tatry, czując, że z ich powodu nie zwolnię, a potem dwóch z nich ukloniło mi się nisko. Miałem wrażenie, że bez błazenady. Nie zrewanżowałem im się, więc uklonili mi się wszyscy.

Na drodze do kanciapy, przy stercie opon przeznaczonych do reanimacji, wyszedł mi naprzeciw stary monter Wenzel mający mnie za byle co, nierozumiejący uporu inżyniera, by ustanowić mnie swoim zastępcą na czas urlopów.

Monterskiego fachu uczył się we lwowskich garażach autobusowych i lenistwo wynikające z wieku – nie miał pięćdziesiątki, ale nam wydawał się starcem – rekompensował doświadczeniem.

– Dzień dobry, panie Janku – odezwał się poważnie i smutno. – Będę miał do pana romansik zawodowy w południe albo ciut po, jeżeli znajdzie pan chwilkę czasu.

– Zapraszam, Wenzel – odpowiedziałem sucho i wspiąłem się na schody strome, wąskie i niepewne jak drabina.

W kanciapie nie poczułem smrodu rozgrzanych na piecu wulkanizacyjnym opon, który dzień w dzień ciągnął do niej z dołu jak z piekła, bo ktoś pomyślał, by otworzyć okno. Miałem też wrażenie, że sprzątaczką zaczęła pracę od mojego, pożał się Boże, biura, gdyż lśniło nieznaną mu dotychczas czystością.

Usiadłem za stołem i wklinowałem twarz w rozwarte dłonie. Teraz dopiero poczułem, jak bardzo jestem zmęczony, senny i obojętny. Osaczyła mnie pustka. Po raz pierwszy przeze mnie nie płynęły żadne wspomnienia, marzenia, kaprysy, podniecenie, żadne oczekiwania, tylko gorączka na zmianę z dreszczami, tylko zimny pot, który mnie oblewał i na mnie stygł. Mimo poranka i związanej z nim krzątaniny nikt do mnie nie wszedł, nikt nic ode mnie nie chciał, nikt nie niepokoił mnie swoimi potrzebami.

Miałem nawet wrażenie, że jazgot szlifierek, uderzenia młotów w kuźni, praca motorów na kanałach, posapywania pomp wtryskowych na regulatorach, dźwięki żelaza ciskanego o beton, towarzyszące im połajanki, przekleństwa, grube żarty, wzajemne żale o klucz, śrubę, wkrętak, imadło, wczorajszą wódkę, kilkunastozłotowy dług, odkryta nagle zniewaga, pretensja rzucona w powietrze, wywleczony nie wiadomo skąd despekt, jakaś próba pojednania lub przejaw wrogości, że ten akompaniament towarzyszący nielekkiej robocie, bez którego straciłaby ona swój sens, został powstrzymany z szacunku dla sytuacji, w jakiej się znalazłem. Bo nikt tak jak plac jej nie rozumiał. Doświadczałem

posępnej solidarności w niedopuszczalnych czynach i nie było mi z nią źle. Zostałem w armii.

Proroczy był telefon inżyniera z nadmorskiej Pogorzelicy i przestroga, bym nie powtórzył błędu jego wuja z cesarskiej artylerii. Więc go nie powtórzyłem.

Plac mnie rozumiał i szanował.

Przed dziesiątą wszedł do mnie ostrożnie młody wulkanizator, ponury Cygan przesiąknięty na wskroś odorem rozgrzewanej gumy. Powiedział, że ktoś na mnie czeka i że nie powinienem się ociągać.

Na dole przy stercie opon posterunkowy Rosiak dopalał papierosa.

– Już czas, Ruczaj – rzekł jakby od niechcienia i ujął mnie pod ramię.

Na ulicy poinformował mnie, że zgodnie z przepisami i czymś tam jeszcze będzie mnie musiał zabezpieczyć, to znaczy przykuć do ramy roweru, na którym przyjechał.

Ruszyliśmy przez S. w dół, wzdłuż rzeki, gdyż plac był w górze, a posterunek Milicji Obywatelskiej w dole. Półtora kilometra w pełnym blasku.

Wygodnie nie było, bo dreptałem dosłownie posterunkowemu Rosiakowi po piętach, gdy wlokłem się za nim krok za krokiem przytroczony żelaznymi kajdankami do ramy roweru, który on prowadził. Po dwustu metrach mordęgi, gdy minęliśmy zakład ogrodnika, który zabił córkę, bo uparła się wyjść za Żyda, zaproponowałem posterunkowemu, by przykuł mnie z drugiej strony ramy, wtedy nie będę na niego wpadał, bo ustawimy się równolegle.

Rosiak wyjaśnił mi, że chłop z niego nie za duży, choć naturalnie w sobie, urala prowadzi w silnym skosie bocznym; jak zrobimy po mojemu, to atakować mnie będzie tylne koło i pożałuję swego pomysłu, nim miniemy pocztę. Musiał mieć to już wypróbowane i wiedział, o czym mówi.

Minęła dziesiąta rano. Mieszkańcy S. byli przy swoich zajęciach w biurach, kaflarniach, cegielniach, szlifierni szkła, tartaku, na placach, w bazach, warsztatach i we własnych gospodarstwach. Główna i jedyna w istocie ulica, o jakiej dało się coś powiedzieć, była pusta, lecz nie tak, by nikt mnie nie zauważył, bo mieliśmy właśnie czasy, w których bliźni obserwowali się zawzięcie i nic, jeśli to było tylko możliwe, nie uchodziło ich uwagi. Dostrzegali więcej, niż od nich oczekiwano, i więcej, niż wymagał tego ich interes.

Nikt nikomu, ma się rozumieć, dobrze nie życzył, codzienność rozjaśniała nadzieja na sąsiedzką chorobę, kalectwo i związane z tym upokorzenia, na dostrzegalną zapowiedź śmierci, na małżeńskie lub narzeczeńskie zdrady, ostatecznie na zawodowe niepowodzenie, mówiąc najogólniej, na stratę, od której nikt nie powinien być wolny. Być wolnym od straty to wzbudzić zazdrość tylko nieco mniej jadowitą od tej, jaka asystowała powodzeniu.

Obywatele wyróżnieni sukcesem nie wynosili się więc ponad niewyróżnionych, bo wiedza o podstępności losu była powszechna. Poza zdeklarowanymi idiotami mało kto liczył na więcej, niż dostał. Komiwojażer taniego optymizmu w S. by się nie utrzymał.

Nieliczni znani mi osobiście lub z widzenia przechodnie przypatrywali się z uwagą, w której, co bardzo dziwne, nie było złych uczuć.

Być może, wspominając po latach to wczesne przedpołudnie, schlebiam sobie niesłusznie, ale miałem wtedy wrażenie, że tuż za uwagą stał szacunek. Jakbyśmy nie opuścili placu.

Dzień równie był upalny jak poprzedni, lecz mniej przejrzysty. Od południa i zachodu nadciągały wełniste chmury, pierwsze od dwóch miesięcy. Wędrowała przeze mnie na zmianę gorączka i dreszcze, byłem głodny, spragniony i senny. Gdyby nie młodość, padłbym na bruk.

Z półmroku szewskiego warsztatu spoglądał na mnie jego właściciel, były nauczyciel gimnazjalny z Sambora, zdecydowany nie powtarzać uczniom bredni, jakich od niego wymagano na lekcjach historii, więc zajął się butami.

Co przybił, odpadało, co skleił, rozklejało się, nie miał do szewstwa ani drygu, ani serca. Nieliczni zdobywający się na uznanie dla jego niezłomności przynosili mu buty do wyłojowania, poszuwaksowania, a w ostateczności do obstukania z zaschniętego błota, i z tym szewc sobie radził, jak miał dobry dzień.

Mój dziadek dwa razy do roku przynosił mu do przepatrzenia o numer za ciasne angielskie pantofle, których nigdy nie miał na nogach, poza tym jednym razem, kiedy założono mu je na wieczność. Szewc oddawał je po tygodniu z zapewnieniem, że przepatrzone zostały jak należy, można ich spokojnie używać przez następne pół roku i że ceni sobie klientów, którzy lekko chodzą.

Kiedy znalazłem się w jego polu widzenia, skinął mi głową znad kopyta, a potem stanął w wejściu i raz jeszcze się uklonił.

– Dobra, dobra – warknął posterunkowy, nie zatrzymując roweru.

Szewc mu odpowiedział:

– To nie do pana, panie Rosiak.

Bo też było to wszystko, tak mi się tego przedpołudnia musiało zdawać, dla mnie. Sympatia, współczucie, które nie upokarza, może nawet podziw.

Jakby S. czekało długo na moją próbę charakteru, którą przeszedłem lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Nie odwzajemniałem żadnego z uczuć, bo ich wobec obywateli miasteczka lub wsi ani przedtem, ani potem nie żywiłem, lecz fakt, że S. postanowiło mi się przypochebić, to znaczy mieć mnie po swojej stronie, na czym mu dotychczas nigdy nie zależało, podnosił na duchu.



A niczego nie powinienem pragnąć bardziej tego upalnego przedpołudnia zapowiadającego koniec lata. Biorąc sprawy takimi, jakimi były, nic nie miało prawa ukoić mej melancholii, jeśli to słowo oddać by miało mój stan ducha, to znaczy zwierzęcy strach znieczulony zmęczeniem.

Myśl, że najpewniej mnie powieszają, obojętniała tylko dlatego, że stępiło ją fatalne fizyczne samopoczucie. Jakby zdrowie, młodość, zręczność uznały, że nie ma co się mnie dalej trzymać, i zostawiły samemu sobie. To znaczy nikomu.

Iluzja, że to tylko spektakl, w którym obydwaj z Wajszczykiem dostaliśmy podle role, ofiary i wyręczającego się autem o morderczych skłonnościach kata, musiała być jeszcze przede mną.

Tak czy inaczej, okrzyk z przeciwnej strony ulicy: – Czołem, Jasiu! – jaki rzucił w moim kierunku szesnastoletni chuligan prowokujący mnie przy każdym spotkaniu do awantury, odebrałem jak należny serwitut. Tak też było z cezarejskim pozdrowieniem spod kina Śnieżka od nieźle, mimo wczesnej pory, napoczętego już partyzanta, dla którego nieprzejednanie mych dziadków dla nowych porządków było za oględne.

Honor żołnierza polskiego podziemia nie pozwalał mu pogodzić się z takim konformizmem, o czym oznajmiał co sobotę w gospodzie Nad Wrzosówką lub w restauracji Pod Minogą.

Smutek ściągający szlachetną i bez tego smutną twarz mego nauczyciela matematyki, za szybą kołyszącego się z boku na bok tramwaju, odebrałem jako częściową rehabilitację mej niechęci do równań, na które bezskutecznie byłem przez niego namawiany.

Dogadzałem wszystkim.

Wędrówka przez S. przeciągnęła się do dwóch kwadransów. Nie męczyła nas odległość, lecz idiotyczna konfiguracja wymuszona przez milicjanta. Co chwila potykałem się o pięty posterunkowego lub podstawiałem mu nogę. Dwukrotnie traciliśmy równowagę i upadaliśmy na chodnik, a ciężki jak motocykl radziecki rower Ural nas przygniatał.

Głęboki łuk, a potem dwieście metrów wzdłuż tramwajowych torów, obok domów cofniętych od ulicy z jednej i drugiej strony, nie powinny nam zająć więcej niż pięć minut, pod warunkiem że poradzimy sobie ze skwerem, który się paskudnie zdegradował.

Było to miejsce plugawych występków, wszelkich fizjologicznych ulg, intelektualnych dewiacji i koncesjonowanej przez władzę nieobyczajności, z definicji nieprzyjazne porządkowi, ktokolwiek by go tam próbował stosować, toteż posterunkowy Rosiak za nim nie przepadał.

Tam też wiotka dziewczyna z innej rzeczywistości spojrzała na mnie łakomie, jak się spogląda na delikatesy za szybą. Bo też dwudziestoletni zaledwie skazaniec, skuty kajdankami, powłóczący nogami ze zmęczenia, zgaszony od tortur, bo od czego innego,

prowadzony przez oprawcę na szafot, musiał przypomnieć jej Sorelów, Delonów, Gerardów Philipe'ów z filmów, na które chodziła po kilka razy, by się serdecznie wypłakać.

Nie będę udawał, że miałem wtedy jakieś poczucie formy, lecz oglądając się za nią, przedstawiłem sobie żal za rajskim ogrodem, w którym dopiero co się umościłem.

Nim skosztujesz, już ci zabiorą, mawiał inżynier o młodości, która mu przepadła.



Posterunek Milicji Obywatelskiej to był najładniejszy budynek w okolicy. Szara willa zatopiona w plątaninie drzew rozległego ogrodu, z którego od czasu do czasu usuwano jakąś sosnę, świerk, brzozę, leszczynę albo lipę, bez związku z ich wiekiem lub kondycją, raczej by przypomnieć sąsiednim drzewom i roślinom – nie brakowało tam też rdestów, bylin, wysokiej trawy i zdiczałych róż – że ich wolność to pozór.

Trzymetrowy parkan odgradzał miejsce przywołujące jakiś rodzinny dramat, malowniczą degenerację z kazirodczą miłością w tle, przemoc apodyktycznego, kapryśnego ojca, urojenia tęskniącej za innym życiem matki, nieznajdującej w sobie woli, by go spróbować, omszałą starość dziadków i gromadę wyróżnianych na każdym kroku psów na dożywociu.

Było to miejsce opowiadające o niebanalnej, borykającej się z niedostatkiem egzystencji bliskiej zmierzchu, o jakiej lubimy czytać w książkach lub oglądać ją w kinie.

Co do mnie znałem ją raczej z relacji ciotki Riny, która na temat tej willi miała pod ręką kilka wykluczających się czasami historii.

Z ciemnych wnętrz ciągnęło chłodem i wilgocią mimo dwóch miesięcy suchych upałów. W głębi korytarza zobaczyłem wysoką, atletyczną sylwetkę cywila w komisowych dzinsach i białej koszuli.

Posterunkowy Rosiak nakazał mi zatrzymać się w połowie korytarza pod ścianą z olejną lamperią, lecz atletyczny osobnik, niesprawiający wrażenia funkcjonariusza tego urzędu, polecił wprowadzić mnie do okratowanego pokoju, w którym było jaśniej.

– Pan Jan Ruczaj-Skode, jak domniemywam? – rzekł uprzejmie i wskazał krzesło.

W tej willi nic nie działo się z marszu. Wszystko, jak opowiadał inżynier, częsty gość posterunku, miało być o takt spóźnione w stosunku do polecenia, by nikt nie pomyślał, że trafiliśmy do miejsca, o którym nic nie wiemy. Minęła więc dobra chwila, nim zająłem krzesło, a ten, który mi je wskazał, też swoje odczekał, nim odwrócił się plecami.

Bez dwóch zdań przed sobą miałem kapitana z J. Nie zapowiadało to nic dobrego, choć jak cofnę się pamięcią o te czterdzieści pięć lat, to nie wiem, na co liczyłem.



Zobaczyłem go z bliska po raz pierwszy. Był obecny w moim życiu jak Pan Bóg – istniejący, ale niewidywany.

Nikt nie był tak znany w powiecie, o nikim nie rozmawiało się z takimi obawami, z taką rezerwą, z takim przeświadczeniem o daremności wszelkiego oporu, lecz i z szacunkiem, jaki wymuszała w tych latach władza sprzęgnięta z surowością.

Jest w bezwzględności coś uwodzicielskiego pod warunkiem, że swój cień rzuca sprawiedliwie i nie brata się z ulicą. Kapitan musiał to wiedzieć.

Przemieszczał się po okolicy na tylnym siedzeniu wypucowanej na glanc czarnej demokratki, obojętny wobec tego, co za szybą, wywyższony ponad ogół tym rodzajem bezdyskusyjnej władzy, którą sami sobie przyznajemy.

Żaden z trzech prokuratorów nie śmiał przedstawić niezatwierdzonego przez kapitana aktu oskarżenia. Żaden sędzia nie ogłaszał wyroku, z którym wcześniej nie pogodził się kapitan, a komendanci terenowi lub miejscy cieszyli się przy nim wygodami niesuwerenności nawet w sprawach, jakie im niczym nie groziły.

Każda decyzja administracyjna urzeczywistniała się dopiero wtedy, gdy jej autor lub autorzy zostali upewnieni, że nie wzbudzi sprzeciwu, niechęci, a choćby i zdziwienia kapitana, toteż nic szybko w powiecie nie szło, a to się ludowi podobało.

W każdym z sześciu okolicznych kin rezerwowano kapitanowi dwa miejsca w dziesiątym rzędzie na lewym skraju i choć kapitan wraz z ładnymi kobietami przyjmowanymi na stan jak mundur, broń, amunicja kina odwiedzał rzadko, to tych dwóch miejsc nie sprzedawano nawet tym, którzy w formalnej hierarchii stali od niego wyżej.

Podobnie było ze stolikami w przepelnionych, hałaśliwych knajpach, gdzie truto równo, więc poza desperatami mało kto się w nich żywił, lecz alkohole podawano niechrzczone i jak na tamte czasy ich wybór mile rozczarowywał.

Kapitan, zawsze ze ścianą za plecami, niewzruszony nad herbatą i pięćdziesiątką czystej, spoglądał milcząco przed siebie, a knajpiany gwar zamierał.

Bywalec był ze mnie żaden, dopiero na początku doświadczeń z restauracjami i gospodami, więc to, co przedstawiam, usłyszałem od innych. Nie było jednak powodu, by im nie wierzyć, gdyż wszystko, co o kapitanie mówiono, wykraczało poza obszar fantazji, w którym jednemu czy drugiemu zdarzało się ostro pofiglować. Z kapitanem sprawy były serio.

Więc gdy rozbawiony tym, co mówię, poprosił, bym mu to zanotował, wiedziałem, że osuwam się w studnię bez dna, w mroki bez konturów.

– Baliście się jej? – zapytał.

Odparłem zrezygnowany:

– Nigdy tak nie myślałem.

Kapitan wyjął pudełko belwederów i położył je na skraju biurka z mojej strony. Zapytał tonem, jaki skłania do wymiany poglądów:

– A Marta, Ola, Szymon?

– Oni też nie – odpowiedziałem.

– Rozmawiał pan z nimi o tym?

– Nie musiałem.

– Ile miała lat?

– Tyle co ja teraz. Nie więcej.

– Ładna?

Skinąłem głową. Ujrzałem profil Julii zeszpecony blizną, krople potu u nasady nosa i jej niepewne spojrzenie, gdy powiedziałem, że wiejemy razem.

– Nie znałem ładniejszej.

– Młoda, ładna, utalentowana, jak domniemywam, i taki zajob do rewolucji. Jak było temu poecie?

– Któremu?

– Temu, który was wykończył?

– Błok.

Kapitan odczekał chwilę, a potem poprosił, bym obok słowa, które go rozbawiło, zapisał nazwisko poety.

– A Szostakowicz?

– Szostakowicz to kompozytor. Zapiszę to nazwisko obok tych dwóch, o które mnie pan prosił.

– Będę zobowiązany – rzekł kapitan, choć widać było, że nie będzie. Przeciął klin złotego światła zza krat i przez chwilę było ich dwóch.

Rzekłem smutno:

– Nie zakochałbym się w nauczycielce psychicznie chorej. A przecież o to chodzi.

Skinąłem głową.

– A ten fortepian na cokole, z podniesioną pokrywą, jak jakiś kruk. Nikomu to się nie podobało.

– Poza moją ciotką.

– Pańska ciotka – kapitan zawiesił głos, jakby sprawdzał, czy jestem przygotowany na

ciszę, po której przyjdą pytania, z jakimi się już nie podroczyimy – to inna sprawa.

Powiedział, że musi się odlać, a po chwili wrócił z komendantem posterunku w S., sierżantem Brzozą, Dębem, Jesionem, Wierzbą; kto mógł, przekreślał to nazwisko lub dodawał jakiś swój na nie pomysł, tak że w końcu nikt nie wiedział, o jakie drzewo chodzi.

Kapitan poprosił komendanta, by notował moje odpowiedzi, obiecując, że swoje pytania poda do protokołu po przesłuchaniu. Komendant rozejrzał się za krzesłem, lecz trzeciego nie było. Kapitan wskazał mu swoje, a sam stanął tyłem do okna i w pokoju zrobiło się chłodniej. Rzekł twardo:

– Wracamy do wczorajszego dnia, panie Ruczaj. Kto pana zawiadomił o powrocie Julii Neider? Po kolei i dokładnie.

– Sulga – odrzekłem bez zastanowienia.

– Konkretnie?

– Fabian Sulgowski, szofer z pierwszej bazy, aktualnie na papierówce.

– Gdzie i kiedy ją widział?

– Julię Neider?

– Szkoda czasu.

– Wlokła się od PKS-u, co przyjeżdża ze Strzegomia o piątej rano. Nie wyglądała dobrze.

– Tylko tyle zauważył?

– Miała ze sobą walizkę z tektury.

– Rozmawiał z nią?

Powiedziałem kapitanowi, że Sulgowski nie zamieniłby słowa z Julią, nawet gdyby miał taką okazję, ale akurat jej nie miał, bo Julię widział jego pomocnik i mu o tym powiedział. Wspomniałem o Marcie Kowal, która w południe zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy nie powinienem się z Julią zobaczyć, skoro wróciła i zatrzymała się w starej szkole, i o kontystce Asi, lecz dodałem, że żadna z nich Julii nie spotkała.

Kapitan zapytał, czy przypominam sobie jeszcze kogoś, odpowiedziałem, że z nikim o nauczycielce już nie mówiłem. Kapitan zapytał, czy na pewno, a ja potwierdziłem.

– Czy nie było tak, że nim zaczął pan rozmawiać o Julii Neider z szoferem Sulgowskim – kapitan spojrzał przez ramię na bezradnego komendanta terenowego z S., o którym mówiono, że jest półanalfabetą i w życiu nie poszło mu z żadnym protokołem – wiedział pan o jej powrocie? Skąd?

Pole mego manewru skurczyło się do miedzy. Skoczyć mogłem z jednej strony na drugą, lecz ukryć się – nie. Młodość mi jednak podpowiedziała, że nic nie ryzykuję, jeśli na drodze cierniowej, jaką zamierzał popędzić mnie kapitan, trochę pokluczę. Rzekłem cicho:

– Jakby coś o tym wiedział Wajszczyk przed szóstą rano.



– Kto? – Kapitan odszedł od okna, lecz światła nie wpadło więcej, bo się zachmurzyło.

– Wajszczyk – powtórzyłem. – Wozak i nocny dozorca placu.

– Widział ją?

– Tak, panie kapitanie – skłamałem.

Sierżant Dąb, Brzoza, Wierzba czy jak mu tam w końcu było, uniósł głowę znad niezapisanego protokołu. Kopiowy ołówek zadrżał mu w dłoni.

– Możemy się zgodzić – zapytał kapitan – że gdyby nie nocny dozorca placu, to wiadomość o powrocie Julii Neider byłaby plotką?

Odpowiedziałem, że tego nie wiem.

– A tak, mamy kłopot.

Odpowiedziałem, że tak to być może wygląda.

– A może nie mamy?

Odpowiedziałem, że może nie. Komendant posterunku tępo spoglądał przed siebie i przestał udawać, że coś zapisuje.

– Panie Ruczaj – rzekł kapitan, jakby nas było tylko dwóch. – Gdybym pana zapytał, czy powrót Julii Neider jest plotką, jak domniemywam, co by mi pan odpowiedział?

– Że nie wiem, panie kapitanie.

– A gdybym pana przycisnął?

– Że plotką.



Życie lubi, jak zrobić coś przeciw niemu, i nas za to wynagradza. Doszedłbym do tej prawdy i bez podpowiedzi inżyniera, lecz tego poranka, gdy najdłuższe i najgorętsze lato, jakie znała nasza okolica, przełamywało się stosownie do swej potęgi, budząc respekt decyzją, by powoli abdykować, choć żadna jesień nie czaiła się jeszcze za rogiem, postanowiłem zdać się na mądrość mego mentora i uznać, że zabójstwo nocnego dozorczy placu nie zostanie ukarane, gdyż życie lubi, jak zrobić coś przeciw niemu.

Rzekłem więc:

– Naturalnie plotką, panie kapitanie.

– Tym bardziej – odpowiedział kapitan – że Julia Neider od czterech lat nie żyje.

Czy my wspomnieniom nadajemy jakąś hierarchię? Czy poddajemy je obróbce, niekoniecznie intelektualnej? Czy próbujemy coś z nich wydestylować lub, przeciwnie, płyną nieujarzmioną rzeką wśród wirów, ostróg, zakoli, przyjaznych zatoczek, nieprzyjaznych, mulistych urwisk i co tam natura rzekom jeszcze przygotowała do repertuaru.

Nie wiem tego do dziś, ale wiem, że po zdaniu wypowiedzianym przez kapitana od niechcienia i jakby bez okazji, zrównywałem się z nim wobec Julii, bo poczułem, że wezmę udział w grze, z którą sobie poradzę.

Życie stałoby się za proste, gdyby wszystko było w nim grą, i za łatwe, gdybyśmy się jej nauczyli, lecz zdarza mu się podsuwać nam różne okazje.

– W końcu Julia Neider – kapitan usiadł wreszcie na krześle i przestał górować nade mną – przez te pięć lat była na naszym terenie nie byle kim. Trudno pojąć, ale sam bałem się jej gniewu. Potrafiła zaskarbić sobie względy. Godziliśmy się, że ma wpływy. Nie było takiego, który powiedziałby – sprawdzam. Ruska informacja wojenna przysłała dwóch laufrów, by się rozpytali, co i jak. Trafili na mnie. Nie powiem, że mi to nie pasowało. Po ucieczce waszej czwórki z katorgi, jaką wam zgotowała, był z nią koniec. Czara, jak to powiadają, się przelała. To była ta kropla, jak domniemywam, i rok pięćdziesiąty piąty. Precz ją zabrali, a po niej jej ojca z Legnicy, generała, głupi by powiedział. Tyle sprzedałem laufrom z ruskiej informacji wojennej, kupiłem więcej.

Komendant nie wracał, choć miał się tylko odlać i zaraz wrócić. Z ogrodu dochodził zapach rezedy, jakby się zanosilo na burzę. Słysząc było sroki. W przeciwnym końcu korytarza posterunkowy Rosiak i kulas z ORMÓ, sądząc po odgłosach, zaczęli napierdalać kogoś pałami zrazu jakby od niechcienia, zupełnie nie w porę.

Winorośl osunęła się znad okiennej framugi i struchlała.

Kapitan opowiedział mi to, co wiedziałem. O rzece na północy Rosji, gdzie zapomniane garnizony. O wilgotnym, sierpniowym dniu przypominającym jesienny. O ognisku, które nie chciało się palić, i pieśni, z którą dwóm oficerom przy rybach zupełnie nie szło. O tym, jak starszy rangą, niedawno poślubiony Julii, podszedł do niej, skulonej z zimna w dymie tłących się brzoź obcej Rosji, jaką próbowali pieśnią przywołać, i o coś zapytał, a ona coś odpowiedziała; on wyjął z kabury nagan, czy co oni tam ze sobą noszą, i strzelił jej z metra w twarz. I o tym, że Julia umarła na miejscu.

Nie było już blasku za zakratowanym oknem, tylko półcień, gdy w drzwiach zaczepiłem kapitana, o co zapytał lejtnant.

– Kiedy pokochasz moją ojczyznę, ty suko? – odpowiedział kapitan. – A czemu pan myśli, że lejtnant?

– Tak sobie... Co mu odpowiedziała?

– Tego nikt nie wie, panie Ruczaj.

– Ci dwaj z informacji...

– Też nie. Ale czy to ważne? Co by mu odpowiedziała czy nie odpowiedziała, i tak kula.

To dziki kraj.



Wyszedłem w powoli ustępujący skwar. Powietrze wciąż było ciężkie, jakby kto rozprowadził w nim ołów. Nad Śnieżnymi Kotłami czaiła się chmura w złowieszczym kolorze. To, że musiałem iść w górę S., wyraźnie mi przeszkadzało. Dokuczała mi własna fizyczność, jakby wszystkie starania, jakich nie poskąpiło mi lato, wzięły tego popołudnia w łeb.

Wracam do domu, rzekłem chłopakom, gdy mijałem plac z pustą portiernią opasaną papierowym sznurkiem, a oni spoglądali w moją stronę, o nic nie pytając.

Na Piekarskiej, z której co chwila unosił się brudny kurz, nie zareagowałem na skowyt psa wczepionego w płot na tyle, na ile pozwalał mu półtorametrowy łańcuch. Zawstydzilem się swej obojętności, wróciłem i przytuliłem jego głowę do piersi. Szepnąłem w kosmate ucho, z którego powiało smrodem przewlekłego zapalenia: o jednego ludzkiego chuja mniej, przyjacielu.

W głębi czarnej, wiecznie wilgotnej sieni wychodzącej prosto na ulicę najniebezpieczniejszego domu w S. zaświeciła jak lampa łysa głowa Sawicza, właściciela psa, niedawnego repatrianta z Białorusi. Podczas ostatniej zimy wmówił mi ruskie gumofilce do kolan o dwa numery za duże, w których nie miałem okazji się pokazać. Dałem za nie pięćdziesiąt złotych i ich brak odczuwałem do dziś, bo wszystko u mnie i u moich starych kobiet było na sakramencki styk.

– Z tym łachem też skończę, przyjacielu – szepnąłem psu na pożegnanie – i z wszystkimi, którzy nam nie sprzyjają.

Ciotka czuła się lepiej, bóle osłabły, jakby zabrało je lato, co nie było prawdą, tylko jedną z tych iluzji na temat zdrowia ciotki, jakimi we trójkę karmiliśmy się na potęgę.

Babka podała mi kawę z żelaznych londyńskich rezerw, co oznaczało, że dzień uznaje za wyjątkowy. Nigdy żadna kawa tak dobrze mi nie zrobiła. Trzymałem kubek w trzęsących się dłoniach, co u mnie zawsze świadczyło o zmęczeniu, a ledwo zabieleny mlekiem napój kołysał się w naczyniu.

– Marnie wyglądasz, dziecko – rzekła babka, a ja odpowiedziałem, że jak zwykle i że miałem zupełnie dobrą noc.

– Nic podobnego – zaprzeczyła. – Właśnie mówiłyśmy z Rina, że lato tak dobrze ci zrobiło ze zdrowiem.

– Ale się kończy, babuniu.

– Nie zabraknie go do września, dziecko. Kawę pij wolniej, bo drugiej nie będzie.

– Przecież jeszcze nie zacząłem, babuniu.

Ogarniał mnie tępy spokój, senność, niechęć do rzeczywistości i błahe wspomnienia. Przez otwarte okno wysokiego poddasza, na którym powietrze stało mimo drzwi na przestrzał, patrzyłem na kilkudziesięcioletnią lipę na brzegu ocembrowanej rzeki. Rok później ścięto ją wraz z całym wiosennym w niej życiem w ramach nadawania naszej wsi lub miasteczku bardziej cywilizowanego wyglądu. Program zakładał eksterminację każdego drzewa zwracającego na siebie uwagę urodą lub starością i lipa sprzed naszych okien poszła na pierwszy ogień.

Przyzwyczajeni do strat, wręcz zahartowani, pożegnaliśmy drzewo smutkiem i biernością, a mówiąc my, mam na myśli siebie i babkę, bo ciotka Rina już tego nie doczekała.

Posłuszny babce piłem kawę małymi łykami, a ona zastanawiająco szybko stygła. Rozglądałem się, jak nigdy, po naszym surowym niedostatku. Wokół nie było nic miękkiego, okrągłego, przyjaznego starym kościom. Dwa zydle, dwa wiklinowe krzesła z ażurowymi oparciami, pokancerowany stół bez obrusa, ponemieckie łóżko ciotki, ze sprężynami sięgającymi podłogi.

W sąsiednim, większym pokoju zajmowanym z powodu choroby ciotki przez babkę, oddzielonym pustą framugą szezlong skonstruowany z drewnianej ramy wspartej na skrzynkach po jabłkach, z nienaturalnie wydętym siennikiem nieprzykrywającym całości. Na ścianie niezbędne lustro, w którym coraz trudniej przychodziło doszukać się swego odbicia.

Wszystko, nie wyłączając naszej trójki, stare było lub zastygłe w niemocy.

Usiadłem na zydlu tak, by widzieć twarz ciotki Riny. Duża, czerstwa, niezmiennie śniada, z uważnym spojrzeniem przytomnych oczu, w aureoli siwizny, wyłączona z degradacji ciała, jakby choroba ją oszczędzała, odbijając to sobie na reszcie.

Pochyliłem się ku niej, czując woń niczym nieuśmierzanego cierpienia.

– Bandycką sotnię podniesiono o świcie – wyszeptałem.

– Bo przełom maja i czerwca ustalił już dni – odrzekła jak echo ciotka i zaczęliśmy sobie, zrazu nieśmiało, przy protestach babki oględniejszych niż zwykle, opowiadać historię ostatniego Skode znad Dźwiny.

Nie potrafiłem odmówić tej przyjemności umierającej ciotce, ale i po raz pierwszy sobie.

Zakrzykiwana przez babkę, by nie przywoływała tego ponurego szaleńca, którego wołyńska rodzina Ruczajów powinna się wstydzić, ciotka Rina nie znajdowała okazji, by powiedzieć o nim to, co miała do powiedzenia; urywała jego historię za każdym razem powstrzymywana przez galicyjską miarę rzeczy.

Malowniczość ciotki Riny najczęściej nas męczyła.

Mego imiennika, chłopca przemienionego w żurawia i desperata pokumanego z bolszewicką bandą, znałem z porzucanych w popłochu wywoływanych niezadowolonym babki strzępów, z których niczego nie można było złożyć. Nie mówię, że po raz pierwszy pojawiła się szansa na coś więcej niż fragment, ale dałem do zrozumienia babce, że tym razem powinna milczeć.

Cóż powiedzieć można o przewadze, jaką z chwili na chwilę, zyskał syn ostatniego właściciela Divitte jeżeli nie nad kilkusetosobową bolszewicką bandą, to nad jej komendantką?

Cóż powiedzieć można o odwiecznej niepewności kobiety, która pierwszą młodość ma za sobą, zakochanej we wdzięku, nieprzewidywalności i bezmyślnym okrucieństwie niedojrzałości?

Cóż można powiedzieć o urodzie pozatrzymywanej już tylko w kilku chwilach – przelotnym geście, niespodziewanym uśmiechu, kilku krokach, którym odebrano na moment ciężar, spojrzeniu wymownych, rosyjskich oczu gdzieś za siebie, dziewczęcym pochyleniu głowy, w jakim bywa duma z własnej pokory – kiedy te chwile nie składają się już na nic, bo są tylko wspomnieniem po pięknie nieznaną drogą, którą się wraca?

Odpowiedziałem ciotce łagodnie, że nie znam języka, którym do mnie mówi, że ledwo go pojmuję i że wiele lat będzie musiało upłynąć, nim doświadczenia mężczyzny podsuną mi odpowiedź.

Ciotka uśmiechnęła się tajemniczo. Podobała się sobie w tych uśmiechach wprawiających rozmówców w zakłopotanie. Lubiła też swoje niejednoznaczne wyjaśnienia.

Powiedziała o nieletnim kochanku, za którego uczucie, a z czasem litość, Weronika Mironowa komenderująca bandą równającą wschodnią Łotwę z ziemią, oddałaby rewolucję.

– Rewolucję, ciociu?

Skinęła głową. Cień ustąpił z jej lwiej, pomarszczonej, ogorzałej twarzy.

– Tak, Joan, całą rewolucję. Nawet w nocnych godzinach, gdy młodzieniec zamęczony życiem nie na jego miarę pozwalał być Mironowej dla siebie matką, gdy w uścisku jej ramion zasypiał jak dziecko, to budził się kochankiem, gdyż miłość kobiety niszczyła nawet własną szansę.

Babka zauważyła, że to, co słyszy, nie wydaje się jej przyzwoite i warte wspomnień, lecz z drugiej strony niczego innego po tej nieszczęsnej rodzinie opuszczonej w przepastnych lasach nad nieznaną rzeką spodziewać się nie mogła. W jej głosie nie było jednak tego imperatywu, który dotychczas kazał samowładnej przeciw ciotce zabierać się z opowieścią do siebie.



A dalej brzmiała ona tak, że po łupieżczych rajdach równających okolicę z ziemią,znaczonych łunami pożarów odbijających się w wodach Dźwiny ludzkim lamentem, bolszewia zażywała odpoczynku po gospodach, a Mironowa kazała podawać wódkę w wiadrach.

Jej nieletni kochanek oddawał się chojrackiej wręcz rozpuście z takim zapamiętaniem, że nawet ona, która wiele widziała, a jeszcze więcej przeżyła, była zdumiona.

– I sparaliżowana – dopowiadam po chwili, a babka patrzy na mnie głębokim, mądrym, surowym spojrzeniem, w którym jest prawda, która powiada: Nie przywiązuj się do tego, co słyszysz. Nigdy się do tego nie przywiązuj. Nigdy i pod żadnym warunkiem.

Ale na to jest już o pół dnia za późno.



Nie wiem skąd i nie wiem jak nabrałem apetytu na życie zuchwalsze niż to, jakie wiodłem dotychczas.

Obok znużenia poczułem głód.

Nic wiedzieć nie mogłem o gościach z klanu Hemingwaya formujących zaczepną rotę, na której czele stanę. O wystawiającej mnie na próbę ognia zażyłości z kapitanem. O roztropności, z jaką powoli, lecz konsekwentnie, nabywałem prawo do bezkarności, aż zaczęto się mnie obawiać. O tym, jak układałem się z możliwymi naszymi stron nie z pozycji wasala uzależnionego od wszystkich i wszystkiego, lecz partnera nieprzeceniającego zaszczytów, jakimi go obdarzano.

Jak nauczyłem się ustępować, nie zmykając, i postępować, nie atakując. Jak opuściłem nasze strony. Jak poznałem Kima Sewastopola z Antibes, zdobyłem jego zaufanie, choć nie przyjaźń, i jak go zdradziłem w słusznej, jedynie słusznej, bo własnej sprawie. Jak z biegiem lat, by dogodzić miłości własnej, zasmakowałem w opiece nad słabościami i jak na zasadzie równowagi każda uzbrojona siła, przecież nie zawsze występująca w złych sprawach i stająca po złej stronie, mogła się spodziewać po mnie najgorszego. Jak prawo moralne we mnie, niezależnie od nieba, zwracać mnie zaczęło przeciw prawom ludzkim i boskim, jak hartowałem swą lękliwą naturę, bo nie wiercie w zmiany – nadal byłem tchórzem. Tyle że podszytym zuchwalstwem, obdarzonym szacunkiem, jaki przestaje nas bawić dopiero na starość.

I jak z każdym rokiem, z każdą dekadą, bliżej byłem Julii Neider, poskramiając jej naturę na rzecz wygody i przyjemności posiadania jej wedle siebie.

Poza wszystkim wraz z głodem zuchwalstwa pojawiła się przyjemność odcumowania od życia. Bo życie, jakie znały nasze strony, to wojsko, zaraz potem – bez szczeliny na i tak koncesjonowaną wolność – małżeństwo, jego owoc w postaci parki dzieci, jego jad rozprowadzony po duchu i materii przez małżeńskie swary z czasem o wszystko, jego mdły nektar wyciśnięty z rodzinnej celebry, z zamroczonej Wielkiej Nocy, osaczonego przez pogańskie rytuały i katolicką bezmyślność Bożego Narodzenia, nieznośnie rozdokazywanego Nowego Roku, cudzych wesel, pijanych chrzcin, obojętnych pogrzebów.

A później niedomagania i choroby, zaczepiające nas na niby, od niechcienia, przecież bez przyczyny, dla zabawy, niezobowiązującej próby, bo właśnie przechodziły obok, by się rychło zadomowić i przekonać nas do swej nieuchronności.

Życie – robota, ulica, moi przełożeni i przyszli podwładni, obyczaje, jakim nie tacy jak ja

w końcu ulegali, obowiązek wobec swojactwa, jakiemu każdy, chciał, nie chciał, składał ofiarę z samego siebie – miało mnie uwiązać blisko ziemi, bym nie zapodział się w przestworzach, bo cóż ze mnie za sokół?

Tego południa obok dwóch starych, dotychczas niewtajemniczonych w nic kobiet, odnalazłem ulgę dodaną do wszystkich przyjemności, jakie pozostawiłem za sobą i jakie były przede mną.

Nie zobaczę się już nigdy z Halinką. Nie będę nosił jej plastikowej torebki ani tranzystorowego radia z *Koncertem życzeń* podczas narzeczeńskich spacerów po parku zdrojowym w C.

Nie zajdę z nią do kawiarni Marysienka, nie zatopimy się w miękkich pufach i nie będziemy się przekomarzać na temat owocowej galaretki i grzańca z goździkami.

Wywinę się życiu, jakie znają moje i nie moje strony, by zakotwiczyć w dziwactwach, mizantropii, biorącej się z tego wyższości, we wszystkim, czym gardzi norma, czemu nie ufa zasada, przed czym wieje porządek.

Odezwałem się cicho, zasłuchany we własną przyszłość:

– Bandycką sotnię podniesiono o świcie.

Ciotka postanowiła już nic nie ukrywać przed moją ciekawością ani przed surowością babki. Odpowiedziała jeszcze ciszej, jak mówi się do siebie: do wieczora z ogromnego dworu w połowie z kamienia, a w połowie z drewna, oficyn, zabudowań folwarcznych, a nawet parku z altanami bez przeznaczenia, nie został kamień na kamieniu.

O zmierzchu łuna największego pożaru, jaki pamiętała okolica, rozświetliła niebo.

Tej nocy hersztowie bandy weselili się szczególnie, jakby przekroczyli granicę i weszli w strony bez powrotu. Kochanek Mironowej dostał gorączki i mimo że nie tknął wódki, wyglądał na pijanego. Nie wiadomo, czy kula z nagana zgasiła go podczas wywrzaskiwania ordynarnych czastuszek, czy podczas tańca, bezładnej rozmowy czy łązawej zadumy, lecz nie zaczęło szarzyć, jak leżał martwy na drewnianym stole z dwiema kulami w czaszce. A gdy szarówkę rozjaśnił świt zapowiadający pogodny dzień, banda przeszła Dźwinę i zniknęła w krainie nowej sprawiedliwości.

– Tak skończył Jan Skode, syn ostatniego właściciela Divitte. – Ciotka uniosła znad poduszki ogorzałą, lwią twarz. – I tak skończyli oni wszyscy.

Sam widzisz – mówił wzrok babki, jakbym zamierzał przypodobać się swemu imiennikowi – straszne to i niedorzeczne. A tego sierpniowego południa, gdy przełamało się najpiękniejsze lato mego życia, nie mogłem być bliżej jego czynów.

Jeżeli znużenie wyostrzyło mi wyobraźnię, tak że zobaczyłem wątle ciało, coraz gorzej znoszące letnie dni w miarę wchodzenia w zrewoltowaną Rosję, które przestaje różnić się od ciał, jakimi usłano drogę powrotną bandy, jak Weronika Mironowa z godziny na

godzinę uwalniała się od ciężaru, jakim była dla niej ta miłość nie w porę, to tylko po to, bym potwierdził swój sprzeciw wobec brawury, desperacji, ostateczności, z którymi moje zuchwalstwo nigdy się nie pokuma.

Przez otwarte na oścież okna ujrzałem śmieci lecące wzdłuż ulicy jak stadko ptaków. Wiatr dmuchnął brudnym kurzem, obracającym się w smudze światła.

Zamykając okno, poczułem na twarzy kropelki wody, a to oznaczało, że w głębokich kotłach za górą Kynast zaczęło padać. Wiatr z każdą chwilą stawał się chłodniejszy.

Na mansardzie, która nie zaczęła jeszcze stygnąć, w półśnie, przyjemnym odrętwieniu, ciszy starości, zobaczyłem wszystkie prezenty, jakie los składał u mych stóp.

Jeden łaskawszy od drugiego.



*Część druga*  
*Południe i reszta dni*





Telefon obudził mnie przed ósmą. Jeden z tych nic niewnoszących do naszego dnia, po którym nie potrafimy zasnąć. Wracamy jeszcze do łóżka, lecz tylko po to, by się nerwowo przewracać z boku na bok, przypomnieć sobie sen wypłukiwany z chwili na chwilę przez jawę, a potem zadać sobie bezsensowny trud powtórnego wstania.

W powyciąganym na wszystkie strony szlafroku, w jaki lubi zawijać się niechlujna starość, usiadłem na wysokim stołku wyłożonym dermą w mej trzymetrowej kuchni i spojrzałem na świat za oknem.

Grudniowy poranek z zimną mgłą i resztkami śniegu, szkaradny z samej swej natury, w półtoramilionowym mieście, które polubiłem.

Byłem przed miłymi i niemiłymi rytuałami poranka, po którym już od miesięcy, a może lat, następował beczynny, samotny dzień. Odzyskiwałem tyle przyjemności, ile było w mojej sytuacji możliwe.

Toteż dzień, niezależnie od pory roku, zaczynałem niezdrowo od mocnej kawy ledwo zabiłonej mlekiem i dwóch papierosów z dziesięciominutową przerwą między nimi, po których, z półgodzinną przerwą na rozmyślenia, oddawałem higienie należy jej serwitut w postaci ablucji zajmujących mi mimo zbierania się w sobie czas do dziesiątej.

Miało to tę zaletę, że dzień, który trzeba było przeżyć, skracał się zimą do kilku godzin, skoro na serio rozpoczynałem go dopiero ogolony, umyty, ubrany jak do wyjścia, wyciągnięty na wychudzonym fotelu Kon-Tiki zajmującym trzecią część mego – jakkolwiek śmiesznie to zabrzmie – gościnnego pokoju.

Ponieważ zaraz po użyciu rzadko zdarzało mi się opróżnić z fusów niewielkie stalowe urządzenie nazywane na wyrost ekspresem, to miły rytuał parzenia złotej lavazzy był niweczony przez mozół czyszczenia sitka ze zbrylonej, szybko kwaśniejcej, wbitej w nie masy.

Psuło to i tak względną przyjemność poranka, lecz moja niechęć do codziennych, drobnych nieodzowności, niemająca zbyt wiele wspólnego z lenistwem lub abnegacją, zapowiadała starość, jakiej za nic nie chciałem doczekać.

Kuchenka elektryczna podgrzewała wodę dłużej niż gazowa, lecz zaparzonej kawie robiło to dobrze, podobnie jak jej aromatowi przenoszącemu moje niewielkie, ascetyczne mieszkanie zawieszony na siódmym piętrze punktowca, warującego nad ruchliwą trasą przecinającą miasto z zachodu na wschód, w przestrzeń śródziemnomorskich wakacji, niedrogich pensjonatów, tarasów z widokiem na ciepłe morza, spokojnych zatok

z sunącymi jachtami, bistr, kawiarni, restauracji oczekujących pierwszych gości, bryzy łagodzącej wzbierający upał.

Zapach lavazzy, nie wspominając już o jej smaku, zabierał mnie każdego poranka na półgodzinne wakacje do miejsc, które w człowieku już na zawsze pozostają.

Papieros w tym względzie nie miał nic do rzeczy, nawet jeżeli był to czerwony pall mall z węglowym filtrem, czarny players lub carmen odpowiednio wysuszony na kaloryferze, bo przyjemność z nim związana była z innych stron.

Problemem tego najgorszego poranka, jaki można sobie przedstawić – szarość drugiej połowy grudnia w mokrym, niezdecydowanym, w co ma się przemienić, śniegu – była pustka, od której tak wiele rzeczy jest gorszych.

Nie miałem już sobie nic do powiedzenia, nie chciałem przed niczym siebie przestrzec, na nic namówić, do niczego przekonać, niczym się wzruszyć, nie musiałem niczego na poważnie się obawiać, z niczym mierzyć i do niczego odnosić. Stan, jaki człowiek, a w każdym razie mężczyzna, powinien osiągnąć po życiu, które nie sprawiło mu zbyt wielu zawodów.

Pustka, która pozwala nam wejść w fazę końca bez tego przeszywającego na wylot poczucia straty. Pustka i, jeżeli szczęście nas nie omija, samotność, znieczulająca ból związany z wiadomością, że akcja już nie trwa.

Spotykają nas jeszcze jakieś przyjemności, na przykład złota lavazza i papierosy, smakowane na zmianę do tej godziny, gdy trzeba wejść do łazienki i zająć się nieprzyjemnościami.

Dlatego też wyrywający mnie z łóżka po niedospanym estanazolu poranny telefon, który osobnika niezanurzonego w pustce i niewyróżnionego samotnością wprawiłby w zaniepokojenie lub podniecające oczekiwanie na zmianę, na mnie nie zrobił wrażenia.

Niezmuszony sytuacją materialną, zagwarantowałem sobie kilkanaście ekskluzywnych kursów z niezbyt odległych dzielnic miasta na lotnisko.

Ziutek korzystający ze mną ze sfatygowanego mercedesa odstąpił mi te trasy, bo nie miał wyboru, jak każdy ziutek żyjący trochę cudzym kosztem. Taryfa zarejestrowana na nas obu była moją własnością, więc jego ustępstwa na rzecz moich wygod równoważyły moje wydatki, dzięki którym on miał zajęcie i utrzymanie.

Przedemną była jazda z Żoliborza na lotnisko z córkami mecenasa prowadzącego zręcznie moją, z roku na rok kretyniejącą, sprawę o kradzież porcelanowego kaczorka z domu prostaków, którym w odruchu serca postanowiłem pomóc.

Tak więc miałem w planie godzinę, biorąc pod uwagę stołeczne korki, kontaktów międzyludzkich z młodymi osobami skłonny do wymiany zdań o niczym, spełniającą wobec mego umysłu tę powinność, jaką wobec ciała spełniał wieczorny spacer Polem

Mokotowskim.

Jedenasta pod domem mecenasa wykluczała zwłokę w celebrowaniu porannych rytuałów, nie do tego jednak stopnia, bym nie zauważył, że nie towarzyszy im żadna przyjemność. Jakbym nagle stracił do nich wszelką zdolność. Kawa nie miała smaku, papieros – charakteru.

Zaniepokojony sięgnąłem pamięcią wstecz, by przywołać wiosenny dzień sprzed pięciu lat, gdy grypa wymusiła na mnie rezygnację z przyzwyczajień. Dziś jednak zdrów byłem tak, jak może być zdrów sześćdziesięcioletni człowiek na bakier ze sportowymi nawykami.

Z powodu zawodowego zobowiązania nie mogłem sobie pozwolić na dwa kwadranse codziennych rozmyślań o bezsensie sensu, sensie bezsensu, zaczynaniu i kresie, metach u początku i początkach na mecie, o życiu, śmierci, bycie, niebycie, ciemności i świetle, o intelektualnej krzątaninie nieprowadzącej nikogo donikąd, lecz sprawiającej przyjemność brakiem zobowiązań wobec konkretnego.

Jakkolwiek bym się porywał, wywyższał lub alienował, dzieliłem z innymi bezsilność gatunku, do jakiego mnie przypisano.

Dzisiejszego poranka, a mieliśmy wtorek, od którego każdy inny w roku jest lepszy, nie poświęciłbym tym rozmyślaniom ani chwili, nawet gdybym miał na nie czas. Bo nie asystowała mi żadna spodziewana przyjemność. Żadna znana mi lub nieznana przyjemność.

Miałem wrażenie, że sprawy, od których tak wiele w moim życiu zależało, idą w złym kierunku. Jak wtedy, gdy opuszcza nas coś, co w codzienności nic niby nie zmienia, tylko zabiera jej smak. Jak kobieta porzucająca nas ni z tego, ni z owego.

Śniadanie jest śniadaniem, spacer spacerem, książka książką, a film w telewizji tym, czym jest dla innych, nawet łóżko łóżkiem i telefon od matki znanym nam od lat telefonem, tylko nic nie przypomina tego, czym było jeszcze przed chwilą.

Jadowita paralaksa. Bo miałem dojmujące wrażenie, że poopuszczają mnie bez żadnej zapowiedzi moje liczne drobne przyjemności jak kobiety, gdybym im na to pozwolił.

Co to jest starość? – zapytałem wiele lat temu inżyniera, gdy już ją poznał. To brak przyjemności – odpowiedział. Nie uwierzyłem mu. Jak każdy, młody jeszcze, dureń.



Córki mecenasa dorodne były i głupie. Zachowywały się hałaśliwie, przerzucając się odzywkami, od których cierpła mi skóra.

Zrozumiałem, że lecą do Londynu, gdzie ich matka wałkoniała się na jakimś półdyplomatycznym stanowisku niemającym nic wspólnego z interesami reprezentowanego przez nią państwa.

Raniły mnie do żywego ostentacyjną pogardą dla mej przecież niezaawansowanej starości bez widocznych stygmatów zaniedbania, niechlujstwa czy tego oddania wygranej życiu, gdy dochodzimy do wniosku, że nie mamy się już o co starać.

Nie opuściłem jeszcze fazy nadrabiania miną, nawet jeżeli była już tylko odruchem. W wersji na zewnątrz nie przyznałem sobie jeszcze prawa do abnegacji, która wewnątrz mej codzienności już brała górę nad dyscypliną i zapowiadała rozkład.

Nie powodowały mną ambicje podobania się, ale zupełna obojętność na nonszalancję, z jaką nosiłem resztki męskości, wydała mi się niesprawiedliwa. Podobnie jak mimowolne najpewniej przeświadczenie młodych kobiet o mej bezużyteczności w kategorii, która nam schlebia.

Porównywalne wrażenia miałem trzy lata wcześniej, gdy równie podłego grudniowego dnia, a ściślej nocy, wiozłem do radia przy alei Niepodległości dziewczynę nie mniej ładną niż moje dzisiejsze pasażerki, a mającą nad nimi tę przewagę, że była sama.

Zapytałem, czy jest dziennikarką, a ona odrzekła, że bynajmniej, a po chwili dodała, że zajmuje się książkami, bo nikt inny w radiu nie chce tego robić.

– A co to za książki? – zapytałem.

A ona mi na to, że do czytania. Nawet gdyby była prymitywna, źle wychowana i niechętna, piętnaście lat temu, a niechby i dziesięć, wyjaśniłaby mi to mniej obcesowo. Więc gdy trzy przecznice dalej zapytała z nudów, bo nocna jazda przez opustoszałe miasto się dłużyła, czy coś czytam, odrzekłem, że niespecjalnie, tonem, który nie zachęca do rozmowy.

Poczułem się dotknięty jej młodą obojętnością jak każdy nocny taksówkarz liczący na więcej niż wskazanie taksometru. Po chwili dodałem:

– Czasami gazety.

– Myślałam o książkach – rzekła też po chwili dziewczyna.

– Niespecjalnie, proszę pani. – W lusterku wstecznym ujrzałem połowę jej porcelanowej, nic niewyrażającej twarzy. – Ale kiedyś czytałem.

– A co?

– Hemingwaya.

– Hemingway – westchnęła znudzona i zniechęcona. – Coś słyszałam na studiach i w ogóle, ale nie znam.

Mając przed sobą ulicę w pośniegowym błocie przeżartym solą i rzędy domów nieodcinających się już od nieba, i oświetlone na żółto skrzyżowania, i oszpecone sprayami przystanki, zdecydowałem się opowiedzieć na przekór dziewczynie, sobie i sytuacji o pensjonatach w Ligurii, Umbrii, Lacjum, na Lazurowym Wybrzeżu i w delcie Rodanu, o mroźnych porankach w Abruzzach, o upałach w Andaluzji z wieczorami przy winie i tańcach, które gasi dopiero świt. O drodze z Antibes do Le Lavandou lub Hyères pokonywanej niewielkim, odkrytym austinem. O przydrożnych oberżach, gdzie podają ciemny chleb, oliwę w czarkach, rozdrobniony czosnek, szarą, grubą sól i włoskie orzechy, a do tego chłodne, białe, miejscowe wina.

Opowiedziałem jej o łakomych spojrzeniach patronów na nasze pozwabiane talentem kobiety, z którymi obnosimy się po tych miejscach, na których nam zależy.

Przedstawiłem jej, a może, który to już raz z rzędu, sobie, świty w Kenii, kiedy się zdaje, że na wyciągnięcie ręki stoi przed nami Kilimandżaro zasnuwane później przez ranek i południe chmurami i zasadzki na kudu, bawoły czy inne roślinożerne zwierzęta, których wielkość nas nieodmiennie dziwi.

Opowiedziałem o głupich szarżach nosorożców pokonywanych trzema strzałami z powtarzalnego springfielda – w łeb, na komorę i, gdy już padają, w kręgosłup – i o desperacji zranionego śmiertelnie lwa, który postanowił tanio nie sprzedać swej skóry.

O pstrągach w Idaho i trampingu w Montanie w wysokich butach z wełnianymi skarpetkami wyłożonymi na cholewki. O nartach zapinanych z tyłu na klamerki. O haigu w temperaturze ogrzanego przez kominek kamiennego pokoju gdzieś w Masywie Centralnym, i o zimach na płaskowyżach Kastylii przewiewanych lodowatym wiatrem, podczas których projektujemy sobie obydwa sezony korrid, na które się wybierzemy, o bykach, jakie dla nas przygotowują, i emocjach, jakim nie zabronimy do siebie dostępu.

Słyszałem, jak dziewczyna westchnęła: o Jezu, i zaczęła wiercić się na tylnej kanapie, jakby zamierzała wysiąść, zanim dojedziemy do radia.

Miałem przed sobą już jego zwalisty budynek ze świetlną reklamą na dachu, nie dzieliło nas odeń więcej niż pięćset metrów, więc postanowiłem pospieszyć się z Hemingwayem.

Powiedziałem o odgłosach wojen, na jakie się wybierzemy za zgodą naszych kobiet, które przekonamy, że to nic więcej, absolutnie nic więcej niż męska sprawa z ranami i satysfakcją z dobrze spełnionego obowiązku wobec siebie.

Powiedziałem jej, a może już tylko sobie, o niepohamowanej radości młodego,

gwałtownego, niebezpiecznego życia, które poskramia tylko śmierć.

– Kto? – zapytała dziewczyna, a ja odrzekłem, że śmierć w najpiękniejszych swoich szatach.

Dodałem, że ulegając jej, jesteśmy wreszcie w prawdzie, skonfrontowani ze strzępami życia, jakie ona nam jeszcze łaskawie darowuje, i nie żałujemy iluzji, w jaką się zamieszaliśmy, bo dobrze nam było, cholernie dobrze, dla niej żyć.

– Dla kogo? – zapytała, nie dowierzając, dziewczyna, a ja odpowiedziałem, że dla tej iluzji.

– Chryste!

Dziewczyna wysiadła przed radiem. Odczekałem chwilę, bo wiedziałem, że te młode redaktorki zawsze coś zostawiają w taksówkach i jest kłopot ze zwracaniem, bo one nigdy na nic nie mają czasu. Wróciła i zapukała w szybę.

Poczułem chłód brudnej, miejskiej mgły.

– Nie dałby się pan namówić na audycję?

– Nie rozumiem. O czym?

– O tym, o czym pan opowiadał.

– Gdzie?

– W radiu.

– Kiedy?

– Za kwadrans. – Pochylona przy do połowy otwartym oknie patrzyła ponad moją głową, wyraźnie unikając mego wzroku. – Mam umówionego profesora od trendów w młodej poezji krakowskiej, ale jak wysiadłam w ten kisiel, to pomyślałam, że w tym, co pan mówił, jest... no kurna, jak by to sprecyzować dokładnie...

– Jakieś światło?

– Dokładnie.

– Nie sądzę – mruknąłem, wietrząc szansę krótkotrwałej choćby przewagi nad jej młodością. – Nie sądzę, żeby pani o tym właśnie myślała. Ile płacą?

– Grosze i nie panu.

– No to odmawiam.

– No to szkoda.

Dziewczyna odkręciła się na pięcie i ruszyła ku schodom. Miała naprawdę zgrabny tyłek pod obcisłym półkożuszkiem i szkoda jej było do tej roboty.

Mogłem sobie wyobrazić tego profesora i jej mękę, by od czasu do czasu zadać jakieś pytanie z gatunku niemożliwych do powtórzenia, gdyby go nie dosłyszał.

Przyjemności nie wystarczały. Pustka nie wchłaniała wszystkich ciężarów. Zasobna codzienność miewała okrutne chwile, którym nie potrafiłem się przeciwstawić. Nuda

zatapiała nawet to, co dotychczas pływało po jej powierzchni.

Oswajane latami smutki zaczęły się wyradzać i deprawować w sygnały złego nastroju. Zły nastrój przywoływał depresję czającą się, póki co, po kątach lub za węglem.

Szanse za łatwo przechodziły obok. Godziny wlokły się, bywało, niemiłosiernie, a rachunek za przywilej samotności zaczął przekraczać granice zdrowego rozsądku.

Nacisnąłem klakson. Dziewczyna znieruchomiała na szczycie schodów z dłonią na klamce masywnych drzwi. Nie musiała się nawet odwracać, czuła moją decyzję przez skórę.

Kiedy szliśmy obok siebie niekończącymi się korytarzami w szeregu zapalonych lub zgaszonych lampek nad drzwiami, wspomniała o trzech, czterech pytaniach, które mi zada tak dla picu, a potem wszystko załatwiła telefony od słuchaczy.

– Niech pan będzie spokojny, to się zawsze udaje.

Profesora nie zauważyłem. Wobec urody i młodości dziewczyny znaczył przecież tyle co ja lub nawet mniej, więc się, mówiąc najogólniej, nie narzucał.

Poszło mi gorzej niż w taksówce, co dziewczyny nie zdziwiło, bo ani tam, ani tu mnie nie słuchała, ale telefonów od słuchaczy odebrałem kilkanaście. Był w nich głód niecodzienności, życia na krawędzi, którego nie zakosztujemy, choć nie jest niemożliwe.

Potem dziewczyna zapytała, czy trafię do wyjścia, czy ma mnie odprowadzić, i było jasne, że w labiryncie korytarzy i piętér będę musiał poradzić sobie sam.

Wracając do domu w grudniowym deszczu, z którym ledwo dawały sobie radę wycieraczki, pomyślałem, jak nic nieznaczącym wydarzeniem był mój pierwszy w życiu publiczny występ, podczas którego sprzedałem siebie, bo przecież nie Hemingwaya, za nic. Jak w kołowrocie zajęć dziewczyny, jej zobowiązań zawodowych i towarzyskich, jak w jej krzątaninie po życiu nic to nie znaczyło. Żeby mi choć to wynagrodziła jakimś życzliwym gestem, podaniem dłoni na pożegnanie, uśmiechem, jaki w jej wieku tak łatwo przychodzi, jednym ciepłym słowem, jakąś najwątleszą zachętą, do której bym się przecież nie przywiązał.

A tu obojętność jak porcelana.





Myliłem się jednak.

– Posuwam ją trochę – rzekł od niechcienia młody człowiek dwa tygodnie potem.

Zasiedliśmy do lanczu w jednej z tych wabiących celebrytów stołecznych restauracji, w których grzeczność personelu onieśmiela gorliwością i po kwadransie tych doświadczeń wolelibyśmy być obsługiwani nieco bardziej szorstko.

– Nic jej nie brak, jak pan zapewne zauważył. – I dodał tonem, jakim z drobiazgów przechodzi się do spraw ważnych: – Dawkowana przemoc, nieustający egzamin z dzielności, purytańska męskość, samotność z wyboru i melancholia. A do tego prosty świat twardych gości podszyty seksownym tragizmem. To by mi pasowało.

– W życiu? – zapytałem, przypatrując się pucułowatej, otwartej, wieśniackiej, nieskrywającej żadnej tajemnicy twarzy młodego człowieka.

Wskazał kolorowy żurnal dla facetów, od którego wiało chamstwem, złym gustem i pustymi przechwałkami. Przeglądałem go od jakiegoś czasu, brudząc sobie palce drukarską farbą – feeria tandetnych barw na każdej stronie tak ostrej, że można by nimi podrzynać gardła.

– W gazecie. – Młody człowiek przywołał kelnerkę, ale natychmiast zapomniał po co. – Anetka odtworzyła mi wasze nagranie i zaraz sobie pomyślałem, że to jest to, czego brak mi w „Gitmanie”. Powiedziała: posłuchaj klienta, który udaje taryfiarza i ma kilka dobrych pomysłów na twoją gazetę. A ja do niej: Nutka, nie będę słuchoł taryfiarza, bo dość się ich w życiu nasłuchałem. A ona: ale tego, Sebek, posłuchaj.

Nie żałuję. Kutasy, których pozatrudniałem, znają się na rzeczy, robią to co inni, a robić to co inni można w zlewozmywakach, ale nie w gazecie. Wspomniał pan o melancholii jako męskiej codzienności, niezmiennym, co by nas nie otaczało, stanie umysłu. Chcę mieć w „Gitmanie” tę melancholię. Mówił pan, że żyć trzeba niebezpiecznie albo w ogóle, chcę mieć w „Gitmanie” ten wybór. Mówił pan o dumie z własnej niezależności, nawet jeżeli ugrzęźliśmy na straconych pozycjach, wobec Boga, idei, ojczyzny, prawa i celów, do jakich dążą bliźni. Chcę mieć w „Gitmanie” tę dumę i tę klęskę, do której ona prowadzi. Chcę mieć nawet to bezużyteczne piękno, o jakim pan wspomniał na końcu. Sebek, kurwa, chce mieć to wszystko.

Rozejrzał się po sali, zaczerwienił, przestawił tonik z rogu stołu w róg, uderzył otwartą dłonią w blat, krzyknął wręcz histerycznie i takiej reakcji nie znał ten wycwaniony lokal, w którym sarkazm przedrzeźniał ironię, a ta – najtańsze kpiny.

– Chcę mieć nawet te stracone pozycje, w których grzęźniemy albo i nie. – Pani poda – zwrócił się do kelnerki – jeszcze ciemnego chlebka.

Pochylił się ku mnie. Poczulem Yardleya, Paco Rabanne, Hugo Bossa, czy co tam oni używają. Poczulem też pasję i świętą naiwność, które służą każdemu przedsięwzięciu.

Zapytał:

– Co by pan zmienił?

– Nie znam się na gazetach – odpowiedziałem, odkładając żurnal. – Jestem taksówkarzem.

– Co by pan zmienił jako taksówkarz, pod którego się pan podszywa?

– Jako taksówkarz – wszystko.

– Od czego zacząć?

– Od tytułu.

– Nie podoba się panu tytuł?

– Jest ordynarny.

– A jaki by nie był?

– „Republikanin”.

Kelnerka wróciła z chlebkiem tak szybko, jakby wiedziała, że go zabraknie i że to okazja, by przymilić się gorliwością klientowi, na jakim jej zależało.

– Jako tapicer z wykształcenia – rzekł młody człowiek – nie uważam tej zmiany za dobrą. Co ona miałaby oznaczać dla mojej gazety?

– Że następne pójdą za nią. Że na tym się nie skończy.

– Wykombinował pan to teraz?

– A niby kiedy?

– Tak myślałem. – Młody człowiek oparł się na krzesło i zajął chlebkiem.

– Dobrze brzmi – rzekłem bez przekonania. – „Republikanin” dobrze brzmi. Na razie tyle. Jestem tylko taksówkarzem.

– A ja tapicerem – zachnął się młody człowiek. – Meble wysyłam na eksport, ale przechodzę na armaturę łazienkową. Kierunek – Holandia, jakby się kto pytał. Nie wymyśliłbym tego, gdyby nie ziomal księgowy. Ta armatura w jaskini lwa to jego pomysł, a jest tylko księgowym. Więc niech pan mi nie mówi, że jest tylko taksówkarzem, bo to nie ma nic do rzeczy.

– W takim razie – odpowiedziałem, zabierając się również za chlebek, bo wyglądał ogromnie zachęcająco skonstrastowany z bielą kostek masła – w takim razie uznam, że następną zmianą byłby wygląd gazety, czy jak to się teraz określa. Powinna być czarno-biała.

– A to czemu?

– Bo to jest gówno – wskazałem żurnal gruby jak książka telefoniczna – stojące na baczność przed najgorszymi nawykami.

– Chodzi o gust?

– O to również. Czarno-biało i szorstko, bez tego glancu.

– No?

– Doprawdy, młody człowieku, nie prowadzę was na manowce. Dodałbym konkurs.

– Konkurs dodają wszyscy.

– Powiem panu jaki, a pan mi odpowie, czy przypomina inne. Pamięta pan *Śniegi Kilimandżaro*?

Tego już chyba było za wiele, w końcu nie spotkał się ze mną, by być obrażany lub egzaminowany, co na jedno wychodzi.

– A skąd, do kurwy nędzy, miałbym je pamiętać?

Był młodym, dzielnym człowiekiem, którego trudno nie lubić. Stał za tymi krzepiącymi zmianami, z jakich i ja korzystałem, więc odezwałem się tonem niewykluczającym przyjaźni, gdybyśmy mieli się jeszcze w jakiegokolwiek sprawie spotkać.

– Miło mi, że rozmawiamy językiem, jaki przypominał mi czasy, od których wspomnienia łażą się w oku kręci, i odpowiem następująco: chuj z panem i z pana pamięcią, ale pytanie, czego szukał lampart na szczycie Kilimandżaro, nie byłoby od rzeczy, gdyby numer wcześniej wydrukował pan to piękne opowiadanie. Bo Hemingway tego nie wiedział. W nagrodę podróz do Kenii, Tanzanii czy coś w tym rodzaju.

– Na szczycie Kilimandżaro?

– Z przyzwoitą nagrodą za odpowiedź, którą dał sobie lampart, gdy umierał na tej niebotycznej wysokości.

Równy był z niego gość i gdyby nie wieśniacka pucułowatość obciążająca jego męskość, i imię Sebastian, które obrażało ładne nazwisko, nie miałbym zastrzeżeń.

Doceniłem też różnicę w latach między nim a mną.

Nie dawał nogi w sytuacji, która go przerastała, tylko starał się w niej jakoś odnaleźć. Trzy lata wcześniej, grudniowego dnia, na tydzień przed Gwiazdką, przy stoliku pod oknem obryzgiwanym błotem przez przejeżdżające samochody, obsługiwany przez kelnerkę niezauważającą mnie, podobnie jak córki mecenasa, redaktor Anetka i wszystkie im podobne, nie wiedziałem, jak bardzo ten młody człowiek i jego budząca politowanie gazeta rozjaśni mi mroki i podtrzymają ciężary.

Przekupny był ze mnie człowiek. Sprzedawałem się tanio nie tyle ludziom, ile okolicznościom. Ale powiedzmy sobie szczerze, że ludzie też nie przepłacali.

Dlatego, gdy po kilku, a może kilkunastu minutach padło pytanie, czy kręcimy jakieś lody, odpowiedziałem, że tego bym w sprawie konkursu nie wykluczył. I że mógłbym

ufundować tę nagrodę.



W południe spróbowałem złapać jedną z przyjemności, najmniej wyszukaną, towarzyszącą małemu wyjściu. Czarna koszula polo z krótkimi rękawami i wełniana marynarka z second handu, jak szyta na miarę, w aliansie z błękitnymi džinsami przywracały zwykle mej kruszejacej sylwetce pozory młodości.

Lecz w schlebiającym mi dotychczas lustrze zobaczyłem, że marynarka wisi na mnie niczym na drucianym wieszaku, jak gdyby postanowiła nie odwzajemniać już uwagi, z jaką była traktowana. Odpowiednio wypłowiałe džinsy nie zachowały się lepiej, a czarna koszula polo w tej sytuacji okazała się bezsilna.

Czułem się źle i niepewnie, zapadając w miękki dywan i mijając kryształowe lustra, w których moje odbicie z chwili na chwilę wątłało.

Szymon Borysewicz wyszedł mi naprzeciw. Obserwowaliśmy się z uwagą, a przestrzeń holu dawała nam na to, niestety, czas.

– Ile to już lat! – zawołał pogodnie Szymon, jakby kontent, że minęły. – Trzydzieści, czterdzieści, czterdzieści pięć? I gdzie?

Poklepał mnie po ramieniu, czego nigdy nie lubiłem, i dodał z tą irytującą obłudą ludzi, którym się w życiu powiodło.

– Marnie wyglądasz, stary. Chorujesz?

Jeżeli to możliwe, jeszcze urósł. Ludzie z wiekiem się raczej kurczą, a on urósł i spotęźniał. Było w nim coś monumentalnego, budzącego respekt. Pomogło mu to niewątpliwie w osiągnięciu pozycji mentora, arbitra, moralnego autorytetu, w zasadzie niekwestionowanego, zważywszy oddanie, z jakim bronił działaczy opozycji demokratycznej w czasach stanu wojennego, a nawet dwa lata przed nim.

On, najsurowszy sędzia spraw gospodarczych z lat siedemdziesiątych, niecofający się przed drakońskimi wyrokami w kwestiach najdrobniejszych niesumienności, postrach prywatnej inicjatywy i urzędników, których udało jej się skaptować lub podejrzanych o taką gotowość, ubezpieczony politycznie z każdej strony, z kilkunastoletnim stażem partyjnym, zdecydował się zerwać z dotychczasowym życiem, oddać rolę, kostium, rekwizyty, scenę i aplauz głodnej zemsty publiki skutecznie zagłuszający wyrzuty sumienia, by przenieść się do nierzeczywistości, w której jedyne, na co mógł liczyć, to nieufność.

Zmiana wyglądała na autentyczną, a trening prawniczy, inteligencja i gruntowna znajomość wroga zjednały mu, szybciej niż mógł przypuszczać, renomę adwokata,

w którego ręce złożyć można najniefortunnieszy los. Mieć go za przeciwnika to wyzwanie.

Dlatego, gdy ujmując mnie pod łokieć i przytulając, poinformował, że mamy kłopot, wiedziałem, że nie jest wspólny. Bo dzielić z nim można było tylko sukcesy.

Niedawni towarzysze pracy, sędziowie, prokuratorzy, cała dochodzeniowa swołocz, wyzwani nie przyjmowali, więc w sądach miał coraz łatwiej, a poza nimi, by szale się wyrównały, trudniej. I podobno niebezpieczniej.

Mówiło się o kilku próbach zamachu na jego życie, ale nigdy tego nie potwierdzał, wpuszczał to w kanał plotek, konfabulacji, taniejącej z roku na rok martyrologii.

Nie zasiedział się we wspomnieniach własnych zasług, nie celebrował przeszłości, pruł w przód. Wynagrodzony stanowiskiem senatora pierwszego parlamentu wolnej Polski nie potrafił ścierpieć licytacji na etyczną niezłomność, oddał mandat w połowie kadencji, komu trzeba kazał się pocałować w dupę i zajął się obroną tych, którzy go przez ostatnie dwanaście lat ciemnieżyli.

Tym sposobem zdobył szacunek nielicznych, na których mu zależało, i niechęć większości odkrywającej w nim farbowanego lisa; jej obelgi powtarzał często publicznie, by podkreślić, jak bardzo karleją wobec etycznego standardu, jaki sam sobie wyznaczył.

Poza wszystkim miał dar przykuwania uwagi. Był widoczny nie tylko dlatego, że duży, wyrastający nad innych; byłby zauważany nawet gdyby był wychudzonym kurduplem.

Należał do tych gości, którzy gdy mówią, nawet głupio, inni milkną. A mówił często w radiu, telewizji, po gazetach, nie zawsze mądrze, gdy z publicznych ambon domagał się wprowadzenia poprawki do niedawno uchwalonej konstytucji zakazującej klerowi politycznej aktywności lub gdy orędownął za obligatoryjnym szacunkiem dla młodego państwa, jakiegokolwiek ono było.

Emanując pewnością siebie, ostrzegał ewentualnych adwersarzy, a mógł adwersarzem zostać każdy obecny sojusznik lub przyszły wróg, że wejście z nim w zwarcie na otwartym polu, to pewna klęska.

– Jak żyłeś? – zapytał, wskazując dwa masywne, skórzane fotele, na których mieliśmy usiąść, nim przejdziemy dalej.

– Nic ciekawego – odrzekłem, zbywając temat machnięciem ręki, i to go do mnie dobrze usposobiło, bo wyraźnie nie był gotów wsłuchać się w tajemnice czterdziestu pięciu lat, lat, jakimi obrasta każdy najpowszedniejszy nawet ludzki los.

Mimo to zdobył się na drugie pytanie sięgające młodości, która go przecież, podobnie jak moja starość, nic nie obchodziła.

– Po tym niezwykłym lecie sześćdziesiątego trzeciego roku wzięto cię do wojska? Wspomniała mi o tym Marta Kowal przy jakiejś okazji.



– Do wojsk chemicznych pod Żagań – odpowiedziałem z nadzieją, że powodem naszego nieoczekiwanego spotkania nie jest moje życie.

– Współczuję – rzucił i rozejrzał się ostentacyjnie po dyskretnie oświetlonym przestronnym holu, zdawkowo odpowiadając na ukłony tych kilkunastu osób, które zaczęły się już po nim kręcić.

Cała jego postać, opancerzona arogancją, mówiła do mnie: spójrz, gdzie wstąpiłeś, biedaku, spójrz, gdzie jesteś. I nie mogłem mieć mu tego za złe, gdyż swoją przedwczesną, wychudzoną starością sprawiałem najpewniej wrażenie osobnika, którego co mogło dobrego w życiu ominąć, ominęło, pozostawiając w miejscu niemającym związku z kryształowymi żyrandolami, miękkim dywanem, światłem omdlewających kinkietów, kilkoma wystawnymi bukietami holenderskich kwiatów w cynowych wiadrach, antresolą ponad naszymi głowami i salą z cymesami, jakie nam przygotowują.

– Nie było tak źle – odezwałem się po dobrej chwili. – Zrobiłem tam prawo jazdy i zostałem taksówkarzem.

– Taksówkarzem? Mówisz serio?

– Pół roku po wyjściu z wojska.

– No proszę... – Szymon westchnął, byle westchnąć.

Poczułem się źle. Gorzej niż rano. Jak nigdy, poza dzieciństwem, które obfitowało w choroby, a w niektórych porach roku składało się głównie z nich, tak że moja święta babka traciła już cierpliwość. Znane mi dreszcze i na przemian rzeki wilgotnej gorączki, jak przy malarii, i nieznana fala mdłości nie jak po wściekłym pijaństwie, lecz truciznie, jaką mnie jeszcze nie truto.

Szymon musiał powiedzieć, że niełatwo mnie było odnaleźć i że jego asystentka Małgosia, którą przez chwilę próbowałem sobie wyobrazić, sprawiła się nadzwyczajnie. Wstrzymując mdłości głębokimi oddechami, rzekłem sobie w duchu, że wiele bym teraz dał, by asystentka Małgosia mnie nie odnalazła.

Zamknąłem oczy, próbując przenieść się gdziekolwiek, a gdy je otworzyłem, już mnie nie było, więc nie mogłem usłyszeć, jak jeden z tych młodych, krótko ostrzyżonych dupków pompujących bez umiaru na siłowniach, zaszedł nas z boku i udając grzeczność, powiedział:

– Gotowe, panie mecenasie, zapraszam do środka.



Taksówkarzem zostałem jakiś czas potem.

Przez pół roku mordowałem się na placu jako monter z dwiema lewymi rękami do tej roboty. Moja pogarda dla trudu młodszych i starszych mechaników od pomp, skrzyń biegów, motorów, podwozi, elektryki i wszelkich prac poprzedzających – inżynier wprowadził specjalizację – została zweryfikowana na mą niekorzyść. Ale zapamiętana przez wszystkich tajemnicza śmierć nocnego portiera wyniosła mnie na poziom szacunku, z jakiego nie mógł mnie strącić niechlujnie zamocowany cybant, zapalające się od siebie przewody elektryczne, wyciekający olej czy młoteczek niemający związku z kowadłem.

Obiecany mi powrót na zajmowane przed wojskiem stanowisko referenta technicznego nie był, póki co, możliwy, gdyż zajął je chłopak po renomowanym technikum samochodowym w Legnicy, daleko lepiej do funkcji przygotowany, a nowy dyrektor firmy wprowadził nowe porządki i na placu nawet uzurpatorska władza inżyniera została ograniczona.

Toteż kiedy przed portiernią zatrzymała się czarna, lśniąca od jakichś past demokratka kapitana, a miejscowość o trzeciej po południu spowijał listopadowy półmrok, z głębi limuzyny usłyszałem pytanie, czy wystarczy.

Nie musiałem odpowiadać i w istocie nie odpowiedziałem, bo że wystarczy, było widać.

Kapitan zaprosił mnie do środka.

– Przejedziemy się – rzekł sucho.

Jego niewolnik przy kierownicy dystyngowanie siwiał. Ruszyliśmy we trzech do kamiennego mostu na rzece, potem w górę do Zalesia, równoległe do S. przez bukowe lasy, w dół między zapuszczone stawy i w stronę starej szkoły.

A gdy zatrzymaliśmy się na ulicy Parkowej z ocalałymi jeszcze tu i tam kasztanami, z których opadły już wszystkie liście, miałem w dyspozycji dwadzieścia pięć tysięcy nieoprocentowanego kredytu rolnego i wygrany przetarg na szesnastoletnią pobiedę, dobrze mi znaną, bo jako reprezentacyjna limuzyna wożąca kolejnych dyrektorów firmy odwiedzała od czasu do czasu plac dla podreperowania zdrowia.

Zapytałem bez emocji, dla porządku i przez grzeczność, o zawodowy egzamin, licencję, kartę rzemieślniczą świadom, że żaden z tych szlabanów się przede mną nie zatrzaśnie.

– Do załatwienia w kwadrans. – Kapitan klepnął mnie w kolano.

Potrafił być czarujący.

Dwa tygodnie później stałem się właścicielem auta i dokumentów rekomendujących

mnie do usług dla ludności. Pożegnałem się jak należy z inżynierem, kilkoma starszymi i młodszymi monterami, trzema szoferami, trzema ich zastępcami i dwoma ładownicami, których nie znałem sprzed wojska.

W restauracji poszły wszystkie szyby, trzy stoły z laminowanymi blatami, na których się wszystko niemożliwie ślizgało, kilka krzeseł, zastawy nie wspominając, bo tego grudniowego już popołudnia i nocy z soboty na niedzielę, czarnej jak atrament, nikt nie mógł zarzucić mi nieuprzejmości lub braku pamięci.

Nikt z uczestników bankietu pożegnalnego ani osób postronnych, które ściąga zawsze miły dla ucha odgłos nieposkromionych przechwałek, gwałtownych pretensji, jeszcze gwałtowniejszych wyrazów oddania, pieśni intonowanych na cześć fundatora, a potem, jak zawsze, ojczyzny, a potem zdemokratyzowanej kotłowniny, której przyczyny nie zaśmiecają umysłów jej uczestników, nikt więc tego ciemnego popołudnia i jeszcze ciemniejszego wieczoru nie usłyszałby najmniejszego fałszu w męskim rytuale, na jaki ich przywołałem.

Przed północą personel, który zresztą pod moją dwuletnią nieobecność wypiękniał, ukrył się skutecznie, podobnie jak wezwana przez jakiegoś idiotę milicja, i ta dyskrecja zaświadczyła o zrozumieniu sytuacji i wszelkich związanych z nią niuansów.

A co do przyczyny tej fety, to mogę powiedzieć, że nie było to auto dobrze traktowane. Ktoś pozbawiony wyobraźni, sumienia, instynktu technicznego skazał pobiedę na służbę bez zobowiązań ze swej strony, wychodząc być może z założenia, że twarda sowiecka natura z domieszką amerykańskich genów, obła toporność i talent do przetrwania wszystkiego wbrew wszystkim, a do tego skrajna bezrefleksyjność staną się jeszcze jednym potwierdzeniem, że partnerstwo z jakimkolwiek sowieckim produktem to strata czasu. Bo zna on tylko relację władza – niewolnik.

Pobieda miała jednak charakter i godność, nie przystała na podyktowane jej warunki i odpowiedziała chimerami, jakich można się było spodziewać po bytach bardziej technicznie rozgarniętych. Zdarzało jej się blokować obydwie wyższe biegi i palić sprzęgło tak, że maksymalna prędkość, jaką pozwalała osiągnąć, to 35 kilometrów na godzinę w ramach łaskawej tolerancji drugiego przełożenia.

Gdyby brać pod uwagę krętość okolicznych dróg, kamienną kostkę pokrytą wilgocią, deszczem lub zmrożonym śniegiem w miejscowościach, przez które te drogi wiodły, i rosnącą z roku na rok przewagę dziur nad asfaltem, nie byłaby to powolność wydumana, przeciwnie, uzasadniona okolicznościami i prawem każdego klienta do bezpieczeństwa.

Po kwartale, nie ma co ukrywać, męczarni na jedyńce i dwójce, zapracowałem na opinię ostrożnego taksówkarza, z którym można nie zdążyć na pociąg, ale na pewno nie można się zabić.

Poza wszystkim byłem jedynym detalistą transportowym w S. i jednym z ośmiu w powiecie, tak że wybór między fantazją a dostojeństwem, żeby to ubrać w słowa, jakie mnie zbyt nie upokorzą, był tylko teoretyczny.

Klientelę zbierałem wśród obywateli ceniących sobie umiar nie tylko jako cnotę pożądaną u innych, lecz i styl życia. Ci, którzy stawiali na niespodzianki, mieli do wyboru tramwaj lub PKS.

Którejś wiosennej nocy napatoczył się Hugon Trener z kolejną dwutygodniową – tyle trwał turnus FWP w górach – dupencją.

– Będiesz tak całe życie jeździł trzydzieści na godzinę z S. do C. i z powrotem? – zapytał tonem, jakiego by trzy lata temu w naszych rozmowach nie użył.

– Za przystankiem na żądanie przyspieszę do trzydziestu pięciu – odpowiedziałem.

– To właśnie chciałem usłyszeć. – Hugon cofnął się z pola mego widzenia w lusterku wstecznym. – A tak serio, to co dalej?

– O kogo się martwisz, Hugon?

Hugon Trener milczał. Minęliśmy przystanek na żądanie, lecz nie przyspieszyłem.

– Czas może byłby się znów spotkać – rzekłem polubownie, gdyż między tymi kilkoma słowami, jakie wymieniliśmy, błysnęły ostrza. – Zauważyłem, że mnie unikacie.

– Chłopaki już nie zagląдают do Hemingwaya. Było, minęło.

– Zauważyłem, że nie chodzi o Hemingwaya.

– Różnie się o tobie w okolicy mówi. Pozaciągałeś jakieś długie. Niektórzy tego nie rozumieją, inni się ciebie boją.

– Daj spokój, Hugon, gadasz jak dziecko.

– Nie gadam jak dziecko.

– Właśnie gadasz. Jesteśmy lepsi, a żyjemy jak inni. To nieporozumienie i Hemingway nic tu nie ma do rzeczy. Ja też już do niego nie zaglądam. Co miał we mnie zmienić, zmienił.

– Nie wiem, o czym mówisz – odezwał się cicho Hugon Trener. Nie chciał zdradzić się ze swoją niepewnością przed wczasową dziewczyną.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem na dansing w Savoyu i Hugon się ociągał. Odliczał drobne, gubił, zbierał z podłogi i znów odliczał.

– Na koszt firmy – odezwałem się przez ramię. – Nie męcz się.

Wskazał dziewczynie drzwi, sam został jeszcze przez chwilę. Jakiś dorodny, niezłe wstawiony przedstawiciel narodu rzygał do kosza na śmieci przed wytwornym wejściem do hotelu z innych czasów.

– Jesteśmy lepsi, a żyjemy jak inni. Pomyśl o tym – poprosiłem Hugona. – Niech to zrobi też Funio, Franz Girej, Tadzio Kary, Tosiek Buchalter i tych kilku innych, których

już wkrótce zapomnę. Pomyślcie o tym.



Bo ja pomyślałem. Pół roku obserwacji zza szyb taksówki dróg, pól, łąk, lasów, ugorów, miejsc, z jakich turystyczne szlaki wyprowadzały na zapierające dech w piersiach widoki. Pół roku przypatrywania się ośmiusetletniemu powiatowemu miastu, opierającemu się heroicznie łakomej zawsze na piękno brzydocie. Pół roku wręcz przesytu ekskluzywną atmosferą trzech okolicznych uzdrowisk, do których zawoziłem kuracjuszy, i dwóch banalniejących z roku na rok górskich kurortów, ukrytych w dolinach lub za wzgórzami willowych osad i dudniących plebejskim biglem wsi rozjeżdżanych przez tramwaje przypominające górskie kolejki linowe. Pół roku zderzania się z ludzkimi nawykami, starymi zasadami i nowymi fanaberiami, rozmów z pasażerami, których znałem i dopiero miałem poznać. Pół roku celebrowania rozległej, rozpierającej zalesione stoki, kotliny i jej obywateli niechętnych na ogół cywilizacyjnym nowinkom, przywiązanych do swoich przesądów, równających w dół, lecz nie bez wysepek prawie wyrafinowania i wręcz luksusu, pół roku namysłu nad bezładem ludzkiego żywiołu o płytkich korzeniach, przekonanego, że to, co jest, nie może być inne, te pół roku z okładem podsunęło mi myśl, że żyję w przestrzeni bez sedna. Że nie ma ona w niczym oparcia, jest nieprzynależna i dzika. Wbrew pozorom, wbrew wszystkim prostackim pozorom, nieuchwycona w karby, więc przelewająca się poza swe granice jak budyń uwolniony z naczynia.

Nieograniczona przez nikogo władza kapitana nad kotliną była tego dowodem, gdyż jej charakter to samowola, po jaką każdy mu równy mógł sięgnąć. Być równym kapitanowi to niełatwe wyzwanie, ale kto powiedział, że niewykonalne.

Znalazłbym w tej uwodzącej swym pięknem okolicy miejsce wyższe od zajmowanego, a zmysłowe przyjemności, jakimi się żywiłem, czyniły moją dietę nieco monotonna.

Na tym mógł polegać mój kłopot w nieodległej przyszłości, że dieta jest zdrowa, lecz niewyszukana.

Ile można się cieszyć słońcem, cieniem, wiatrem od równin, upalnymi wieczorami w towarzystwie dobrze wysuszonych sportów, mroźnymi porankami ze szronem na żelazie, kiedy nasze niezawodne ciało domaga się ruchu, widokiem czerwcowych dolin, wrześniowych wzgórz, buków złączających się na stokach, wdziękiem mniej czy bardziej przygodnych kobiet i własną wolnością wobec ich zawsze podstępnych zamiarów. Ile można się tym cieszyć i do czego to zadowolenie ma mnie doprowadzić. Jak nazywa się meta?

– Ale po co, graf? – zapytał mnie kilkanaście dni później Franz Girej, gdy zasiedliśmy



w niepełnym składzie hemingwayowskiego klanu.

Olo Knur przypatrywał się nam podejrzliwie z za przepysznego kontuaru, zdobionego miedzią i srebrem, w jeszcze przepyszniejszej sali restauracji Zdrojowej.

Olo Knur dekadę temu dzielnie chodzący w półciężkiej, cały w sierści jak mała, prowadził Zdrojową zdumiewająco elegancko, jak na takiego gbura, nieuka i chama, tak że jakiś czas przedtem został jej dzierżawcą z niemożliwymi do ukrycia korzyściami. Do roboty jeździł seledynowym fordem taunusem, za którym wszyscy w powiecie się oglądali.

– Dla przyjemności – odpowiedziałem, a Tosiek Buchalter wrzasnął, że im przyjemności nie brakuje.

– Bo nie znacie innych.

– A ty znasz? – zapytał Funio rozrośnięty już do przesady od machania dziesięciokilogramowymi hantlami w każdej wolnej chwili, a miał ich wiele.

– Chcę poznać – rzekłem ostrożnie. – Tym różnię się od was, że szukam czegoś nowego. Nie mówię, że wspólne wygrzewanie się na trawie po ostrym pływaniu w zielonym stawie to coś złego, mówię tylko, że być może są rzeczy od tego lepsze. Przyjemności, jakie znacie, mogą już nie wystarczać. Tym się różnimy.

Franz Girej powiedział posępnie, że nie tylko tym. Wąską, długą twarz jak z ikony, przedzielały na myślącą górę i zmysłowy dół włoskie, ciemne okulary, za które Franz dał pół pensji w komisie. Mimo uśmiechu pozostał zimny.

Łyknąłem wody zdrojowej, którą Olo Knur od roku podawał w oszronionych karafkach, przegryzłem tartinką z byczkiem w oleju, jakie wymyślił miesiąc temu po dwa złote za sztukę. Zapytałem zimniej, niż uśmiechnął się Girej:

– Co was niepokoi? W czym nie przypominam siebie sprzed trzech lat? Jaka plotka mnie w waszych oczach pogrąża?

Przez chwilę miałem wrażenie, że w otwartym skrzydle kryształowych drzwi odbija się wysoka, atletyczna postać kapitana.

– No dobra, chłopaki – strzeliłem dłonią w stół. – Zapytam po ludzku: o co wam, kurwa, chodzi?

Nie mówię, że poprzednich pytań nie zrozumieli lub poczuli się nimi dotknięci, w końcu Hemingway, jedyny autor, jakiego chcieli znać, jakoś ich zahartował.

– Tego się tak nie da, Jasiu. – Tosiek Buchalter zawsze odzywał się za głośno, na granicy wrzasku, ale, że się tak nie da, powiedział cicho, że ledwo go zrozumiałem. – Czasy się zmieniły.

– Kiedy byłem w wojsku?

Tosiek skinął głową i spojrzał wymownie na Hugona, który się jeszcze nie odezwał.

– Mam, na przykład, żonę i drugie dziecko.

– Zdarza się, Tosiek, że nam coś w życiu nie wychodzi, ale to nie znaczy, że mamy uznać je za stracone.

– Funio dostał pół etatu w liceum, ćwiczy sport z dziewczętami. Tadzio Kary, którego tu z nami dzisiaj nie ma, odziedziczył stolarnię po stryju i ma z nią same kłopoty, a Hirek Deptacz na dniach pochowa ojca. Każdy z nas ma swój powód, by być ostrożniejszy niż kiedyś. Rozumiesz, co mam na myśli?

Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiałem. Jeżeli istotnie postać kapitana odbijała się przed chwilą w skrzydle otwartych, kryształowych drzwi, to już go tam nie było i Olo Knur też tam już nie patrzył.

– Niekoniecznie mówimy o tym samym, Tosiek – odezwałem się tonem, jakim sprawy się zamyka, nie otwiera. – Wspomniałem o przyjemnościach, których może wam już nie starczyć, co uczyni wasze życie bezsensownym, co byście tam odziedziczyli, kogo pochowali i jaki etat by się wam trafił lub rodzina. Półkę wyżej przechowuje się przyjemności, jakich ani wy, ani ja ześmy nie zakosztowali. Zasmakują – dobrze, nie zasmakują – trudno, ale nie mówcie, że nie było wyboru.

Bizantyńska, opalona na złoto twarz Franza Gireja nie przestała być zimna, gdy zapytał, czy mówię o konfiturach.

Wstałem od stołu. Olo Knur pisał nam rachunek. Chciałem powtórzyć, by nie myśleli, że nie dałem im wyboru, ale w końcu powiedziałem to, co kilkanaście dni wcześniej Hugonowi: Jesteśmy lepsi, a żyjemy jak wszyscy. Zajac dwa razy się nie pokaże.

Gdy sięgam pamięcią do tych odległych czasów, nie mogę sobie przypomnieć, wymyśliłem tę mądrość czy podpowiedział mi ją kapitan?



Wiele lat później przy okazji zdarzeń, na jakie nie miałem wpływu, zapytałem siebie, czy zabójstwo dozorca placu wyzwoliło we mnie jakieś mroczne instynkty, ciemne siły, diabelskie moce, czy może pchnęło mnie ku etycznej dystynkcji, zważywszy, jaką kanalią była moja ofiara.

Nie potrafiłem sobie na to pytanie odpowiedzieć wtedy, nie potrafię teraz, lecz wiem jedno. Od tego zdarzenia to ja decydowałem, co dobre, a co złe w moim życiu i życiu bliźnich. Nie byłem już daleko od reguł trzeciej sprawiedliwości, choć się na nią jeszcze nie powoływałem.

Dlatego wiem, że w swawolach, od jakich rozpoczęliśmy wspólne przygody z nieznanymi przyjemnościami, było zło, które wynika z niepohamowanej wesołości, grzesznego rozdokazywania, bezkarności, jaką zawsze podpowiada nam młodość i złe wychowanie.

To był mój niepotrzebny, przez nikogo niewymuszony ukłon w stronę zabawy przekraczającej swą miarę, koncesja na rzecz klanu, który mógł się żywić szlachetniejszymi wrażeniami.

Sam daleki od takiej skłonności choćby z powodu lęków przed chorobami, kalectwem, nagłą śmiercią, obłądem, demonami, jakie tak łatwo przywołać, a nawet przed dobrym życiem, za które przyjdzie zapłacić, czułem się lepiej z powagą niż zabawą, smutkiem niż wesołością, męczyła mnie kpina, ironia, sarkazm, a moje najważniejsze przyjemności brały się z tych słodczy smutku, niosących spokój, a choćby ciszę.

Toteż ilekroć żal kroi mi serce, to mam przed sobą pysk psa, obok którego nie zatrzymałem się na górskiej drodze do Jaén w strugach lodowatego, jesiennego deszczu, a który szarpnął się ku mnie na stalowym drucie, jakby chciał polec pod moim autem, i zdziwione, ciągle ufne spojrzenie stałego delegata Centralnej Rady Związków Zawodowych, którego z Funiem i Hirkiem Deptaczem przerzuciliśmy przez trzymetrowy, kamienny mur parafii ewangelickiej w C. między zdziczałe maliny zamkniętego ze wszystkich stron ogrodu.

Doszliśmy go majowej, niedzielnej nocy, gdy wracaliśmy z wesela, na które nas nie zaproszono, w jednym z przyzakładowych klubów, a on – bezbronny skrzacik w prochowcu zamiatającym chodnik – sunął przed nami niepewnym krokiem człowieka, któremu niewiele trzeba.

Był gościem tego samego wesela i zapewne wracał do rodziny, której obiecał, że na

uroczystości nie zabawi dłużej niż to konieczne. Niewiele zabrakło, by dotrzymał słowa.

Funio i Hirek Deptacz wzięli go pod ramiona i prawie unieśli, a on, figura znana w powiecie, ucieszył się ze spotkania jak dziecko i zaprosił do siebie na kawkę i placuszek, choć nie sądzę, by kojarzył nas z czymś bezpiecznym.

Sto metrów przed sobą mieliśmy parafię ewangelicką w zapuszczonym ogrodzie. Hirek Deptacz zaproponował, że skoro nadarza się okazja, to można by towarzysza stałego delegata wrzucić między chaszczę.

– Przez mur? – zapytałem, pewny, że to żart na temat żartu.

– A jak? – odpowiedział Funio i już stał na jego skośnym szczycie, gdyż mimo masy był z nas najsprawniejszy, jako niedawny absolwent wrocławskiej WSWF.

Podrzuciliśmy skrzacika, a Funio katapultował go na drugą stronę, w maliny, ożyny, osty, pokrzywy i inne okropieństwa, jakie potrafią wyrosnąć na ziemi uprawianej, a potem porzuconej.

Znaleziono go dopiero w poniedziałek w stanie otępienia, z którego nie wyrwała go nawet kara z cennika nomenklatury powiatowej, to znaczy wyższa, niż mógł zapłacić.

Spuszczono natychmiast psy gończe, podjęły trop, poszły jak po sznurku, lecz gdy znalazły się blisko, ktoś gwizdnął i je odwołał. A stały delegat wyrabiał staż emerycki na coraz późniejszych stanowiskach, aż dobrnął do emerytury i zaraz potem umarł już zupełnie bezimienny.

Przez następny rok nosiłem się z zamiarem, by mu to jakoś wynagrodzić, ale, jak często bywa, skończyło się na pustej gadaninie z samym sobą.

Spektakl zagrany latem podczas uporczywych deszczów, między którymi trzeba było polować na chwile słońca, nie odbył się kosztem niczyjego upokorzenia, wstydu czy straty, ale utwierdził mych kompanów od męskich wrażeń w chęci swawoli, z którymi chciałem skończyć.

Tadzio Kary, ten, co w spadku po bezdziejnym stryju dostał dobrze prosperujący zakład stolarski bez konkurencji w okolicy, poskarżył się nam na absurdalny w swej dolegliwości domiar, jaki mu wyznaczono, nim zaczął cokolwiek zarabiać.

Wykombinowałem coś, co mogło się powieść, bo nie było w tym przewagi młodości, prostackiej przemocy, w istocie chamstwa nad bezbronnością, jak w przypadku stałego delegata.

Franz Girej obnosił się z narzeczoną, prześliczną lekarką na stażu w sanatorium reumatologicznym MSW, i dzięki temu jadał tam znakomite obiady. W trakcie jednego z nich przedstawiono go warszawskiemu pułkownikowi jako nauczyciela tenisa i posadzono ich przy jednym stole. Franz o tenisie miał mgliste pojęcie i jeżeli wygrywał na zdrojowych kortach, jednych z najlepiej prowadzonych w Polsce, to dzięki

agresywności, furiom, łamaniu raket, przeskakiwaniu przez siatkę na pole przeciwnika w wiadomej intencji, obelgom, najplugawszym przekleństwom i ogólnie terrorowi paraliżującemu lepszych od niego.

Pułkownikowi ta szkoła odpowiadała. Rozumiał jej idee, akceptował brak zasad, podzielał cele unieważniające pogląd, że tenis to elitarny sport dla dżentelmenów, przegranych safandulów, wypędzonych z historii mięczaków, pederastów wystrojonych jak do Pierwszej Komunii.

Girej zrehabilitował tę grę do tego stopnia, że pułkownik zapragnął jej zakosztować. Od dwóch więc tygodni każdego popołudnia licytował się z Franzem na brak reguł i prostactwo.

Mój plan zakładał, że Tadzio Kary pod pretekstem wynegocjowania jakichś ludzkich warunków domiaru, zaprosi łupieżcę z wydziału handlu na kort, miejsce oddalone, niepodejrzewane o związki z dwuznacznymi interesami, w jakimś stopniu eksterytorialne, a w tym samym czasie zjawi się tam Franz z pułkownikiem i zobaczymy, jak sprawy się potoczą.

Tak też się stało. Sobotniego popołudnia twarzami do pustego kortu zasiedli Tadzio Kary i łupieżca, który wyglądał jak wszyscy inni powiatowi łupieżcy z podobnych wydziałów: nie do zapamiętania, rozpoznania, opisanie. I wtedy, ma się rozumieć przypadkiem, zjawili się Girej z pułkownikiem. Wszyscy zostali sobie przedstawieni, a Tadzio Kary zagrał *va banque* i do człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział, zawołał:

– Będę miał do pana, pułkowniku, problemik nie za duży. Po treningu. – Do łupieżcy zwrócił się konfidencjonalnie, gdy mężczyźni zeszli na kort: – Zastępca naczelnika drugiego wydziału MSW, można sprawdzić.

Łupieżca niczego jednak nie musiał sprawdzać, bo wśród wielu rzeczy mu obcych były też takie, z którymi się urodził, więc natychmiast poczuł zapach krwi, jaka może zostać przelana. Poinformował Tadzia, że domiar nie jest ostateczny, rzecz trzeba jeszcze rozważyć, przedyskutować, zanalizować na odcinku i że pan Kary dostanie w przyszłym tygodniu dobrą wiadomość.

Okazała się lepsza, niż można się było spodziewać, bo rzeczy mają to do siebie, że załatwiają się same, jeżeli ich staraniom towarzyszy najgorsza intencja.

Nie dam głowy, czy wyglądało to tak, jak przedstawiam, bo Tadzio Kary i Franz Girej za każdym powtórzeniem coś do tej historii dodawali, aż urosła do spektaklu z trzema aktami, jak to się zdarza, gdy młodzi, zdrowi, zadowoleni z siebie, beztroscy ludzie wymuszają na rzeczywistości fakty, z jakimi niekoniecznie ma ona coś wspólnego.

U progu jesieni, w pełnym składzie: z Hugonem Trenerem, Funiem, Heniem

Fantomasem, Hirkiem Deptaczem, Tośkiem Buchalterem, Lusiem Ornitologiem i Belmondem, nie licząc Gireja i Karego, przy pomocy jeżdżących na zachód sportowców z okolicznych klubów i dwóch kierowników komisów, wykręciliśmy kilka bezczelnych numerów z płaszczami ortalionowymi noszonymi dla fasonu nawet zimą, obok koszul non-iron nieźółknących po pierwszym praniu, dzielących obywateli na kategorie w zależności od szelestu, jaki im towarzyszył.

Zaowocowało to żywą gotówką. Przed Zaduszkami Tosiek Buchalter wypłacił mi dwa tysiące złotych, bo tak wyszło z pierwszego podziału.

Interes się rozkręcał, do Gwiazdki wpadło jeszcze drugie tyle, tak że Olo Knur zaczął do rachunków w Zdrojowej dopisywać nam po sto, a nawet dwieście złotych w zależności od obiadów lub kolacji, na jakie tam się zbieraliśmy. A zdarzało się to coraz częściej i okrągły stół z widokiem na kontuar z jednej, a park z drugiej strony, stał się miejscem spotkań towarzyskich lub, że tak powiem, zawodowych.

Życie w swej nowej odsłonie chłopakom się spodobało, byli mi wdzięczni za pomysł i bezkarność i mniej lub bardziej wylewnie mi to okazywali.

Wracałem do domu z samotnego spaceru, gdy z zimnego, wieczornego mroku wyłoniła się demokratka ze zgaszonymi światłami; kapitan uchylił drzwi i nie zapraszając mnie do środka, zapytał, czy nie przesadzamy? Odpowiedziałem, że nie mam takiego wrażenia lub coś w tym rodzaju, nie wykluczam też, że obróciłem wątpliwości kapitana w żart, ale on już tego pewno nie usłyszał i tak, jak bezszelestnie się zjawił, tak znikł.

– Kapitan to chuj, panie Janku – rzekł inżynier, gdy po roku niewidzenia się kazaliśmy sobie podać flaki z ćwiartką wódki w restauracji Pod Minogą. – Kapitan to chuj – powtórzył, wciągając w nozdrza zapach chleba po kieliszku wódki – ze wszystkimi wadami i zaletami takiej figury.

– Pogadajmy o zaletach, inżynierze, bo wad to się domyślam.

– Może innym razem, panie Janku – powiedział inżynier, poklepał mnie po ramieniu i dodał: – Dobrze pan wygląda. Taksówka panu służy. Robota przy tych smarach i olejach nie była dla pana.

Inżynier zwykle miał rację, lecz nie wiem czy w tym przypadku.

Nie rozumiałem pomysłu kapitana na moją osobę, ale domyślałem się, że wakacje od odpowiedzialności za śmierć nocnego portiera nie będą wieczne. Któregoś dnia, a najpewniej którejś nocy, bo oni je wolą, zjawi się kapitan lub jego emisariusz i powie: oto, Ruczaj, rachunek.

Niezależnie od apetytu na nieznane wrażenia, rozczarowujące nieco wobec spodziewań, z powodu nieznośnej skłonności chłopaków do swawoli, lekkomyślności, naskórkowości, aroganckiego rozdokazywania i wyżywiania się na słabszych, odzywający się we mnie

instynkt żołnierskich pokoleń podpowiadał, że klan, któremu przewodzę, czyni mnie partnerem kapitana, a nie bezbronną ofiarą zdaną na jego kaprysy lub plany, jakich nie przeniknę. Tym więcej, że przewaga kapitana nad okolicą, jeżeli to było jeszcze w ogóle możliwe, krzepła.

Osamotnił się doszczętnie w swej władzy jak każdy tyran, wyzwolił się z roli szarej eminencji ku jedynowładztwu. Objeżdżał kotlinę od wzgórz na południu do równin na północy, obserwując z tylnego siedzenia czarnej limuzyny ludzi, zwierzęta, drzewa, domy i wszystko, co wchodzi z nimi lub nie wchodzi w jakąkolwiek relację.

Widziałem z mojej taksówki, jak mnie wyprzedzał, dawał się wyprzedzać, jak przecinał mi drogę, jak przystawał na poboczach, by za chwilę ruszyć, i ruszał, by się ni z tego, ni z owego zatrzymać.

Knajp już prawie nie odwiedzał, poza Zdrojową, przez którą przechodził w tę i z powrotem kilka razy dziennie, a Olo Knur kłaniał mu się skwapliwie zza kontuaru, nigdy niezauważony.

Samotność – plotki przestały go już motać w romanse z przygodnymi kobietami – nobilitowała lęk, jaki wzbudzał w czasach, gdy ludzie godzili się na każdą formę przemocy, a dziwili, gdy ustawała.

Następna zima wlokła się niemilosiernie, a w marcu wróciły mrozy. W pobiedzie padło ogrzewanie. Młody, dobrze ubrany człowiek bez bagażu usiadł z przodu, uderzając mnie ramieniem, taki był barczysty i obcesowy. Warknął: ruszaj, a z ust buchnęła mu para. Zapytałem dokąd, a on, że przed siebie.

– Jak pan sobie życzy – odparłem zaniepokojony, mimo południa i pełni życia obok.

Przejechaliśmy kilka przecznic na południe, potem długim łukiem na wschód, potem przez coś, co za dobrych czasów miasta było korsem, obok miejskiego teatru i ostro pod górę.

– W lewo nie skręcę – rzekłem, gdy po trzech kilometrach pasażer polecił mi wjechać w wąską ulicę ze szpalerem przemarzniętych wiązków. – Mamy zakaz.

– Pojedziesz – warknął i naparł na mnie stalowym barkiem.

Nic tu nie było do wynegocjowania, więc ruszyłem w górę do najwyższej części miasta z dziewiętnastowiecznymi willami w ogrodach. Przy ostatniej z nich, wyraźnie opuszczonej, kazał mi się zatrzymać.

Miałem zapamiętać miejsce i adres, i każdego, kogo bym tu przywiózł lub stąd zabierał. Raz w miesiącu zdam z tego sprawę przed wejściem na perony dworca kolejowego w J. Godzina do ustalenia.

Zapytałem pasażera, co się stanie, jeżeli odrzucę jego propozycję, a on mi na to, że to nie jest możliwe i dlatego uważam to za propozycję, i że nie ma ochoty się przekomarzać.



– Ani czasu – pospieszyłem z podpowiedzią, a on grzecznie podziękował, jakbym to uzupełnienie wyjął mu z ust. – No to trafił pan na nie tego taksówkarza co trzeba – odezwałem się tonem, który by mnie zreflektował, gdybym znalazł się na jego miejscu. – Jest nas w powiecie kilku, a nawet kilkunastu. Może powinien pan wybrać kogoś odpowiedniejszego. Osiem złotych, jeżeli bez rachunku.

Mężczyzna uśmiechnął się blado, zamiast czwórki miał złoty, rosyjski ząb, i zapytał, czy wysiadłbym na chwilę z wozu, a ja mu na to, że nie widzę problemu, i wysiadłem, a wtedy przygrzał mi krótkim, ćwiczonym hakiem z półobrotu w splot słoneczny tak, że o mało nie umarłem. Straciłem oddech i na moment przytomność, zgiąłem się wpół i osunąłem po masce na asfalt.

Pasażer odczekał, pochylił się nade mną, uniósł mi głowę za włosy i rzekł uprzejmie:

– Sam widzisz, że nie mogłem trafić lepiej. Zapamiętaj: każdy, kto by się tu kazał przywieźć lub stąd zabrać. Zapamiętaj: kto by to nie był. Jak przywieziesz Pana Boga, też mi o tym powiesz i Go opiszesz. Raz w miesiącu raport.

Pasażer ze złotym zębem, gnój młodszy ode mnie, pchnął żeliwną furtkę, a ja zacząłem wymiotować. Zniknął za splątanymi leszczynami, a ja wymiotowałem śniadaniem, żółcią, wstydem i upokorzeniem.



Pewno dlatego zapragnąłem złudzeń, jakie ofiarowują nam kobiety, z którymi możemy umówić się na bliskość.

Mój anioł stróż przechodzić musiał nieopodal, bo kilka dni później, gdy ból ze splotu słonecznego już się tylko sączył, na postoju przed Savoyem do taksówki wsiadła Ola Hnatiuk i zapytała, czy ją poznaję.

Gdyby nie zapytała, tobym nie poznał. Dziesięć lat z okładem minęło, gdy widziałem ją z okien tramwaju przy wahadle na wzgórzu cmentarnym, zaniedbaną, mizerną, opuszczoną, tak ładną, że się patrzeć nie dało. Nie zwracała uwagi mężczyzn z tramwaju, bo nie było w niej nic, co na pierwszy rzut oka zachwyca. Żadnej kobiecej ostentacji.

Potem na lata zniknęła mi z oczu, opuściła moją wyobraźnię; siostra z dzieciństwa, do którego nie wracamy, bratnia dusza, ktoś, do kogo mamy prawo z Bożego rozdania, lecz z niego nie korzystamy zapatrzeni w niespodzianki.

– W mieście mi się nie powiodło, Janku – odezwała się tym swoim nieco zdartym głosem, którego nie lubiłem w przeciwieństwie do głosu Marty – w nim była słodycz.

Gdy zajechaliśmy na miejsce, dodała:

– Wiesz, że Hnatiuk, mój ojciec, zapił się na śmierć. To jedyna dobra rzecz, jaka mi się zdarzyła. Nie jestem już młoda.

Gospodarstwo rozrzucone na wzniesieniu kończącym naszą ulicę, największe w okolicy, z domem jak katedra wśród pustych obór, chlewów, stodoły z drzwiami na przestrzał, z resztkami ogrodu, wyglądało tak, jak je zapamiętałem z dzieciństwa, gdy odprowadzałem Olę do ścieżki wśród chwastów.

Ale w dzieciństwie było tam życie w postaci cierpienia zadawanego przez Wacia Hnatiuka wszystkiemu, co się napatoczyło, nawet jeżeli był to zagubiony gawron, przemykający właśnie szczur, bezdomny pies szukający ratunku przed głodem czy kot z czyjejs superaty.

Bici tam byli na okrągło dwaj młodszy bracia Oli; wyli na całą ulicę, jeden przez drugiego, w przeciwieństwie do siostry znoszącej przemoc w milczeniu. Brakowało im matki, poza wszystkim, czego nie mieli.

Wyjąłem z bagażnika elegancką walizkę, jakich w S. nie widywano, i stanęliśmy z Olą naprzeciw siebie.

Świetnie ubrana, zgrabna jak gazela, cała w blasku kobieta, jaką lubimy pochwalić się w kinie, kawiarni, na spacerze, w kościele i wszędzie tam, gdzie bliźnim nie brakuje czasu

na zazdrość.

Podniecenie, czułość, wdzięczność – w takiej kolejności odezwały się we mnie uczucia czy coś, co je zgrabnie imitowało, a Ola odpowiedziała mi tym samym, bo jaki miała wybór? Kogo lepszego mogłaby sobie wyobrazić tego marcowego dnia niezapowiadającego jeszcze wiosny, przed domem jak katedra z nienawidzącymi się braćmi, który mógłby się stać łatwo miejscem, z jakiego się już nie rusza.

Spotykamy czasem ludzi na już. Ola Hnatiuk była taką osobą dla mnie, a ja, to czuło się przez skórę, dla niej.

Padliśmy sobie w ramiona; jeszcze nie kochankowie, ale już nie brat i siostra.

– Nie mogę zabrać cię do siebie, Olu – rzekłem jej nazajutrz, gdy wspomniała o niewygodach pierwszej po latach nocy w domu rodzinnym, który, trudno w to uwierzyć, jeszcze podupadł i zdziczał. – Mieszkam z babką i jej by się to nie spodobało.

Słowem ani gestem nie skomentowała mego przywiązania do zasad, ale miał to być powód, dla którego o mojej świętej babce nie powiedziała już nigdy dobrego słowa. I to był problem, bo nie miałem zamiaru wybierać między nimi; wydało mi się, że są sobie przeznaczone do wzajemnych uzupełnień. Że wspólnie mogłyby stworzyć syntezę mądrości, doświadczenia, dobra i piękna, którą będę się sycił.

Tak jak babka nie mogła wyręczyć Oli w blasku, tak Ola bezużyteczna była tam, gdzie znajdowały się porty dla mych lęków, wątpliwości, znużeń.

Poza wszystkim nie czytaliśmy z Olą pierwszego tomu *Sławy i chwały*, nie podkradaliśmy sobie nawzajem „Tygodnika Powszechnego”, nie rozwiązywaliśmy zadań szachowych ani ich nie wymyślaliśmy i nie mieliśmy wspólnych wspomnień dotyczących ciotki Riny.

Nasze rozmowy nie sięgały dalej niż ubiegły sezon i nie przypominaliśmy sobie tego, co nas bezsprzecznie łączyło – szkoły i Julii Neider. Odwrotnie, jakbyśmy pragnęli pozacierać ślady i oddać się teraźniejszości.

Zdarzają się ludzie, którzy nic nie poradzą na to, że żyją dla siebie; należała do nich Ola. Nie był to dla mnie powód do radości, lecz zaraz potem, jak zdałem sobie z tego sprawę, odpowiedziałem tym samym egoizmem, by nie być przez nią lekceważony.

Dlatego nasze plany nie wykraczały poza następny tydzień, a jednak prosiliśmy wspólne chwile, by trwały, gdyż nic nie mogło ich zastąpić.

To było już wtedy, gdy zaczęto w okolicy darzyć mnie szacunkiem, o który nie zabiegałem i który mnie krępował jak trzecia ręka.

To było już wtedy, gdy komendant piętnastoosobowej, uzbrojonej po zęby i wyćwiczonej jak oddział komandosów straży przemysłowej z Indexy, przy której miejscowa MO to zbieranina bezsilnych łachów, wręczył mi na festynie pierwszomajowym kasetkę

z pleksiglasu, jakie masowo produkowano w okolicznych sanatoriach przeciwgruźliczych.

To było wtedy, gdy żulia spod kina Śnieżka handlująca nocami wódką kłaniała mi się skwapliwie nawet zza szyb przejeżdżających tramwajów, a Olo Knur przestał nam liczyć za coraz wystawniejsze kolacje w Zdrojowej.

To było już wtedy, gdy kapitan zbliżył się do mnie, samotnego za stołem nad filiżanką prawdziwej peweksowskiej kawy, jaką mi podano, i zaproszony, rzekł:

– Przechodziłem tylko, jak domniemywam, informacyjnie, ale skoro się widzimy, Ruczaj, to salut.



Łatwe to dla mnie nie było i każdy, kto mnie zna, wie, o czym mówię. Lecz nie mieliśmy wyjścia i to właśnie starałem się klanowi wytłumaczyć. Na jego upór i niechęć miałem tylko jedną odpowiedź: Bo takie jest prawo wedle trzeciej sprawiedliwości, panowie.

Kadrowy Chyćka, z którym grywałem w szachy, gdyż znał wszystkie partie Capablanki na pamięć, powiadomił mnie, że człowiek ze złotym zębem, niejawni funkcyjny organów, od tygodnia się za mną rozgląda.

Nie zawiozłem nikogo pod wskazany przez niego adres, lecz nawet gdyby to się zdarzyło, nie mógłby liczyć na mój raport. W tej sytuacji nie pozostawało mi nic innego, jak samemu się za nim rozejrzeć.

Dobrze jest zapolować na myśliwego.

– Daj pozór, Jasiu – wrzasnął Tosiek Buchalter. – Widziałem klienta z Olem Knurem przez chwilę, moment. Chłop strasznie w sobie, strach z nim zacząć.

– Gnata ma poza tym, jak amen w pacierzu, przy sobie, a na gnata nie ma mocnych – poparł go Luś Ornitolog.

– Od tygodnia jest okazja z Austrii przez saneczkarzy na masę do wtryskarek. Głodni frajerzy już stoją przed progiem. Zdemolujemy to jednym ruchem.

Tadzio Kary był nienasycony, stolarnia mu nie wystarczała. Pieniądze nęciły go z nas wszystkich najbardziej.

Dawaliśmy mu złotówki, na południowej granicy kupował zakwestionowane przez braci Czechów dolary i niemieckie marki, legalizował je w bonach banku PKO SA, za bony kupował wręcz hurtowo niedostępne poza Peweksami bielskie wełny, które sprzedawał pięciu okolicznym krawcom obszywającym miejscowych i przyjezdnych. Trochę nas na tym kiwał, nie do tego jednak stopnia, by mu tego nie wybaczać. Poza tym żaden z nas nie miał jego cierpliwości i skrupulatności.

Nudy baliśmy się bardziej niż piekła.

– Kary ma rację, graf. Na sto procent.

Hirek zarabiał nędzne grosze jako jeden z dwóch stałych deptaczy stoku slalomowego na Szreniu. Robotę miał od grudnia do kwietnia, jeżeli zima się spisywała. Resztę roku przeżywał za oszczędności.

Na jakiej zasadzie należał do klanu, nikt już nie pamiętał. Nie sędzę, by czytał Hemingwaya i by bliski był mu ten rodzaj przyjemności, na jakie ta literatura tak wyostrzała apetyt. Z żadną legendą nie było mu po drodze.

Wyróżniała go spośród nas posepność. Nigdy nie uśmiechał się do nikogo, niczego, do żadnego ze swoich wspomnień lub zamiarów.

Miał wilczy pysk zamiast twarzy i suche ciało zamienione w żelazo od deptania śniegu, decymetr po decymetrze, ostro w górę, a potem w dół. Zjednywał sobie i kobiety lubiące przemoc, i mężczyzn, którym imponowała jego więzienna przeszłość. Jedne i drudzy hodowali w sobie jakieś złudzenia co do jego lojalności.

Nie lubiłem go. Był kundlem, który się do nas przypalał, nie odpędziliśmy go w porę i został. Obce ciało, któremu przestaliśmy się dziwić. Dzikie mięso. Mówiliśmy z Funiem i Franzem Girejem, że jego przeszłość może się przydać w sytuacjach, jakie nas by paraliżowały. Uznałem, że z taką sytuacją mamy właśnie do czynienia, a Hirek Deptacz się od niej odzegał, jakby był taki jak my.

– Na sto procent, graf – powtórzył, a ja mu na to, że z nas najmniej ma do gadania, bo wszystko tu ma na kredyt, a nawet jeżeli byłem oględniejszy, to Hirek Deptacz, jak każdy kryminalista, miał zwierzęcy instynkt i co było do przeczytania w cudzych myślach, przeczytał.

– Ostatni raz na poważnie biłem się w liceum. – Potężny Funio dla odmiany uśmiechał się z byle powodu, gdyż życie służyło mu jak żadnemu z nas. – Nawet gdybym przyznał ci rację, Jasiu, nie wiedziałbym, jak się za to zabrać. To robota dla żadnego z nas. Sam przyznaj.

– A poza wszystkim – zachnął się Hugon Trener wyraźnie dotknięty moją postawą – przedstaw mi zysk, bo na razie widzę straty. Nie dostałem nigdy w splot słoneczny, ale nie myśl, że nie potrafię wyobrazić sobie tego, kto tak oberwał. Tylko albo się natychmiast oddaje, albo się nie oddaje. Pogódź się z tym, że nie oddałeś.

– Nie mogę, chłopaki.

– A to czemu?

– Bo takie jest prawo.

Hugon Trener aż podskoczył na krześle, gdy zapytał:

– Co ty sobie wyobrażasz, graf? Że kim my tu jesteśmy? Nie wiem, kto miałby nam to wybaczyć lub puścić w niepamięć, ale kto by to był, nie wybaczy.

– I o jakim prawie mowa?! – wrzasnął Tosiek Buchalter, a ja mu odrzekłem zimno, najzimniej jak potrafiłem, że o prawie bycia ponad innymi, które przyznaliśmy sobie, i że jedynym prawem, jakiego trzeba przestrzegać, jest to, które przyznajemy sobie sami.

Ale to nie byli chłopcy do takiej rozmowy, nie mówiąc już o czynie.

Półtora roku wcześniej namówiłem ich na przygody z nieznanymi przyjemnościami, postanowili być w tym konsekwentni, nie rezygnując z dotychczasowych. Mieli teraz na nie więcej pieniędzy, ale to nie był powód, by je jakoś szczególnie celebrować. Nie



podrasowywali ich żadną misją, obowiązkiem wobec honoru czy czymś w tym rodzaju. Nie mówię, że byli na to głusi, lecz sprawy traktowali prościej, jak wszystko inne, co ich w życiu spotkało lub ominęło.

– Wuja miałem w armii cesarskiej – powiedziałem bez nadziei na jakąś ich refleksję. – Odmówił udziału w pojedynku z powodu przekonań religijnych. Musiał odejść w infamii, choć pojedynki były w armii zabronione. Rozumiem, że odchodzicie z armii.

– Nie błaznuj, graf! – warknął Egon, a Hirek Deptacz zapytał, o jakiego wuja chodzi.

– Co za różnica – odrzekłem. – I tak go nie poznasz.

Musiałem sobie wtedy pomyśleć, że obok prawa jest obyczaj.

Byli blisko swoich obyczajów. Jak dawniej lubili wrzasnąć nocną porą na całą ulicę Trini Lopeza po ohydnych węgierskim rieslingu czy niewiele lepszym bikaverze. Znużeni nad ranem alkoholem i papierosami słuchali *Białego misia*, którego przy gitarze śpiewał im Belmondo, a Funio płakał rzewnymi łzami. Odstawieni w świetnie uszyte u pana Klemensa garnitury zawłaszczali parkiety w Zdrojowych, Parkowych, Ulubionych, Kryształowych, a jak zdarzył się rock and roll, nie mieli sobie równych.

Kobiety przyjezdne i miejscowe dziewczyny rywalizowały o ich względy, a być stałą – więc na kwartał, powiedzmy – narzeczoną jednego z nich to zaszczyt, o jaki trzeba było ostro zabiegać.

Starali się być opaleni już w czerwcu, strzygli się krótko, ciuchy mieli z Peweksu lub komisów, wody kolońskie z kontrabandy, przypatrywali się sobie nieustannie w sklepowych witrynach i każdym napotkanym lustrze.

Czytali felietony Bywalca, podawali sobie z rąk do rąk opowiadania Brychta, Hugon grał z Cortázarem w klasy, przekomarzał się z Borgesem, mordował z Joyce’em, a Henio Fantomas kolekcjonował Rolling Stonesów, których nikt z nas nie słuchał.

Po parku zdrojowym spacerowali z założonymi do tyłu rękoma i nikt z miejscowych nie śmiał ich w tym naśladować. Nie tyle pogodni, ile rozbawieni byle czym, z umiarkowaną skłonnością do sarkazmu i ironii, pokpiwali sobie z moich łagodnych smutków, częstej melancholii, zapatrzeń, zasłuchań, tęsknoty, nawet za dniem, który minął.

Nie rozumiałem ich obojętności na tragizm istnienia, jakby nigdy w coś takiego nie mieli być zamieszani. Nawet Hugon Trener zderzający się nieustannie z literaturą, która niczym innym się nie zajmowała, nie przyjmował tego do wiadomości.

Mieli mnie za szefa, bo tak się umówili ze swoim lenistwem, a poza tym nie chcieli dociekać mych relacji z kapitanem nawet, gdybym otworzył im do nich drogę. Nie wiedzieli, co ich chroni przed wszechobecną represją, ale podejrzewali, że poznanie tego sekretu nie uczyni ich sytuacji lepszą. Gdyby znali powiedzenie, że lepsze jest wrogiem dobrego, toby je powtarzali jak mantrę.

I choć Belmonda interesowały tylko auta i kobiety, Tadzia Karego – pieniądze, Henio Fantomas był wszechstronnie wykształcony, a Hirek Deptacz był półanalfabeta, Hugon miał ambicje intelektualne, a Funio i Tosiek byli ich zupełnie pozbawieni, Franz Girej był gwałtowny, choć trzymał na wodzy skłonność do okrucieństwa, a Luś Ornitolog był łagodny i powolny, to zadowolenie z tego, co jest, umiarkowana nadzieja na to, co będzie, zgoda na życie, jakie prowadzili, i radość ze wspólnej młodości łączyły ich mocniej niż to, co mogłoby ich podzielić.

Nie mówię, że byłem obcy, nie mówię, że zupełnie inny, mówię tylko, że miałem naturę, jakiej oni nie mieli, więc i byłem zdolny do czynów, do jakich oni nie byli zdolni, do myśli, przed jakimi poumykaliby w mysie dziury, i do decyzji, z jakimi nie chcieli mieć nic wspólnego.



Podobno dwóch identycznych rozdań nie ma, ale ja miałem wrażenie, że je dostałem. Nie dlatego, że dzień był równie suchy, bezchmurny i upalny jak niezapomnianego lata 1963 roku, choć to dopiero koniec maja, i nie dlatego, że się ani trochę podobno nie zmieniłem, zatrzymany w chłopięcości, lecz dlatego, że wszystko wokół odwzajemniało moje wspomnienia. Jakby chciało powiedzieć: jesteście takimi, jakimi nas zapamiętałeś, a nie jakimi jesteście.

Pachniało samochodowymi wnętrzościami, naftą, a słońce na wybetonowanym placu równie było rozpanoszone i dokuczliwe. Słyszałem młot z kuźni, szlifierkę, aparat spawalniczy i miłe sercu przekleństwa.

Drzwi portierni otwarto na oścież, łańcuch spuszczone na ziemię, a od ławeczki pod ścianą ciągnął zapach dobrze wysuszonych sportów.

Nadmechanik Wenzel przywitał się ze mną kordialnie, pompierz Ludwik Końcówka powściągliwiej, a elektryk Pasławski rzekł, że Wasyl Horanin jest w górach, ale przed trzecią pojawi się na placu, bo ma przebicie na masie.

Miejsce inżyniera zajął jakiś młody człowiek po studiach leśnych, który zachowywał się tak, jakby mnie pamiętał.

Pokręciłem się trochę po warsztatach, zajrzałem do wulkanizatorni, poprosiłem, by ktoś wstąpił do gospody naprzeciwko, gdy Wasyl Horanin wróci.

– Jakie mam dłonie? – zapytałem, unosząc je nad stołem.

– Za kruche – odpowiedział Wasyl i roześmiał się pogodnie.

Chwilę wcześniej usiadł naprzeciw mnie w rozpiętej do pasa flanelowej koszuli i też zamówił oranżadę.

Z zapadniętymi policzkami z powodu pousuwanych zębów, niskim czołem, oczodołami jak jamy bez dna i zarostem, z którym nie radziły sobie żyłki, przypominał orangutana.

Na swój sposób był przystojny. Na swój zwierzęcy, chojracki, chuligański sposób – wybitnie przystojny.

Pachniał ostnicami, tamaryszkiem, stepowymi bylinami. Chwila jeszcze i usłyszę za plecami skowyt bandur.

Zapytałem lekko:

– Kogo zabiłeś, Wasyl?

– Kiedy?

– W międzyczasie.

Nie przestał się uśmiechać i patrzeć na moje dłonie, choć już je opuściłem.

– Nikogo, Jasiu.

– No to będzie okazja, Wasyl.

Był przyjazny, otwarty, prawie serdeczny, jakby spotkał dawno niewidzianego kumpla, z którym wprawdzie miał kiedyś na pieńku, ale co to ma teraz za znaczenie.

Ja jednak znałem to czarne podniebienie i ten rodzaj nieprzewidywalności, jaki nigdy nie daje spokoju. Zapytałem go, co to za historia z tymi dolarami od Julii Neider, którymi podzielili się z Sulgą, i czy to prawda, że były fałszywe. I czemu tylko Sulga poszedł za nie siedzieć.

– Ile mu dołożyli? – zapytałem, jakbym nie wiedział.

– Trzy lata – odrzekł Wasyl.

– A tobie?

– Wyłgałem się.

– Jakim cudem?

– Cud nie miał tu nic do rzeczy.

– Otóż to, Wasyl. – Pochyliłem się nad stołem i oranżadami, których obydwaj żeśmy nie tknęli. – Znasz się na dolarach?

– Nie.

– No to skąd wiesz, że były fałszywe?

– Bo tak mi powiedział ten palant.

– Który palant?

– Prokurator.

Byliśmy sami w przestronnej, odnowionej sali, w półmroku dzięki zaciągniętym kotarom; czuć było zimny smród smażenia i papierosów.

– Wyłgałeś się dzięki kapitanowi. Ale czemu kapitan miałby cię chronić i w ogóle wiedzieć coś o twoim istnieniu? Co kapitan ma do ciebie?

Wasyl przestał się uśmiechać.

– Może to ja mu coś szepnąłem? Chyba nie zapytasz, co kapitan ma wspólnego ze mną?  
– dodałem.

– Nie.

– Bo się tego domyślasz.

Skinął głową.

– Będiesz miał okazję się zrewanżować.

– Tobie?

– Nie żartuj. Kapitanowi. Wskażę ci gościa ze złotym zębem – rzekłem tak, jakby mnie Horanin o to poprosił. – Sam ocenisz, czy dasz radę, czy będziesz potrzebował do pomocy

któregoś ze swoich chłopaków. Z kim teraz jeździsz?

– Z dwoma nowymi.

– Drobnostka dla ciebie. – Siedzieliśmy teraz twarzą w twarz, choć Wasyl był dwadzieścia centymetrów wyższy. – A kapitan ci to zapamięta. Dobrze jest nie mieć długów. Co ci zresztą będę opowiadał. Sam bym to zrobił dla kapitana, gdyby nie te nieszczęsne dłonie.

– Są kruche. – Horanin znów się uśmiechnął, ale inaczej.

I słusznie, bo powodów do radości, jak wkrótce miało się okazać, nie miał.



Fałszywe dolary? Dobre sobie. Niewielu w okolicy widziało prawdziwe. Nikt tu nie miał krewnych w Ameryce, nikt nie jeździł na saksy, nikomu nikt nigdy nie płacił dolarami czy inną walutą, nieliczni, którzy miewali do nich dostęp, ukrywali to skrzątnie przed resztą.

Dolar nie był tu królem.

Julia nie mogła zapłacić mi fałszywymi pieniędzmi po tym wszystkim, co nas łączyło. Nie postąpiłaby w ten sposób, nawet gdyby wiedziała, że oszustwo nigdy nie wyjdzie na jaw. Ktoś, kto w ostatecznym rozrachunku sprzedaje śmierć przez wyżyłowanie życia poza granicę jego możliwości, nie postępuje tak prostacko i na takie postępowanie nie przystaje. Chyba że sam staje się ofiarą oszustwa.

Wziąłem to pod uwagę, kiedy historia z upartym Sulgą, niemającym dla pięknej nauczycielki innego określenia niż suka, dotarła do mnie nie w postaci plotki, lecz prawdy, do jakiej musiałem się odnieść.

Nikt nie gustuje w wyrzutach sumienia, dlatego, by mnie nie niepokoiły, przystałem na to, że oszustwa dopuścili się ci, którzy na tym skorzystali, to znaczy władza, cokolwiek byśmy tam przez nią rozumieli.

Wątpliwości moralne nie mogły przesłonić rzeczywistości, która ze swej natury była nieprzejrzysta. Jak się widziało kontury, to dobrze.

Próbowaliśmy partii, jaką Capablanca ograł Laskera w hawańskim Casino de la Playa, gdy kadrowy Chyćka zawiadomił mnie, że szoferowi z placu nie poszło tak, jak sobie zamierzył, mimo że wziął do pomocy dwóch swoich ludzi, że człowiek ze złotym zębem nie okazał się łatwą ofiarą i że nabiedzili się we trzech przy tym jak nigdy. Szofer, jego zastępca i ładowacz nie są już tacy, jak byli i nigdy nie będą. Dużo ich to kosztowało.

– A ofiara? – zapytałem obojętnie, unosząc skoczka nad szachownicą.

– Jak to ofiara, panie Janku. Co będę panu mówił.

Szacunek, jakim mnie darzono, udzielił się i Chyćce, bo gdy zamarłem nad szachownicą, nie usłyszałem najdelikatniejszego nawet napomnienia, że tracę nie tylko swój czas. Kadrowy pokornie czekał na mój ruch, z którym zwlekałem, a potem ostro kombinował, jak poddać partię, która była nie do poddania, chociaż Lasker rozpoczął białymi.

Nie obnosiłem się ze swą władzą i nie korzystałem z możliwości, jakie mi podsuwała, bo była lipna. Wiem teraz, że pozory to niewiele mniej niż istota, a czasami tyle samo, ale wtedy tego nie wiedziałem.

Tak długo, jak moje powodzenie, a więc bezkarność, zależą od kapitana – tkwiłem



w młodzieńczym błędzie – tak długo uprzejmość, z jaką mnie traktowano, obawy wzbudzone w innych, były pozorami pozycji, jakiej mieć nie mogłem.

A mimo to przyjemności mnie nie omijały i znaczyły więcej niż dotychczas znane. Może dlatego, że były podszyte niepokojem. Uczynił je szlachetniejszymi, mniej zmysłowymi, gdyż niepokój trzymany przy pysku nie obraża naszego męstwa, tylko je wywyższa.

To było mniej więcej wtedy, gdy na stanowisku czwartego sekretarza Komitetu Powiatowego Partii nastąpiła nieprzewidziana zmiana. Miejsce byłego traktorzysty z Jawora zajął absolwent historii jednej ze szkół pedagogicznych, prywatnie zięć któregoś tam zastępcy do spraw politycznych Śląskiego Okręgu Wojskowego, potężnej pancерnej pięści Układu Warszawskiego, przed którym trzęsła portkami Europa.

Przyszedł do powiatu z tym swoim groźnym teściem za plecami i rozsiadł się w skromnym najpewniej, wyłożonym boazerią, gabinecie sekretarza do spraw żadnych. Szpenderowicz, jak każdy inny sekretarz, nie miał imienia i wyglądał tak, by go od nikogo nie odróżnić i nigdy nie zapamiętać.

W drugim tygodniu urzędowania starł się, jak powiatowa wieść niosła, ostro z kapitanem, i ten wskazał mu jego miejsce, a Szpenderowicz, nie wierzyłem temu za grosz, wcale się tym nie przejął.

Coś musiało być jednak na rzeczy, bo kapitan wsiadł na postoju do mojej taksówki, zapytałem dokąd, a on, że nigdzie, i poprosił, byśmy się nie afiszowali ze Sławkiem Zieglerem, bo nas pograży.

Sławek kilka razy brał udział w naszych kolacjach, chłopcy go polubili ze względu na poczucie humoru i umysł, przy którym nasze były jak siekiera. Ale z afiszowaniem się to przesada. Nie należał do naszej kompanii i nie miał takiej szansy w przyszłości.

Powiedziałem mu, że gdyby nie ta cholerna heinemedina, która dopadła go w dzieciństwie, mógłby być jednym z nas, jeśli polubiłby Hemingwaya i niebezpieczeństwa, lecz w tej sytuacji sam rozumie i Sławek Ziegler zrozumiał, bo chłopak był mądry nie na niby, tylko tak, że ciarki czasami szły wzdłuż kręgosłupa.

To właśnie wyjaśniłem kapitanowi, a on mi na to, żebyśmy się publicznie już więcej nie spotykali, bo z wielu kłopotów nas wyciągnie, ale na ten może go nie starczyć.

– To ponura sprawa, Ruczaj – dodał.

Skorzystałem z okazji i poprosiłem go o interwencję w sprawie Wasyla Horanina i jego dwóch pomocników.

– Zaczepił ich jakiś skurwiel ze złotym zębem, to mu przyłożyli. Nie jemu pierwszemu, nie ostatniemu, ale żeby zaraz areszt... On ma żonę i troje dzieci.

Kapitan przyrzekł, że Wasyl wyjdzie w następnym tygodniu, będzie odpowiadał z wolnej stopy i nie powinien się spodziewać niczego złego, jeżeli mi na tym zależy, ale

z kulasem to inna sprawa.

– Niechże się pan nauczy, Ruczaj – pochylił się ku mnie z tylnego siedzenia i poczułem zapach tandetnej wody po goleniu – odróżniać kłopoty od niebezpieczeństw. Ziegler to niebezpieczeństwo.



Ale póki deszcze i chłodne lato nie chciały przejść w jesień, która w naszych stronach bywała pogodna i długa – trwała czasami do połowy listopada – niebezpieczeństwo było gdzie indziej.

Na naszej rozległej mansardzie – dół domu popadał w malowniczą i bezużyteczną ruinę – mimo sierpnia zrobiło się tak zimno, że włączyliśmy piecyk gazowy i grzaliśmy się z babką w jego ciepłe, pogodzone z technicznym smrodem, jaki wydzielał. Paliliśmy papierosa za papierosem zanurzeni w przeszłość.

Po okienkach spływał deszcz, pies Stopek, który na metrowym łańcuchu w chlewie z kolejnymi świniami spędził trzy czwarte życia, teraz wygrzewał przy piecyku swoje reumatyzmy. Zabrałem go Sawiczowi w momencie, gdy ten nie mógł mi się już postawić.

Myszy, których nie tępiiliśmy, bo obiecaliśmy to dziadkowi przed jego śmiercią, hałasowały pod podłogą, a od Kynastu ciągnęła chmura za chmurą.

– Nie potykał się nawet – wspominała babka, zaciągając się sportem przez szklaną lufkę. – Biegał za nami z oczyma przewiazanymi szarfą po pokojach, korytarzach, antresoli, górnym i dolnym ogrodzie i nawet się nie potykał.

– Miał dziewięćdziesiąt lat? – zapytałem, a babka odpowiedziała, że pewno więcej, skoro brał udział w wyprawie Napoleona na Moskwę jako doboosz. – Rezydentów – mówiła – żegnano we dworach z ulgą, gdyż dożywali późnej starości i trzeba było mieć na nią cierpliwość, a nie wszystko załatwiała służba.

Dziokowskiego wspomniano wiele lat po śmierci z wdzięcznością i nie pamiętam, by ktokolwiek powiedział o nim coś złego. W czasie wojen kręcił się przy Fredrach, gdy się skończyły, przystał do naszego domu już na zawsze. Nic go tak nie cieszyło jak ślepa babka z gromadą dzieci.

Lubiłem świat galicyjskiego dworu, w którym czego się tknięto, brało w łeb. Lubiłem te rodzinne wspólnoty w wiecznym niedostatku i życie na krawędzi ekonomicznej ruiny, która nie następowała, bo energii nie znajdowano nawet na pustkę.

Lubiłem ciepło dużych rodzin, w których nie znano podstępu, zawiści, złych życzeń, a smutki i niepokoje trzymano pod kluczem.

Stawałem w jasności i względnie ciepło, biorącym się z geografii, tak różnym od mroku stron, jakie obsesyjnie przywoływała ciotka Rina, by przeciwstawić pagórkom równiny, ograniczeniom przestrzeni, przepełnieniu bezludzie, wiecznym brakom nadmiar, i nawet pogodny San, mimo zdarzających się wylewów, posępnej i tajemniczej Dźwinie.

Wyciągałem babkę na letnie śniadania w dolnym ogrodzie przechodzącym w park z widokiem na pałac i rzekę, i na poziomki ze śmietaną, które od początku czerwca do połowy lipca wieńczyły te posiedzenia, i na rozmowy o rzeczach pięknych i łatwych, choć nie brakowało wokół chorób, śmierci, kalectwa, bankructw i niedostatku czającego się nie za rogiem, tylko od frontu, przed parkiem i pałacem, by się z nich naigrawać.

Wróciliśmy więc, który już raz, do letnich śniadań w ogrodzie, niekończących się nigdy przed południem, kiedy to z ulicy dobiegł kilkakrotny knajacki gwizd, jakim kolega Dolek wywoływał mnie w dzieciństwie.

Otworzyłem okno, z parapetu chlusnęła woda, pod domem stała przemoczona do suchej nitki Ola Hnatiuk.

Klamka między nami nie zapadła. Nie snuliśmy wspólnych planów. Nie łączyły nas marzenia. Nie zamęczaliśmy siebie wzajemnymi zobowiązaniami na przyszłość. Dobrze nam było ze sobą na elementarnym poziomie relacji mężczyzna – kobieta, w której żadne nie wychodziło poza role napisane przez naturę.

Chodziliśmy na spacer, do Zdrojowej na dansingi, bo oboje lubiliśmy tańczyć, do węgierskiej restauracji w J., bo wyróżnialiśmy ogniste paprykarze, placki z gulaszem, naleśniki Gundel, nawet kwaśne młode wina.

Adorowaliśmy Marinę Vlady, przepadaliśmy za Bardotką, rozczulał nas wdzięk Belmonda; Ola udawała, że podkochuje się w Gregorym Pecku, a ja, że jestem o niego zazdrosny. Nie opuszczaliśmy żadnego westernu z Johnem Wayne'em, Lee Marvinem lub Kirkiem Douglasem.

Raz w tygodniu robiliśmy rundy po sklepach z odzieżą głównie po to, by poprzypatrywać się sobie w lustrach.

Szliśmy do łóżka w nieużywanym mieszkaniu Henia Fantomasa i oddawaliśmy się pieszczotom bez szczególnej inwencji, bo póki co, zastępowała ją nasza młodość, uroda i zdrowie.

Z czasem zacząłem podejrzewać Olę o umiejętności nieznane memu doświadczeniu lub wyobraźni, lecz powodowany nie tyle urażoną ambicją, ile lenistwem, nie dawałem jej do zrozumienia, że mógłbym z nich skorzystać.

Jednocześnie miałem nieodparte wrażenie, że Ola na coś przy mnie czeka, co od nas obojga nie zależy. Jakby ktoś zapalił w niej płomyk, a potem rzekł: a teraz podtrzymuj go sama.

Smakował ci obiad? – pytałem. Bardzo – odpowiadała. Słyszysz tę melodię? Słyszę. Lubisz ją? Wyjątkowo. Masz chęć na spacer? Mam. Po parku? O nim myślałam. Wieczorem spotkamy się z paroma chłopakami. Świetnie.

Ale za tym wszystkim było coś, czego nie potrafiłem dostrzec. Jakiś fantom.

– Na co patrzysz, Olu? – pytałem czasami.

– Na nic – odpowiadała.

– Zupełnie?

– Zupełnie, Janku.

– Nic tam nie ma, Olu.

– Nic.

Dom przy Piekarskiej omijała. Taka była między nami umowa.

Tego chłodnego, deszczowego popołudnia na skraju sierpnia Ola złamała tę umowę.

Wstawiła się, by ją złamać, lub złamała, bo była wstawiona. Tak czy inaczej wspięła się na górę. Nieźle napita, ze spisem pretensji o przeszłość, która nie była wspólna. Jej wzrok, twarz zeszpecona podłością, postać gotowa do ataku, zawiadamiała nas: nie chrońcie się w tym, co chroni, bo wam to rozpierdole. Bo przybyłam, by to w was, raz na zawsze, rozpierdolić.

Dostrzegłem w niej inność, która dzieli. Miotła się na krześle, wyliczając despekty, jakie ją z naszej strony spotkały. Nie pozostawiła miejsca na układy, wszystko wypełniała zapowiedź wojny.

W torbie miała opróżnioną w połowie butelkę bikavera, którego z babką nawet nie tknęliśmy, więc wychyliła ją do dna z gwinta i rozglądając się wrogo po naszym nieodmiennie ubogim wnętrzu, zapytała:

– A z tym chłopcem, to konkretnie, jak?

Nic nie odpowiedziałem. Więc babka zapytała z chłodną grzecznością, która często odstręczała od niej Bogu ducha winnych ludzi:

– O jakiego chłopca pani pyta? Konkretnie, jeżeli rozumie pani to słowo?

Dwa, trzy miesiące wcześniej leżeliśmy z Olą w łóżku przy uchylonym na łagodną, już pewno czerwcową noc oknie, gdy niesprowokowany żadną jej ciekawością opowiedziałem o młodziutkim kamerjunkerze. Swawole losu wydały go na łup ryzykownych marzeń, a jedno z nich przemieniło go w żurawia, który obcy był wśród ptaków jak panicz wśród ludzi. Zdarzyło się to na północy, nad Dźwiną, w niezmiernych sosnowych lasach, na trzęsawiskach, w grądach, olchach, leszczynach i brzozech, więc nikt się tej zmianie nie dziwił. Ola, unosząc się wtedy na ramieniu, zapytała, czy to możliwe, a ja jej odpowiedziałem, że w legendzie.

Może poczuła się niedopuszczona do tajemnicy północnej baśni jak do dzieciństwa mej babki w Skrzyni nad Sanem, może nie potrafiła sobie tego wszystkiego wyobrazić, tego zawsze zimnego światła, równin, bezludzia w przedpokoju barbarzyństwa. A może uznała po prostu, że ją kiwam, a ona mi tego nie udowodni.

Tak czy owak, odsunęła się na skraj poduszki, jakby dowiedziała się o mej niewierności,

i zasnęła.

A moja babka zadała jej tego popołudnia jeszcze kilka zimnych pytań, na które otrzymała jeszcze zimniejsze odpowiedzi i zrobiło się zimniej niż na zewnątrz.

– Co z wami? – zapytał mnie tydzień później Franz Girej zdziwiony moją samotnością.

Odpowiedziałem, że między nami nie jest już przyjemnie.

– Między tobą a Olą?

– Tak, Franz, między mną a Olą nie jest już przyjemnie.

Dzieliłiśmy w Zdrojowej ostatnie łupy. Ostentacyjnie, przy Olu Knurze, który spoglądał na nas zza srebrnego kontuaru z nienawiścią.

– Szkoda – powiedział Hugon. – Taka piękna dziewczyna.

Nie powiem, by mnie to zniszczyło, lecz musiało nieźle dotknąć, skoro zacząłem szukać w S. spłoszonych spojrzeń żony doktora Kowala.

Niewiele się zmieniła od tego lata, kiedy jej córka, Marta, próbowała mnie na nią namówić. Miała tak samo długie nogi, a pod obcisłymi spódnicami rysowały się najlepsze pośladki w okolicy, choć młodszych nie brakowało.

Wyobrażałem sobie jej uległość w moich ramionach, zgodę na wszelki młodzieńczy kaprys podyktowaną trwogą wzbudzaną przez coraz szybciej pędzący czas, pchający ją bezlitośnie ku pięćdziesiątce, za którą jest otchłań lub pustka, w jakiej nie ma się nawet o co zabić.





Spotkania z kapitanem zawsze były przypadkowe. Nie umawialiśmy się nawet wtedy, gdy miałem dla niego pieniądze, jakie zaczęliśmy mu odpalać, gdy nasz klan okrzepł finansowo.

Mój udział w przychodach się zwiększył, gdy przekonałem chłopaków, że nasze interesy oprócz trzeba na czymś solidniejszym niż przygraniczny handel deficytową galanterią, taniejąca kontrabanda, konszachty z chimerycznymi sportowcami jeżdżącymi na zachód czy obrót walutą. Przekonałem ich, że usługi dla ludności w miarę narastających w tym względzie potrzeb, których państwo nie było w stanie zaspokoić, będą czymś, co nas zalegalizuje.

– Chce pan układać się ze mną czy z kapitanem? – zapytałem dyrektora Ośrodka Mechanizacji Rolnictwa, który nie mógł się zdecydować, czy nieźle wyposażoną bazę techniczną może wydzierżawić na planowany przez nas warsztat samochodowy.

Rozmowa z kierownikiem wydziału handlu, którego półtora roku wcześniej postraszyliśmy na zdrojowych kortach pułkownikiem MSW, przekonała go, że upór, by sprawdzić przeszłość Hirka Deptacza, nim otrzyma koncesję na taksówkę, jest nieracjonalny i Hirek, świeży posiadacz prawa jazdy kupionego w innym wydziale u innego kierownika, został drugim po mnie taksówkarzem w klanie.

Za moją namową kupił u starego Zieglera nieźle utrzymanego mercedesa i od miesiąca terroryzował pasażerów ponurym chamstwem.

Luś Ornitolog przeciwnie – ujmował klientów nieco rubaszną uprzejmością i smykałką do małej mechaniki w zakładzie zegarmistrzowskim na najważniejszej ulicy w J., w którym się umościł jako wspólnik za mniejsze pieniądze, niż przypuszczał.

Tadzio Kary sprytnie prowadził odziedziczoną po stryju stolarnię, a Henio Fantomas rozrywał pacjentom dziąsła dłutowaniem na żywca, jakim zawsze kończyły się u niego resekcje zębów, jeżeli nie dotyczyły mlecznych. Był uroczym, gadatliwym, wyjątkowo niezręcznym prywatnym dentystą z najnowocześnie wyposażonym gabinetem w powiecie.

Belmondo nigdy nie wyrabiał się z autami w przyrzeczonych terminach, lecz to, że czasami stawiał je na nogi przy pomocy kilku amatorów, których zatrudniał ze względu na skąpstwo, i tak było cudem.

Mieliśmy też umowę z młodym, dystyngowanym człowiekiem naprawiającym psujące się nieustannie telewizory, że będziemy go wozić, dzień czy noc, pod wszelkie możliwe

adresy – popyt na jego umiejętności rósł lawinowo – i za jedną trzecią jego niemałych przychodów przypilnujemy, by rozliczano się z nim w terminie.

Nowa sytuacja wyostrzyła między chłopakami różnice, których już od dawna nie zacierał Hemingway i jego legenda.

Hugon Trener romansował z dziewczynami miejscowymi i przyjezdnymi i zdarzało się, że jego żelazne, spartańskie łóżko w równie spartańsko urządzonej drewnianej domku górującym nad kotliną zajmowały kochanki, których następnego dnia nie rozpoznawał.

Jego pasja do tej roboty degenerowała się i zmieniała w obsesję, a ta – w postępującą chorobę. Sprawiał czasami wrażenie mężczyzny, którego żądze były śmiertelnie zmęczone.

Czytał z nas najwięcej i najambitniej, lecz miałem wrażenie, że bez pożytku dla siebie, bo wśród książek był ciągle gościem, nie domownikiem.

Na nartach jeździł coraz ryzykowniej oblodzonymi jarami na łeb na szyję, między skały, piargi, na dna dolin obstawione świerkami, z langrimenami bez milimetrowej tolerancji cementującymi buty z nartami.

Hugon szuka śmierci, mawialiśmy, a Henio Fantomas, z którym był najbliżej, odpowiadał, ale ona go nie dogoni, bo jest od niej szybszy.

Co do pieniędzy, to Hugon Trener omijał je jak wszystko, co by go mogło przywiązać do wygod, którym nie ufał.

Reszta chłopaków pieniędzmi nie pogardzała, bo jednoczyły ich z miesiąca na miesiąc degradujące się nawyki i prostactwo, w którym znajdowali upodobanie, podszyte nieumiarkowaniem w korzystaniu z uroków życia u Funia, okrucieństwem u Franza Gireja, chamstwem u Hirka Deptacza lub błazenadą u Tośka Buchaltera i Belmonda. Zasmucało mnie to, bo sądziłem, że tworzymy zakon, a nie grandę.

Wracając do kapitana, to podczas jednego ze spotkań, nie muszę powtarzać, że przypadkowego, zostałem zawiadomiony, że jeżeli pamiętamy o jego czterdziestych urodzinach i myślimy o prezencie, który by je uświetnił, to chciałby nam coś podpowiedzieć.

Opowiadania Hemingwaya, z tym o toreadorze starającym się o swoją ostatnią walkę i, ma się rozumieć, *Śniegami Kilimandżaro*, to byłoby to, co by go wzruszyło. Nigdy nam o tym nie wspominał, lecz Hemingwaya zna nie gorzej niż każdy z nas i nie mniej niż każdy z nas go adoruje.

Rzekłem mu, że nie ma sprawy i że na pewno coś da się zrobić, ale, gdy powtórzyłem to chłopakom, zaprotestowali.

– Rozpoznamy się po Hemingwayu – odezwał się Hugon. – Poza nim wszystko nas dzieli, jak podzielimy się Hemingwayem z kapitanem, to już nic nas nie będzie łączyć.

– Ani wyróżniać – dodał Franz Girej.

– Kapitan nie jest jednym z nas – rzucił Tadzio Kary. – Układ z nim nam służy, ale to układ. Nie wprowadzaj go, graf, do środka, bo w środku nic dla niego nie mamy. Dzielimy się hojnie, ale tym co z zewnątrz.

– Polubił nas papa jak mało kogo – powiedział Belmondo. – Szkoda, że się zabił, bo byłaby okazja zapytać, czy lubi też kapitana.

– Odpowiedź znamy – rzekł Franz Girej.

– Jak ona brzmi, Franz? – zapytałem, choć znałem ją tak jak kumple.

– Krótko – skwitował Hugon Trener, a Funio wybuchnął śmiechem, od którego ściany pękały.

Dwa tygodnie wcześniej, jak zawsze w przelocie, kapitan zwrócił mi uwagę, że chłopaki nie hamują się już ani trochę w opiniach wyrażanych publicznie o rzeczywistości, i dodał, że powinienem trzymać ich krócej, bo pożałujemy. Nie spodobał mi się ton kapitana, więc odpowiedziałem, że to plotka niczym nieróżniąca się od tej, że Julia kilka lat temu wróciła do S. i zatrzymała się w starej szkole.

Reakcja kapitana, prostactwo, z którym nie potrafił sobie poradzić, agresja na moment spuszczonej ze smyczy, potwierdziły moje podejrzenie, że tak długo, jak będą nas wiązać nieodgadnione plany pięknej nauczycielki, w jakie zamieszała nas opatrność lub jakaś inna bladź, tak długo kapitan nie powinien łączyć żadnych nadziei z niewątpliwą przewagą, jaką miał nade mną. A co do Hemingwaya, nasza, najdelikatniej rzecz ujmując, rezerwa nie miała nic wspólnego z wiadomością, że Szpenderowicz wyprosił kapitana z drugiej części narady aktywu, kiedy ze spraw bieżących zebrani przeszli do pryncypiów.

Plotka tłuła się jednak po okolicy niczym ćma w świetle, jakby komuś zależało na jej uporczywości. Nikt z nas nie brał jej serio, lecz informacji przekazanej nam w najgłębszej konfidencji przez dyrygenta znakomitej orkiestry zdrojowej, której zdarzało się przygrywać na dansingach, jeżeli do sanatorium MSW przyjeżdżały figury z centrali, tej informacji nie mogliśmy zignorować.

Jesienią, o świcie, po całonocnej zabawie, dwóch pudełkach żitanów z Peweksu, butelce bułgarskiego wina zmieszanego z wódką i koniakiem, po tańcach, od których pieką stopy, i perfumeryjnym zaduchu, od jakiego czerwienieje się i blednie na zmianę, koncertmistrz Nom, sam z siebie, już po robocie, zagrał solo na skrzypcach *Tiomnuju nocz*.

To było z gatunku tych tonów, fraz, strof, obrazów, niekoniecznie wyrafinowanych, na które odpowiadałem natychmiast tęsknotą za cichym smutkiem i niedalekimi, powiedzmy, zaświatami.

W przestronnej sali z dębowym parkietem przeciąg unosił serwetki, girlandy, popiół z nieopróżnionych popielniczek.

Zostaliśmy w swoim gronie z dwiema niedzielącymi włosami na czworo kuracjuszkami. Zabrałem jedną z nich i rozpocząłem somnambuliczny taniec na środku pustego parkietu.

Pijana Ola Hnatiuk, której już nie potrafiłem upilnować, uniosła głowę znad stołu, lecz w jej spojrzeniu nie było zazdrości.

Do Henia Fantomasa, Gireja i Belmonda, dogorywających przy narożnym stole, podszedł dyrygent i ich ożywił.

Odreagowywałem ordynarną noc, tuląc do siebie wiotką, łatwą dziewczynę, wyczuwając pod palcami jej łopatki i kręgosłup.

Koncertmistrz też się zasłuchał, a *Tiomnaja nocz* przestała zależeć od niego.

– Pozwól na chwilę – rzekł ostro Franz zza moich pleców.

– Teraz?

– Tak, bo to ważne.

Co mogło być ważniejszego od *Tiomnoj noczi* granej koncertowo na altówce o piątej lub szóstej nad ranem i od smutku, jakim się z nami dzieliła?

Ale Franz był nieustępliwy, jakby on tu rządził.

– To się zdarzyło na fajfie w małej sali lustrzanej – powiedział dyrygent tak cicho, jakby przeciąg miał porwać jego słowa do parku, a później Bóg wie gdzie. – Dorabiam w ten sposób. Wszedł kapitan, moje uszanowanie, rozejrzał się, jak to on, po ludziach, i usiadł przy tym stoliku, co najbliżej drzwi ze ścianą, moje uszanowanie. Zamówił kawę, wypił, wstał i chciał odejść, a ten starszy kelner z wąsami do niego: a rachuneczek pan kapitan raczył przeoczyć, jakby upominał kogo bądź, moje uszanowanie, kogo bądź.

– O czym on mówi? – zapytałem Gireja.

– Nie rozumiesz? Kapitan nigdy nie płacił za kawę. W Zdrojowej, Savoyu, Ulubionej, Marysieńce... Nie rozumiesz?

Urwało *Tiomnuju nocz*. Jej słodycz nie wypełniała już sali. Altówka koncertmistrza Noma grała mi teraz w duszy. Przed sobą miałem wszystko, co ta muzyka uparła się mi przedstawić.

Zobaczyłem roześmiane, beztroskie dziewczęta, studentki, uczennice z dobrych i złych domów na schodach kamiennych bulwarów z widokiem na rzekę. A każda z nich była Julią Neider i żadna jej nie dorównywała. Czerwcową noc nie była już tak zimna jak poprzednie, więc dziewczęta raczej z przyzwyczajenia otulały się w swetry, kurtki, nieforemne płaszcze. O północy spadł deszcz i kamienne miasto parowało wilgocią. Za dwie godziny, które wydzwoni kurant, miał skończyć się dla nich świat, który nie zdążył ich jeszcze pokaleczyć.

Z każdego zakątka tego miasta, mieszącego wdzięk z najgorszym, imperialnym gustem, płynęły nad rzekę nuty, nutki, frazy, cody i refreny przystępnego piękna, od

którego chce się na zmianę śmiać i płakać.

Koncertmistrz Nom, dyrygent, orkiestra, obsługa sali już wyszli. Pozamykano okna, zastawiono girlandy, nie sprzątnięto popielniczek.

Chłopcy też już się zbierali, a Ola Hnatiuk spała z głową na stole. Odezwałem się zaprzątnięty swoimi myślami:

– To pozory. Zobaczymy, jak będzie dalej.



Lepiej nie było. Szpenderowicz rok chodził koło powiatowej gazety, aż ją wychodził i natychmiast się w niej ufortyfikował.

„Głos Kotliny” to był kilkunastostronicowy dwutygodnik z wyraźnymi jak na tamte czasy zdjęciami, na dobrym papierze, w formacie zachęcającym do przewertowania. Młodzi dziennikarze sprowadzeni z Wrocławia i Warszawy nie znali regionu, lecz znali poglądy swego mocodawcy i za mieszkania, przyzwoite pensje i redaktorskie przywileje zaprzędali mu duszę.

Z łatwością pisania, jaka wyróżnia często durniów, i wielką ochotą do manipulowania sumieniami czytelników, których zebrało się od razu kilka tysięcy, utworzyli odpowiednio wredny i odpowiednio skurwiony zaciąg miażdżący każdego, kto stanął na drodze ich bossa lub kogo o to podejrzewano.

Kapitana wybrali na swą pierwszą ofiarę. Za cwani na konfrontację twarzą w twarz postanowili zaatakować z flanki. A na flance byliśmy my, chłopcy od Hemingwaya.

*Inteligencja? W zasadzie, tak* to był tytuł artykułu z trzeciej, prestiżowej strony, udokumentowany fotografią Franza Gireja w nienagannym garniturze, błękitnej koszuli i włoskim krawacie z komisu. Franz ze swą wąską, zawsze opaloną twarzą ładnie skonstrastowaną z krótko przyciętymi blond włosami, w okularach przeciwsłonecznych, z jakimi nie rozstawali się Mastroianni, Delon, Giuliano Gemma, przypominał agenta najpodstępniejszych mocy.

To, że Franz po bezskutecznej próbie ukończenia zawodówki przy Indeksie poprzestał na świadectwie siedmiu klas szkoły podstawowej, nie zmieniało faktu, że inteligencja to stan, przed jakim trzeba się mieć na baczności.

A poza tym artykuł oddał prawdę. Opis dotkliwego pobicia dziewięciu młodych robotników Indexy przez Franza, Tośka Buchaltera, Hugona i Funia na festynie z okazji dwudziestolecia straży przemysłowej nie zawierał słowa przesady, poza tym, że przypisał chłopakom status, do jakiego nie aspirowali.

Każdy, kto na nich spojrział bez złej woli, mógł zobaczyć, że są za szykowni na przypadkowe burdy. Ich ubrania były zbyt markowe, wody kolońskie zbyt wytrawne, ciała zbyt rozsmakowane w wygodach, by zechcieli się szarpać z jakimiś śmierdzielami.

Skoro już do tego doszło, na honorowe wycofanie się ze sporu było za późno. Postanowili stanąć we własnej obronie.

Młodzi robotnicy nie mieli szans z Funiem, którego złożono ze skóry, kości, mięśni

o obliczono na sto dziesięć kilo wagi przy średnim wzroście. Lub z Hugonem Trenerem, którego żadna mulda nie wynosiła w powietrze, tak je zduszał, czy Franzem Girejem przeskakującym tygrysem półtorametrową barierkę i fragment stalowego pomostu w drodze do basenu. Robotnicy nie mieli szans z mężczyznami, którzy ze swej niezawodności uczynili cel, nie środek.

Efekt awantury przerósł zamiary jej uczestników. Dwóch napastników wylądowało w szpitalu, jeden na rencie, reszcie pomogło przyzakładowe ambulatorium.

Fakty więc przedstawiono w artykule sumiennie, jeżeli idzie o konkluzję, to dziennikarza poniosło w stronę antyinteligentkich rekolekcji: nikt nie ma prawa bić robotników, a prowokatorów tych ponurych spektakli odnajdziemy i ukarzymy, jak na to zasługują. Było coś jeszcze o pogardzie dla wielkiego polskiego trudu i życiu na koszt innych.

– Poszukamy łacha? – zapytał któryś z chłopców, gdy na kolacji w Zdrojowej przeczytaliśmy sobie artykuł na głos.

– Na wszelki wypadek – odrzekłem i zapytałem, o co na tym festynie sprzed miesiąca poszło.

– O stół – odpowiedział Funio. – A ściślej o jego kraniec. Chcieliśmy go zająć, by nie siedzieć wśród narodu, bo jak się rozochoci, to cuchnie. Te młode gnoje też się na niego uparły, nie było sposobu, by ich od tego odwieść.

– Zachowywali się tak, jakby nie rozumieli, kto z nimi rozmawia! – wrzasnął Tosiek Buchalter. – To nas dotknęło.

– Daliśmy za wygraną. – Funio pokazał, jak daje się za wygraną. – Zastawili nam drogę. Nie było odwrotu.

Tego wieczoru kolacja się przeciągnęła. Pokazałem pierwszą stronę gazety Heniowi Fantomasowi. Wynosiła Szpenderowicza nad każdego chcącego z nim zadrzeć. Obok informacji o wmurowaniu kamienia węgielnego pod budowę pierwszej w kraju filharmonii powiatowej na środku strony tytułowej była fotografia z przedstawienia miejscowego teatru, o którym mówić zaczęto nawet w stolicy.

Szpenderowicz nie mniej niż o gazetę starał się o młodą, ambitną reżyserkę po studiach w Moskwie. Przekonał ją do siebie koncesją na rzecz jej wolności artystycznej i prawa do eksperymentu, więc miejsce rzetelnych adaptacji szkolnych lektur zajęły dwa wyrafinowane spektakle bez kurtyny z oszczędną scenografią zrobioną z tego, co udało się zebrać w okolicznych śmietnikach, aktorów generalnie nie ubierano, a po scenie miotał się nagi Konrad Gustaw, Fantazy, Kordian czy jakiś inny hrabia Henryk z kutasem w pełnej gotowości.

Zobaczyliśmy coś takiego z Olą. Po pierwszym akcie stwierdziliśmy, że na taki sposób



spędzania wolnego czasu jesteśmy jeszcze za surowi, a z naszej pamięci nie da się wymieść *Eugeniusza Oniegina* sprzed roku, z prawdziwymi łzami Tatiany.

Jesteśmy na to za surowi, powiedzieliśmy sobie z Olą, wychodząc z teatru przed czasem. Może kiedyś, w przyszłości...

Ale przyszłość już nastąpiła, zdawał się mówić tekst pod fotografią jakiegoś nieokreślonego scenicznego zamętu, a kto się w niej nie odnajdzie, ten przepadł.

Coś nieznośnego było w tym zadowoleniu recenzentów, ich sugestiach, że niektórzy pozostają w tyle i nie będzie z nimi dobrze. Nie zamierzamy na nikogo czekać, zdawała się mówić ta chojracka przechwałka, utkana z nieznanym mi mądrości. Czasy wymagają zmian i one nastąpią. Z drzemki trzeba się ocknąć.

– To jak wiercenie w martwym zębie – powiedział Henio Fantomas, oddając gazetę Karemu. – Boli i do niczego nie prowadzi.

Któryś z chłopaków po raz drugi zapytał, czy poszukamy łańców, dodając do autora wiadomości o masakrze w Indeksie autora recenzji. Czuliśmy w nich wrogów. Tym cenniejsi byli przyjaciele.

Pomyślałem, że lubię kapitana niezależnie od podejrzania, że z Julią Neider łączy go coś więcej niż moja osoba. Pomyślałem, że lubię kapitana i to nie jest w porządku wobec jego ofiar.



Tej jesieni, która mimo grudnia nie chciała przejść w zimę, tylko tkwiła w swoich wilgotnych, zamglonych mrokach, a zapach gówna ścielił się coraz niżej, z tygodnia na tydzień lubiłem kapitana coraz bardziej. Dlatego podczas kolejnego wyjazdu do Krakowa w sprawie interesów z moją daleką ciotką, postanowiłem rozejrzeć się za opowiadaniem Hemingwaya, o które mnie prosił.

Żaden z chłopaków nie zdecydował się oddać swoich, co rozumiałem, bo sam nie miałem zamiaru tego uczynić.

Interesy z ciotką nie były skomplikowane, poza tym, że na nich traciłem. Co kwartał wręczałem jej tysiąc dolarów, a jej syn, prawnik z Antibes, przelewał na moje konto w banku PKO SA osiemset pięćdziesiąt w rewanżu. Piętnaście procent to była jego niemała prowizja, lecz dzięki temu legalizowałem swoje walutowe przychody.

Hemingwaya zamówiłem w antykwariacie przy Szewskiej, a dwie ulice dalej udało mi się kupić *Śniadanie u Tiffany'ego*.

– Prezent? – zapytała Ola, gdy pokazałem jej książkę.

– Owszem, ale nie dla ciebie – odpowiedziałem.

Następnych pytań nie było. Ola obojętniała nie tylko na mnie. Dwa tygodnie wcześniej wyszliśmy w gromadzie ludzi z *Angeliki i króla* z podziwianą przez wszystkich Michèle Mercier. Przez cały film Ola siedziała milcząca, sztywna, chłodna, nieobecna, miałem wrażenie, że obca nawet samej sobie.

– Podobał ci się film?

– Naturalnie – odrzekła, nie omijając kałuż.

– Jak poprzednie?

– Które? – zapytała, patrząc po nogi.

– *Piękna Angelika, Markiza Angelika...*?

– Tak.

– Co tak?

– Tak samo. – Po czym dodała, że musi natychmiast skorzystać z toalety.

Weszliśmy do węgierskiej restauracji, w której podawano znakomite naleśniki Gundel. Powiedziałem, że poczekam na zewnątrz. Zapaliłem papierosa. Po kilku minutach zapytałem szatniarza, czy nie widział dziewczyny, z którą wszedłem.

– Jakiej dziewczyny? – Szatniarz nie wyglądał na gościa, który zechciałby mi pomóc.

– Niewysokiej, szczupłej, w szarym skafandrze.

– Wyszła przez kuchnię – rzekł zadowolony z takiego obrotu sprawy młody kelner. – Tylnymi drzwiami na podwórko.

Nie było to przyjemne, podobnie jak wszystko inne między nami, nawet seks. Miałem wrażenie, że życie Olę coraz bardziej uwiera i że nie potrafię jej pomóc.

Mówiła, że źle sypia i że przesładują ją koszmary. Nie traciła na urodzie, a nawet może stawała się ładniejsza dzięki smutkowi, który nas w kobietach wzrusza, wypatrywała kogoś. Wypatrywała kogoś spoza rzeczywistości, jaka nas otaczała. Chodziła coraz szybciej. Tak szybko, że ledwo ją doganiałem i spacerzy przestały mieć sens. Spuszczała głowę, a ręce kryła w kieszeniach skafandra, którego nie zdejmowała nawet w ciepłych pomieszczeniach.

Rozmowy przychodziły jej coraz trudniej. Zdania odrywały się od siebie i jeżeli oddawały myśli, to potwierdzały chaos, jaki Olę wyczerpywał.

Pełen współczucia myślałem, jak wyplątać się z romansu chłodniejącego z tygodnia na tydzień. Wmawiałem sobie, że Ola myśli pewno o tym samym.

W przeddzień Wigilii – kończący się dzień nie zapowiadał świąt, jakie lubimy wspominać na starość – wychodząc z drogerii z prezentem dla babki, ujrzałem przed sobą matkę Marty też z prezentami.

Ruszyłem za nią. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymała się przed wystawą księgarni. Prawie na nią wpadłem. Dotknąłem jej ramion i być może przygarnąłem do siebie. Nie zaprotestowała. Na wysokości swej twarzy ujrzałem zmysłowy profil, blady policzek i głęboki cień pod okiem. Ręce zajęte miała pakunkami i nie mogła mi się wywinąć. Poczulem podniecenie i zapowiedź łatwej przyjemności. Moja matka nie ma tu nic do rzeczy, usłyszałem głos Marty sprzed blisko sześciu lat i poczułem żar tamtego lata, które przygotowało mi tyle niespodzianek.

Zbliżyłem twarz do twarzy kobiety pragnącej się – byłem tego pewien – zapomnieć. Nie powinienem tego wtedy mówić. Nie powinienem w ogóle nic mówić, bo nie potrzebowaliśmy słów. Nie wiem do dziś, jakie licho mi je podsunęło.

– Jestem kolegą z podstawówki pani córki, Marty.

Drgnęła, zarumieniła się i w jednej chwili obsunęła o dekadę. Lub zmieniła kategorię. Nie wspierałem się już o dojrzałe, świadome siebie piękno tuż przed zmierzchem, lecz o matkę mej szkolnej koleżanki sprzed lat.

Wymiotło z niej wszystko, czym uwodziła; od dawna była w stanie delikatnej równowagi między nadzieją na przygodę, jej przedsmakiem a statecznością.

Zapytała, jak uczyniłaby to każda doktorowa z prowincji w przeddzień świąt Bożego Narodzenia obładowana prezentami:

– Niejaki Jaś? Jaś Ruczaj, czy tak?

– Zgadza się – odpowiedziałem i zniecierpliwiałem się.

W ustach poczułem mdły smak straconej okazji, zawodu, jaki sprawiłem jednej z tych rozkoszy, które się żywią grzechem. Wyczułem nielojalność wobec młodzieńca, który tego niezapomnianego lata 1963 roku niczego nie zaniedbał, lecz zostawił na potem.

Wybacz mi, Marto, jeżeli dobrze cię wtedy zrozumiałem, rzekłem do siebie, gdy doktorowa zapytała o zdrowie mojej babki.

Nadjechał wypakowany, szkaradny, kanciasty autobus nieradzący sobie z tłumem.

– To akurat mój – rzekła doktorowa i poprosiła, bym kłaniał się babce od niej i od męża.

– Pogodnych świąt – rzuciła jeszcze i dołączyła ciężko, jakby dała za wygraną, do kotłującej się na przystanku gawiedzi.

– Źle się poczułam – powiedziała Ola, gdy zapytałem ją o powód zniknięcia po filmie. –

Nie chciałam, żebyś mnie taką oglądał. Przepraszam cię, Jasiu, to się już więcej nie powtórzy.

W dzień po Bożym Narodzeniu, które spędziliśmy każde u siebie, zaplanowaliśmy wspólnego sylwestra.

Już wtedy nie znosiłem tego noworocznego obowiązku, tej idiotycznej radości z tego, że o rok bliżej nam do mety. Zawsze niezbyt schłodzonego bułgarskiego lub rumuńskiego szampana i obłudnych, a niechby i z serca płynących, życzeń, tego przekonania, że to, co nadejdzie, lepsze będzie od tego, co było.

– Co ci jest, Olu? – zapytałem, szczerze ciekaw jej smutku.

Powiedziała mi, że staje czasami przed lustrem, jak ją Bóg stworzył, i mówi do siebie: Olka, nic ci nie brak ani niczego nie masz za dużo. Jesteś w sam raz, jesteś doskonała, lecz po chwili pojawia się pytanie: i co z tego?

Odrzekłem, nie do końca w zgodzie z prawdą, że jej nie rozumiem.

Powiedziała, że takich pytań nie stawiała sobie, gdy byliśmy z Julią.

– A wiesz czemu? Bo znałam odpowiedź. Nie mogę jej sobie przypomnieć.

Staliśmy pod domem jej ojca i braci. Zza drewnianej, wysokiej bramy słyhać było udręczone zwierzęta. Z dziurawych rynien lała się woda. Ola stała między dwiema jej strugami, zsiniała od grudniowej wilgoci, która potrafi się do nas najszybciej dostać.

– Co ona we mnie zasiała?

– Kto, Olu?

– Julia. Ta suka.

– Daj spokój, Olu, nie myśl o tym.

– Znałam odpowiedź, wtedy znałam odpowiedź.

Wziąłem ją w ramiona i rzekłem cicho:

– Nie dręcz się tym, nie warto.

Spojrzała dziko w bok. Odepchnęła mnie. Była jak we wrześniu 1948 roku, gdy połączono nas w ostatnią parę na szkolnym dziedzińcu.

– Nie ma co się kiwać. Nie myślę o niej na co dzień, ale gdy staje mi przed oczyma, to czuję ból. Nie miała prawa nas opuścić. Nie miała prawa zrobić tego z dnia na dzień.

– To myśmy ją opuścili, Olu. Nie pamiętasz?

– Dobrze ci, Katiu, ani drgniesz...

– Daj spokój.

– Tęsknię.

– Jestem przy tobie.

– Tęsknię za Julią, frajerze. Jak za nikim, gdy sobie ją przypomnę.

Powiedziałem, że Julia robi, prawdopodobnie, coś dobrego dla innych ludzi. Że mam podstawy, by tak sądzić, że to jest tęsknota, którą, w jakimś stopniu, odczuwa każde z naszej czwórki, nawet ten kloc Szymon.

Pół roku wcześniej starszy pasażer zapytał mnie podczas kursu do pensjonatu Sarna, czy jestem żonaty. Odpowiedziałem, że z zakonnicą, która jest na misji w Kongu. Z kim? – zapytał z niedowierzaniem, a ja odrzekłem, że z siostrą mniejszą, na misji. Zastanowił się i zapytał, czemu mniejszą? Powtórzyłem to Oli. Powiedziała, że nie interesują jej inni ludzie i to, co się dla nich robi.

Od południa mieliśmy zmierzch. A od gór wiatr, który zapowiadał migreny. Wokół było błoto, gdyż nieremontowany niemiecki asfalt popękał, a potem skruszał. Odezwałem się, patrząc ponad głowę dziewczyny.

– Mnie też nie interesują, Olu.

– Ale to nas nie pojedna – odrzekła zimno. – Nie łaś się, frajerze.

Sylwestra spędziliśmy we dwójkę w kawalerce wynajmowanej od Fantomasa. Był rumuński szampan, kanapki, tort ze Zdrojowej, coca-cola z Peweksu. Dwa razy zatańczyliśmy tango. Słuchaliśmy Radia Luxembourg, paliliśmy marlboro. Przed północą poszliśmy do łóżka z zamiarem pogodzenia dusz. Szybko zapadliśmy w sen. Lecz każde w swój.



Koncertmistrz Nom kręcił głową, gdy na próbie orkiestry zdrojowej zapytałem go o możliwość nauczenia się *Tiomnoj noci* i kilku innych bliskich memu sercu kawałków.

– Na skrzypcach? – zapytał zdziwiony.

Miałem wrażenie powtarzające się przy innych rodzajach muzyki, niekoniecznie zaliczanej do wielkich, że mowa dźwięków jest sugestywniejsza niż każda inna i nawet jeżeli na czas słuchania znieczula rozum, to zabiera nas w najwyższe rejestry przyjemności już niedalekie od szczęścia.

– Ma pan ręce stworzone do klawiszy. Długie, silne, ruchliwe palce i miękki nadgarstek – pochwalił mnie koncertmistrz Nom, by zaraz potem sprowadzić na ziemię. – Skrzypce tego nie wymagają, raczej mocnego karku i współpracy kciuka z palcem serdecznym i wskazującym. Niech pan zakosztuje dźwięku.

Zapytałem, o jaki dźwięk chodzi, odrzekł, że o pierwszy z brzegu, i podał mi instrument.

Przesuwanie komody po żwirze to było mniej więcej to, co wydobyłem za pierwszym razem, a drugie przeciągnięcie smyczkiem po strunach zrodziło coś jeszcze okropniejszego.

Opowiedziałem to chłopakom podczas obiadu, jaki Luś Ornitolog wydał z okazji sprawienia sobie simki aronde, czwartego auta w naszym klanie, nie licząc tych, które nie służyły przyjemnościom.

Śmiali się przez grzeczność. Spinał ich niepokój i przeczucie kłopotów, na jakie się nie przygotowali. Nic złowieszczego, biorąc pod uwagę miejsce i czasy, ale ochrona, jaką w coraz bezczelniejszych numerach z plexą, kryształami, włoskimi ortalionami składanymi w paczkę wielkości pięści, częściami do samochodów, czeskimi koronami zamienianymi korzystnie na niemieckie marki, wymuszeniami życzliwych nam urzędniczych decyzji, by odsprzedać je innym, zamówieniami realizowanymi na lewe kontakty, ta ochrona, którą zapewnił nam kapitan, bardzo nas wydelikaciła.

Konfrontacja z prozą życia, jak, na przykład, szukająca dziury w całym kontrola finansowa, weryfikacja koncesji lub wezwania rojące się od paragrafów stawiających na bacność, budziła popłoch.

Byliśmy wobec tych zamiarów – efektowni, młodzi, wysportowani, wyselekcjonowani przez los, któremu postawiliśmy własne warunki, sprawdzeni w umiarkowanej przemocy, nieumiarkowanych zabawach, rozkoszach, a choćby tylko przyjemnościach – zawstydzająco bezbronni.

Wygody zepsuły nas, a to, z czym mieliśmy się zmierzyć, co nam zapowiadano, nie było



złowieszczym fatum, demoniczną przestrogą, tylko normalnym życiem, jakie musieli wieść słabsi.

Na normalne życie jednak już od dawna żaden z nas nie był gotów. Wszystko, tylko nie normalne życie. Do tego stopnia, że gdyby decyzja o zachowaniu tego, co jest, zależała od znalezienia wśród nas winnego, tobyśmy go znaleźli.

Powtórzyłem chłopakom, co kilka dni wcześniej rzekł mi kapitan: Wasz kłopot to Szpenderowicz. Musi zniknąć.

Jak się nie jest przygotowanym na normalne życie, to trzeba być przygotowanym na jego wynaturzenia. Podpowiedział mi to wrodzony pesymizm, który chłopaków, generalnie, nie prześladował. Spojrzeli po sobie, nie dowierzając temu, co usłyszeli.

– Na jego miejsce przyjdzie następny. Co to za pomysł? – odezwał się Hugon Trener najmniej z nich zdumiony, bo życie, jakie prowadził, nastawiało go filozoficznie.

– Niekoniecznie – odpowiedziałem Hugonowi i chłopakom. – Było dobrze, jak go nie było, będzie tak samo, jak go nie będzie. Proste. Poza tym to tylko trochę większy numer.

Henio Fantomas zapytał, o jakim numerze mowa, a jego bladą zwykle twarz pokrył rumieniec.

Odpowiedziałem, że o trochę większym niż ten, jaki zrobił z dostawcą austriackiego sterylizatora narzędzi dentystycznych, gdy zapłacił połowę tego, co się należało.

– To tylko trochę większy numer – powtórzyłem chłopakom, co usłyszałem od kapitana kilka dni wcześniej w mojej taksówce, gdy niezapowiedziany jak zwykle i mizerny jak nigdy zajął miejsce na tylnej kanapie i zażądał odwagi.

Trącił mnie wtedy w ramię i dodał szeptem: Niech pan sobie wyobrazi, że nauczycielka nie zmarła w Rosji dwanaście lat temu, tylko wróciła do S. i poprosiła pana o przysługę, i pan jej nie odmówił. To wymagałoby większej dzielności, jak domniemywam, a przecież by się pan przed nią nie cofnął.

Odrzekłem mu wtedy, że aż tak siebie nie znam.

Zapytał: Co by pan zrobił, gdyby nauczycielka poprosiła pana o przysługę, na jaką pan nie jest gotowy?

Odpowiedziałem: Aż tak siebie nie znam, kapitanie.

Zaśmiał się ponuro. Powtórzył, że oczekuje od nas mniejszej odwagi niż ta, na jaką musiałbym się zdobyć, pomagając Julii Neider, gdyby dwanaście lat temu nie umarła w Rosji.

– Kłopot – otworzył tylne drzwi pobiedy, w której było lodowato, bo nie działało ogrzewanie – nazywa się Anzelm Szpenderowicz.

– Jak? – Hirek Deptacz pochylił ku mnie chudą, ciemną, złą twarz. – Jak powiedziałeś, Jasiu?

Powtórzyłem.

Tosiek Buchalter wrzasnął:

– Anzelm! Kto to wymyślił? – Zreflektował się i rzekł ciszej, co nie przychodziło mu nigdy łatwo: – Widział go kto kiedy?

Odpowiedziałem, że pewno tak, ale to bez znaczenia, bo gość jest nie do rozpoznania.

Powiedziałem im, że wśród wielu towarzyszyły, których nie da się zapamiętać, jego zapamiętać najtrudniej, dlatego jest najważniejszy.

Pogratulowałem Lusiowi simki i wyszedłem, gdyż miałem do załatwienia coś, co uwierało mnie mocniej niż ich.

Ulica Szopena i dochodząca do niej Szkolna to w S. enklawy spokoju i eleganckiej zasobności. A jeśli trafił się tam przypadkiem niedostatek, to zakamuflowany urodą ogrodów i pięknych domów zbudowanych na początku wieku przez burżuazję z Breslau.

W jednym z nich mieszkał Sławek Ziegler z matką bibliotekarką i ojcem ortopedą, którego miejsce w sanatorium MSW zajęła niedawno prześliczna narzeczona Franza Gireja, niemająca o ortopedii pojęcia. Od czasu choroby mało kto do Sławka zaglądał, lecz, jak pamiętam, w szkole opowiadano, że drzwi otwierała młodziutka służąca w śnieżnobiałym fartuszk, pod którym nigdy nie miała majtek.

Tego surowego, bezśnieżnego wieczoru – po Nowym Roku zrobiło się zimno, a grudniowe deszcze skuł mróz – drzwi otworzył ojciec Sławka zwykle lodowato uprzejmy i przez to nielubiany. Złagodniał, jak to się dzieje z gburami nauczonymi pokory przez nieszczęście.

Powiedziałem, że przychodzę na chwilę, że nazywam się Jan Ruczaj i oddaję dług sprzed lat.

– Wiem, jak się pan nazywa – rzekł Ziegler smutno – ale Sławka nie ma.

– Proszę mu to oddać. – Podałem książkę obłożoną w szary, szorstki papier, jakim chroniliśmy przed zniszczeniem podręczniki i zeszyty w szkole podstawowej.

Doktor Ziegler zapytał, co to jest, odpowiedziałem, że *Śniadanie u Tiffany'ego*, które pożyczyłem od Sławka i mi przepadło.

Doktor powiedział, że Sławek rozglądał się za tą książką kilkakrotnie, a ja odrzekłem, że już nie będzie musiał, jak wróci.

– Sławek nie wróci. – Ziegler, miałem wrażenie, zasłuchał się w smutku. – Chyba pan rozumie, czemu się nie pożegnał. Nie wstąpi pan na chwilę?

Nie rozumiałem, ale powiedziałem, że rozumiem. Gdy przy bramie obejrzałem się za siebie, na końcu bukszpanowej alejki zobaczyłem zasobny, elegancki dom wyznaczony do upadku i jego właściciela patrzącego za mną jak za synem.

W świetle pozapalanych ulicznych lamp poczułem na twarzy pierwsze tej zimy drobinki

śniegu. Nic nie wisiało w zimnym powietrzu, ale miałem wrażenie zmiany na niekorzyść.

Pomyślałem, że doktor Ziegler, wyniosły, antypatyczny buc biegły w ortopedii, chciał mnie przestrzec przed doświadczeniem, jakiemu nie można sprostać, gdyż zanurza w nikczemności. Że bez ociągania powinienem zrobić to co jego syn, nawet jeżeli żądło nie ku nam jest skierowane.

Nic więc nie wisiało w powietrzu, zimne było i czyste, lecz za rogiem przyczaiła się zmiana.



To wyglądało jak nadmiernie wyostrzona fotografia zrobiona bez litości dla modela, jak kadr filmowy przedstawiający bezsilność wobec wrogiej przewagi.

Otwarty rok temu klub w centrum J. pysznił się niemal nieograniczoną przestrzenią usianą głębokimi fotelami, które można było przestawiać wedle uznania i potrzeb. Na trzech białych ścianach, bo czwarta była panoramiczną szybą, trwał nieustanny wernisaż obrazów lokalnych malarzy, których dzieła lepsze i gorsze przepychały się między sobą, zagłuszając świadomość własnej nietrwałości.

Organizowano tu kilka razy w miesiącu spotkania z pisarzami, aktorami, wpływowymi dziennikarzami, medalistami olimpijskimi.

Na parterze w nie mniejszej samoobsługowej księgarni Hugon Trener nabywał tych swoich Cortazarów, Borgesów, Fuentesów, nową powieść francuską i nieprzytomnie lansowanych Serbochorwatów.

W klubie było ciepło, dyskretnie, pachniało dobrą kawą z monumentalnego ekspresu, a kroki, gdy szło się do bufetu po napoje, kanapki lub pączki, tłumiła gruba na trzy palce wykładzina dywanowa.

Jeżeli Szpenderowicz był autorem tego cywilizacyjnego przedsięwzięcia, jakim niejedno miasto wojewódzkie mogłoby się pochwalić, to pomysł kapitana, że musi zniknąć, robił wrażenie uporczywego dziecka, które, nie pojmując okoliczności, prze do swego.

Na spotkanie przyszedłem ze spóźnionym o miesiąc prezentem urodzinowym od naszego klanu – półtoralitrową butelką johnnie walkera ze srebrnym kubkiem i życzeniami wszelkiej pomyślności, które nie zabrzmiały dobrze.

Urodziny kapitana nie unieważniły zasady, że klan kontaktuje się z nim wyłącznie przeze mnie. Chłopakom wygodniej było nie znać kapitana osobiście, a on nie nawiązywał kontaktów, które mogłyby mu tylko zaszkodzić.

Tyle mej służby dla kapitana, mawiałem sobie w duchu, ile mej kontroli nad chłopakami. Pytania, jak czuję się w roli szefa, pośrednika, a czasami wręcz posłańca, nikt sobie nie stawiał.

– Jak? – zapytałem, wciągając w nozdrza zapach kawy, od którego nie wymyślono niczego przyjemniejszego.

– Normalnie – odpowiedział kapitan.

– To znaczy?

– Powinien mieć wypadek.

– Jaki wypadek, kapitanie?

– Samochodowy.

Dochodziło południe. Za olbrzymią szybą tworzącą od góry do dołu jedną ze ścian budynku biało było i pochmurno. Pochyleni nad pożyczoną dla niepoznaki szachownicą, słyszeliśmy ekspres i stłumioną przez odległość rozmowę kilku osób.

Powiedziałem kapitanowi, że jest mi przykro, lecz nie udało nam się zdobyć opowiadań, o które prosił, i staram się sprowadzić je z Krakowa, ale on jakby o nich zapomniał.

Błysk słońca przedarł się na moment przez zimowe, niskie chmury i oświetlił twarz kapitana. Postarzała się. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy na posterunku w S., nie wyglądał na trzydzieści lat, teraz nikt przytomny nie dałby mu mniej niż pięćdziesiąt. Co go tak wyczerpało, zastanawiałem się w duchu.

Gdy powiadomił mnie, że nic nie może zrobić dla Wasyla Horanina, bo przeniesiono go do aresztu we Wrocławiu, zrobił na mnie wrażenie lekko oszołomionego po lewym prostym. Dzisiaj to był ktoś, kto zainkasował prawy hak z półobrotu. Nikt go nie liczy, bo na ringu nie pojawił się jeszcze sędzia.

– To powinna być tatra. – Przesunął bezmyślnie skoczkiem po szachownicy. – Ona wie, jak się do tego zabrać, i chyba to lubi.

Pochyliłem się ku niemu, jakby nas nie dzielił niski, szeroki stół. Zapytałem szeptem, czując rozpierające od wewnątrz ciepło, po którym zawsze mogłem spodziewać się najgorszego:

– Jaka tatra, kapitanie?

Spojrzał na mnie i przybliżył mi swój plan. Strącił skoczkiem hetmana, widać było, że szachy są mu obce. Zamówiłem po dwa pączki, kapitan nie tknął swoich, zjadłem cztery i na chwilę zrobiło mi się niedobrze.

Na ulicy kapitan zawiadomił mnie, że nie ma już szofera, a od tygodnia auta, więc skorzysta z jakiejś taksówki.

Powiedziałem, że to się akurat dobrze składa, bo taksówkarza ma przed sobą i że zawiozę go, gdzie sobie życzy, jeżeli tylko nie będzie przeszkadzało mu zimno w mojej pobiedzie. Machnął ręką i rzekł, że skorzysta z tramwaju. Zlikwidowano je rok temu, przypomniałem mu jedną z pierwszych decyzji Szpenderowicza, podjętą w ramach likwidacji pruskiego dziedzictwa cywilizacyjnego na Ziemiach Odzyskanych.

– Coś musi jeździć – odezwał się cicho i nie żegnając się, ruszył przed siebie ulicą, która nie prowadziła do żadnej z dwóch linii autobusowych ani postoju taksówek, tylko wyprowadzała z zaniedbanego centrum w stronę peryferii za rzeką obstawionych strasznymi budynkami z wielkiej płyty.

– Wypadek?! – wrzasnął Tosiek Buchalter, gdy, umówieni nazajutrz w kawiarni

Marysienka, rozważaliśmy przyszłość.

Zamiast krzeseł proponowano tam gościom trzydziestocentymetrowe puffy, od których po kwadransie bolał kręgosłup, a stoły były tylko kilka centymetrów wyższe, więc ludzie, nawet tak niewysocy jak ja, siedzieli z kolanami pod brodą.

– Jaki, kurwa, wypadek?

– Komunikacyjny – odpowiedziałem szeptem. – Szpenderowicz raz w tygodniu zwalnia szofera, bo ten robi korespondencyjną maturę na Żeromskiego i ma tam konsultacje. Wtedy prowadzi sam, a nie ma wprawy. W Alejach Słowackiego ludzie kapitana przestawią znak pierwszeństwa na Krótką. Szpenderowicz wjedzie na skrzyżowanie, nic o tym nie wiedząc, i zderzy się z ciężarową tatrą, która w tym układzie nie złamie przepisu.

– Tatra? Czemu tatra? Jaka, kurwa, tatra? – Tosiek też przeszedł na szept, w którym nie miał wprawy, więc ledwo go można było zrozumieć.

– Bo auto, jakim wożą Szpenderowicza, to wołga, a z nią żartów nie ma. Ciężarówka, która ją zmiażdży, musi mieć swoją masę i impet.

– Taki jest plan kapitana? – zapytał Belmondo, który się roztył na łatwym, warsztatowym chlebie i przestał przypominać gwiazdora.

Odpowiedziałem, że nie byłbym w porządku, gdybym im go nie przedstawił. Sprawy z tygodnia na tydzień miały się gorzej. Chłopcy rozumieli więc, że nie można pozostawić ich własnemu biegowi, lecz nie mieli pomysłu na zmianę.

Nie przekonywałem ich, że plan, z jakim do nich przyszedłem, jest dobry, tylko że jest, póki co, jedyny. Że nie zahartowaliśmy się w zmaganiach z męczącą codziennością i niczego nie przejdziemy suchą stopą.

W istocie zapowiadało się jeszcze gorzej. Agentka komisju spod Arkad w J. odmówiła przyjęcia pięćdziesięciu zamówionych włoskich płaszczy ortalionowych, upierając się, że wyszły z mody i nawet przecenionych nikt nie kupi, że może reflektować na połowę tylko ze względu na miłe wspomnienia dotychczasowej współpracy.

Luś Ornitolog cierpliwie ją przekonywał, że umowa była inna i że nie ma pomysłu na dwadzieścia pięć, jakie mu pozostaną, na co z zaplecza wypadł narzeczony agentki, zawsze uprzedzająco grzeczny, i krzyknął, że jak się nie wie, co z czym zrobić, zawsze pozostaje własna dupa, w której można to ukryć. Spór zszedł tak nisko, że Funio, nienadużywający nigdy siły, musiał młodemu człowiekowi przyłożyć.

– Nie mogłem spokojnie słuchać obelg tego alfonsa i patrzeć się, jak Luś je łyka jedną za drugą – żalił się nam na stoku narciarskim pod Szreniem.

Tydzień później Hirek Deptacz poskarżył się, że na postoju pod Savoyem wjechał przed niego młody palant, od miesiąca na taryfie w zile, który był przedtem karawanem, i na

uwagę, że powinien nauczyć się taksówkarskich zasad, odpowiedział bezczelnie, że ta nauka marnie mu idzie, co właśnie widać.

A do Henia Fantomasa zaczęli się zgłaszać pacjenci, którym powyrywał nie te zęby, co trzeba, choć dotychczas godzili się z ryzykiem związanym ze szkołą stomatologiczną, jaką reprezentował.

Przestaliśmy też odwiedzać Zdrojową, bo Olo Knur znów kazał sobie płacić za podawane potrawy, nie byliśmy już jego szacownymi gośćmi, nasza obecność przestała czynić mu zaszczyt, a rachunki, które nam przynosili coraz bezczelniejsi kelnerzy, znów wzbogacano o przyjemności, jakich podczas obiadu lub kolacji nie zazналиśmy.

– Co to za pomysł? – zapytał Belmondo, pochylając się ku mnie. – Co to za pomysł z tą tatrą?

Odrzekłem, że rozmawiamy o tym od kwadransa.

– Prowadzisz nasz warsztat samochodowy i nawalasz ze wszystkim. – Na tym cholernym pufie chwiejącym się na wszystkie strony czułem się niezręcznie z papierosem.

– Ale twoi klienci byli zadowoleni. Musiałeś zauważyć, że już nie są.

– Od pewnego czasu – zgodził się Belmondo.

– Bo od pewnego czasu mamy kłopoty. Kapitan próbuje im zaradzić, bo ma w tym swój interes. Uzależnił nas od siebie. Czeka na rewanż.

Patrzyliśmy bezradnie, coraz bardziej zniechęceni, a bez chęci nie ma czynu. Czyn to nie była nasza specjalność. Wszystko, tylko nie czyn.





Nic nie miałem do tego nierozpoznawalnego gościa. W przeciwieństwie do dozorca placu, nocnego portiera ani mnie, ani mych bliskich nie zranił chamstwem.

Nie był emisariuszem hołoty żadnej odwetu za urojone krzywdy. Nie anektował przestrzeni wokół nas na swoje nikczemności i nie przypatrywał się z satysfakcją naszym lękom przed barbarzyństwem.

Nie zamęczał na śmierć koni w górach przy zrywce drzewa ani innych istot, które od niego zależały.

Choć podejrzewałem go o wiarę w postęp, należał najpewniej do hałastry dostrzegającej w każdej zmianie jutrzeńkę ziszczających się nadziei; wyobrażałem go sobie w służbie chybionym ideałom, gdy nakazał w S. i okolicy wyciąć wszystkie stare drzewa, by miejscowość nie wyglądała jak duża wieś, w pogardzie miałem jego awangardowy teatr, orkiestrę symfoniczną, muzeum, klub księgarza, stadion sportowy z tartanem, międzynarodowe festiwale i konkursy, przemądrzałą gazetę, cały optymizm w wersji aktywnej, zadzierzystej, zaczepnej, to trudno było o przyczynę, dla której miałbym go znienawidzić poza tym, że stanął nam na drodze.

Mimo to następnego wieczoru podjechałem pod plac i zza metalowego parkanu przypatrywałem się upadkowi tatry sprawiającej wrażenie rezerwuaru części zamiennych.

W świetle mdłych jarzeniówek nie było w niej śladu aroganckiej dumy, jaką zniechęcała do siebie szoferów i onieśmiała mechaników.

– Trzeba coś? – zapytał młody portier przez płot.

Skinąłem głową.

– Jedna czy dwie od razu, żeby nie fatygować się na darmo?

– Jedna starczy.

Podał mi przez parkan flaszkę żytniej. Zaczął rozglądać się za resztą, gdyż pracował na opinię uczciwego detalisty i nawet milicja nie mogła się go nachwalić.

– Tatra odpala?

– Która?

– Niech pan nie szuka – uspokoiłem go i wskazałem ciężarówkę wciśniętą między kuźnię a nową myjnię.

Rozłożył ręce.

– Zanedbaliście auto – rzekłem z pretensją. – Jak tak można? Robiłem tu kiedyś

w biurze, a po wojsku na warsztacie.

– Osobiście nie znam, ale słyszałem.

– Jak tak można?

– Nie moja rzecz, proszę pana. Ja tu tylko dozoruję.

– Co jej było brak?

– Nie moja rzecz.

Poczułem tchórzliwą ulgę.

Tatra morderczyni nie była już zdolna do żadnych zadań. Czasy, kiedy zabiła brygadzystę Romanowskiego, a potem Benia Wajszczyka, minęły. Rozbroiła ją starość. Było mi jej żal, bo w końcu mało kto zrobił dla mnie tyle co ona.

Miała złą duszę, lecz dzięki niej wyręczyła mnie w próbie stanowczości, przed którą bym się cofnął. Ostatniej upalnej nocy 1963 roku zdałem się na nią jak każdy tchórz, a ona zrobiła, co było do zrobienia. Maltretowałem ją bezsensownymi, porannymi manewrami na placu, upokarzając ponad jej winy. W końcu miała na sumieniu tylko jedną zagadkową śmierć.

Dowiozła mnie bezpiecznie z czterema tonami świerkowej dłuźycy do tartaku, a wcześniej, w oczach Julii Neider, uczyniła mężczyzną, który nie cofa się przed egzaminem z honoru.

Byłem jej dłużnikiem i nie miałem pomysłu na rewanż, a fakt, że poczułem ulgę, tylko pogłębiał poczucie winy. Nie czułem się z tym dobrze. W ogóle nie czułem się dobrze. Zaczęły się dni dające mi do zrozumienia, że życie nie ma zamiaru wyceniać mnie ponad moją wartość.

\*

Kilkanaście godzin wcześniej, w południe, zobaczyłem Olę Hnatiuk przy bezużytecznym już wahadle na wzgórzu cmentarnym. Przystanek zlikwidowano, remiza straszyla, grabieże zrobiły swoje. Na bocznicach stały tramwaje z przetrąconymi pantografami.

Ola wyglądała znowu tak jak lata temu, gdy zobaczyłem ją w tym samym miejscu w za dużym swetrze, wymiętej, plisowanej spódnicy i pończochach w prążki, zaniedbaną, mizerną, przygaszoną i tak ładną, że serce się do niej rwało.

Zatrzymałem auto i zaprosiłem ją do środka. Odmówiła ruchem głowy, zajęta myślami, które mogłem odgadnąć: nikt i nic mi nie wystarcza, co mam z wami począć?

– Tramwaje już tu nie jeżdżą, Olu – rzekłem, nie ukrywając nadziei na porozumienie. – Od roku.

Wzruszyła ramionami.

– Zawiozę cię, gdzie zechcesz.

– Na Piekarską, do siebie?

– Do siebie nie mogę, ale poza tym, gdzie zechcesz.

Uśmiechnęła się szelmowsko, jak zawsze, gdy zamierzała wyciąć jakiś numer.

– Jest problem.

– Właśnie widzę.

Zamknęła oczy. Uśmiech czmychnął. Miałem wrażenie, że chce odkryć przede mną skrawek swojej tajemnicy. Gotów byłem wszystko zrozumieć, zasłużyłem na jej szczerość. Kto lepszy mógłby się jej trafić w to lutowe południe, gdy na chwilę przestało padać.

W ogóle kto lepszy mógłby się jej trafić na życie dobre, złe, egzotyczne, pospolite, bogate albo biedne?

Zasługiwałem na coś więcej niż szelmowski uśmiech i żart, nawet jeśli już nie łączyła ze mną żadnych planów.

– Zlałam się.

– Co takiego, Olu?

– Zlałam się przed chwilą, frajerze – z zamszowej torebki, wymiętej nie mniej niż ona sama, wyjęła papierosa luzem – w majtki, nie widać?

Wypić mogła dużo, znacznie więcej niż ja. Nie było tego po niej widać, trzymała się prosto, mówiła jasno lub milkła, nie bladła ani się nie czerwieniła, a potem nagle zapadała w sen tak głęboki, jakby umarła. Waliła się gdzie popadnie: na stół, podłogę, łóżko, trawę – i świat dawał jej spokój. Lecz tego lutowego południa na owiewanym zimnym wiatrem wzgórz cmentarnym alkohol przestał być jej sługą.

Nic zresztą jej nie sprzyjało. Mijały nas ciężarówki bryzgające śnieżną breją i paskudne, prostokątne autobusy, do których naród nigdy się nie mieścił i zawsze jego połowa pozostawała na przystankach.

Ola nagle wstała z ławki, odwróciła się bez słowa plecami, przeszła ryzykownie ulicę i zniknęła między wrakami tramwajów.

Pomyślałem, że nie znam nikogo chodzącego tak zwinnie, że zwróciłem na to uwagę dwadzieścia lat temu, gdy ustawiono nas w ostatniej parze na szkolnym dziedzińcu, że nawet Julia nie ruszała się tak lekko i że w kobiecej rywalizacji na wdzięk między uczennicą a niewiele od niej starszą nauczycielką chodziło też o to, gdy się nawzajem podpatrywały.

– A jak miałoby być – warknął Belmonto, rozpierając się za mahoniowym biurkiem wyłożonym czeczotką czy czymś w tym rodzaju i spoglądając na mnie jak na kolejnego klienta. – Ciężarówka niejeżdżona od pięciu lat to złom. Co ci zresztą będę tłumaczył.

Póki co, tylko my dwaj poczuliśmy ulgę, zwolnieni od zadania wymyślonego przez kapitana.

– Z tą kraksą to w ogóle jakaś bzdura – ciągnął Belmondo. – Mam koniak, spróbujesz?

Z szuflady biurka wyjął zgrabną butelkę pliski i kryształowe szklanki. W pakamerze zapachniało wiosną i Bałkanami. Przez wewnętrzne okno widać było halę napraw z kilkoma porozdziawianymi osobówkami, przy których nikt nic nie robił.

– Ale Szpenderowicz powinien zniknąć. – Usiadłem na wyściełanym skórą pięknym krześle; pakamerę urządzono bogato. – Nie pociągniemy przy nim. To widać.

– Szpenderowicz? – zapytał Belmondo, jakby wcześniej o nim nie słyszał.

– A kto?

Belmondo uciekł wzrokiem.

– Kogo miałeś na myśli, Gruby?

Pokręcił z niedowierzaniem głową, wskazał szklanki i pliskę.

– Wystygnie, Jasiu.

– Kogo miałeś na myśli, Gruby, gdy zapytałeś: Szpenderowicz? O czym nie wiem?

Czemu nikt u ciebie nie pracuje? Gdzie są mechanicy? Na co my się, kurwa, wszyscy składamy?

– Pora śniadaniowa.

– Ile?

– Ile trzeba. Nie pień się. Zapytałem o Szpenderowicza, bo nie mogę zapamiętać nazwiska tego palanta.

Podszedłem do wypucowanych okien oddzielających pakamerę od hali napraw.

– Zapytałeś o Szpenderowicza, jakbyśmy dwa dni temu nie gadali o nim przez godzinę w Marysieńce. Co ty kombinujesz?

– Co mam kombinować, Jasiu? Jak to na warsztacie: alternator, przewody, uszczelka głowicy, hamulce, wycieki oleju, sam robiłeś, to wiesz. Nic nie kombinuję i z nikim. Nie czepiaj się słów. Mam kłopoty, klienci mnie nachodzą. Po co nalałem ci bułgara, skoro nie pijesz. Co to za pogarda?



Obawa raczej niż pogarda. Chłopcy stali się niepewni. Przestraszeni krwawym pomysłem kapitana, na swój sposób uczciwi i przewidywalni, powściągliwie korzystający ze swych przywilejów, jeżeli brać pod uwagę bezkarność, jaką im zagwarantowano, niezmordowani w smakowaniu urody życia, zblatowani z przyjemnościami, na jakie trzy lata temu nie bez oporów dali się namówić, szukali winnego niespodziewanej zmiany.

Ale jednocześnie chcieli zachować status miejscowej szlachty poddanej władzy jakiegokolwiek suwerena. Bo wiedzieli, że żyć, jak żyli, mogą tylko dzięki czyjejs przychylności.

Przychylność kapitana niebezpiecznie staniała.

Stawiając sprawy bez sentymentów, miałem od jakiegoś czasu podejrzenia, że postawiliby na Szpenderowicza przeciw kapitanowi, by funkcjonować, jak funkcjonowali lub tylko wyłgać się od kłopotów sunących jeden za drugim w coraz dokuczliwszej postaci.

Heniovi Fantomasowi zarekwirowano P70, deprymująco rachityczny wschodniemiecki dwutakt z tektury. Identycznie potraktowano jego najnowocześniejszy w powiecie, a pewno i województwie, fotel dentystyczny z pełnym oprzyrządowaniem. Tadziovi Karemu przyłożono domiar z rygorem natychmiastowej wykonalności, przekraczający kilkakrotnie wartość jego nie byle jakiej stolarni. Hirkowi Deptaczowi zawieszono uprawnienia do przewozu ludzi, a Funio był po pierwszym przesłuchaniu prokuratorskim w związku ze swoją renomą amanta wśród co atrakcyjniejszych uczennic, o czym od dawna wiedziała okolica, gdyż dziewczęta nie były dyskretne. Tosiek Buchalter zmagął się z kontrolami wszelkich możliwych służb, a Lusia Ornitologa zaaresztowano za handel złotem w zakładzie zegarmistrzowskim. Franz Girej, Hugon Trener i Belmondo osaczani byli przez nieudomówienia, które niczego dobrego nie wróżyły.

Byłem jedyny, którego nie dotknęła żadna szykana, żadna jej najdelikatniejsza zapowiedź, i klan, czułem to przez skórę, złożył to na karb specjalnych przywilejów, którymi się nie podzieliłem.

Nie miałem już wśród chłopaków kumpli, co najwyżej współpasażerów niesterownej krypy zmierzającej na skały.

Dlatego nie zdziwił mnie podniesiony głos Franza Gireja, gdy pod pomnikiem sarny w zdrojowym parku zimnego jak diabli dnia u schyłku lutego, w otoczeniu pięciu z klanu nastroszonych jak wrony, podawał w wątpliwość status kapitana, moje z nim związki,

niefortunną relację, jaka nas wszystkich związała w węzeł, który trzeba będzie przeciąć mieczem, bo na rozplątanie go brak już czasu.

Pytania poleciały jak pociski z automatu; serią i po skosie: Co to za człowiek? Skąd się wziął i po co? Gdzie urzęduje? Kto widział kiedykolwiek jego mundur, broń, dystynkcje? Kim są jego podwładni i przełożeni? Kim on był, nim został kapitanem, i czemu, od kiedy go znamy, nie awansował? Gdzie jest jego rodzina, jakaś żona, przyjaciółka, kochanka? Gdzie są jego dzieci? Kim była jego matka, ojciec? Kto ich w okolicy znał, pamiętał, z czymkolwiek kojarzy? Jak wabi się jego pies, kot, papuga, a choćby biała mysz? Jak nazywa się miejscowość, ulica, dom, w którym się tak osamotnił? Kto to jest? Kto to właściwie jest? Kto to właściwie, kurwa, jest?

Franz Girej strzelił się dłońmi po udach w markowych dzinsach. Nosila go niebezpieczna, bo zabarwiona histerią, energia.

Chciałem mu odpowiedzieć, że kimś na tyle realnym, więc niebezpiecznym, że Szpenderowicz od tygodnia jeździ w asyście patrolu lotnej na emzetskach. Że bez tej asysty nie rusza się w mieście i poza nim na krok. Że na wiecu w Indeksie, zrelacjonowanym słowo po słowie przez „Głos Kotliny”, gdy ostrzegł wszystkie farbowane lisy przed ciężką ręką klasy robotniczej, która się z nimi porachuje, jeżeli nie zaprzestaną rojeń o rządzie dusz, tych czterech z motocyklowego patrolu stało za jego plecami.

Że kiedy tak prostacko pozbyto się z zespołu szkół ogólnokształcących w J. Rotenauera zakochanego w polskich romantykach, na którego otwarte lekcje przyjeżdżali inteligenci z sąsiednich powiatów, to dopilnowano, by odbyło się to podczas grypy kapitana.

Że jeżeli pytanie brzmi: kto to właściwie, kurwa, jest, odpowiedź może być jedna: ktoś, kto, kurwa, jeszcze nie przepadł.

– Ale już nam nie pasuje, Jasiu – odezwał się Hugon Trener, jakby czytał w moich myślach. – Nie jest już z nami ani my z nim. A skoro tak, to jest przeciwko. Nie stanie z boku i nie powie: kiwajcie się, chłopaki, beze mnie.

– Więc?

– Musisz nas zrozumieć. Chcę szusować swobodnie z Małej Kopy do Białego Jaru wzdłuż wyciągu, jak robiłem to zawsze od grudnia do końca kwietnia. Funio nie ogłosi z dnia na dzień paktu z jezuicką wstrzemięźliwością. Luś Ornitolog chce dalej nakręcać sprężynki w zegarkach, które mu ludzie znoszą, a Belmondo nie chce mieć na głowie klientów z wydumanymi pretensjami. Nie mówię, że było źle, ale kapitan próbuje wymusić ambicje, jakich nie mamy. Przyłączyłeś się z tym do niego, Jasiu. Nie było takiej umowy, że się przyłączysz.

– Co proponujesz, Hugon?

– A jak myślisz? – wrzasnął Franz Girej.



Był nieprzyjazny, histeryczny i agresywny. Gdyby chciał mi przyłożyć, nie miałbym szans na rewanz. Zrobiłem dwa kroki w tył i dałem mu do zrozumienia, że ma uszanować ten dystans. Rzekłem tak, by zapamiętali:

- Myślę, że nie jesteśmy już razem i że tego pożałujecie.
- Załatw sprawę z kapitanem – powiedział Hirek Deptacz – nim pożałujemy.
- To znaczy?

Nie musiałem pytać, lecz zapytałem, a oni nie musieli odpowiadać, ale odpowiedzieli. Już nie pamiętam, który – może Henio Fantomas, może Tosiek Buchalter, może Hugon, najpewniej nie Franz Girej, bo ten się gotował, tłumił złość, wodząc wzrokiem za wiewiórką, która się przypochebiała w sprawie orzeszka.

Dobrze znoszę zimno u progu wiosny w przeciwieństwie do zimna w listopadzie lub grudniu, a mimo to okutałem się w gruby angielski płaszcz z komisu sięgający poniżej kolan. Zamotałem też szczelnie wokół szyi wełniany szalik zrobiony przez babkę na moje dwudzieste szóste urodziny. Zwinąłem palce w pięść we włóczkowych rękawiczkach podarowanych mi rok temu przez Olę.

Stając w alejce biegnącej wzdłuż łazienek, zobaczyłem kapitana jeszcze wymizerowanego po grypie, jak pochylony przy oknie pobiedy mówił, że jutro o dziewiątej ma naradę. Nie wiem, czemu zapytałem gdzie, zamiast zapytać, w jakiej sprawie.

Odpowiedział, że w Wannsee.

- Przepraszam, kapitanie, nie dosłyszałem.
- W Wannsee, Ruczaj, i dobrze, że nie dosłyszałeś.

Poczułem, że zbezsilniał z samotności. Różne rzeczy wyczynia z nami samotność. Na ogół lepsze niż te, jakich się po niej spodziewamy. Przez lata w pokornej służbie była u kapitana. Ale widać i ona miała go już dość.



Na początku marca babka zapytała mnie, czy moja nauczycielka, Julia Neider, została zakonnicą.

Przeczytaliśmy kolejny fragment *Le Phénomène humain* de Chardina, babka coraz lepiej dawała sobie radę z tłumaczeniem głębokich, mądrych, budzących jej sprzeciw zdań, a ja dowiadywałem się nowych rzeczy o Julii lub tylko tak mi się zdawało.

Im bardziej zagłębialiśmy się w książkę, tym mniej niemożliwa wydawała mi się sytuacja, kiedy moja niegdyś piękna, teraz oszpecona nauczycielka poświęca się jakiejś szlachetnej idei w świecie dającym jej taką możliwość. Osaczona przez banał małej stabilizacji dała z niej nogę do Boga Omegi, by spełnić się w Chardinowskiej etyce dynamicznej i w imieniu Stwórcy wprowadzać w czyn Jego zamysły.

Pytanie babki mnie zaskoczyło. Julia obecna była w naszym domu od mego dzieciństwa jako byt dziwny, intrygujący, nieoswojony, więc egzotyczny. Babka nic nie wiedziała o moim spotkaniu z Julią sprzed pięciu lat ani o poświęceniu dla niej, lecz gdy zapytała o dzieło sławnego jezuita, powiedziałem, że znalazłem je w starej szkole w szufladzie, z której korzystała Julia, i że wybór tej wyklętej przez Święte Oficjum lektury, którego dokonała nauczycielka, mnie nie dziwi.

Opuszczony przez Olę i chłopaków, doświadczając coraz dokuczliwszej nielojalności ze strony kończącej swój żywot pobiedy, spędzałem teraz dużo czasu z babką, najczęściej milcząc. Ścigaliśmy się w czułości wobec psa Stopka, który przeżywał z nami swój najlepszy i ostatni czas. Dobrze nam też robiła wspólnota myśli i uczuć wobec tego, co za oknem. Przestaliśmy słuchać radia i rozmawiać o codzienności. Wycieczki w przeszłość były jednoczącym, obok papierosów, nałogiem. Dwór w Skrzyni nad Sanem stawał się moim pierwszym domem.

Zima przestała się panoszyć, a wiosna nie podjęła jeszcze żadnej decyzji, gdy za murem ewangelickiego kościoła w C. spotkałem Henia Fantomasa.

– Nie bierz tego tak do siebie – rzekł bez cienia szacunku, jakim mnie dotychczas darzył. – Znasz Franza, niewiele trzeba, by mu odbiło, ale z kapitanem miał rację. Musi zniknąć.

Wzruszyłem ramionami, omiatając spojrzeniem blanki kościoła przypominającego mi zawsze warownię, a nie świątynię z dobrym Panem Bogiem.

Henio Fantomas dodał z pretensją, jakby coś tu mogło ode mnie zależeć, że Tosiek Buchalter potraktowany został dyscyplinarką za wymyślone niedopatrzzenia, a grozi mu

też sankcja prokuratorska za nietrzymanie języka za zębami w sprawie tajemnicy służbowej. Funio z każdym przesłuchaniem ma się gorzej. Zatrzymano Hugona, który podczas swych desperackich zjazdów naruszył granicę państwa, jakby jej wcześniej regularnie nie naruszał, a Luś Ornitolog jak siedział, tak siedzi. Za Belmondem psy łążą krok w krok i tylko patrzeć, jak zaczną łązić i za Heniem.

– Nie możesz nas tak z tym zostawić. – Henio Fantomas rozejrzał się wokół i dodał szeptem: – Kapitan to niebezpieczeństwo. Zrób coś z tym. Na miłość boską, zrób coś z tym.

Gdy wracam do tych czasów po latach, to myślę, że chłopcy byli w porządku – lepszych w okolicy bym nie znalazł – ale nie miałem zamiaru nic dla nich robić, bo dostali dokładnie tyle, ile im się należało za fantazję, urodę, seksapil, zdrowie, młodość. Powinni byli to wiedzieć.

Przestali mnie obchodzić, bo co mieli do zrobienia, zrobili. Niczego więcej nie należało już po nich oczekiwać. Byli skończeni po trzech wspólnych, dobrych latach, w przeciwieństwie do Julii Neider, o której myślałem po pytaniu babki, czy została zakonnicą. Zapytałbym o to Szymona, lecz był gdzieś w świecie, Martę, ale po studiach medycznych przeniosła się w jakieś lasy pod zachodnią granicę wraz z mężem, Olę, która przepadła. Zapytałbym każdego, kogo Julia upoważniła do związków ze sobą. Nikogo takiego jednak w pobliżu nie było. Czy naprawdę?

– A gdybym pana przycisnął? – zapytał mnie pięć lat wcześniej kapitan na posterunku milicji w S., kiedy rozeszła się plotka o powrocie nauczycielki.

– A gdybym pana przycisnął? – odpowiedziałbym mu pytaniem teraz i wszędzie, kiedy prawdy o Julii zaledwie się domyślam.

Kapitan to już nie szara eminencja w służbie tyranii, którą zresztą pogardzał, a ja nie byłem już wasalem poddanym jego kaprysom. Role się jeszcze nie odwróciły, lecz się odwracały. Miałem anioła stróża, jego anioł stróż opuszczał.

Nie byle jacy goście liczyli, że go zabiję. Kto liczył na to, że kapitan zabije mnie?

Przez trzy tygodnie nie udzielałem się w powiecie jako taksówkarz. Najpierw ja byłem chory, potem moje auto. Nie wyzdrowieliśmy do końca, gdy ustawiłem się na postoju przed dworcem kolejowym w J. jako czwarty. Zacinał deszcz, który wreszcie pachniał wiosną.

Obok mnie usiadł kapitan. Po raz pierwszy obok, a nie z tyłu. Był jak odnowiony, jak wtedy, gdy odwrócił się do mnie od okna na posterunku w S. i zawiadomił o bezkarności.

Z pierwszej taksówki, ziła, który był kiedyś karawanem, wyskoczył młody człowiek z pretensją, ujrzał kapitana, zawahał się, stropił, pokrygował, wrócił do auta.

– Jedziemy, Ruczaj. – Kapitan uprzejmy był i pogodny.

Włączyłem motor; odezwał się niechętnie.



Kiedy ponad dwa lata wcześniej wymiotowałem tu śniadaniem, żółcią, a potem wstydem i upokorzeniem po niespodzianym haku człowieka ze złotym zębem w mój splot słoneczny, żeliwna furtka nie była zardzewiała, a posesja mniej zdziczała.

W wykuszowych oknach jednej z tych niepowtarzalnych willi, zyskujących na zaniedbaniu, stały bordowe do połowy zaciągnięte kotary, a dachu nie porastał mech.

Gdy weszliśmy do środka, kapitan zapytał, czy tu kiedykolwiek byłem, a ja odrzekłem, że nigdy. W nozdrza uderzył nas zapach wilgoci i zimna. Nie był to odór jak zazwyczaj, tylko woń wewnątrz, w jakich lubi zatrzymać się czas. I jeżeli sprzyja im jeszcze półmrok, nawet w jasne, letnie dni, to mamy wrażenie, że odwiedzamy miejsce z tajemnicami. Na piętro wspięliśmy się schodami, które skrzypiały, podobnie jak drewniana barierka.

– Ma pan coś dla mnie, Ruczaj? – zapytał kapitan, wprowadzając mnie do gabinetu z półkami bez książek. Było tu odrobinę mniej zimno niż w holu i korytarzu. – Nie jest mi pan potrzebny, poza tym, że przyjedzie pan jutro przed dziesiątą, by mnie stąd zabrać, ale skoro pan tu już wszedł, to proponuję szklanekę whisky bez lodu. Co pan na to?

Odpowiedziałem, że w zasadzie nie powinienem pić o tej porze, że nie wylazłem jeszcze z grypy, a on, że pora ani grypa nie mają tu nic do rzeczy, lecz jak uważam, i powtórnie zapytał, czy mam coś dla niego.

Podąłem mu spóźniony o kwartał urodzinowy prezent.

– Hemingway?

– Dostałem go kilkanaście dni temu z Krakowa i zabrałem do auta. Jakbym wiedział.

– Więc jednak pan nie zapomniał.

Rozłożyłem ręce. Ktoś szurnał meblem na dole, odwróciłem głowę do drzwi.

– Tym bardziej doceniam. Niech pan siada.

Poczułem przez skórzaną kurtkę szoferską chłód masywnego krzesła.

Kapitan zajął miejsce naprzeciwko. Między nami stało biurko.

– Stracił już wszystką nadzieję. – Kapitan uderzył palcem w jedną ze stron książki, którą otworzył na chybił trafił. – Nie chce walczyć. Zrozumiał, że to bez sensu.

– O kim mowa, kapitanie?

– Nie może już myśleć o niczym innym niż o śmierci. Żona go zagaduje, a on swoje.

– Kto, kapitanie?

– Harry.

– Ach tak, *Śniegi Kilimandżaro*.

– Lubię to opowiadanie. Bo jak koniec, to koniec. Można sobie co najwyżej to i tamto powspominać. Ale to już koniec.

– Przykro mi, kapitanie, ale...

– Nie ma już złudzeń. Bierze to na zimno. Co było, to było. – Kapitan wertował strony, nie patrząc na nie. – Wszystko wokół przyczajone, jak domniemywam, nie może doczekać się swego, jak ta hiena czy co tam żyje. Czas trzeba jakoś zabić, więc pogaduje z żoną o różnych podróżach, hotelach, miłościach, wojnach, korridach, ale to już śmierć. Ociąga się, lecz przyjdzie.

– Przykro mi, kapitanie, ale nie myślał pan chyba, że to zrobimy. To ze Szpenderowiczem. Nie myślał pan tak chyba?

– To jest właśnie kapitulacja, powiada kobieta, gdy prosi ją o następną whisky, jakby w kapitulacji było coś, czego powinniśmy się wstydzić.

– Powtórzyłem to chłopakom, słowo w słowo, żeby być wobec pana w porządku. Nawet słuchać nie chcieli.

– Nie mogę powiedzieć, żebym pamiętał wszystko. – Kapitan położył obok siebie pudełko belwederów – więc przeczytam sobie to raz jeszcze.

– Nawet słuchać nie chcieli. Nie ma wśród nas nikogo, kto by się do tego nadawał. Chłopcy mają kłopoty, ale to lepsze, niż gdyby spróbowali zrobić to, co pan zaplanował.

– Ma się rozumieć, Ruczaj. – Kapitan wyjął z pudełka stęchłego, zażółconego od wilgoci papierosa, który się do niczego nie nadawał. – Przeczytam też inne opowiadania, będzie na nie czas do jutra, ale zacznę od Harry'ego i jego śniegów.

– Wie pan, kapitanie, że nawet pojechałem na plac, by zerknąć na tatrę po brygadziście Romanowskim, ale tylko po to, by być wobec pana w porządku i powiedzieć chłopakom, że ten wóz to złom.

Kapitan nasłuchiwał jakichś stąpnięć na dole, jakby były próbą wspięcia się za nami na schody z trzeszczącą barierką. Odłożył książkę, z której wypadło kilka kartek i posypały się żółte drobinki kleju.

Nie pamiętam, dlaczego zamilkliśmy, ale siedzieliśmy naprzeciw siebie tak długo, aż deszcz przestał padać, nie bębnił już o blaszany parapet okna i nie spływał po szybach.

– Deszcz ustał – odezwałem się po długim milczeniu, jakby to miało związek z rozmową, której już nie prowadziliśmy.

Nie pamiętam też, co myślałem o przyczynie, dla której kapitan kazał się przywieźć do tej opustoszałej od lat willi na skraju miasta. Ale musiałem być kontent, że wychodzę, a kapitan zostaje, bo nie chciałbym za nic zamienić się z nim rolami.

Nie jestem przesadnie wrażliwy na te sprawy, lecz przez skórę czułem czyjąś wrogą obecność. Miałem wrażenie, że na parterze lodowatej willi poprzyczajały się dusze niegdyś



subtelne, niezłomne, odważne, skrzywdzone, upokorzone, a teraz już tylko wygłodniałe ścierwa zdeprawowane żądzą zemsty na kim popadnie.

Nie krajało mi się serce, byłem podejrzanie chłodny, jak wtedy, gdy przeczuwamy coś, czego jeszcze nie jesteśmy pewni. Zastanawiająco chłodny i nieczuły. Rzekłem twardo:

– To dobre opowiadanie w pańskiej sytuacji, te śniegi...

Ale nie wierzyłem, że kapitan zajrzy do książki, bo w tym wnętrzu nic nie sprzyjało lekturze.

Gdy wstałem z krzesła, kapitan zrobił to samo z niepotrzebnym pośpiechem.

Chciałem tylko odprowadzić pana do wejścia, rzekł lub tak mi się zdawało, a ja odpowiedziałem, że sobie poradzę.

Na jego twarzy pojawił się zawód i po raz pierwszy lęk.

Zamykając drzwi do gabinetu wytłumione pikowaną skórą, zrobiłem to dokładnie. Kapitan został w środku, bo na zewnątrz już nic dla niego nie było.

Gdy po latach wróciłem pamięcią do tego deszczowego, wiosennego dnia, to miałem wrażenie, że kapitan poddał mnie próbie lojalności, przed którą mój anioł stróż mnie przestrzegł. I że gdy zaryglowałem go w gabinecie, wystawiając na pastwę jakichś nierozpoznanych, spotworniałych duchów, postąpiłem bezwzględniej niż kiedykolwiek. I że będzie mnie to już do końca bolało.

– Ej ty, na wózku, podjedź do mnie! – krzyknąłem kwadrans potem do młodego inwalidy ze szczerbą po złotym zębie.

Wiecznie błotnisty zaułek z resztkami kocich łbów i czeluść wypatroszonych magazynów kolejowych były miejscem, do jakiego nie zaglądała nawet milicja.

Przepychając się wśród kilkunastu zбитych w gromadkę, zniszczonych nałogami mężczyzn bez wieku, wywołany podjechał do mnie. Uśmiechnął się tępo, czerwonosiny.

– Pamiętasz mnie? – zapytałem i nie czekając odpowiedzi, zawiadomiłem go, że zgodnie z umową sprzed dwóch lat dotyczącą raportów inwigilacyjnych informuję, że przed godziną zawiozłem pod wskazany przez niego adres kapitana, który tam pozostanie do godziny dziesiątej dnia następnego, jak przypuszczam, i że wcześniej nikogo tam nie zawoziłem ani nikogo stamtąd nie zabierałem.

– Królestwo za dychę, kierowniku – odezwał się człowiek z pustką po złotym zębie. Czuć go było moczem, denaturatem i dymem ognisk, przy których się grzał on i jemu podobni. Owładnięty jedną myślą, która znieczuliła lub przegnała pozostałe, powtórzył swą prośbę w jakimś stopniu dumny, bo niezależny.

Dałem mu stowę. Przyjął ją ze zdziwieniem, nie kojarząc mnie najpewniej z niczym, co by go łączyło z dobrymi latami, jakie mimo młodości miał już za sobą. Nie czułem się przejęty jego losem. Układ z sumieniem tego nie przewidywał.

Gdy ustawiłem się po raz drugi tego dnia na postoju przed dworcem kolejowym, poczułem, że znana mi fala gorąca, jaka zaczęła rozchodzić się we mnie od środka, nie wzięła się tym razem z lęku, tylko ze świadomości grzechu, z którego nie miałem zamiaru nikomu się wyświadczać.



Nie męczyła mnie ona dłużej niż do wieczora. To był obieg zamknięty, w którym nie ma miejsca dla człowieka ukaranego za chamstwo, przyznaję, zbyt surowo. To się nie zbilansowało.

Inna sprawa to kapitan. Jego pogrzeb odbył się pospiesznie, jakby wszyscy chcieli mieć to już za sobą.

Naprawdę przejęty tym wydarzeniem był proboszcz Żabka z S., któremu kapitan przez dekadę swego panowania nieźle nadokuczał. Ten introwertyczny, ascetyczny, małomówny kapłan, przypominający świętych z obrazów El Greca, siedł za trumną skupiony i smutny, z cichą, wewnętrzną modlitwą, która żadnego z wiernych nigdy nie interesowała, bo wymagania moralne, jakie stawiał ten pasterz swym owieczkom, tylko męczyły.

Każdy z pozostałych sześciu żałobników – pogrzeb odbywał się przed południem w dzień roboczy, w kwietniowej zadymce – miał powód, by z obrotu spraw być zadowolony, nie wyłączając mnie, gdyż kapitan ciążył już wszystkim.

Ludzie nie lubią mieć do czynienia z kimś, kto upada, bo w jego upadku jest niepewność co do własnego trwania. Winda ma jechać w górę lub w dół; taka, która stanęła między piętrami, niecierpliwi. W ludzkim stadzie nie ma miejsca na figurę, w jaką dwa kwartały temu zastygać zaczął kapitan.

Poza wszystkim wyglądało na to, że nikogo nie osierocił dosłownie i w przenośni. Odszedł, jak przyszedł, nie wiadomo dokąd i nie wiadomo skąd.

Swojej władzy z nikim nie uzgodnił, rzekł kadrowy Chyćka, gdy dowiedział się kilka dni po pogrzebie, że wyjeżdżam z S.

– To był, panie Janku, skoczek szachowy chodzący ruchem króla lub hetmana, a jak się zorientowano, że gra wbrew regułom, to już miał wszystkich w garści. Tym bardziej że władzy nikomu nie odebrał, tylko stworzył własną i przekonał resztę, że jest najwyższa. To był gość z biglem, panie Janku.

– Nawet wtedy, gdy się zabił – powiedziałem szeptem.

Kadrowy uśmiechnął się jak chiński mandaryn.

– Tak się zastrzelił, panie Janku, jak Wajszczyk umarł na udar serca.

– Wajszczyk?

– Dozorca placu, nocny portier, wozak, robił za pana czasów przy ciężarówkach.

– Być może, panie kadrowy.

– Leżał wywleczony na ulicę, jakby go coś tam przeciągnęło, bezwładny jak szmata, bez jednej całej kości, za to cały we krwi. Przyjechał kapitan, posterunkowy Rosiak i dwóch doktorów, jeden sądowy z J., a drugi nasz, Kowal.

– Ojciec Marty?

– Jaka konkluzja, doktorze Kowal, pyta ten z J., czy aby nie udar serca? – Kadrowy Chyćka przyłożył dłoń do piersi, jakby jemu to zagrażało. – Doktor Kowal miał wątpliwości, ale ten sądowy naoglądał się denatów w różnych stanach i wiedział, co podejrzewa. Doktor Kowal potwierdził na protokole, co było do potwierdzenia, a kapitan go zrugął, że mu za wolno idzie. O co mnie pan zapytał?

– O nic, panie kadrowy.

Staliśmy na pętli autobusowej w S. Obok na murku tekturowa walizka spięta paskiem od spodni – cały mój dobytek.

Zaczynał się maj. Rozglądałem się po S. zeszpeconym modernizacyjnym zapałem Szpenderowicza, plebejskim sznytem potworniejącym, gdy przyświecać zaczynają przyzwoite intencje i odzywa się jakaś tęsknota za kulturą.

Zmykaj i nie żałuj, zdawały się mówić do mnie te wylakierowane elewacje, poustawiane do pionu ogrodzenia, zalana tu i tam asfaltem bazaltowa kostka na wijącej się w górę ulicy.

Nadjechał jeden z tych paskudnych, rachitycznych autobusów, na które nie dało się patrzeć, z ogonem sinych spalin. Kierowca nie wyłączył silnika i rura wydechowa truła równo pozamykaną budynkami przestrzeń. Nie miałem sumienia zatrzymywać kadrowego w tych toksycznych oparach. Wyciągnąłem dłoń, odwzajemnił uścisk, zapytał od niechcienia na odchodne:

– Pamięta pan tę Neider?

– Kogo?

– Nauczycielkę?

– Jak przez mgłę, panie kadrowy, a czemu pan pyta?

– Bo teraz już wolno mi to powiedzieć.

– Co, panie kadrowy?

Chyćka przełożył kankę z mlekiem z ręki do ręki. Rozejrzał się ostrożnie wokół. Wydał mi się niewielki i szary jak wróbel.

– To była sprawka ich trzech. Kapitana, Wajszczyka i gnojka z domu dziecka w P.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– O tym, co zrobili nauczycielce. Wykombinował to kapitan. Gnojek z domu dziecka w P. ją wystawił, podprowadził i przytrzymał, a Wajszczyk chlasnął wyostrzonym na brzytwę bagnetem przez twarz. Gnojek dostał za to parę złotych i wstawił sobie złoty ząb.

Wajszczyk sam się zgłosił, by mieć przyjemność, a kapitan ulżył sobie za wszystkie upokorzenia, jakie miał za sobą i jakie mogły go jeszcze czekać. To była sprawka ich trzech.

Mawiamy sobie niekiedy, Boże miłosierny, tak niewiele dzieliło nas od niewiedzy, tak niewiele dzieliło nas od słów, jakich nie pragnęliśmy usłyszeć, słów, jakie nas zadrasnęły lub zraniły na lata.

Jedno nasze lub czyjeś zdanie więcej albo mniej, powiew wiatru, niespodziewany krzyk ptaka, płacz dziecka nieopodal zwracający naszą uwagę, jakaś niezręczność, jakieś głupstwo zupełne, a nasze życie płynie dalej niezatrute lub na odwrót, zatrute jadem i żaden czas już tego nie zmieni.

A ten mat, gdy Lasker zdecydował się zagrać czarnymi przeciw Capablance, to przypadek? – mogłem zapytać chwilę wcześniej, nim podałem Chyćce dłoń, a on gwałtownie by zaprzeczył i pobiegł za ruszającym autobusem, rozlewając mleko z kanki, by wykrzyknąć, że w tej partii przypadków nie było.

Zaczynał się maj. Niebo po jasnym poranku zaciągnęło się chmurami od gór, co oznaczało południe.

Zapytałem głucho: Dlaczego? Głucho odpowiedział mi kadrowy Chyćka: Bo nie była bez winy, jak to każda rewolucyjna bladź. Kapitan kochał się w niej, jak nikt w tej okolicy, a ona szydziła z jego miłości, jak to mają w zwyczaju rewolucyjne bladzie. Więc dostała na pożegnanie to, na co zasłużyła.

– Ale ja, panie Janku, wierz pan w to lub nie wierz, nie byłem za tym jak inni funkcyjni z organów. – Chyćka zakrył twarz chusteczką, bo faktycznie smród spalin z autobusu na jałowym biegu był nie do zniesienia. – To był już czas, kiedy kapitan przestał się z kimkolwiek liczyć. Już szedł po swoje. No, bądź pan zdrow. Odwiedzę kiedy pańską babkę, żeby jej się nie cknęło w samotności. Może w szachy zagramy.

Jeżeli kadrowy powiedział prawdę o bestialstwie nocnego portiera, człowieka ze złotym zębem i kapitana, to w prostokątnym pudle rzeźącego autobusu wiozącego mnie w nieznanie miałem prawo przeżywać własną patetyczność. I przeżywałem. I nie czułem bólu.



Szymon Borysewicz powtórzył raz jeszcze, że mamy kłopot, gdy na srebrnym wózku przywieziono nam sandacza w jarzynach i chłodne mozelskie. Powiedział to dramatyczniej niż za pierwszym razem, jakby ten kwadrans wyostrzył sytuację.

Ryba wyglądała nienaturalnie, jak napompowana powietrzem, a wszystkie jarzyny były bladioróżowe i to wystawne danie w nieprzyzwoicie drogiej stołecznej restauracji potwierdziło tylko moje wrażenie, że przebywam w przestrzeni, w której nic nie jest sobą.

Minęło południe. Sala, jeszcze przed chwilą pusta, zaczęła się powoli zapełniać, lecz gwar, póki co, nam nie przeszkadzał.

– Zostałeś ekspedientem? – zapytał Szymon ze współczuciem i wyższością, które próbował połączyć ze wspomnieniem odległej chłopięcej zażyłości. – Czemu nie taksówkarzem, skoro w S. tylko tym się zajmowałeś?

– Bo nie potrafiłem nauczyć się miasta – odpowiedziałem dumny z tej skazy. – Próbowałem, ale bez rezultatu. Nie znam go zresztą do dziś. Tak, Szymek, w Warszawie zostałem ekspedientem w salonie z telewizorami przy Puławskiej. Zajmowałem nowoczesne mieszkanie z bidetem w łazience, za trzy tysiące dolarów kupione od państwa wraz ze stałym stołecznym meldunkiem, ale pracowałem jako ekspedient szykanowany przez kierownika i innych ekspedientów za uporczywą nieznamość asortymentu, jaki mi powierzono. Rozumiesz, Szymek, nie miałem serca do tego zajęcia, nic a nic.

– Czemu go w takim razie nie zmieniłeś?

– Zmieniłem po pięciu latach.

– Na co?

Wyraźnie mu nie szło ukrywanie obojętności wobec moich warszawskich dziejów, a nie brało się to z jego natury, tylko z różnicy między nami podkreślonej jeszcze przez moją wychudzoną, przedwczesną, bezbronną starość, która Szymona, jak każdego wielkiego, zażywnego, odpowiednio wyścielonego sadłem mężczyznę, traktowała łaskawiej.

Machnąłem tylko ręką, ale Szymon powtórzył pytanie, jakby odpowiedź była mu potrzebna do planu, jaki miał na nasze spotkanie.

– Na usługi dla ludności, jeżeli to ma dla ciebie jakieś znaczenie. Zostałem współwłaścicielem dwuosobowej firmy zajmującej się remontami mieszkań. Malowanie ścian, stolarki, lakierowanie podłóg, szwedzkie żaluzje międzyokienne i takie tam różne. Po pięciu latach namysłu, podczas których nie zdarzyła mi się żadna przygoda, żadna kobieta, żadna przyjaźń, a nawet znajomość, żadna przyjemność, choć miałem do nich



sakramencki talent, zdecydowałem się odpowiedzieć na jeden z tych desperackich anonsów w „Życiu Warszawy”: zlecę na telefon. Trafiłem w dziesiątkę za pierwszym razem. Dogadaliśmy się. Pół roku później, już po ulokowaniu swojej babki w drugim pokoju, zacząłem mieć znowu pieniądze, szacunek do samego siebie, a przyjemności, zrazu nieśmiało, zaczęły się do mnie zalecać jeszcze niepewne mych możliwości. Zdarzyła się też kobieta. Jedna, dwie... Chryste Panie, Szymek, już nie pamiętam. Dostałem szwungu. Wróciliśmy z babką do szachów, wspomnień, Teilharda de Chardina i francuskiego. Zacząłem być sobą. W jakimś stopniu, ma się rozumieć, w jakimś stopniu.

– To pięknie – rzekł Szymon, jakby rozczarowany tym, co usłyszał, i zaraz potem odebrał piąty lub szósty telefon, a każda z rozmów, jakie prowadził, przypominała poprzednią.

Przypatrywałem się sali, kelnerom, klientom, którzy wydali mi się antypatyczni, czterem kolumnom obłożonym marmurem, które, miałem wrażenie, nie tyle podtrzymywały strop, ile z niego zwisały.

Poczułem po raz pierwszy to, co zapowiedział mi ranek. Zawrót głowy, ucisk za mostkiem, zdrętwiała lewą dłoń niemogącą utrzymać widelca, odruch wymiotny na samą myśl o papierosach i uczucie ulgi, gdy wyobraziłem sobie, że to wszystko nagle się skończy.

Poczułem pot na czole i domyślałem się trupiej bladości swej twarzy.

Zamarzyłem o rewolwerze, który mógłbym przyłożyć do skroni i pociągnąć za spust, jak zrobił to wiele lat temu kapitan zamknięty przeze mnie w lodowatym gabinecie tajemniczej willi i pozbawiony nadziei na cokolwiek.

Ten chłód stali na skroni, łaskawy chłód, przywoływałem zawsze w myślach, gdy samopoczucie fizyczne nie było po mej myśli.

Nie akceptowałem w sobie niczego, co narażałoby zadowolenie z cielesnej niezawodności na jakikolwiek uszczerbek. Ciało służyć mi powinno jak pies i w istocie tak to, poza przerwami na grypę, zatrucia lub kontuzje, wyglądało.

Dlatego to, co moi sześćdziesięciopięcioletni rówieśnicy odbieraliby jako przynależny pierwszej starości zespół przejściowych dysfunkcji, ja odbierałem jako próbę śmierci.

Szymon zakończył rozmowę, odłożył telefon, choć go nie wyłączył, i rzekł ze współczuciem dla siebie, które miałem podzielić, że, choć może się to wydać nieprawdopodobne, nigdy nie był sobą, bo życie wymuszało na nim obce mu role.

– Musiałem je przyjmować, masz pojęcie, stary, nie było wyjścia.

Skinąłem głową.

Ktoś obok zapalił marlboro. Po pięćdziesięciu latach wypalania dwóch paczek najmocniejszych papierosów bez filtra dziennie i nieopisanej radości, jaką mi

ofiarowały, bliski byłem omdlenia od sinego dymu przywianego strumieniem powietrza od wentylatora do naszego stołu. Poczułem krople potu na nosie, zebrane w strużki i spływające na górną wargę i ich słony smak na języku.

Wstyd mnie paraliżował. Powinienem wyjść do toalety, orzeźwić się wodą albo odetchnąć wilgotnym, grudniowym powietrzem na zewnątrz, lecz miałem wrażenie, że nie potrafię się podnieść od stołu, a jeżeli nawet mi się uda, to po kilku krokach zobaczę wirujące z szybkością neutronów plamki i runę na złoty karpety.

– Masz pojęcie, stary? – dobiegł mnie głos Szymona jak z nieba. – Nie uwierzysz, lecz na niczym mi tak nie zależało.

Znowu skinąłem głową. Nie miałem siły zapytać go o szczegóły.

– Zawsze marzyłem o tym – Szymon przetaił okulary – by być samotnym pisarzem klepiącym biedę.

– Z biedą już ci chyba nie wyjdzie, Szymek. – W żadnej z pięciu kieszeni marynarki nie znalazłem chustki do nosa. – Ale z pisaniem, gdybyś się pospieszył...

– Otóż to – westchnął Szymon. – Pamiętasz moje wypracowanie o Selimie Mirzy, za które wywołano mnie na szkolnym apelu i obdarowano książką. Pamiętasz, co to było? Zaprzeczyłem.

– Ja też nie – rzekł Szymon. – Ale wypracowanie było naprawdę niezłe, szczególnie ten kawałek o nieodwzajemnionej miłości Hani do Tatara. Zapodziało się gdzieś.

– Tyle lat... Marnie się poczułem, Szymek, mam chyba zawał.

Patrzył na mnie załzawionymi oczyma krótkowidza i nic nie widział. Jakbym siedział przed nim taki, jakiego mnie zapamiętał z ostatniego spotkania nad zielonym stawem niezapomnianego lata 1963 roku, gdy drobny, wygimnastykowany, opalony na złoto, zmysłowy i pospolity budziłem zazdrość wszystkich wielkostopych, dupiastych drażli, których nie można było zamknąć w żadnej formie, bo ich poobrastane sadłem ciała wylewały się ze wszystkiego, co próbowało je ogarnąć.

Wraz z uczuciem, że być może umieram, pojawiła się we mnie niechęć do wszystkiego, co mógłbym za sobą pozostawić, podzielona na ludzi, wrażenia, przedmioty.

W wyobraźni ożywały obrazy z przeszłości, do których też poczułem niechęć. Cała ich uroda, energia wydały mi się wątpliwe, niewarte wysiłku, jakiego wymagają od nas te ze wspomnień, do których zjeżdżamy windą.

Odezwałem się zniechęcony do swych słów:

– Jestem kolekcjonerem przyjemności, który, być może, został z niczym.

– Jakich przyjemności? – zapytał Szymon, idę o zakład, że ich nieciekaw.

– Takich, które oczekują od nas talentu.

Przytknąłem sobie do skroni dwie kostki lodu i poczułem, że pot na mej twarzy stygnie.

Jakiś łysy gość w dresie, adidasach i skórze, który przez kwadrans domagał się ostryg i reńskiego, przypatrywał mi się z agresywną pogardą od sąsiedniego, Bogu dzięki, dalekiego stołu.

– Lecz nie będziemy o nich rozmawiać?

– O przyjemnościach? W żadnym wypadku – powiedział rzeczowo Szymon. –

Przeciwnie, mamy kłopot i on jest powodem naszego spotkania.

– Kłopot? – zapytałem. – Daj spokój, Szymon, jaki my możemy mieć wspólny kłopot po czterdziestu pięciu latach rozłąki? Gdy tylko wstałem dzisiaj z łóżka po śnie, w którym ujrzałem Kongo, jeśli dobrze rozpoznałem, poczułem, że jest inaczej niż zwykle. Nie wiedziałem, że to śmierć. Skąd miałem wiedzieć? Więc jeżeli nawet życie wymyśliło nam jakiś wspólny kłopot, co mnie to obchodzi?

– Jak zobaczysz, co mam w teczce – Szymon nerwowo odchrząknął – zmienisz zdanie.

– A kiedy zobaczę?

– Jak usłyszę odpowiedź. – Od kilku minut przecierał okulary serwetką, wkładał je i zdejmował. – Czy tego lata, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, poszedłeś do starej szkoły i zastałeś tam Julię? To ważne. To bardzo ważne.

Uśmiechnąłem się bezradnie i rozłożyłem ręce w geście niewiedzy. Miałem wrażenie, że gdzieś z oddali słyszę któryś z czarnomorskich walców, jakie towarzyszyły mi zawsze w chwilach blasku.

Przyniesiono mi oszronioną coca-colę i następne kostki lodu. Mimo popołudnia grudzień nie zmieniał swego kolorytu i w tym przygnębiającym dniu nie było zmiany. Przez wysokie okna widać było żółtą od spalin mgłę.



To, co Szymon wyjął z teczki, było odpowiednio powiększoną, policyjną fotografią martwej, niemłodej kobiety z blizną od czoła do zuchwy na skos.

– To jest Julia Neider, zwana Ciętą. Pierwszy cyngiel organizacji Gladius, wykonującej krwawe zlecenia na rzecz Brigade Rosse i innych rewolucji. – Szymon już nie był zapoznanym kolegą z dzieciństwa, wątpliwym przyjacielem, uczestnikiem przygód, do których tak chętnie się wraca, tylko rzeczowym adwokatem zasługującym na renome, jaką się cieszył. – Zasztyletowana w okolicach Saluzzo przez komando sprowadzone w tym celu z południowej Francji, kiedy zdecydowała się opowiedzieć swą historię dziennikarzowi z „La Repubblica”. Po zabójstwie dziennikarz spietrał i porzucił planowany reportaż. Zdecydował się do niego wrócić po wielu latach, już na emeryturze, i tak trafił do mnie, a przeze mnie do ciebie i teraz obydwaj mamy kłopot, bo to jest Julia Neider.

– Po czym ją poznajesz? – zapytałem zdziwiony swoim spokojem, kiedy świat runął mi na łeb, bo to była niewątpliwie martwa Julia.

– Nic mi jej nie przypomina – odpowiedział Szymon, pochylając się nad zdjęciem, jak to bywa z krótkowidzami. – Nawet ta blizna, ale to jest nasza bogini, której żeśmy się zaparli. Ten stary, niedyskretny skurwieli wie o niej za dużo, by to nie była ona. Wie nawet o nas.

– O nas dwóch?

Szymon potwierdził.

– I o Marcie Kowal, i o Oli Hnatiuk. Wymienił wszystkie nazwiska.

– Skąd Julia miałaby się tam znaleźć?

– Wyszkolili ją, masz pojęcie, stary. Poddali praniu mózgu; ile ona miała wtedy lat? Wykorzystali i rozwinęli to, co w niej siedziało od urodzenia. Pamiętasz ją, to nie jest niemożliwe.

– Kto miałby to zrobić?

– No wiesz... co ci będę tłumaczył, nasi też się tym zajmowali.

– Brednia, Szymon.

– To jest Julia Neider, nasza wychowawczyni, nauczycielka, mentorka i bogini, której żeśmy się zaparli.

– Brednia! – powtórzyłem może za głośno, bo kilka osób zwróciło na mnie uwagę.

Błysnęło przez chwilę blade słońce. Pusta popielniczka zsunęła się ze stołu i potoczyła po złotym karpecie. Za ciemnym kelnerem poleciało przekleństwo rodem z innej restauracji.

Z niczym mnie już nic nie wiązało. Już nie było więc nikogo, kto mógłby mnie wspomnieć lub tylko o mnie przez chwilę pomyśleć?

Nagle poczułem się uwolniony od własnego ciężaru. Nie było we mnie smutku, z jakim obudziłem się dziś rano, ani lęku, jaki nie opuszczał mnie przez całe życie, tylko niechęć.

Podjąłem próbę przywołania współczucia dla Julii, lecz ogłuchnąć musiało ze szczętem. Zbliżył się do nas szef sali, zapytał, czy wszystko w porządku. W jak najlepszym, odpowiedział Szymon.

Odezwał się po dwóch, trzech minutach, podczas których powędrowałem daleko i bez celu.

– Wiesz, jak to było na tych włoskich uniwersytetach w Mediolanie, Padwie, Florencji. Gramsci, Marks, Negri, kilku klasyków, de Chardin, może już Derrida, może jeszcze Sartre, odwieczna walka klas, prawa ludu, usprawiedliwiony odwet, rewolucja i rewolucja... Gadanie od rana do wieczora w aulach, na korytarzach, w knajpach, pociągach, kawiarniach, na ulicy, po zamożnych na ogół domach, ale potem przychodził konkret, masz pojęcie, stary?

– Słucham?

– Konkret.

– Jaki konkret?

– Trzeba zabić Alberta Morawię.

Nie wiem, skąd wróciłem do tego stołu i po co, może po to, by poprosić kelnera o następną coca-colę z kostkami lodu.

– Co ty opowiadasz, Szymon – odezwałem się znów zajęty sobą. – Moravia żyje i ma się dobrze.

– Nie żyje.

– No to umarł we własnym łóżku.

– Nie błażnuj, podałem przykład.

– O co mnie posądzasz, Szymon? Jak mógłbym błażnować w dniu własnej śmierci? Jak nazywała się ta banda?

– Gladius.

– To ty błażnujesz. – Kelner z coca-colą i lodem się ociągał. – O co mnie posądzasz?

– O to, że masz kłopot taki jak ja, a może większy. Preferowali dziewczyny, dawały się łatwiej urobić i były sumienniejsze. Budziły mniej podejrzeń. Wchodziły w romanse i związki, oddawały przysługi. Ale bez lipy, żadnych wymyślonych legend. Jak granica, to granica. Gdzie, kiedy, przy czyjej pomocy? Miało być wiarygodnie, jak powiedział mi Volpi. Autentyk. Nieorganizowany przez mocodawców przerzut. Julia musiała poradzić sobie na trzech granicach bez papierów. Co wiesz o pierwszej?

– Granicy?

Szymon skinął głową. Jeżeli maślane oczy krótkowidza bez okularów mogą patrzeć bystro, to oczy Szymona tak właśnie patrzyły.

Odpowiedziałem cicho, że nic, co przywoływałoby na myśl kłopoty.

Podano mi następną coca-colę. Dobrze robiła na mdłości, w przeciwieństwie do mozelskiego. Gość w dresie, adidasach i skórze dostał swoje ostrzygi i przestał mi się bezczelnie przypatrywać. Pora lanczu minęła i sala pustoszała.

Zapytałem, kiedy francuskie komando zrobiło swoje.

– W listopadzie osiemdziesiątego roku – Szymon schował fotografię martwej Julii do teczki. – Tak mi powiedział Paolo Volpi, ten stary skurwiel, z powodu którego mamy kłopoty. Reportaż ma się ukazać w wiadomej polskiej gazecie. Wyobraź sobie, stary, te pytania w „Głosie Narodu” lub innej postfaszystowskiej szmacie: Czego senatora Borysewicza nauczyła Julia Neider, terrorystka z Gladiusa? Albo: Prosimy o więcej, panie mecenasie. Lub w którejś z tych rewolwerówek żyjących z ludzkiego wstydu: Autorytet moralny z Czerwonych Brygad? A jednak! Masz pojęcie, stary? Czujesz tę pogoń? Widzisz te sępy? Chryste Panie!

Nie współczułem mu ani, wstyd to przyznać, Julii, bo umierałem. Moje biedne serce musiało wreszcie gdzieś dobiec, bo wszystko wokół cichło, szarzało, traciło kontury, wsiąkało w tło. Potem pojawiło się światło, w którym ujrzałem północne zbocza Alp Nadmorskich, jakby to nie była już noc na pustym, górskim parkingu obok nieczynnej już oberży. Bezludzie o zapachu tamaryszku i gnijących liści i zdziwiona twarz Błagoje, gdy sięgnąłem pod fotel sfatygowanego opla, by wydobyć niezawodny belgijski vigneron kaliber 9 ze skróconą lufą, i moje zdziwienie, że nie czuję kontry, gdy posłałem dwie krótkie serie w dwóch różnych kierunkach.

A potem światło zgasło i usłyszałem przewracające się pode mną krzesło. A potem nie słyszałem już nic.





O mym życiu w wieku męskim, niezłym, od kiedy stałem się współwłaścicielem firmy remontującej mieszkania, decydowała próba odwzajemnienia bezwarunkowej miłości, jaką zostałem obdarowany przez dwie stare kobiety, z którymi upłynęło mi dzieciństwo i młodość.

Pełen rewanż nie był możliwy choćby dlatego, że ciotka Rina po roku niewyobrażalnych cierpień, których nie potrafiła już znosić dzielnie, odeszła.

W sprawie uczuć do babki – po śmierci psa Stopka opuściła S. i zamieszkała w mym warszawskim dwupokojowym mieszkaniu – nie potrafię powiedzieć nic więcej poza tym, że się starałem i że to zostało docenione.

Mądra, dobra, surowa babka, tak nie lubiąca wschodnich koncesji, na jakie chadzała ciotka Rina, pogodziła się z moją podszytą lękami, byle jaką naturą.

Obserwowała z uwagą, lecz bez tak często upokarzającej ostentacyjności, jak wirus narcyzmu przejęty po dzikich, wołyńskich Ruczajach, zmutowany pychą Skode znad Dźwiny, czyni mnie niezdolnym do poświęceń, których matką jest zawsze pokora.

W miarę upływu lat poświęcenia przychodziły mi z coraz większym trudem i tylko pod warunkiem, że brutalnie wymuszałem je na swej naturze.

Wyszedłem babce naprzeciw tak daleko, jak to było możliwe, a ona nieodmiennie czekała na mnie w miejscu, do którego nie potrafiłem dotrzeć, pełna zrozumienia dla mych starań.

Przypatrywaliśmy się sobie, zajęci szachami, wspólnymi lekturami, dzieciństwem babki w Skrzyni nad Sanem, w którym rozpanoszyłem się już na dobre, a nawet telewizją, bo od niej nie stroniliśmy.

To zaskakujące, jak wiele czasu spędzaliśmy razem i jak bardzo ten czas był dla mnie ważny. Toteż kiedy zimowego dnia trzydzieści dwa lata temu babki zabrakło, poczułem się opuszczony nie przez nią, lecz przez wszystkich. A opuszczony przez wszystkich stałem się wolny. A wolny, nie odważny, lecz wolny, gotów byłem na wiele.

Do Francji wyjechałem na zaproszenie mego kuzyna Alberta, z którego matką w Krakowie prowadziłem przez blisko trzy lata interesy walutowe legalizujące moje przychody. Kuzyn Albert zarobił na mnie nieco grosza i jego zaproszenie miało nas skwitować.

Gdy czekałem na francuską wizę, paszport dostałem w kwartał, Marta Kowal zawiadomiła mnie o śmierci Oli Hnatiuk. To był piękny czerwcowy dzień i moja radość

istnienia nie mogła zostać zepsuta żadnym cudzym nieszczęściem.

Gdy wracaliśmy w kilkanaście osób z cmentarza w S., Marta wzięła mnie pod rękę i powiedziała, że jej matka, jej jeszcze ciągle piękna matka, zaczęła farbować włosy. I że już na nic nie czeka.

– Wiesz, moja matka – rzekła pogodnie bardzo już zażywna – nie przygląda się już ładnym chłopcom. Łzy same napływają mi do oczu, gdy sobie pomyślę, że ona już tego nie robi. Nic jej nie brakowało przy moim ojcu poza szczęściem. Nie czuję wstydu, gdy przypomnę sobie telefon do ciebie sprzed kilkunastu lat, ale wolałabym, żebyś pamiętał, że był w sprawie plotki o powrocie Julii Neider, a nie w żadnej innej.

Pół godziny potem wróciłem na cmentarz sam i nad świeżą mogiłą Oli udało mi się nawet zapłakać. Lecz zewnętrzny był to tylko spazm: skurcz twarzy, drżenie pleców, kurczowo zaciśnięte dłonie, bo byłem już zaprzątnięty oczekiwaniem podróży i wszelkich przyjemności, jakich sobie nie odmówię, bo ich cena, jak to u mnie, nie będzie za wysoka.

Ola, która umarła, podobnie jak jej ojciec, z przepicia i została znaleziona w jednej z melin półnaga, brudna i bezzębna, w przeciwieństwie do babki od niczego mnie nie uwolniła, lecz świadomość, że pozostawiam ją w lepszym miejscu niż te, które ostatnio odwiedzała, sprawiła, że w moim płaczu nie było mroku, tylko melancholia, jaką mógłbym się żywić już do końca mych dni. Taka melancholia to też przyjemność.

Gdy blisko siedem lat wcześniej Ola nagle przepadła, odwiedziłem jej braci. Wyszedł do mnie młodszy – nieogolony, rozchełstany, cuchnący lakierem nitro, wypisz, wymaluj ich ojciec – i powiedział, że nie widział łajzy od miesiąca i ma nadzieję, że nie zobaczy.

Krnąbrny, arogancki, obnoszący się z chamstwem nie pozwalał sobie dotychczas na nieuprzejmość wobec mnie, ale to już był czas, gdy gwiazda kapitana bladła.

– Gdybyś ją jednak spotkał – rzekłem mu wtedy, nie ukrywając wyższości – to powiedz, że o nią pytałem.

Przypatrywałem się niemieckim pomnikom na grobach, surowym i szlachetnym w porównaniu z jarmarkiem, jaki bez nieśmiałości cechującej piękno zaczął się rozpierać na pofałdowanym cmentarzu odgrodzonym od żywych kamiennym murem z dwiema żeliwnymi bramami. Kilkusetletnie dęby, niepowalone jeszcze chyba tylko przez zaniedbanie, otaczały cmentarz cieniem. Chłonałem rozbielony błękit nieba, zielen roślin, zapach rozgrzanej w słońcu sosny i nic nie wyłączało mnie z rozkoszy istnienia, cokolwiek sądziłbym o jego sensie. Cokolwiek sądziłbym o bezmyślnym okrucieństwie, jakie nim kierowało i nieszczęściach innych.

Kadrowy Chyćka, bardzo już w latach posunięty, powiadomił mnie, że Wasyl Horanin został przedterminowo zwolniony z kryminału, by na wolności leczyć zaawansowaną gruźlicę.

Fabian Sulgowski, zwany na placu Sulgą, nie miał takiego szczęścia i podobnie jak wielu innych nie przeżył ciężkiego więzienia dla recydywistów w Wołowie.

Luś Ornitolog, najzewnętrniejszy w klanie, od lat wożony po aresztach całego województwa, nie mógł doczekać się wokandy za handel złotem w swoim zakładzie zegarmistrzowskim, a reszta chłopaków pozapadała się w mysie dziury z żonami, dziećmi, dostatkiem lub niedostatkiem. Skończyły się przygody, jakie stanowiły sens ich bytowania na wolności koncesjonowanej osobiście przez Szpenderowicza i jego pomocników.

Władza kapitana to była zabawa przy rządach tego szarego jak kwit na węgiel, niemożliwego do zapamiętania człowieka, który z rozległej kotliny zamkniętej z trzech stron starymi górami uczynił pole swego eksperymentu z pierdoloną kulturą na czele.

Miałem udział w nieszczęściach lub beznadziei każdej z przypomnianych przez Chyckę osób, lecz moja ekspiacja była bez szans w konfrontacji z potęgą przyjemności, która na opustoszałym już cmentarzu, nad świeżą mogiłą mej kochanki rwać zaczęła we mnie jak rzeka, zabierając mnie w świat.



I nic tej przyjemności nie stępiło. Ani upływający czas, powtarzalność krajobrazów, podobieństwo upału i chłodu, słońca i rzadkich deszczów, ani ten sam smak wina, zapach zitanów bez filtra i ich czarnego dymu, zlewające się w jedno kontury miast uczepionych nierzadko samych skał, do których, miało się wrażenie, prowadzi ciągle ta sama droga, ani ta sama nieuprzejmość kelnerów, cokolwiek by u nich zamówić i ile zapłacić.

Mojej przyjemności nie stępiła arogancja ludzi Śródziemnomorza w stosunku do przybyszów pragnących cieszyć się pięknem ich miast, pejzaży, ciepłem przyjaznych wód, rozkoszami stołu.

Chłonałem góry schodzące ku morzu na południu Francji i równiny Ligurii, pocztówkowe wzgórza Toskanii usiane zamieszkanymi i opuszczonymi willami, przepełnione plaże między Ankoną i Rawenną i bezludzia o godzinę jazdy w głąb kraju.

Zachwycałem się przejrzystym powietrzem Abruzzów, w których pojawiały się wilki i niedźwiedzie, a zimy były suche, z mrozem, na jakim się nie marznie.

Szwendałem się mym niezawodnym citroenem 2CV dyane po surowej Kalabrii, gdzie nic w tym czasie nie było na żarty, z żartami włącznie, bo wszystkiemu towarzyszyło przekonanie o nieuchronności cierpienia, które jeśli nas nie dotyka z wyroku losu, to należy go w tym wyręczyć.

Podziwiałem brudne miasta Apulii przekomarzającej się z Kalabrią o obyczaje i wyschnięty na wiór półwysep Salentyński, do którego już mało kto docierał, jak to z końcem świata bywa.

Objeżdżałem zniszczone, a potem opuszczone przez ludzi góry Sycylii, po których jeszcze tak niedawno przechadzały się złote gepardy.

Grzałem się w słońcu na rynkach miasteczek i chłodziłem w przedsionkach zawsze pustych kamiennych kościołów.

Węszyłem za królem Rogerem i jego normańskimi baronami, przysłuchiwałem się odgłosom ich zabaw, gdy zakuci w stalowe kokony dzielnie przeciwstawiali się południowemu słońcu, które ich bladości tak bardzo nie służyło.

Ryzykownie wypływałem w morza, nawet jeśli były chłodne i wzburzone, podwoziłem tu i tam co ponętniejsze turystki i wygrzewałem się z nimi na pustych jeszcze piaskach lub kamieniach.

Wspinałem się bezdrożami na wzgórza porośnięte makia, resztkami dębu korkowego lub niskimi, pokrzywionymi sosnami, które sosnami nie pachniały.

Stawałem się własnym widzem i świadkiem własnych przyjemności.

Na początku listopada, kiedy morze przestało do siebie dopuszczać, odgradzało się zimnem i złością, a ląd zapowiedział koniec przyjemności, które zależą od niego, wychudzony portfel zawiadomił mnie, że czas wracać do kraju lub rozejrzeć się za zajęciem chroniącym przed niewzruszonością zasady, że żyjesz, bo masz, a nie jesteś.

Jeden z moich klientów rozgląda się za szoferem, rzekł mój kuzyn Albert, gdy powiedziałem mu, że nie mam ochoty wracać tam, gdzie nic ani nikt na mnie nie czeka, że dwuosobowa firma remontująca mieszkania tylko skorzysta na mojej nieobecności, a odpicowane dwa pokoje w prestiżowym punkcie miasta, kupione od państwa za dolary, nie powinny jeszcze przynajmniej przez czas jakiś wejść w masę upadłościową mej moralności.

A co do arystokratycznego kuzyna Alberta, to po ćwierćwieczu wysługiwania się leniwym sędziom i niesumiennym adwokatom z kancelarii umeblowanych antykami i udekorowanych księgozbiorami, do których nikt nigdy nie zaglądał, zaskarbiania sobie względów klienteli skłonnej do wszelkich krętactw, zabiegania o rekomendacje ustne i pisemne, łaszenia się do wpływowych, zubożałych, starych rodzin, zaskarbiania sobie przy okazji przychylności białej, rosyjskiej emigracji bez których Langwedocja i Prowansja to byłyby gorsze strony, kuzyn Albert, już blisko pięćdziesięcioletni, złożył stosowne egzaminy, zdobył uprawnienia rejentalne i wszedł w skład ekskluzywnego klubu powierników cudzych łajdactw.

Nie miał jeszcze dostępu do bogaczy cumujących swe jachty w marinach Lazurowego Wybrzeża, ale przysługi wyświadczane Kimowi Sewastopolowi zapowiadały i taką możliwość.

– *Comment vont les affaires?* (Jak mają się sprawy?) – zapytał grzecznie niewysoki, suchy mężczyzna bez wieku. Emanował odwagą, wręcz brawurą i jakby ostrzegał, że nie cofnie się przed ich użyciem nawet dla zabawy.

Za sobą miał straszne życie i nikt nie musiał mnie o tym informować.

Gdy pół godziny później opuściliśmy dom Rosjanina w Antibes, kuzyn Albert powiedział, że nie było takiej sowieckiej tury, której jego klient nie byłby najznaczniejszym zekiem, od kiedy jako osiemnastolatek przebił kilofem na wylot strażnika, bo ten go obraził.

– Rozgląda się za szoferem, który nie będzie mu przypominał tego, co przeszedł. Fakt, że bałtycka rodzina Skode zamieszła się w twoje życie, a ty w ich historię, nie będzie bez znaczenia dla decyzji, jaką w ciągu tygodnia mój klient podejmie. To mogłoby mu przysporzyć szacunku wśród członków Komitetu Aleksandryjskiego stawiającego Dom Wspomnień w Cannes. W końcu mieli związki towarzyskie i rodzinne ze Skode w latach, które wspomina się ze łzą w oku. Nie bez znaczenia jest też, jak sądzę, twoja prezencja

i samotność. Jak Kim Michajłycz się dowiedział, że nie masz nawet psa, to poczuł w tobie bratnią duszę, bo on też nie ma nikogo.

Z bratnią duszą to kuzyn Albert przesadził. Kim Sewastopol duszę przehandlował za instynkt, czego nawet nie próbował ukryć, gdy poprosił nas o spotkanie w jednej z oberż w połowie drogi między Antibes a Niceą.

Obsługiwano nas tam z atencją, jaka nie była częsta w tego rodzaju przybytkach, nawet jeżeli za pozory uprzejmości płaciło się niesamowite pieniądze.

Rosjanin wskazał nam miejsce naprzeciw siebie przy stole na sześć osób, a po aperitifie i przystawkach zapytał kuzyna Alberta, czy ten mógłby na chwilę zostawić nas samych.

Nie patrząc mi w oczy, zapytał, czemu nie mam żony, dzieci, rodziców, brata, siostry, przyjaciół, ojczyzny? Czego mi brak?

– Wiary – odpowiedziałem bez zastanowienia, a Kim Sewastopol odrzekł, że sam lepiej by tego nie ujął.

– Nie lubię ludzi ufnych – dodał, gdy kuzyn Albert dostał znak, że może do nas wrócić – bo im nie ufam.

Pracę rozpocząłem następnego dnia. Odpowiadałem za jaguara XJ6 i najkrótszą drogę do kasyna w Nicei, Nikona Guriewicza w Barcelonette i jego sześciorga dzieci, kochanki Celestine z zaniedbanych przedmieść Tuluzy, Komitetu Aleksandryjskiego w Cannes, a w przyszłości za długą podróż do andaluzyjskiej Rondy w jesiennym sezonie korrid, gdy fiestę na najstarszej arenie Hiszpanii zaszczyca sam król.

Po tygodniu wypłacono mi pensję; pomyślałem, że to pomyłka na niekorzyść mego chlebodawcy, lecz kuzyn Albert zapewnił, że Kim Michajłycz nie doszedłby do niczego we Francji, do której uciekł z ostatniego więziennego etapu przez Gruzję i Turcję, gdyby zdarzały mu się takie pomyłki.

– Poręczyłem nie tylko za twoją lojalność – rzekł, grożąc mi palcem – ale i inteligencją. Nie zawieź mnie.

Nie miałem zamiaru, skoro trafiła się robota, jakiej ze świecą szukać.

Przyglądałem się miejscom, do których by mnie nigdy nie wpuszczono. Poznawałem ludzi, jakich nie spotkałbym na żadnej ulicy, na żadnej plaży, w żadnym dostępnym mi hotelu lub domu. Wozilem mego chlebodawcę na wernisaże i obserwowałem tam sławy, do jakich nie zbliżali się nieporównanie ważniejsi ode mnie. Siedziano mnie przy osobnym stole w restauracjach i podawano jedzenie, jakiego nie znałem nawet ze słyszenia.

Nieustannie ocierałem się o rzeczywistość jak z bajki, której nie byłem nawet najpospolitszym elementem. Miałem prawo do najświetniejszych przedstawień.

Odpowiadała mi rola łaskawie traktowanego sługi i dystans, jaki dzielił mnie, Kima Sewastopola i jego przyjaciół, i uprzejma protekcjonalność, z jaką się do mnie zwracano,

i delikatność poleceń nieprzekraczających moich umiejętności.

Czułem się wśród tych kontentych, dobrze ubranych, niemłodych ludzi na swoim miejscu, nieustannie gotowy do świadczenia uprzejmości, jakie wynikają ze zdrowej relacji: pan i jego sługa, jeżeli tylko nie pojawia się w niej iskra buntu.

Z radością wyskakiwałem zza kierownicy brytyjczyka, by otworzyć tylne drzwi limuzyny memu chlebodawcy, i kłaniałem się w odpowiedzi na chłodne: wielkie dzięki, Jan Joanowicz.

Bez wstydu nadskakiwałem każdemu wyróżnionemu przez Kima Michajłyca gościowi jego domu, basenu, kortu tenisowego czy restauracji, do których lubił zapraszać.

Szczęśliwy byłem, gdy Zina Kamieńska dała mi nowego franka za podniesienie z ziemi upuszczonego bukietu rezed, a jej nieładna córka Olga do tego franka dołożyła uśmiech. A za takiego franka i za taki uśmiech włościanie powiatu kozielskiego guberni kałuskiej rozpruli ich ojcu i dziadkowi brzuch i skrępowali wnętrznościami, nim skonał w ogniu, do którego go wrzucili.

W takich chwilach zamyślałem się nad bestialstwem wszelkich rewolucji, wystąpień przeciw porządkowi, w którym ludzie nie są równi, i Julia Neider mi brzydła.

Ojcem najpotrzebniejszego nawet buntu jest grzech ciężki, powiedział Kim Michajłyca, jakby czytał w mych myślach, gdy wiozłem go na przedmieścia Tulonu.

I tak w ojczyźnie tych haniebnych haseł – wolność, równość, braterstwo – zazналиśmy wspólnej przyjemności ich zlekceważenia.

Pół roku potem, na podjeździe prowadzącym od ulicy do domu mego chlebodawcy, poznałem trzech młodych, posępnych mężczyzn, zbyt odświętnych jak na porę dnia i nie wiem, czy już wtedy poczułem ich bałkański odór – mieszaninę czosnku, baraniny, rakii i palonych bez opamiętania papierosów – lecz mam wrażenie, gdy wspominam to po latach, że od razu wiedziałem, że nasza znajomość nie skończy się dobrze.

Opatrzność lubi wysłać nam awizo o czynie, z jakim wolelibyśmy nie mieć nic wspólnego, bo taki ma kaprys.

Tomo, Błagoje i trzeci Jugol, który raz miał na imię Zdravko, innym razem Mirko albo Ratko, lub Svetozar, mieli za zadanie zostać moimi kumplami, bym nie czuł się samotny, bo Kim Sewastopol podzielał pogląd Nikona Guriewicza, że złe myśli podsuwa nam obecność innych, ale najgorsze – ich brak.

Nie znali zalet mizantropii, wśród których główna to niewinność.

A trzech młodzi Jugole mający zająć mnie sobą i, jak się po latach dowiedziałem, kontrolować, nie mieli pojęcia, że nic tak ludzi nie dzieli jak odmienność poglądów na drobiazg. I rok musiał minąć z okładem, nim to do nich dotarło.

To był rok udręki towarzyskiej tym absurdalniejszej, że wszystko inne w tych



uwodzicielskich stronach było przyjemnością. Wielką przyjemnością.



Nie wiem, dlaczego Jugole uwierzyli, że w miarę upływu dni, tygodni, miesięcy coraz mocniej wiąże nas kumpelska zażyłość. Może dlatego, że nie miałem odwagi, by dać im do zrozumienia, jak bardzo są mi obcy.

Błagoje prowadził knajpę, a właściwie garkuchnię dla swych rodaków w Hyères.

Złaziły się tam naprawdę paskudne typy. Mężczyźni po dwudziestce, a przed pięćdziesiątką – mający do siebie niekończące się pretensje o pieniądze, kobiety, byle jakie interesy – pod wieczór już zbratani alkoholami mieszanymi zawsze pół na pół z coca-colą, w odorze kebabów i mięs z rusztu, skowytali te swoje tęskne, pierwotne pieśni z okolic Kragujevaca, Prejliny i Gruży, lub oddawali się wspomnieniom, w których zawsze lała się krew ludzi albo zwierząt.

Wspominali góry, ogniska, męskie tańce, zarzynane wieprze lub barany, kobiety, którym nie folgowali w niczym, jakby to, co pozostawili za sobą i po sobie, jedni na zawsze, inni na jakiś czas, było mityczną kolebką ich męskiego honoru, a ostatecznie o wszystkim przesądzał nóż.

Bratali się ze mną na słowiańskiej niwie i nie mogli zrozumieć, czemu bywam taki sztywny, zablokowany, uprzejmy wobec dziwek, które mi przedstawiali. Jak to się dzieje, że nie znam żadnych pieśni i obywam się na co dzień bez noża; niby jak załatwiam swoje kłopoty, rozstrzygam spory z tymi spedałonymi żabojadami, skoro nie posługuję się narzędziem, które temu służy.

Szanowali marszałka Tite, od którego dali nogę, a każda ich kobieta była równie piękna jak Jovanka Broz, trochę mniej piękna lub, co nieczęste, jeszcze piękniejsza.

W ich opowieściach, a snuli je do znudzenia, pałętali się partyzanci z całą swoją bałkańską przebiegłością, jakby wojna jeszcze trwała.

Dumni byli z okrucieństw swych ojców lub starszych braci, tłumaczyli miłością do ojczyzny ich każde barbarzyństwo, jak nawleknięcie zdrajców na pal.

A ojczyzną była raz Jugosławia, innym razem Serbia, a czasami wieś i najbliższa okolica, zalesiony stok góry z mgłami atakującymi doliny, rwąca rzeka, kamienny most nad nią wygięty w łuk, cerkiew i miejscowa rakija, z którą nic nie mogło się równać.

Słuchałem ich opowieści, kiwałem głową, rozgrzeszałem z bestialstw, sekundowałem ich rozgrywkom z miejscowymi, wsłuchiwałem się w ich muzykę, stawałem z nimi w koło, paliłem z nimi białe kentysy, pall malle, rothmansy z filtrem lub bez, piłem brandy lub najtańsze koniaki, odmawiałem picia, gdy fale mdłości podpływały mi do gardła.

W kłębach dymu, jakiego nic nie rozwiewało, znosiłem z pokorą ich lekceważenie dla mej nieodporności, czerwieniłem się i bladłem, pociłem i stygłem z glejtem nienaruszalności wystawionym przez Kima Sewastopola, którego szanowali i przed którym czuli respekt.

Nic by mnie nie obroniło przed niespodziewanym kaprysem któregokolwiek z nich, biorących mnie za swego lub nie swego, bałkańską fantasmagorią po alkoholu, złym śnie, wspomnieniu dawnych zniewag. Nic nie obroniłoby mnie przed upokorzeniem, raną od noża lub nawet śmiercią, gdyby nie moje zajęcie przy starzejącym się królu urków z Antibes.

Lało jak z cebra, gdy w środku zimy przed kioskiem z gazetami w Nicei spotkałem kuzyna Alberta. Przypomniał mi, że mój pobyt we Francji od dwóch lat jest nielegalny, że nigdy nie miałem zgody na pracę i że ochrona Kima Michajłyca w tym względzie ma słabe punkty.

To było wczesne, szare popołudnie, wracałem od Toma Usticia, który kupił szrot pod Tulonem i zatrudnił w nim tego śmierzdziela Zdravka, Mirka lub Svetozara pierwszego do wszelkich biesiad, kobiet, awantur, lecz ostatniego, gdy rzecz wymagała sumienności.

To właśnie usiłowałem Tomowi powiedzieć, lecz natknąłem się na mur plemiennej solidarności, choć Tomo zdanie o Mirku, Zdravku czy Svetozarze miał jeszcze gorsze niż ja.

Kiedy odprowadzał mnie wśród hałd rdzewiejącego złomu i ujadających kundli ze schroniska, których naturalnie nie zamierzał poić ani karmić, przypomniał, że widzimy się na urodzinach jego ziomka z Kragujevaca w Hyères. Odpowiedziałem, obawiając się jego niezadowolenia, że omijam jego ziomka, knajpę w Hyères, Błagoje i wszystkich gości, jakich znam lub poznam, bo mam na oku interes z młodziutką, rudą jak marchewka Angieleczką z Darlington, która tydzień temu mnie sobie upodobała.

– Inna strefa, rozumiesz, Tomo?

Zamrugął, wypłuł peta, zbeształ psy.

Był lepszy od swych serbskich kompanów o jakieś gówniane, belgradzkie wyższe wykształcenie pedagogiczne i nieźle znał francuski.

– Odpoczynek od południa. Mgły, ciepła wilgoć, wzgórze i wrzosowiska – tłumaczyłem niedbale. – Łagodność obyczajów i lawendowe mydło, gdybyś był ciekaw szczegółów.

Mów jaśniej, poprosiłem Alberta, gdy ten powiadomił mnie przed kioskiem z gazetami, że Francja w przeciwieństwie do Anglii czy Stanów potrafi być wdzięczna, a ja nie jestem w sytuacji, którą można lekceważyć.

– Mów jaśniej, Albert – powtórzyłem ostro, bo byłem po rozmowie z Serbem i rozglądałem się za czymś, w co mógłbym rąbnąć.

- Chodzi o jedną z fotografii nad biurkiem w gabinecie naszego rosyjskiego przyjaciela.
- Nigdy w nim nie byłem, Albert. Jestem tylko szoferem.
- Ale w przeciwieństwie do mnie możesz być.

Zapytałem, czemu w przeciwieństwie. Odrzekł, że nie pracuje już dla Sewastopola, że co miał do zrobienia w jego francuskich sprawach, zrobił, że rozstali się w przyjaźni. Mnie też coś zawdzięczasz, dodał przyjaźnie.

Zapytałem, co to za fotografia.

Odpowiedział, że poznam ją bez trudu. Na pierwszym planie prefekt de Frenac ze swoją chudą żoną, obok bardzo ważna persona z ambicjami prezydenckimi i jeszcze chudsza żoną, a na drugim planie, w otoczeniu figur bez znaczenia, Kim Sewastopol. Bardzo ważna persona z planami na więcej nie może kompromitować się takim towarzystwem. Ktoś czegoś nie dopilnował, to się zdarza, ale to się naprawi. Fotografia jest sprzed trzech lat, swoje powisała.

– Jeżeli ją zwiniesz – kuzyn Albert był serdeczny jak zwykle – nasz rosyjski przyjaciel to zrozumie i przypomni sobie miejsce w szeregu. A dla ciebie, Jasiu, nie może być lepiej.

– O ile lepiej, Albert?

Rozłożył ręce i tak zamarł na chwilę w zimowym deszczu, a woda spływała mu z runda kapelusza na wełniany, długi płaszcz.

Poklepał mnie po ramieniu i rzekł ciepło:

– Nie mówię, że nie ma ryzyka, ale na twoim miejscu bym je podjął. Moja matka umarła tydzień temu w Krakowie. Wróciłem z pogrzebu.

– Mój Boże – westchnąłem i też go poklepałem.

Pachniał mokrą wełną. Oczy mu się zaszklily. Mógł sobie na to pozwolić. Byliśmy rodziną. W pięknym, obcym kraju byliśmy bezbronną, osamotnioną rodziną.



Ruda Angieleczka z Darlington opuściła wyspę bez pomysłu na kontynent, więc to, co jej podsunąłem – przygodę z mężczyzną, który, gdyby się uprzeć, mógłby być jej ojcem – przyjęła jak dziecko namówione na nieznaną zabawę.

Zjawiłem się w samą porę, by po tygodniu jej pobytu na Lazurowym Wybrzeżu wydostać ją z sideł dwóch genuieńczyków polujących bez skrupułów na rude Angieleczki z Darlington.

Straciłaby wszystko, z najcenniejszymi złudzeniami włącznie, gdyż nie miała na swą obronę nawet tej urody, która mężczyzn Południa, niezależnie od tego, jak bardzo są zepsuci, potrafi onieśmielić i w jakimś stopniu pozbawić przewag.

Można się było rozsmakować w jej naiwności, bladurudym zdrowiu nietkniętym przez żaden nałóg, w jej dobroci niepodejrzewającej złych intencji, w uśmiechu, jakim witała każdy brud, szalbierstwo, niegodziwy zamiar, a choćby dwuznaczność z podłością przyczajoną za plecami, w jej zadumie, gdy odpowiadała na każde najbanalniejsze nawet pytanie i w nieznaną wszystkim, co nie było hrabstwem Durham.

Warszawy nie kojarzyła z Polską, Polski z Europą, Europy z przestrzenią, o której cokolwiek miałyby sądzić obecnie lub w przyszłości.

Była drobna, pachnąca hotelowymi mydełkami, w nieustającym, bezsensownym ruchu, który jej nigdy nie wyczerpywał.

Oddała mi się po trzech dniach znajomości w niewielkim mieszkaniu, które wynajmowałem od ogrodnika Kima Sewastopola. Z mieszkania nie można było korzystać w ciągu dnia od maja do października z powodu okien wychodzących na południe i zachód.

Ale mieliśmy pogodny, chłodny styczeń – uporczywe deszcze przyszły później – więc spędziłem u mnie kilka godzin, oglądając telewizję, a potem, podczas wspólnej nocy, zdobyliśmy nowe doświadczenia. Ja dowiedziałem się, jak to jest przespać się z córką, a ona – czym jest mężczyzna niebędący bratem, ojcem lub znajomym.

Uśmiechała się rozczulająco i bez związku z moim miłosnym mozołem, kiedy w nią wszedłem trochę jak złodziej po łatwy łup, kiedy ją otworzyłem, i nie przestała się uśmiechać, kiedy ją opuściłem, a potem spoważniała i rzekła, że nie może zapomnieć pieska pozostawionego rodzicom w Darlington i że to jest złoty cocker-spaniel, i że często myśli, czy on myśli o niej.

Miała zwyczaj zadawać sobie pytania i sama na nie po zastanowieniu odpowiadać, z czym było mi po drodze, gdyż jej mowa ojczysta stawiała mi opór, którego nie potrafiłem

sforsować.

Zdumiewające, jak łatwo porozumiewałem się w językach, o jakich nie miałem pojęcia, i jak bardzo ta łatwość mnie zdeprawowała. Tylko angielski potraktował mnie serio, to znaczy postawił wymagania, których moje lenistwo nie zaakceptowało.

Toteż kiedy wspominam półtora roku naszej znajomości, nie wiem, w jakim języku prowadziliśmy rozmowy, lecz najmniej pewne, że był to angielski.

Moja mizantropia wykluczała wspólne mieszkanie dłużej niż tydzień. Uzależniłem się od samotności do tego stopnia, że nawet obecność osoby tak łatwej jak Fiona Rollins krępowała mnie na każdym kroku.

Rozglądałem się za miejscem, gdzie mógłbym ją urządzić, nie tracąc z oczu, ale uwalniając się od jej stałej obecności i wymyśliłem Nikona Guriewicza z Barcelonette, do którego dwa razy w miesiącu woziłem Kima Sewastopola.

Ten sześćdziesięcioletni ojciec kilkorga dzieci zajmujący kamienny dom na jednym ze wzgórz, utrzymywany przez mego chlebodawcę, bo nie zajmował się niczym, co przynosi pieniądze, syn drobnego właściciela ziemskiego z Witebszczyzny, pop chwilowo nieczynny, wydał mi się najodpowiedniejszym opiekunem dla mej młodziutkiej przyjaciółki.

Zapytałem Kima Michajłycza, co o tym sądzi, a on odrzekł, że pomysł dobry jak każdy inny i dodał coś o widoku za oknem, wietrze lub zachodzie słońca, po czym gniewnie zamilkł.

Moje sprawy były mu, jak wtedy uważałem, doskonale obojętne i tą obojętnością zamierzał mnie dotknąć, co nie było sprawiedliwe, bo zachowywałem się wobec niego bez zarzutu.

Lecz miesiąc po rozmowie o Fionie Rollins ubrał mnie w uniform szofera – marynarka z wyłogami, spodnie z lampasem, w jakich gustowali sowieccy marszałkowie, i czapka z daszkiem.

Wyglądałem jak konduktor i gdy Fiona mnie zobaczyła, nie usłyszałem w jej śmiechu angielskiej łagodności.

Zostałem nagle zdegradowany do roli sługi, którą mi podyktowano, więc zwolniony ze szlachetnej grzeczności, z jaką odnosiłem się do Kima Michajłycza i jego przyjaciół. Posłuszeństwo podwładnego nie obywa się bez cichej bezczelności.

Zawsze zastanawiała mnie purytańskość bandytów.

Fiona to dziecko jeszcze i żebym się tknął jej nie ważył.

– Co się stało, to się stało, więcej nie będzie! – wrzasnął z tylnej kanapy jaguara dobrze już pijany Kim Michajłycz. – A jak będzie, to po was. Nie żartuję, koriec!

Nigdy nie zrozumiałem, jak w tych ciemnych naturach niezdolnych do strzępu współczucia, gotowych na każde okrucieństwo wobec bliźnich, lęgåło się przekonanie



o grzechu nieobyczajności. Może dlatego, że był im niedostępny.

Nie próbowałem mu wytłumaczyć, że, jak wynika z papierów Angieleczki, skończyła szesnaście lat, bo byłaby dzieckiem, nawet gdyby miała dwadzieścia pięć.

Ruda Angieleczka z Darlington była dzieckiem z natury, a te zmieniają dopiero nieszczęścia. Ale ja dzieckiem nie byłem, toteż domyślałem się, że nagły wybuch gniewu tak zwykle opanowanego Kima Sewastopola wziął się też z zawodu, jaki mu sprawiłem swą niechęcią do Jugoli, których wyróżniał, jak wyróżnia się ostre psy. Od ich oddania potrafimy się czasami uzależnić.

Popełniłem też błąd, unieważniając na kilka godzin rolę sługi w dniu, w którym od Sahary zaczął wiać mistral.

– O kim pan mówi? – spytała Maria Rannik, gdy odstawiłem ją pod kilkupiętrową kamienicę w jednej ze złych, północnych dzielnic Marsylii.

– O mym panu, Kimie Michajłyczu.

– Jak miło to usłyszeć – rzekła Rannik, produkt we Francji nieznanany, połączenie kruchości porcelany, wiśniowej gałązeczki, lekkości ciotki Riny z solidną mądrością i dobrocią mej babki.

Może dlatego, przypatrując się z miejsca dla sług wernisazowi banalnych obrazków Olgi Kamińskiej, zatęskniłem za znajomą starością.

Bo nic we mnie przez te lata się nie zmieniło, ze starością innych czułem się dobrze.

Mój chlebodawca musiał to zauważyć, gdy zapytał, czy znalazłbym czas na odwiedzenie Marii Kiryłowny do domu.

– Niechże pan nie wierzy w te sentymenty! – krzyknęła Rannik, gdy ją zapytałem, czy bardzo cierpi z powodu emigracji. – Rosja, jaką pamiętam, to straszny kraj. Nie było w niej miłości ani współczucia, tylko histeria. Ci inteligenci, poznałam ich wielu, przewijali się przez dom mego ojca bez końca, nic nie lepsi. Gadanie, gadanie, niekończące się gadanie, a słowa w ich ustach potworniały. Poza tym to przecucie końca było nie do zniesienia. Wszystko było nie do zniesienia, a włościństwo to dno ludzkiego piekła. Proszę nie ufać sentymentom, bywają miłe przez chwilę. To wszystko. – Po czym dodała, że to jest powód, dla którego nie ma jej w Komitecie Aleksandryjskim z Cannes, bo Dom Wspomnień, jaki zamierzają postawić, nie będzie miał nic wspólnego z krajem, który opuściła.

Zapytałem ją wtedy o Rosję na północ od Moskwy, w stronę Kargopola, z leniwymi rzekami toczącymi zimne wody, bo krótkie lata nie potrafiły ich ogrzać, i o to, czy w połowie sierpnia nastaje tam już jesień.

– Innym razem – rzekła.

Była zwinna jak jaszczurka, zdumiewająco zręczna, jak na swoje siedemdziesiąt lat;

nieoczekiwana synteza mych najważniejszych kobiet. Jakby przybywały tu wszystkie cztery we wzruszającej mnie zawsze starości innych.

Przypomniałem Marii Rannik, że jestem szoferem Sewastopola i nie wypada mi się umawiać z jego gośćmi lub gośćmi jego przyjaciół, a ona odpowiedziała, że umówimy się w tajemnicy.

Mój pan widział jednak przez ścianę, słyszał przez ziemny wał, czuł przez skórę i kiedy jakiś czas potem odwiedziłem Marię Kiryłowną w jej ubogim mieszkaniu bez wygod, by opowiedzieć o tym, co usłyszałem od Julii, o sierpniowym popołudniu nad Swidem, i zapytać, czy to możliwe, a ona poradziła mi, bym zajął się czymś pogodniejszym, to Kim Sewastopol nie tylko znał odpowiedź, ale i pytanie.

Nie wiem, na ile moją suwerenność odebrał jako gest nieprzyjazny, ale jeżeli w ogóle zaświtało mu to w głowie, to popełnił błąd. Jego dusza rosyjskiego muzyka, jakim pozostał w istocie, więc najczarniejsza z czarnych, utkana była jak pajęczyna zimą.

Za sprawą tej duszy, bo wszystko inne było w nim nie do podważenia, godzić się musiał na mój ton wyższości i sarkazmu, od kiedy mnie umundurował. Godził się z nim, tak myślę, gdy po latach to wspominam, i kapitan w ostatnich chwilach naszej komitywy; pogodzić by się musiał każdy, komu przyszłoby do głowy, że ma nade mną władzę, bo mnie upokorzył.

Instynkt samozachowawczy wyznaczał granicę, za którą moje tchórzostwo ustępowało pysze i zdawało się na nią. A co do pogroźek pijanego Kima Michajłyicza podczas długiej jazdy do Rondy, to musiał uznać, że go poniosło.

Jeżeli ruda Angieleczka z Darlington opuściła wyspę bez pomysłu na kontynent, to po roku zaczęła ten pomysł w sobie odkrywać. Nie miała do tego szczególnego talentu, lecz od czego jest młodość.



Każdy, komu trafił się romans z nimfetką, lolitką, która weszła już nieco w lata, wie, jak połączyć dwie umiarkowane przyjemności – przyjemność posiadania pokornej córki z przyjemnością bycia z dojrzałą, przynajmniej fizycznie, obcą kobietą – w jedną dużą, i jak te dwie przyjemności złączone w jedną odpłacają starania i ryzyko z tym związane.

Każdy, komu trafił się romans z szesnastolatką, a niechby i siedemnastolatką, to wie, a jak nie wie, to jebał go pies i całą jego niewinność.

Kłopot polegał na tym, że moja przyjemność zaczęła tracić smak. Nikt mi jej nie odebrał, nawet Kim Sewastopol, który zdawał się nie pamiętać swych pijackich pogróżek, lecz nie pachniała już ona hotelowymi mydełkami, tylko zepsuciem, jakie Bóg wie gdzie znajdzie granicę.

Od czerwca do połowy września często bywaliśmy z Fioną na plażach, nie unikając tych pełnych turystów, i tam moje ciągle zwinne, łatwo opalające się ciało wyrównywało przewagę jej młodości, bo ciało miała gorsze.

O tyle gorsze, że bywały dni, kiedy miałem wrażenie, że to ja jestem młodszy.

Bładoruda z odcieniem żółci tu i tam widocznej w ostrym słońcu, obsypana piegami i wiotka na nieco starczy sposób, zakrywała się bez ustanku ręcznikiem, bawełnianą chustą lub sukienką, gdyż rozebrana nie była na pokaz.

Widać, że pochodziła z zamglonej, łagodnej, szarej Północy, gdzie ludzie opatulają się w niepowtarzalne wełny, tweedy, sztruksy, miękkie szale w szkocką kratę i to one stają się ich skórą.

Popołudniami chodziliśmy do kina, omijając Viscontich, Bergmanów, Fellinich, Buñuelów, bo Fiona się na nich nudziła, a potem umawialiśmy się na owoce morza lub wołowe steki, w których moja przyjaciółka bardzo zagustowała, choć z Anglii przybyła jako wegetarianka.

Gdy zabierałem ją do siebie, a działo się to wtedy, gdy przychodziła mi ochota na seks, to po miłosnym znoju czytałem jej fragmenty *Panien z Wilka*, jednej z kilku książek, które dosyć przypadkowo zabrałem z Polski, i Fiona nie mogła się nadziwić, że my coś z tych słów rozumiemy i że można się nimi porozumiewać, i że jest kraj, w którym mowa złożona z tych przedziwnych słów szeleści na każdym kroku i nie słyhać żadnej innej.

Objeżdżaliśmy okolicę, poza listopadem, grudniem i styczniem, moją niezmordowaną cytrynką i próbowałem nauczyć Fionę zachwyków nad widokami, jakie się za każdym zakrętem otwierały.

Lecz jej opór wobec wielu mych fascynacji, biorący się początkowo, jak sądziłem, z niewyrobienia, niedojrzałości czy wręcz głupoty, teraz wynikał też z postanowienia, by ich ze mną nie dzielić. Jakby ją ktoś do tego namówił.

Był ciepły, wręcz upalny listopadowy dzień, gdy wyszliśmy z kina w Antibes. Obejrzeliliśmy film z Charltonem Hestonem o zawaleniu się tamy w Los Angeles i rozglądaliśmy się za jakimiś stołami na powietrzu, przy których można by zjeść kolację, gdy Fiona powiedziała mi, że od niedawna jest przy nadziei.

– To znaczy? – zapytałem.

– Że będę miała dziecko – odrzekła, jak to ona, po namyśle i uśmiechnęła się z tak zniewalającym wdziękiem, jak wtedy, gdy ją poznałem.

– Ale nie chcesz go mieć?

– Nie, nie chcę.

Znaleźliśmy stolik pod wypłowiałą markizą, do którego podać nam mogli tylko napoje i przekąski. Leżały na nim zbrązowiałe liście platanów przywiane przez ciepły wiatr z nieodległego skweru.

– Będziemy musieli coś z tym zrobić – rzekłem nieprzekonany, że Fiona wie, o czym mówi. – Skąd pomysł, że jesteś w ciąży?

– Powiedziała mi Susan.

Wertowała obojętnie kartę.

– Kto to jest Susan?

– Moja kuzynka z Glasgow. Zna się na tym. Zadzwoiłam do niej. Powiedziałam, co i jak ze mną, a ona, że jestem przy nadziei, na początku.

– Będziemy musieli coś z tym zrobić.

Wzruszyła ramionami.

Powiedziałem, że nie mam ochoty na przekąski i że możemy wejść do środka albo spróbować gdzie indziej, lecz Fiona nie ruszyła się z miejsca, bawiąc się kruchym liściem. Odezwała się po dobrej chwili:

– To by się panu Kimowi nie spodobało.

– Sewastopolowi? A co on ma do tego?

Podszedł kelner. Odprawiłem go. Fiona uśmiechnęła się, jak rok temu.

– Bo to jego dziecko.

– Nie rozumiem.

– Przywoził go do Barcelonette ten pan, co jest jak szafa, innym autem niż to, jakie ty prowadzisz dla pana Kima. Pan Kim brał mnie na górę, zamykał drzwi, a wuj Nikon pilnował, by żadne z jego dzieci nam nie przeszkadzało. Zupełnie mi się to nie podobało.

– Niby co?

– To, co pan Kim ze mną robił. Ani to, co ty ze mną robisz. Nie lubię tego. Zrobiliście mi obydwaj dziecko, mimo że tego nie lubię. Gdyby ze mnie speszło, toby się to panu Kimowi nie spodobało, podobnie jak wujowi Nikonowi, który jest ich pastorem czy jak tam.

– Więc czyje ono, do cholery, jest?

– Urodzę je panu Kimowi, bo będzie miało lepiej. Nie lubię tego, co obydwaj ze mną robicie, ale kiedy oglądam w kinie, jak inni to robią, to myślę, że nie lubię tego, co powinnam lubić. Urodzę to dziecko panu Kimowi, bo będzie miało w życiu lepiej, niż gdybym urodziła je tobie. – Rozejrzała się obojętnie wokół i dodała cicho: – Tak myślę.

Chciałem wytłumaczyć temu jeszcze dziecku, że pan Kim jest rosyjskim bandytą, którego zawód polega na samotności. Że tacy ludzie nie wiążą się z nikim, gdyż unikają jak ognia wszystkiego, co mogłoby ich osłabić. Żyją dla własnych namiętności i wszystko, co stępiea zdolność odczuwania, niszczą.

Kim Sewastopol jest mężczyzną atrakcyjnym i gdyby chciał być ojcem, już by nim był. Usiłowałem wytłumaczyć Fionie, że jeśli takim jak on zdarza się obdarzyć kogoś strzępem uczucia, powiedzmy szacunku, to tylko mężczyzn równie samotnych jak oni, równie niezależnych, bo widzą ich moc i odporność na świat, które, zaatakowane, odpowiadają atakiem. Bo są niczym tygrysy w dżungli.

Chciałem ją przekonać, że nikt i nic nie skazało ich na taki byt, nawet straszna Rosja, w której upłynęła ich młodość i wiek męski, że to oni powybiali sobie wszystko, czym się cieszą, a w tym wyborze nie ma miejsca dla niej ani jej dziecka, nawet gdyby sobie sto razy dziennie powtarzała, że jest.

Chciałem jej powiedzieć, że jeżeli się jednak mylę, co jest tak prawdopodobne jak śnieg za chwilę, to Kim Sewastopol rozejrzałby się za matką swych dzieci w okolicach dalekich od Darlington w hrabstwie Durham, wśród kobiet, które nie są kruche, rude, piegowate, obojętne na otaczający je świat i zagapione nie wiadomo na co.

I chciałem jej powiedzieć jeszcze kilka innych rzeczy, lecz na takim poziomie ogólności nie łączył nas żaden język, a nawet gdyby był to pieprzony angielski, to moja przyjaciółka dzielona z Kimem Michajłyczem, od kiedy mnie umundurował, niewiele by zrozumiała.

Gdy kilka dni później odwoziłem mego chlebodawcę z posiedzenia Komitetu Aleksandryjskiego w Cannes, ten dał mi do zrozumienia, że nieumundurowany byłem tym, kim jestem teraz, jedną z jego ofiar, która może być traktowana po ludzku albo nie. A teraz, jeśli nie mam nic przeciwko temu, przejdziemy do konkretnego.

Mam przewieźć do Włoch przez granicę w Mentonie Toma Usticia i Błagoje Sumaka, zatrzymać się na rynku w Saluzzo, wejść do pizzerii Aurelia, zamówić carpaccio, pesto i tort morelowy, zjeść, nim Tomo i Błagoje załatwią co trzeba, zabrać ich i natychmiast wracać do Francji. Szczegóły do omówienia z Aleksym.

Kwartał wcześniej, nim zostałem umundurowany i, jakkolwiek na to patrzeć, zdradzony przez rudą Angieleczkę z Darlington, zapytałbym, co te dwa śmierdziele mają do załatwienia w Saluzzo i czemu mam być ich szoferem, ale wzrok mego chlebodawcy odradzał mi to pytanie.

Kim Michajłycz obserwował mnie teraz uważniej. Obserwował mnie uważniej, od kiedy mnie umundurował i zorientował się, że nie ma już do czynienia ze świadomym swych obowiązków i powinności sługą, wasalem oddanym mądrym suwerenowi, lecz z szoferem pierwszym z brzegu, któremu płaci najpewniej więcej, niż się należy.

Musiał dostrzec, jak na jednym z niebywale wystawnych październikowych przyjęć, które organizował na swych kortach, przywitałem się wylewnie z Borią Rannikiem, bratankiem Marii Kiriłłowny.

Boria był znakomitym architektem, kompanem od pokera w kasynach, wnukiem deputowanego do rosyjskiej Dumy z czasów Kiereńskiego i synem jednego z podkomendnych legendarnego Ławra Korniłowa, a więc obiektem towarzyskiego pożądania mego chlebodawcy tym intensywniejszego, że obiekt tego pożądania był na granicy osiągalności.

Sewastopola poważano, bo był zamożny, hojny, wpływowy i nienawidził Sowietów, nie do tego jednak stopnia, by sprowadzenie na bankiet Borii było jak strzelenie palcami. To jednak miało swoją cenę.

Kim Michajłycz przez cztery lata musiał pracować na to, co ja miałem, jak sądził, z rozdania. Mam wrażenie, że postanowił mi tego nie wybaczyć, gdy ostentacyjnie, pod jego boki, w mundurze, w którym przypominałem od pasa w dół radzieckiego marszałka, w górę – francuskiego konduktora, listonosza lub hotelowego portiera, poklepałem Borię po ramieniu, jakbym był mu równy, a może nawet lepszy.

Mój chlebodawca musiał zrozumieć, że nieumundurowany nigdy bym sobie na to nie pozwolił. W tej sytuacji moja odmowa zawiezienia go na jesienny sezon korrid do andaluzyjskiej Rondy wydawała się prostą konsekwencją wzajemnych wątpliwości.

Mój argument, że nie mam zamiaru oglądać tego barbarzyństwa nawet z udziałem Ordoneza i króla lub kogokolwiek z Burbonów, nie został przyjęty za dobrą monetę, tym bardziej że podczas dwóch poprzednich wypraw go nie użyłem. Z Kimem Sewastopolem do Rondy pojechał więc Marc Vernouille.

Ale tego wieczoru, w którym Sewastopol polecił mi wyprawę z Serbami do sąsiedniej Ligurii, mój konformizm podpowiedział pokorę.

Odezwałem się cicho:

– Rozkaz, Kim Michajłycz.

– Dziękuję, Jan Joanowicz – usłyszałem w odpowiedzi.

Bo brawura, odwaga i męstwo Kimowi Sewastopolowi też coś podpowiedziały.





Tak było tydzień później. Bo tego wieczoru, gdy Fiona poinformowała mnie, że jest przy nadziei niekoniecznie ze mną, i gdy odwiozłem ją do Barcelonette, w drodze powrotnej wstąpiłem do knajpy Błagoje w Hyères, jak zawsze pełnej, i zamówiłem kebab, żeberka cieleące z rusztu, sałatkę szopską i karafkę śliwownicy z Tuzli, która jechała bimbrem.

Rok minął od czasu, gdy byłem tu po raz ostatni, i miałem wrażenie, że cuchnie starym olejem jeszcze bardziej, a spory między swojakami są brutalniejsze.

Gdy czekałem na biały chleb nad stygnącym kebabem, usiadł naprzeciw mnie człowiek, którego zobaczyłem po raz pierwszy. Powiedział, że jest tym ziomkiem Toma Usticia z Kragujevaca, na którego urodziny nie przyszedłem, i że skoro już rozmawiamy, to chciałby wiedzieć, co do niego mam.

– A rozmawiamy? – zapytałem, rozglądając się za chlebem.

Uderzyło mnie jego podobieństwo do Benia Wajszczyka, dozorca placu w S. Jakby ten zmarłychwstał. Takie same małpie, długie ręce, sylwetka gnoma.

Kiedy mi się tak uważnie przypatrywał, jego twarz sprawiała wrażenie w połowie niezdolnej do wyrażania emocji, nieruchomej, złowieszczo martwej, jak to było z twarzą nocnego portiera, gdy wystawiał ją neurozom na pohybel.

Serb musiał zauważyć zapowiedź niepokoju, o jaki było u mnie tak łatwo, i sycił się przewagą nie tylko dlatego, że otaczali go krajanie, z kasety puszczono mecz Partizana Belgrad z Turkami, a w środku zapachniało nie tylko olejami, męskim potem i niepranymi skarpetami, lecz także wojną.

– Błago i Tomo opowiedzieli mi, co z ciebie za cudak i że warto cię poznać, choćby dla przestrogi przed takim losem. – Dmuchnął mi serbską machorką w twarz, a gdy dym się rozwiął, ujrzałem przed sobą samą pogardę. – Podobno drygu nie masz do bab, jakby ci stawał tylko na dzień zmarłych, i dlatego prowadzisz się z Angielką, której nie odróżni od chłopca. Błago i Tomo powiedzieli mi, że nie idzie ci też z rakiją i nożem, więc stronisz od wszystkiego, co cieszy gości takich jak oni, ich kumple i kumple ich kumpli i że to nie może się podobać bratu ruskiemu, u którego służysz.

Podszedł syn Błagoje z chlebem i postawił go przed nieznajomym. Sięgnąłem po kromkę, lecz w połowie stołu cofnąłem dłoń. Mój kebab stygł w kolejce do grzeczności.

– Błago i Tomo powiedzieli mi też, a Svetozar, którego już z nami nie ma, potwierdził, że wybierasz samotność przed kumplami – ciągnął niski, barczysty, nabity, szpakowaty góral, układając ruchomą połowę twarzy w wyraz zatroskania, przed jakim wiejemy. –

A jeżeli ich spotykasz, to tylko dlatego, że zdarza ci się nie wytrzymywać z samym sobą. Podobno gadasz do siebie, jak myślisz, że nikt cię nie widzi, i robisz miny, od jakich pęknąć można ze śmiechu. Serce masz miękkie i cofniesz się tam, gdzie nie cofnie się dziewczyna z naszych stron, a bierze się to u ciebie z cykora, nie z dobroci, bo twoja dobroć nie po drodze ma z odwagą. Muchy byś nie zabił, bo niemiła ci śmierć cudza, jakby była własna. Nie umiesz ich rozdzielić.

Partizan stracił bramkę i w knajpie rozległ się jęk zawodu i nienawiści. Błagoje zaklął szpetnie, podszedł do nas, klepnął mnie poufale w ramię i zaśmiał się, jak miał w zwyczaju, gdy mnie spotykał. Przetawił chleb na moją stronę i zaprosił gestem do jedzenia.

– Ale dusze serbskie przygarną każdego – powiedział ziomek z Kragujevaca, szukając we wzroku Błagoje potwierdzenia. – I zrobią miejsce obok siebie, nawet jak go brakuje, bo szczerzy my naród jak bracia Rosjanie, którym, jak umiesz, przecież służysz. Więc nie szczędź względów Partizanowi Belgrad, bo to kość z kości my. Wypij za powodzenie naszej roboty na obczyźnie rakii z Tuzli, z jaką nie może się mierzyć żadna inna, tak jakbyś został Tomem Usticiem, Błagoje Sumakiem albo Svetozarem, którego z nami już nie ma.

Wieczór i noc zeszły mi na toastach za pomyślność mych wszystkich kumpli z Bałkanów. O drugiej dołączył do nas Tomo Uścić. Nieznajomy przypominający dozorcę placu z S., jakby ten zmartwychwstał, zabawiał nas opowiadaniem o palowaniu ustaszowskiego generała na rynku we Frejlinie. Przed świtem rzygałem jak kot.

Gdy się ogarnąłem, a zajęło mi to jednak dwa pełne dni, zacząłem się zastanawiać, czym w istocie różnią się Jugole z garkuchni Błagoje Sumaka od mych kompanów z klanu Hemingwaya, oprócz lat, jakie ich dzielą, i doszedłem do przekonania, że wszystkim, absolutnie wszystkim, to znaczy niczym, co potrafiłbym wytłumaczyć jednym, opowiadając o drugich, i na odwrót.

A czym ja się od nich różnię? Na to pytanie nie znalazłem odpowiedzi podobnie jak pewności, gdy to, wspominam, czy to, co usłyszałem, zostało rzeczywiście wypowiedziane, czy tylko zobaczyłem to wszystko w oczach ziomka z Kragujevaca, z których jedno pełne było pogardy, a drugie troski.



Podróż do Saluzzo minęła nam dobrze. Na granicy w Mentonie było pusto. Liguria, a potem Piemont po Côte d'Azur wydały mi się bez charakteru.

Za Cuneo zaczęły się mgły. Dzień skłaniał do smutku. Tomo był zniechęcony, Błagoje próbował go ożywić, ale po półgodzinie dał spokój i Jugole zamilkli.

W opłu kadecie przygotowanym do podróży przez Aleksego, jednego z dwóch goryli Kima Sewastopola, rozpanoszył się kwaśny odór starych aut służących różnym użytkownikom. Każdy z nich pozostawił w środku swój zapach. Palono tu papierosy, jedzono kanapki, pito piwo, wino, coca-cole, najpewniej uprawiano seks, sprzątano po tym nieuważnie, jak to się dzieje, gdy wnętrza aut, mieszkań, domów, pozostawia się następnym.

Motor chodził jak traktor, kierownica miała luz na pół obrotu, pedał gazu wpadał pod podłogę, a hamulce rwały jak ból zęba.

Małorus Aleksy z zadem jak sagan, przypominający do złudzenia sowieckiego marszałka Rodiona Malinowskiego, bliski pięćdziesiątki, z którego usług Kim Michajłycz korzystał już niechętnie, powiedział mi, wręczając kluczyki i dokumenty, że pod moim siedzeniem leży przetarty, naładowany i odbezpieczony automat 9 milimetrów, stanowiący w istocie wyposażenie opla, nigdy zresztą nieużyty, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże i skoro zawsze tam był, niech zostanie.

Sprzeciwiłem się gwałtownie, przekonując Małorusa, że przy każdej kontroli jesteśmy ugotowani.

– Kontroli nie będzie – odpowiedział Aleksy, napierając na mnie potężnym ciałem, bo miał zwyczaj obnosić się ze zwalistością i demonstrować ją każdemu, kogo podejrzewał o niegotowość na swoje argumenty. – Nikt was nie skontroluje, jeśli uwiniecie się do wieczora. Tomo i Błagoje chcą, by automat był tam, gdzie jest, na wszelki wypadek. Mówię ci o tym, byś wiedział, na czym siedzisz, a poza tym nic ci do tego.

Nie lubiłem Aleksego w przeciwieństwie do drugiego goryla, Prowansalczyka Marca Vernouille'a, który był fizyczną antytezą Ukraińca i człowiekiem nienagannie wychowanym. Mój chlebodawca ufał mu bardziej i jeśli sytuacja wymagała, by był chroniony na serio, wybierał Francuza.

Zapytałem, czy Kim Michajłycz wie o automacie, i cofnąłem się o krok.

– To nie jest sprawa bossa. – Aleksy znów się do mnie zbliżył. – To sprawa Toma i Błagoje, a ty wiesz o niej tylko dlatego, że prowadzisz ten wóz.

Saluzzo było jak opustoszałe. Zaparkowaliśmy przed kościołem San Giovanni. Bez trudu znalazłem pizzerię, o której wspomniał mi Sewastopol. Błagoje wyskoczył z auta, Tomo się ociągał. Zeszli uliczką w dół wśród malowniczych, zaniedbanych domów i zniknęli za katedrą. Wszedłem do pizzerii, zamówiłem kawę, carpaccio, pesto i pieczywo.

Kim Sewastopol nie wtajemniczał mnie w interesy, a tym bardziej mnie do nich nie dopuszczał. Trzymał z dala od swoich spraw i raczej stwarzał możliwości zażywania piękna, jakim się otaczał, lecz nie miałem wątpliwości, że ceną tego piękna nie było inne piękno, jak w przypadku starych miejscowych rodzin, do których mego pana zawoziłem, tylko brud, gwałt, wiarołomstwo, nieustanne przekraczanie norm.

Wernisaże, premiery filmowe, opera, bankiety z zastępami pięknych, opalonych kobiet z całej Europy to były wydarzenia, w jakich uczestniczyliśmy jak złodzieje, którzy zwinęli zaproszenia.

Wygodny dom w Antibes – z ogrodem, basenem, kortem do tenisa, kręgielnią – błyszczał urodą, nad którą czuwało sześć osób najsumienniejsz, jak to możliwe, lecz jego fundamenty to była zaraza. Kim Sewastopol trzymał mnie od niej z daleka.

Podejrzanie, że po czterech latach mej nienagannej służby i po trzech z okładem przyjaznych relacji postanowił zaprowadzić mnie do podziemi, bym się dowiedział, czemu naprawdę służę, tylko z zazdrości o rudą Angieleczkę z Darlington lub łatwe kontakty, na które sam długo musiał pracować, to podejrzanie wydało mi się niedorzeczne, bo mój chlebobawca z całym swym groźnym i nikczemnym najpewniej życiem był ponad taki gówniarski rewanż.

Nie skłonił go też do tego żaden cudzy ani własny kaprys, bo Kim Michajłycz był na nie za twardy. Spowodowała to, myślałem, mieszając makaron z pomidorami i parmezanem, jakaś konieczność. Jakaś nieszczęsna konieczność.

Lecz po czym miałbym ją poznać i jak ocenić w konfrontacji z misją, jaką w Saluzzo wykonać mieli Jugole, których przywiozłem? Warunki jakiej kontrabandy mieli tu omówić? Jakie pieniądze oddać lub pewniej odebrać? Kim był dłużnik, którego mieli postraszyć? Komu przestrzelić kolana lub połamać palce? Co ze sobą przywieźli i co mieli zabrać?

I czemu tego zapuszczonego technicznie opla cuchnącego swymi pasażerami nie prowadził któryś z nich? W końcu na niewyszukane roboty, o których zdarzało im się czasami napomykać, nie woził ich żaden szofer.

Czego miałem być świadkiem i co miało z tego dla mnie wyniknąć?

Stawiałem sobie pytania szeptem, co zawsze wzbudzało zainteresowanie postronnych, jeżeli się zapominałem w miejscach publicznych.

Teraz zauważyłem, że przypatruje mi się starsze małżeństwo z rogu sali. Zamówili

espresso i chyba już by sobie poszli, gdybym ich nie zaciekawiał.

Po trzech kwadransach Jugole wrócili z torbami, z których wystawały: por, rzepa, szparagi. Zapytałem, czy byli na targu, a oni odpowiedzieli, że po to tu przyjechaliśmy. Warzywa poszły do bagażnika i ruszyliśmy z powrotem.

Listopadowy dzień się chylił ku wieczorowi, snuły się jesienne mgły.

– Nie moja rzecz – odezwałem się po półgodzinie.

Tomo siedzący obok otworzył oczy i spojrzał na mnie bystro.

– Nie moja rzecz – powtórzyłem. – Ale nie pojechaliście do Saluzzo po szparagi.

Błagoje warknął z tylnego siedzenia, że dobrze się urządziłem przy bossie, jeżdżę tu i tam i nic nie jest moją rzeczą.

– Nie przesadzaj – rzekłem, a Tomo, przypatrując mi się z niechęcią, powiedział, że Błago ma rację, bo wszystko można powiedzieć o mym zajęciu, ale nie to, że się natyram, i że każdy by chciał nic nie wiedzieć.

– Bez przesady, Tomo. Moja robota ma też złe strony. Gdyby ich nie miała, tobym z wami tu nie był.

Jechaliśmy teraz płaskim krajem w szpalerze topól, drogą jak strzeł, 130 kilometrów na godzinę i diesel się wyrównał.

– Jeżeli wam powiedziałem, że to nie moja rzecz, to tylko po to, by nie przyszło wam do głowy, że wolałbym wiedzieć, co robiliście w Saluzzo poza wizytą na targu. Każdy robi swoje. Ja jestem szofer.

– To pilnuj drogi, Jano – warknął Tomo i zamknął oczy.

Ale nie było czego pilnować; droga prowadziła sama, a monotonia krajobrazu usypiała, więc pilnować trzeba było siebie, nie drogi. Domy były zadbane, pola dobrze uprawiane, drzewa poprzycinane, ścieżki wysypane żwirem, zwierzęta na oku. Jeżeli chciało się jechać przez kraj, który nie zaskakiwał, to Liguria lub Piemont były dobrym pomysłem.

– To kobieta niemłoda, ze czterdzieści lat albo i więcej – odezwał się Błagoje z tylnego siedzenia, jak się odzywamy, gdy pęta nas nuda, a sen nie przychodzi. – I kurwa do tego. Mam na nie sakramenckie oko, nie to co ty, Jano, więc jak mówię, że kurwa, to kurwa.

– Zamknij się, Błago. – Tomo otworzył oko i spojrzał przed siebie. – Za dużo gadasz.

– Dzwonimy, otwiera drzwi, w rękę lampka wermutu, a w ustach players ze złotym ustnikiem i wymalowana, choć brzydka jak noc. Co ona miała przez twarz, Tomo?

– Zamknij się, Błago – zajęczał Tomo. Spojrzał na mnie drugim okiem i dodał: – A ty, Jano, pilnuj drogi.

Błagoje nie mógł się powstrzymać. Nosiły go po oplu nuda i zdrowie.

– Wiem, że to był wermut, bo po wszystkim żeśmy go łyknęli. Dobre tu mają wermuty. Zgadza się, Tomo?

Szarzało, zwolniłem do setki, mijaliśmy miejscowość za miejscowością z otynkowanymi na biało domami. Niektóre z nich miały dachy pokryte czerwoną ceramiczną dachówką i wyglądały jak muchomory. Na horyzoncie pojawiły się kominy fabryk. Włączyłem radio, ruszyłem skalą, odezwał się Chopin, Tomo natychmiast je wyłączył. Na drogę sunął opar za oparem, nie miałem ani długich świateł, ani przeciwmgielnych.

Zapytałem:

– To po czym, Tomo?

– Co po czym?

– Po czym napiliście się wermutu, który wam tak smakował?

Tomo odwrócił się do Błagoje i wycedził przez zęby, żeby stulił pysk. Był wysoki, barczysty, ciemny, przystojny i przypominał kapitana. A Błagoje człowieka ze złotym zębem, tak mi się w każdym razie zaczęło podczas tej podróży wydawać. Ciemno się już zrobiło, jak to o piątej po południu jesienią. Nie było gwiazd ani księżycy, tylko coraz gęstsza mgła.

Tomo popatrzył na mnie, walcząc ze snem.

– Kim jesteś, Jano?

– Szoferem – odpowiedziałem.

– To trzymaj się tego.

Przepracowany motor na wysokich obrotach usypiał. Tomo zamknął oczy. Głowa opadła mu na pierś.

– Zadźgaliście kobietę? – zapytałem szeptem.

Nie było odpowiedzi ani wyjaśnienia, bo nie mieli się czego obawiać, więc i przed kim spowiadać.

Wiózł ich kumpel. Ktoś, z kim mogli się posprzeczać, pobić, przez jakiś czas nie lubić, nie widywać, nie dzielić z nim kobiet ani zabaw, nie przegrywać do niego w pokera, nie poklepywać go po ramieniu, nie ścisnąć na powitanie, ostatecznie nie powierzać mu tajemnic, ale wiózł ich ktoś, kogo lojalność się nie unieważnia. Kumpel pójdzie za nami w ogień, bo liczy na wzajemność, bo ma ją zawsze na oku. To więcej niż przyjaciel, bo przyjaźnie się kończą lub więdną, a kumpel to opoka niekruszejąca nawet po jego lub naszej śmierci. Mężczyzna obejść się może bez wszystkiego z pieniędzmi i kobietami włącznie, lecz braku kumpli nie przeżyje; tego stanu, który nie zależy od pogody, dnia tygodnia, pory roku, gwiazdnych konstelacji i lat, które biorą nas w posiadanie.

Wiózł ich kumpel drugiego sortu wprawdzie, wybrakowany, lecz kumpel, więc Tomo mógł oddawać się czujnej drzemce, a Błagoje – nudzie nocnej podróży przez Piemont i Ligurię, podczas której wystawiał na próbę cierpliwość do samego siebie. Zapytałem:

– Sztyletujecie kobiety?



Błagoje parsknął śmiechem.

– Sztyletujecie kobiety? – powtórzyłem tonem, jaki na ich miejscu by mnie zastanowił.

– W wolnych chwilach, Jano – odrzekł Błagoje, po czym, wyglądając przez szybę, dodał:

– Nie jechaliśmy tędy.

Odpowiedziałem, że jak w Saluzzo poszli na targ warzywny, zajrzałem do mapy i znalazłem skrót przez góry. Powiedziałem, że zyskamy osiemdziesiąt kilometrów, a po drodze wstąpimy do oberży na kawę.

– Kawy to bym się napił – mruknął Błagoje i opadł z powrotem na siedzenie z głową w ramionach.

Góry nie były wysokie, droga wiodła wygodnie długimi łukami. Mgła rzedła. Domów było coraz mniej a po kilkunastu kilometrach skończyły się zupełnie. Po półgodzinie wjechaliśmy na pusty parking. Budynek na jego końcu – ani zamek, ani hangar – wciśnięty w las był ciemny.

– Kawy to tu się raczej nie napijemy – rzekł Błagoje. – Ale możemy się odlać.

– Nie wyjdiesz? – zapytałem Toma.

– A po co?

– Rozprostować kości.

– Prostuj sobie sam. Gdzie Błago?

– Leje.

– Fizjologia – warknął Tomo i też wyszedł z auta.

Błagoje, odwrócony plecami, załatwiał się na beton. Tomo podszedł do budynku.

Sięgnąłem pod fotel. Automat śliski był od oliwy, którą go zabezpieczono; nie wsiąkła cała we frottowy ręcznik. Odbezpieczyłem i posłałem serię w plecy Toma. Jakby przyspieszył pchnięty pociskami. Broń była poręczna i delikatna, nie poczułem kontry. Błagoje odwrócił się do mnie z kutasem na wierzchu. Uśmiechnął się jak do kumpla, który w zabawie posunął się za daleko. Padł jak ścięty.

Tomo wspinał się na schody oberży, podciągając na drewnianej poręczy. Na szczycie zachwiał się i runął w tył.

Ręce miałem tłuste od oliwy. Wytarłem je w ręcznik, owinąłem go wokół broni i włożyłem ją z powrotem pod siedzenie. Przy szybie leżała paczka białych kentów Toma Usticia. Zapaliłem, papieros wydał mi się lekki, słodki, mdły. Zamieniłem go na swojego guluaza bez filtra. Zaciągnąłem się głęboko.

Miał boski smak jak wysuszony skwarnym latem sport na placu przed warsztatami, gdy przyszło mi do głowy, że tego pięknego sierpniowego poranka do przyjemności, jakie mnie wypełniają, dodam jeszcze jedną i skuję mordę nocnemu portierowi.

Przeszedłem parkingiem, jakby to był plac, na którym od ponad dwóch lat mierzyłem

się z męstwem. Poczułem ciepło słońca i ujrzałem blask rozpoczynającego się dnia. Zaraz usłyszę młot z kuźni i zgrzyt szlifierki, krzątaninę monterów i ich tak miłe sercu złorzeczenia.

Żar dopełźnie do tego miejsca, gdzie sporty ukrywają swoje rogate niespodzianki i smak tytoniu stanie się ostry. A gdy poczuję żar między palcami, rozdepczę niedopałek na gorącym betonie, ale tak, by nie pobrudzić wybielonych proszkiem do zębów tenisówek.

Potem przysiądę na ławeczce koło portierni, na kwadrans, nim zniknę w półmroku biura nad wulkanizatornią. Podejdzie do mnie któryś z szoferów i zapyta: jak tam z tobą, graf? Nic nie odpowiem w ażurowym cieniu jabłonki, która nie miała się z nami dobrze i gdy zabrali mnie do wojska, uschła.

Od południa zacięło nagle lodowatym deszczem i zrobiło się zimno. Wełnista chmura przywędrowała nad parking, odsłaniając czyste niebo na północy, z brylancikami gwiazd. Otaczające mnie drzewa się powyostrzały. Jaśniejszą stroną parkingu pomknęło w tarninę jakieś nastroszone zwierzątko. Stałem nieopodal martwego Błagoje Sumaka, a za plecami miałem wspartego twarzą o schody oberży Toma.

Otworzyłem drzwi opla i rzekłem głośno, tak by serbscy kumple mnie usłyszeli, jeśli w chwilę po śmierci to jeszcze możliwe; wedle trzeciej sprawiedliwości, chłopcy, gdyby to was interesowało.

Kilka lat potem, już w kraju, podczas nieudanego rachunku sumienia, zapytałem sam siebie, czy gdybym lubił Toma i Błagoje, też skończyliby tak źle. Nie potrafiłem sobie na to pytanie odpowiedzieć, a ściślej – potrafiłem, więc nie odpowiedziałem.

Ale, póki co, w prowincji Cuneo, na granicy krajów, które zaanektowały więcej piękna, niż im się należało, byłem samotnym wilkiem z podkulonym ogonem. Bezkarłym, niesłużącym nikomu, nawet sobie, owładniętym przyjemnością, której po raz pierwszy zacząłem się bać.



– Jak się pan miewa, panie Ruczaj?

Stojący nade mną młody lekarz emanował zdrowiem, ochotą do gadania, uprzejmością, która nic nie kosztuje, i obojętnością – byłem tego pewien, gdy tylko uniosłem powieki – na odpowiedź, jakiej się spodziewał albo i nie.

Kitel miał śnieżnobiały, a z górnej kieszeni, obok plakietki z nazwiskiem i funkcją, wystawały trzy długopisy.

– To nie był zawał, ale on pana trzepnie, jeżeli pan o siebie nie zadba.

Pokój, w którym mnie położono na wysokim, wąskim łóżku, błyszczał sterylną czystością i niepokalaną bielą, a odór ludzkich cierpień zależał od usług, jakie tu świadczone, a nie zaniedbań.

Na oddalonej o kilka metrów ścianie elektroniczny zegar wskazywał późne popołudnie, które w miejskim grudniu nie różni się niczym od wieczora.

– Mówił mi mecenas Borysewicz, który tu pana przywiózł i zarekomendował, że jest pan namiętnym, wieloletnim amatorem papierosów. Dwie paczki, na jego oko, albo i lepiej. Z tym więc koniec, panie Ruczaj, jak nożem uciął, tak jak z nawykami kawalerskiego życia, które nie sprzyja zdrowiu, co wiem po sobie. Choć pozory mylą.

Doktor zakrzętnął się w związku z pielęgniarką, która podeszła do niego cała z zachętą, młodością i obrzydzeniem dla chorób innych.

– Założę się, że jada pan nieregularnie, byle jak i nie uprawia pan sportów. – Konfrontował swą tężyznę, najpewniej z siłowni i stoków narciarskich, z mym wychudzeniem, upadkiem i zaniedbaniem. – Zawód taksówkarza też panu nie pomaga. Przepiszę panu leki i dam kilka dobrych rad. Jeżeli pan z nich skorzysta, to ma pan szansę na pięć, sześć niezłych lat, a jak pan nie skorzysta, to przywiozą tu pana lada moment nie wiadomo po co. Mecenas Borysewicz zapewnił mnie, że jest pan inteligentnym człowiekiem, więc rozumie pan, że tego, co pański organizm wytrzymał, już nie wytrzyma i trzeba to uszanować. W zasadzie powinienem położyć pana na oddziale, lecz oddziału już nie ma, a jakby był, to nie miałbym dla pana łóżka, a gdyby przypadkiem się znalazło, to też bym pana nie położył, bo miałbym z panem same kłopoty, więc przepisuję panu leki, które wykupi pan jeszcze dzisiaj najlepiej w przyszpitalnej aptece, jeśli się pan do niej paskudnie nie spóźni, bo kwadrans, a co do dobrych rad...

Mógłby tak gadać, miałem wrażenie, aż do mego skrajnego fizycznego wyczerpania, więc się pożegnałem, nie czekając na recepty, i wyszedłem z jedną dobrą, choć

niewykonalną radą, by rozstać się z nałogami.

Na korytarzu poczułem się lekki, jakby opuszczony przez własne ciało, co nie było miłe, bo już od kilku lat odnosiłem wrażenie, że nie mam nic poza ciałem, że mój duch jest bytem kompletnie niesuwerennym i upada wraz z materią, do której go przypisano.

Szymon chciał odwieźć mnie do domu, ale zaprotestowałem. Mimo osłabienia miałem ochotę przejść miasto w grudniowym deszczu ze śniegiem, włożył mi więc do kieszonki marynarki swoją wizytówkę i poprosił o telefon, jak będę się miał lepiej.

Wygarnął mi, że nie zabrałem recept, zlekceważyłem doktora i że tak bardzo nie dbam o swoje zdrowie, ale to już do mnie dotarło ze zgiełkiem ulicy, wymieszane z życiem innych ludzi.

Ciemno było zupełnie, gdy rozpocząłem wędrówkę przez nie swoje miasto nieodpowiednio ubrany. Z każdym krokiem, od przystanku do przystanku, ze skrzyżowania na skrzyżowanie wszystko wokół w mych myślach dziczało.

Czułem wrogość mijających mnie ludzi zajętych sprawami, z jakimi nie miałem już od dawna związku.

Ulice i chodniki skryły się pod kałużami, a na ich powierzchni pływały papierowe i plastikowe śmieci. Samochody rozbryzgiwały to na boki, gdyż miasto miało to do siebie, że obywatele w autach, do których tak niedawno się przesiedli, czuli się wywyższeni przez sam fakt ich posiadania i rozgrzeszeni ze swych nawyków, anonimowi w mroku marnie oświetlonych ulic, bo było to miasto chamstwa z chaotycznymi, szpetnymi jak małe co peryferiami, które napierały na centrum z siłą hordy.

Wszystko to panoszyło się na szerokich jezdniach, w solidnych jeszcze kamienicach, niemających końca blokowiskach, w centrach handlowych, w eleganckich sklepach, jakich już nie brakowało, w restauracjach, w których truto już coraz rzadziej, teatrach odwiedzanych od czasu do czasu przez wielką sztukę, salach koncertowych, skąd nie wyprowadzono jeszcze prawdziwej muzyki, kinowych kombinatach z nieznanym jeszcze kilka lat wcześniej smrodem popcornu, w których obok filmowego chłamu zdarzały się odświeżone intermezza.

Bo było to miejsce rozpędzającej się energii. Wędrowałem więc przez miasto, które polubiłem nie wiadomo za co; już od dawna zamierzałem się z tego przed sobą wytłumaczyć.

Tego grudniowego popołudnia, które przechodziło już w wieczór, z przecznicy na przecznicę traciłem związek z czymkolwiek, co obok, lecz nie była to wolność, bo w wolności jest moc i decyzja, a ja czułem słabość nie tylko przedwczesnego starca, lecz też osobnika wyrzuconego na margines.

Kamienice, place, skwery, bramy, otwarte przestrzenie, na które nie znaleziono

pomysłu, podwracały się do mnie plecami. Nie byłoby w tym nic złowieszczonego, gdyż takie gesty sam ćwiczyłem wobec ludzi i przedmiotów, gdyby nie uczucie ostatecznego, nieodwracalnego osamotnienia.

Czyżby chodziło o Julię Neider?

Przecież nie było jej ze mną przez kilkadziesiąt lat. Żyłem, sycąc się przyjemnościami, bez niej i nawet jeśli wyobrażałem sobie okoliczności naszego spotkania, to w tle tej fantasmagorii stało oszustwo. Kiedy miałbym się z nią spotkać, gdzie, w jakiej sprawie?

Julia nie odstępowała mnie na krok nawet wtedy, gdy o niej nie myślałem, ale jako najmocniejsze wspomnienie dzieciństwa i, powiedzmy, pierwszej młodości, jako ta, wobec której miałem dług wdzięczności za zuchwałe życie, jakie mi podarowała, nie była tym, kogo mógłbym się na swej drodze spodziewać.

To, że wszedłem w skład komanda, które ją zlikwidowało, nie miało znaczenia wobec tego, że jej już nie ma. Ale czemu jej nieobecność miałaby mnie dotknąć tak, że o mało nie umarłem, i czemu miałaby mnie osamotnić? Przecież samotny byłem i wtedy, gdy Julia żyła.

A gdyby rzecz odwrócić, to kim mógłbym być w jej wspomnieniach, jeżeli im się w ogóle oddawała? Bezbronnym chłopcem, którego sobie podporządkowała, i bardzo młodym mężczyzną, któremu doskonałym ciałem zapłaciła za przysługę, bez jakiej tego upalnego, sierpniowego popołudnia nie mogła się obejść. Ile razy i przez ile lat jej ciało służyło takim rewanzom?

Gdy wszedłem do swego niedużego mieszkania zawieszzonego na wysokości siódmego piętra nad ruchliwą dzień i noc trasą między dwoma najładniejszymi placami miasta, odezwał się telefon. Dzwonił długo i natarczywie. Nie odebrałem zniechęcony do wszystkiego.

Zwaliłem się na fotel Kon-Tiki od lat wymagający już zmiany i rozejrzałem po ascetycznym wnętrzu – dwóch połączonych ze sobą mnisich celach, których surowość nie brała się z mych przekonań czy skłonności do obywatela się niczym, lecz z niezadomowienia.

Byłem tutaj wiecznym gościem i nawet zaśniedziała, kawaleryjska szabla zwisająca ze ściany na sparciałych, skórzanych rzemykach nie nadawała wnętrzu osobistego charakteru z rodzinną historią w tle, bo znalazłem ją na śmietniku.

Zacząłem sobie wyobrażać Julię jeszcze nierozczarowaną rewolucją, jak szkoli się w przemocy wobec najniewinniejszych ludzi, już i tak wyszkolona, jak odbiera zlecenia, jak przyzwyczajają do siebie swoje ofiary, jak je zjednuje dla swego ciągle pięknego, niezawodnego ciała, jak je uzależnia od swych seksualnych umiejętności, jak skrywa przed nimi twarz oszpeconą blizną od czoła do zuchwy na skos i jak ta dyferencja między

twarzą z najbrutalniejszych czasów a resztą z dionizyjskiego, lekkomyślnego piękna prowadzi ofiary w strony bez powrotu.

Zobaczyłem ją w śmierzących szczynami zaułkach starych miast, w złych dzielnicach, podkreślając w sobie gniew na niesprawiedliwość świata, i w drogich restauracjach śródmieść, gdzie ten gniew w asyście obstrzelanego pistoletu znajdował ujście.

Wyobrażałem ją sobie z kolejnymi komendantami na wycieczkach za miasto, wśród widoków zapierających dech w piersiach, jak zwrócona w stronę gór, błękitnego morza, wysokich traw, kwiatów rosnących na wapiennych skałach i nieprzemijających dzieł rąk ludzkich, nie odrywa się nawet na moment od sprawy, której służy, bo pilnują tego ci niemłodzi już na ogół, długowłosi mężczyźni w drucianych okularach i ze smutnym spojrzeniem.

Zobaczyłem ją w tym momencie zwątpienia, gdy palca nie cofnie się ze spustu, bo nie podlega on już naszej woli, jak odwraca oczy od zdziwionej twarzy przypadkowej, koniec końców, ofiary nieodpowiadającej za żadne zło, i poczułem ból, jaki przeszywa ją od stóp do głów, i cierpienie duszy, jakiego nie gasi najlepsze wino i najsoczystszy stek w luksusowym barze, do którego zostaje wieczorem zaproszona.

Przedstawiłem ją sobie na jakim bądź uniwersytecie, zaniedbanym, lecz pięknym, gdy w tłumie młodzieży słucha jakiegoś charyzmatycznego profesora trującego wszystkie źródła.

Widzi tam Katię z kierenką w pończosze? Słyszy swych ukochanych *Dwunastu*, którzy w niczym nie przypominają jej obecnych kamratów? Odpowiada na ich krok w lodowej pustce? Przeczuwa ogień? – „Krugom agni, agni, agni”.

Niekoniecznie, odpowiada sobie na początku drogi do żalu za grzechy, przez które zginęła w prowincji Cuneo zasztyletowana przez mych serbskich kumpli.

Ściana, na którą patrzyłem, pusta jak reszta mieszkania, szarzała nie od zmroku, lecz od zniechęcenia. Wszystko w tym ciasnym dewizowym lokalu, w którym zawsze brakowało powietrza, budziło moje zniechęcenie.

Zamknąłem oczy. Przypomniałem sobie straconą okazję i żal, że nie umiałem z niej skorzystać, bezduszną zapobiegliwość Szymona i arogancję młodego lekarza, który mnie ocucił.

Nie wiem, na jawie czy w półśnie, zapukało do mnie wielkie pragnienie łatwej śmierci. Jej zapowiedź poczułem już o poranku, gdy obudził mnie telefon asystentki Szymona z prośbą o spotkanie, ale o poranku się przecież nie umiera, bo jakkolwiek byłoby źle lub tylko beznadziejnie, to zaciekawia nas dzień, jaki ten poranek szykuje.

I nie zmienia tego podejrzenie, że to, na co liczymy, nie nastąpi, a życie przeciągnie nas do następnego poranka, który, jak poprzedni, obudzi nadzieję.

Moje życie podszyte nieopuszczającym mnie nigdy lękiem płynęło przez piękności, jakich mi nie poskąpiono. Uroda krajobrazów, pór roku, dzieł ludzkich, dziewcząt, kobiet, nałogów, beczynności i zajęć przemawiała do mnie sugestywniej niż do innych. Czas, w jakim piękno mnie omijało, służył wyostrzeniu apetytu na jego wdzięki, gdy postanawiało znów wyjść mi naprzeciw.

I dopiero teraz, gdy popadłem w ruinę, lęk mnie opuścił i poszedł męczyć innych, jakby we mnie nie było już nic do zniszczenia. Wraz z jego odejściem przyszło pragnienie łagodnej śmierci – ostatniej przyjemności. I stało się to między porankiem a popołudniem lub wieczorem, co w połowie grudnia jest bez znaczenia.





Ale pragnienie śmierci ze śmiercią nic nie ma wspólnego. Ona nie przychodzi dlatego, że jej pragniemy. Odwrotnie – zjawia się, gdy pociąga nas życie i jego atrakcje.

Bo męskość to przyjemność, powiedziałem nieokrzesanej redaktorce Anetce, gdy zostałem mędrcom i zrobił się wokół mnie ruch.

A wojny, powstania, insurekcje, narażanie życia lub odbieranie go innym, ryzyko poza granicę rozsądku? Wchodzą w skład przyjemności, droga pani. Co się z nami dzieje, gdy się kończy? Przyjemność? O nią pytam. Zabijamy się, odrzekłem z dezynwolturą człowieka, którego nie sprawdzą. Trzymam więc za słowo, skwitowała to redaktorka Anetka, nie zdając sobie sprawy ze zobowiązania, jakie na mnie wymusza, gdyż okrutna była w swym prostactwie i nieumiejętności znalezienia się w skórze innych.

Ale nim zostałem mędrcom głoszącym budzące sprzeciw lub prowokujące kpinę prawdy, dwadzieścia z górą lat od powrotu z Francji upłynęło mi na niewyszukanych ekscytacjach, które dzieliłem z podobnymi sobie osobnikami.

Zajęcie, jakie miałem przy taksówce, nie było przesadnie absorbujące; na miasto wyjeżdżałem w wolnych chwilach, pasażerów selekcionowałem wedle dzielnic, a zarobki związane z tą robotą były w znikomym związku z wydatkami.

Z Francji wróciłem zamożny. Kim Sewastopol płacił mi hojnie, a życie, jakie wiodłem w tym czasie, nie naciągało mnie na finansowe ekstrawagancje.

Gdy wjechałem do zanarchizowanej rewolucyjnym wrzeniem Polski – po drodze przejechałem Szwajcarię i Niemcy jako emisariusz wiadomej sprawy, a Czechosłowację jako żywy argument przeciw rozkładowi – z nieważnym paszportem, bez francuskiej wizy pobytowej, z przeterminowanym o trzy lata dowodem rejestracyjnym ciągle niezawodnej cytrynki, która ostatnie badanie techniczne przeszła w połowie lat siedemdziesiątych, to jedyną rzeczą, która zainteresowała pograniczników w Cieszynie, była fotografia zabrana z gabinetu Sewastopola w rewanżu za zamieszanie mnie w dintojrę w Saluzzo.

Sąd nad chłopcami z Serbii nie uspokoił mego gniewu. Kim Michajłycz poznał mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zasłużyłem na takie upokorzenie.

Jeżeli potrzebna mu była do kompletu moja polska pańskość na usługach niższości, mógł się na to ze mną umówić. Nie miałbym z tym kłopotu. Od czasów kapitana to i owo miałem na sprzedaż. Wiedzieć powinien tygrys nie tygrys, że należę do gatunku, z którym ustala się status ofiary, bo w przeciwnym wypadku można nią zostać samemu.

Jaka nieostrożność podpowiedziała mu, że wobec mnie posunąć się może dalej, niż

zamierzał? Jaka na obczyźnie bezkarność go tak rozzuchwalała? Nie wiedział, że tylne drzwi brytyjczyka otwiera mu ktoś nie gorszy od niego? Oślepl, ogłuchł, stracił węch?

Jeżeli chciał mnie zamieszać w brudy swego świata, to mu się nie powiodło. Stracił najwierniejszych pretorianów i złudzenie, że jak ktoś zamota się w sieć, to na zawsze.

– Co to jest? – zapytał mnie niemłody sierżant, który na świadka poprosił sympatycznego cywila.

– Fotografia – odpowiedziałem.

– To wiem – rzekł pogranicznik. – Ale kto na niej jest?

– Moi kumple – odrzekłem spokojnie.

– Czy ten obiekt – sympatyczny cywil wskazał Chiraca – też jest pańskim kumplem?

– Z tych na zdjęciu – odpowiedziałem – najlepszym.

– Pana wśród nich jednak nie widzę.

– Bo ja fotografuję.

Oddano mi ramkę, zdjęcie zostało zarekwirowane do wyjaśnienia, lecz zainteresowanie, jakie wzbudziło, gdy nakazali mi opróżnić elegancki, skórzany sakwojazd, zepchnęło na drugi plan mój status gościa bez tożsamości. Do ojczyzny wjechałem, jakbym z niej nigdy nie wyjechał.

Lata osiemdziesiąte przeżyłem obok martyrologii narodu, obojętny na jego prawdziwe i urojone cierpienia, oddając się romansom z kobietami niezagrzewającymi przy mnie miejsca, łatwym sportom, pokerowi, spotkaniom z kompanami dzielącymi moje upodobania i opiece nad wilczycą odumarłą przez właścicielkę.

Histeria towarzysząca oporowi wobec przemocy powstrzymywała mnie przed jakąkolwiek formą niezgody na nią, a pamięć lat sześćdziesiątych z ich nikczemnością i rządami hultajstwa wyrodzonego tam i tu w groźne zabawy kapitanów, o których nikt nic nie wiedział, uodporniła na cierpienia, jakich tak łatwo można było uniknąć.

W środowisku ludzi mężnych, umiarkowanie mężnych i pajaców miałem opinię dobrze urządzonego cykora, lecz mój sąd o sobie, a ten nigdy nie chybiał, był odmienny. Nie ukrywałem, że junta i generał mi nie przeszkadzają.

Kobiety miewałem przelotnie. Odnajdywałem w nich to upodobanie do kurewstwa, którego natura godzi się z rozstaniem, bo zysk przychodzi, nim wygaśnie żal za stratą, choć niewątpliwie kilka z nich skrzywdziłem i dla równowagi kilku z nich dałem się skrzywdzić.

Tym sposobem gasiłem ból, jaki rozwija w nas podejrzenie, że nie byliśmy w porządku wobec istot od nas zależnych.

Natomiast czułość, z jej pesymizmem i bezsilnością wobec bezprawia istnienia, podniesiona przeze mnie do rangi najsubtelniejszego ludzkiego doświadczenia z trudem

przekładała się na czyn, gdyż nieodmiennie słaby byłem, bezwolny, letni. Obezwładniała mnie wygoda poglądu, że świat jest nienaprawialny, wydzierżawiony nieznanemu złu, w stanie upadku, który ostatecznie nie może nastąpić.

Więc, póki co, czułością – tym połączeniem miłości i trwogi – obdarowywałem wilczycę, istotę obok mej babki i, być może, Marii Rannik, gdybym ją lepiej poznał, najszlachetniejszą ze wszystkich.

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych byłem dewizowym rentierem, osobnikiem ekonomicznie uprzywilejowanym, nękanym przez patrole wojskowe z powodu braku wpisu o zatrudnieniu w dowodzie osobistym, z którego zdobyciem miałem kłopoty, bo zgubiłem książeczkę wojskową z przebiegiem służby uwiecznionej stopniem kaprała.

Wiosną drugiego roku stanu wojennego kupiłem składany rower Wigry 3 i objeżdżałem okolice Warszawy, wyznaczając sobie nierzadko stukilometrowe trasy.

Załatwiłem też benzynę poza nędznym przydziałem na dwóch zaprzyjaźnionych stacjach, płacąc dziesięć marek niemieckich za kanister, i moja kończąca żywot cytrynka z przebiegiem blisko dwustu tysięcy kilometrów wozila mnie na wschód w strony, w których bardzo zasmakowałem.

Na idącą lekkim skosem w dół linii Drohiczyn – Dołhobyczów wystawiałem się na zapachy nieodległego Wołynia Ruczajów, a wiatr od wschodu przynosił dźwięki bandur, okrzyki jeźdźców, gwar rozmów prowadzonych zawsze podniesionym głosem, tętent bez miłosierdzia pędzonych donikąd koni i szum traw ze sponiewieranych stepów.

Dalekie widoki z horyzontem w mgiełce błękitu od maja do początków października lub niepowtarzalnej barwie, gdy zbierało się na burzę, zapowiadały sekwencje nieznanne Europie. Nurzałem się w tej wschodniej już zmysłowości, która w mym sercu powoli, lecz konsekwentnie, brała górę nad transparentną urodą Śródziemnomorza.

Zatrzymywałem auto przed Sokołowem Podlaskim, gdzie prostackie Mazowsze zniża się ku Podlasiu, a Podlasie łagodnie podnosi się ku bezkresnym, pustym łąkom urozmaiconym sosnowymi lasami i zaczyna się to uwodzenie, któremu nie potrafimy się oprzeć.

Kilka kilometrów przed Drohiczyńnem, w bok od głównej drogi, trafiłem przypadkiem na ogromną, niczyją łąkę, do której trzeba było zejść ze stumetrowej skarpy, gdyż nie był to już kraj nizinny. Brodząc wśród traw, sięgających na początku czerwca ramion, po kilometrze dochodziło się do zakola Bugu, który w tym miejscu był głęboki, niespokojny i nie budził zaufania.

Odwiedzałem tę łąkę kilka razy w roku, uzależniłem się od jej piękna i zmienności, nigdy nie trafiłem tam na człowieka, a wilczyca znajdowała nieznanne mi smaki, zapachy, informacje.

Na zawsze niebieskim niebie, gdyż łąkę omijały niepogody, krzyżowała swój lot para

jastrzębi lub myszołowów.

Któregoś czerwcowego przedpołudnia, gdy usiedliśmy z wilczycą w cieniu skarpy z dalekim widokiem na cerkwie i kościoły Drohiczyzna, jastrzębie zaatakowały wilgę próbującą odciągnąć je od gniazda, jak sądzę, i usłyszałem przejmujący krzyk mordowanego ptaka. Poczułem apokaliptyczną wręcz tragedię, jakiej przed sekundą nic jeszcze nie zapowiadało, i przyszło mi do głowy, że w pięknie, którym się tak cieszę, jest coś diabelskiego, że być może istnieje ono po to, by znieczulić nasz ból związany z okrucieństwem egzystencji, i że służy złej sprawie. Że ten cud ma swoją cenę.

Zimą czytałem Rosjan. Wchodziłem w ich skórę. Mrocznymi porankami budziłem się Obłomowem, w chwilach paniki, które zaczęły zdarzać mi się ni z tego, ni z owego, przybierałem postać Akakiusza Kamaszkina, ale Czertopchanow ze swą brawurą, arogancją i przeczuciem nieredukowalnej straty też nie był mi obcy.

Latem, jeżeli pogoda sprzyjała, wyciągałem się odpowiednio śniady na leżaku na najśłynniejszym w Polsce basenie Legii z seledynową wodą, mającym już stałe miejsce w historii miasta, literatury i towarzystwa. Wybierałem zacisze betonowej wnęki między szatniami, do której dostęp mieli tylko ci, co swą bladością, wątłością lub zaawansowanym wiekiem nie przynosili temu miejscu wstydu.

Przeglądało się tam modne książki, oceniało dziewczyny, rozmawiało lekko o niczym, robiło plany na popołudnie i wieczór, niektórzy popisywali się zręcznością, przesadzając ponadpółtorametrowe stalowe ogrodzenie z miejsca, tylko się podpierając oburącz, a rzeczywistość stanu obłączenia była na jakimś innym kontynencie.

– Nie był pan nigdy żonaty? – zapytała dziewczyna znad srebrnego pucharu z melbą.

Odpowiedziałem, że nigdy.

– Czemu?

– Bo jestem chory

– Pan? A co to za choroba?

– Niedowierzenie.

Pewnego lipcowego dnia, skryci przed chłodnym wiatrem w betonowej wnęcie z synem wziętego krawca i potężnym olimpijczykiem, przyznawaliśmy paradującym wokół basenu dziewczynom noty od jednego do dziesięciu.

Jedna z tych opalonych na złoto żyraf, pełna najprzeróżniejszych zachęt, dostała od nas dziewięć. Do dziesiątki brakowało jej rzewności. Na dziesiątkę była za ostra, choć syn krawca był skłonny ją przyznać. Ponieważ już wtedy zdawałem się na pychę, a pospolitość z młodości szlachetniała, z basenu wyszedłem w towarzystwie dziewczyny i zaprosiłem ją do Horteksu na lody.

Sprawiała wrażenie zwierzyny łownej; pożarta odradzała się w jeszcze atrakcyjniejszej

postaci.

– Nie dowierza pan kobietom?

– Nie chodzi o kobiety.

Zawsze żyłem perspektywą możliwości. Mawiałem sobie: nie tym razem, choć jest taka możliwość. W ładnym miejscu, jakiego nie powstydziliby się żadna stolica, wśród ludzi, którzy nie przyszli tu celebrować wątpliwości, lęków, niepowodzeń, nieszczęść, zajętych błahostkami, jakie wypełniają nasze życie, zdałem sobie sprawę, że już nie powinienem wspominać możliwości, że co przeminęło, to przeminęło.

– Żałuje pan?

– W tej chwili?

Dziewczyna bladła pod opalenizną.

– Nie, w ogóle?

– W tej chwili tak.

Żal możliwości, z których nie skorzystałem, zawsze okazywał się fałszywy. Ale był to żal.

Natomiast moją rozbudzoną przez kolaborację z kapitanem i służbę u Kima Sewastopola fizjologiczną potrzebę ryzyka zaspokajał ostry poker z przedziwnymi gośćmi.

Grywałem w wielkich śródmiejskich mieszkaniach, umeblowanych antykami, z ludźmi bywającymi na koktajlach w ambasadzie amerykańskiej, brytyjskiej czy francuskiej i w lokalach, które od pijackich melin różniła tylko moja w nich obecność.

Moimi partnerami bywali bezeci pamiętający jeszcze swoje majątki, ich dzieci i wnukowie lub też kryminaliści zbierający się w kompanie z ubekami.

Pierwsi brali mnie za swego, gdy odgadywałem bezbłędnie kody, dzięki którym się rozpoznawali. Drudzy bandyckim okiem dostrzegali faceta, z którym nie należy wchodzić w niekonieczny spór. Trzeci, wstyd to przyznać, brali mnie za swego, jakby kilkuletnia zażyłość z kapitanem odcisnęła na mnie niezmazywalne piętno.

Pokerowe seanse trwające czasami kilkanaście godzin, z wystawnym hotelowym bufetem lub tylko szklanką herbaty, tworzyły nierzadko malownicze konfiguracje, gdy we wnętrzach jak z Viscontiego siadało się do stołu z królem rympału, ubekiem, co go do złudzenia przypominał, i emerytowanym dyplomata, który rok wcześniej zawoził dzieci do królewskich ogrodów pary holenderskiej na lemoniadę, lody i strudel.

Rozdania mnie nie wyróżniały, ale ten szczególny rodzaj desperacji cechujący czasami introwertyków i talent do blefu powodowały, że niskim stritem powalałem najwyższą karete, z parą waletów zwijałem pokaźną pulę, sugerując fula ogrywałem tych z kolorem.

Umawialiśmy się na złotówki, dewizy, dzieła sztuki, kontakty, nawet weksle z półrocznym terminem realizacji.

Pula rosła od kwadransa, gdy w blokowisku na Grochowie ze styczniową awarią ogrzewania, popijając herbatę ze spirytusem, w czapkach, paltach i rękawiczkach pochylił się z rembertowskim producentem kołpaków samochodowych nad tysiącem dolarów, bo już od kwartału nie grałem na złotówki, i obydwaj byliśmy puści, i trzeba było sprawdzać, i w odruchu bezmyślnego egoizmu rzuciłem do puli dowód rejestracyjny mojej wiernej cytrynki, a gość z Rembertowa nie miał mi czym odpowiedzieć, bo na Grochów przyjechał taksówką, i przykryłem jego fula dwiema dziesiątkami.

Z dolarami w kieszeni zjechałem windą z szóstego piętra, wsiadłem do cytrynki, przekręciłem kluczyk, lecz odpowiedziała mi martwa cisza.

W uczciwym warsztacie na Pradze powiedziano mi, że auto jest w porządku, nic mu mimo wieku i gigantycznego przebiegu nie dolega i że nie ma prawa nie zapalić, a jednak każda próba uruchomienia kończyła się niepowodzeniem. Zdrowe umarło z kretesem.

Cytrynka nie pogodziła się z moją nielojalnością i plugawymi okolicznościami, w jakich postawiłem jej przywiązanie, niezawodność, wspólne przeżycia, opresje, z jakich wzajemnie się ratowaliśmy, na szali gry, od której nic w moim życiu nie zależało.

Wiem na pewno, że postanowiła mi tego nie wybaczyć, i pogodzony z jej decyzją uroniłem łzę, gdy rozparcelowali ją na części.

Nie musiała we mnie umacniać przekonania, że magia świata uruchamia się tylko w złych sprawach i że pojawia się tylko tam, gdzie jest szalbierstwo, zdrada, brutalność, a brak miłosierdzia. Że w tym wątpliwym cudzie istnienia nie ma opoki, tylko płynność bez brzegów. Że każde wywyższenie odbywa się kosztem poniżenia, każda wygrana kosztem przegranej, a nasze powodzenia żywią się niepowodzeniami innych. Że liczenie na chaos to zbytek optymizmu, bo wyliczone jest co do grosza, by nikt nie wymknął się przeznaczeniu.

Mój pesymizm osiągał wartość krytyczną i wprawdzie na przeciwnej krawędzi równoważni rozpanoszone we mnie przyjemności i zdumiewające piękno świata trzymały mnie przy ziemi, to przez skórę czułem, że długo to już nie potrwa. A poza wszystkim zbliżałem się do pięćdziesiątki.





Zdarzyło się to w dniu, w którym z Francji przyszedł list. Kuzyn Albert zawiadomił mnie, że w lionńskiej klinice w wieku lat siedemdziesięciu dwóch umarł na obustronne zapalenie płuc mój chlebodawca Kim Sewastopol.

Śmierć wynagrodziła mu ciężkie życie i nie męczyła długo, a pogrzeb w Antibes, który zatrzymał miasto, przeszedł wszystko to, o czym Sewastopol mógł zamarzyć.

Przedstaw sobie, *mon Cher* – donosił kuzyn Albert – starą i nową Rosję, które stawiały się ramię w ramię nad mogiłą swego zasłużonego obywatela.

Przedstaw sobie czcigodne członkinie i czcigodnych członków Komitetu Aleksandryjskiego, obok przedstawicieli starych rosyjskich rodzin, bez których nikt nie napisałby historii tego wielkiego narodu, jak idą w niekończącym się kondukcie obok przedstawicieli Kongresu Kadeckiego z Moskwy i Uralskiego Stowarzyszenia Kołczak z Kazania, nowych rosyjskich ludzi przekonanych do tego, co Kimowi Michajłyczowi było najbliższe.

Francja się nie popisała, jak na to, co pod koniec życia dla niej uczynił – połowę majątku oddał najbardziej potrzebującym i nie było takiego nieszczęścia, któremu by nie próbował zaradzić – przedstawiciel Zgromadzenia Narodowego nie był wysokiej rangi i nikt w Prowansji ani Langwedocji o nim nie słyszał.

Samą uroczystość poprowadził archirej Paweł z moskiewskiego patriarchatu, a wzruszającą mowę pożegnalną wygłosił starzec Nikon z Barcelonette, którego najpewniej pamiętasz, bo wozileś tam Kima Michajłycza na comiesięczne rekolekcje.

Po twym nagłym i niespodziewanym wyjeździe z Francji, z którym pogodzić się nie mogła nieżyjąca już Maria Kiryłłowna Rannik, spowodowanym, jak powiedział mi Sewastopol w rozmowie telefonicznej, twymi nieodwracalnymi zaniedbaniami wizowymi i paszportowymi, wiele się też zmieniło w otoczeniu naszego rosyjskiego przyjaciela, bo przestali się koło niego kręcić ci podejrzani ludzie z Bałkanów.

Odesłano też do Rosji Aleksego, o którym mawiałeś, że przypomina ci do złudzenia sowieckiego marszałka Rodiona, nazwiska nie pomnę, i ochroną twego dobrodzieja zajął się wyłącznie Marc Vernouille, któremu Kim Michajłycz bezgranicznie ufał i który został też szoferem, bo po skończeniu sześćdziesiątki pan Kim nie podróżował wiele.

Bratanek Marii Kiryłłowny, Boria, obecnie gwiazda francuskiej architektury, zaprojektował i nadzorował budowę Domu Wspomnień, który ostatecznie w całości sfinansował pan Kim, i jest to przedsięwzięcie niemające sobie równych na Côte d'Azur

w pięknie, dystynkcji i duchu.

Jeżeli biała Rosja znalazła wreszcie swą przystań na obczyźnie, to w tym jasnym, pełnym światła budynku, przypominającym kształtem zarys imperium.

Chcę ci też wspomnieć o czymś mniej ważnym wobec śmierci naszego przyjaciela. Na pogrzebie zjawiała się córka Kima Michajłyca, której istnienia nikt nigdy nie podejrzewał.

Mieszka z matką w Anglii, niepodobna zupełnie do naszego rosyjskiego przyjaciela, rzekłbym, że jego zaprzeczenie. Została wyznaczona testamentem na jedyną spadkobierczynię ojca i muszę ci donieść, że nie jest tego mało, a wiem, co piszę, gdyż moja kancelaria zajmie się przeprowadzeniem stosownego postępowania.

Ma na imię Abigail, za namową ojca skończyła literaturę rosyjską w St. Andrews i zajmuje się, wyobraź sobie, Błokiem. Wspominam ci o tym, bo to poeta, którym zachwycała się moja świętej pamięci matka i, jeśli mnie nie myli pamięć, ciotka Rina.

„Ty strastno zdiosz. Ciebie zowut – Na gołosa mnie nieznakomy...”. Mój Boże, łza się w oku kręci.

*Me voilà veuf*, jak wiesz zapewne, od roku, pracuję już niewiele, dzieci mam w świecie i wyglądam końca, modląc się do Pana miłościwego, by oszczędził mi cierpienie w chwilach ostatnich.

Napisz coś do mnie, *mon Cher*.

Oddany ci na zawsze *cousin germain Albert*.

Więc ma na imię Abigail, mruknąłem do siebie. Nazwisko po matce, Rollins najpewniej, być może mieszka w Darlington, jest ruda i bogata.

Córka, którą mam do spółki z człowiekiem, który wydał wyrok śmierci na moją nauczycielkę, gdy zdecydowała się mówić, by odpokutować straszne grzechy. Dołączył mnie do komanda, które wykonało to okrutniej, niż było konieczne, a teraz odszedł i zostałem na placu sam, wobec...

No właśnie, wobec czego? – myślałem, jadąc autem do kancelarii notarialnej, bo tego dnia odkupiłem od lokalnego króla armatury łazienkowej, Sebastiana Morawieckiego, osiem udziałów jego gazety w akcie desperacji, w proteście przeciw peryferiom życia, na które sam się wyprowadziłem.

Myśl, że Abigail Rollins, której w połowie jestem ojcem, młoda, bogata i niewykluczone, że ładna, jest w stanie wyprowadzić mnie z peryferii na gościniec, nie warowała przy mnie długo.

Gdy parkowałem focusa naprzeciw hotelu Grand, przed wejściem do kancelarii rejenta Skoczka, wyobraziłem sobie, nie wiem czemu, że Abigail może mi też przypomnieć stare kobiety, obok których płynęło moje bezpieczne dzieciństwo, Julię Neider, a najpewniej swą

matkę, rudą idiotkę z Darlington, z którą nigdy nie łączyło mnie żadne porozumienie. I że poza chwilą ekscytacji, zrozumiałą w położeniu starego kawalera, nic nie powinno mnie wytrącić z monotonii drobnych, powtarzalnych przyjemności, czyniących me życie do wytrzymania. I że Abigail by się nie ucieszyła, widząc mnie w drugiej połowie swym ojcem, bo jeżeli poznała tego, który był pierwszą połową, to ten podział by ją rozczarował.

W gustownie urządzonej kancelarii, czekając na swoją kolej, przypomniałem sobie przestrogi inżyniera, gdy próbował ukształtować mnie na dżentelmena, żeby nigdy nie okazywać skruchy i nie wierzyć w przypadki, nawet jeśli nam się zdarzają.

Lata dziewięćdziesiąte pomnożyły moje oszczędności dzięki trafionym inwestycjom kapitałowemu, do których miałem dryg lub szczęście. Asystowało mi, gdy zostałem jednym z pierwszych klientów legendarnego już biura maklerskiego Kant, gdy na giełdzie notowano kilka młodych firm, lecz przebiecie na początku ich drogi sięgało dziesięciu procent tygodniowo. Stało przy mnie, gdy zdecydowałem się zaangażować w kilka dołączających spółek pół roku później, wraz z nimi wyskoczyć w górę i ukryć się w papierach banków. Nie opuściło mnie, gdy sprzedałem wszystkie akcje na tydzień przed marcowym krachem 1993 roku, nazywanym przez cymbałów napompowanych optymizmem i wiarą w kapitalizm przejściowym załamaniem i gdy w funduszach inwestycyjnych grałem na konwersje, przeskakując ze ścieżki na ścieżkę kilka razy dziennie, nim ich zakazano.

Było przy mnie, gdy wraz z dwoma kompanami z czasów Legii złożyliśmy się na własny fundusz finansujący podstołeczną deweloperkę, nim zamieszali się weń ludzie z miasta i trzeba się było ewakuować, godząc ze stratami nierujnującymi jednak wcześniejszych zysków.

Nową Polskę przyjąłem z rezerwą, jak każdy, kto nie przyłożył do niej ręki, ale w latach dziewięćdziesiątych wycisnąłem ją jak cytrynę, korzystając z możliwości, jakie dawała ta rozchwiana, dzika, nierzetelna, nieumiarkowana w apetytach, nieodróżniająca anarchii od demokracji, a demokracji od normy i porządku, cywilizacja.

Nie adorowałem jej, ale też nie bez zainteresowania przypatrywałem się jej dolegliwościom, chorobom dzieciństwa, które wcale nie były łagodne. Zbierały żniwo wśród nieodpornych, biernych, zagapionych, a absurdalny w istocie pogląd, że obywatele mają coś do powiedzenia we własnych sprawach, wzruszał mnie raczej, niż irytował, gdyż zawsze ceniłem dobre chęci i nigdy nie uważałem, że wybrukowane jest nimi piekło.

Ale koniec tej rozchwianej, chojrackiej i pracowitej dekady przyniósł mi zniechęcenie do wszystkiego, co płynęło obok i smutek, który nie wykluczał przyjemności, lecz gasił impet.

Na początku trzeciego tysiąclecia już blisko sześćdziesięcioletni, ale jeszcze fizycznie młodzieńczy i zastanawiająco sprawny, uznałem się za jeden z tych nierozpoznawalnych na pierwszy rzut oka bytów subtelnych, wrogich normom ludzkim i boskim,

zbuntowanych przeciw banałom i obłudzie, zgodnie z zasadą trzeciej sprawiedliwości.

Cieszyła mnie pycha, która nie rozprasza smutku, melancholii, lecz zaprzęga je do służby swoich fantazji. Wtedy też dzielić się zacząłem swoim dostatkim z potrzebującymi, wyróżniając bezradną ludzką starość i zwierzęta. Hojny byłem, choć jak zawsze poza kilkoma przypadkami niestawiający poświęcenia przed wygodą.

Na fali tego autentycznego współczucia odnalazłem przez biuro adresowe Wasyla Horanina i sugerując mu dżentelmeński rewanż, posłałem pieniądze, które wyzwoliłyby go z kłopotów materialnych do końca życia, gdyby mu się takie przytrafiły.

Rozglądałem się też za wierzycielem, gdyż moja pycha nie wykluczała podejrzenia, że życie ofiarowało mi więcej, niż mi się należy.

A co do gazety, magazynu lub żurnalu dla gówniarstwa z intelektualnymi pretensjami, to od czasu rozmowy w restauracji odwiedzanej przez towarzystwo, Sebastian Morawiecki, wtedy jeszcze tapicer, zmienił już czwartego redaktora naczelnego, a przedsięwzięcie trwało.

Jego siła bezwładu była niespożyta. Nikt nie szukał w „Gitmanie” melancholii jako męskiej codzienności, nostalgii, która z czasem staje się jedyną treścią naszych wspomnień, wyboru między życiem niebezpiecznym a nieżyciem, dumy z niezależności, nawet jeśli ugrzęźliśmy na straconych pozycjach, więc, naturalnie, też konkursu: czego na szczycie Kilimandżaro szukał lampart.

Była to niezmiennie efektowna, bezbłędna graficznie, szpanerska, kolorowa szmata bezawaryjnie podłączona do łatwego życia. Pełna wynurzeń zadowolonych z siebie farciarzy, którym powiodło się w sztuce, sporcie, interesach, z kobietami, dziećmi, rodziną.

Cała ordynarność spełnionej egzystencji i wiary, że nigdy nie zostanie przemieniona w biedę, chorobę, śmierć, przemawiała do nas z tych lakierowanych stron, które jak brudziły palce w celebryckiej knajpie, tak brudziły u notariusza, gdy je bezmyślnie przewracałem.

Stałem się współwłaścicielem czegoś, co było syntezą wrogiego mi świata, z nadzieją, że to zmienię, zniszczę, śmiertelnie zatruję. Ale, w istocie, nie rozumiałem tej decyzji i nie potrafiłem się z niej przed sobą wytłumaczyć.

– To tylko interesy – podpowiedział mi notariusz, gdy zauważył moją pogardę dla prezentu, jaki sobie sprawiam.

– I tylko osiem udziałów, panie sędzio – odrzekłem, unikając wzroku adwokata, który reprezentował właściciela.

Ale odpowiedź znalazłem niebawem na czterdziestej stronie „Gitmana” w dziale Opinie i sądy, gdy wjechałem tam ze swym poczuciem wyższości, a redaktor Anetka, która się

niesamowicie wyrobiła, choć nie przestała patrzeć martwo na ścianę, okno, innych ludzi lub cokolwiek, zapisywała moje odpowiedzi na pytania, jakie jej też wymyślałem.

Zostałem mędrcom Sylwanem. Anonimowym mędrcom Sylwanem w twardej opozycji do magazynu i wszystkiego, co reprezentował.

Budziłem niechęć, obojętność lub kpiny. Rzadko aprobatę, za to w umysłach ludzi, na których mi zależało lub mogłoby zależeć, gdybym ich poznał.

Nie miałem obok siebie nikogo, kto zadałby mi pytanie: po co to robisz, bo był to już czas mej zupełnej samotności. Odeszła nawet wilczyca. Ale gdyby pytanie padło, odpowiedziałbym: nic się nie zmieniło – dla przyjemności.

I mimo że w mych comiesięcznych komentarzach odnosiłem się do państwa, prawa, bezprawia, grzechu, prostactwa, tragedii zwierząt, politycznej poprawności, przerażenia, jakie budzi we mnie świat, gdy tylko włączam rozum, i mej radości z istnienia, gdy diabeł robi swoje, to przestrzenią mych wynurzeń był anachronizm. Miałem odwagę być anachroniczny w rzeczywistości, która bała się tego stygmatu jak piekła. Moją lękliwą, introwertyczną naturę niepoprawnego mizantropa podłączono do kompresora, który tłoczył we mnie męskość, jaka, jestem tego pewien, spodobałaby się ciotce Rinie.

Wystarczająco byłem zuchwały, by przywoływać purytańską męskość pozostawioną mi w spadku przez Hemingwaya i rozkosze bycia łaskawym panem lub pokornym, sprawiedliwie traktowanym sługą, przechodząc obok wyniszczającej się wolności.

Raz nawet wspomniałem redaktor Anetce o trzeciej sprawiedliwości – ani boskiej, ani ludzkiej – doskonałej proporcji między winą a karą, i powiedziałem, że taką sprawiedliwość stosowałem w najsurowszym wariancie.

– Zabił pan człowieka? – zapytała Anetka, ulegając silnemu podnieceniu.

Twarz jej zapłonęła, oczy straciły senny, nieobecny wyraz i miałem wrażenie, że przez chwilę przypatruje się mężczyźnie, a w każdym razie komuś, kto jeszcze żyje.

Jak za Konfesjonał – tak wbrew mej woli nazywała się rubryka, w której się popisywałem – to pan nie przepłacił, rzekł mi Sebek Morawiecki, zmieniający kolejnych redaktorów, bo nie spełniali jego marzeń. Ale to nie był konfesjonał, jeżeli już przywoływać meble z kruchty, ambona raczej, bo nie spowiadałem się przed światem, lecz wymierzałem mu sprawiedliwość.

Z ręką na sercu, niezawisły był ze mnie sędzia, choć bezsilny.

Poruszyłem się na fotelu, który już od dawna wymagał zmiany. Mebel zatrzeszczał starczo. Po raz któryś z rzędu tego wieczoru odezwał się telefon.

Potężna reklama Samsunga zaglądała mi w okna. Opuściłem żaluzje i w pokoju nastał półmrok późnego, grudniowego wieczoru w wielkim mieście.

Sięgnąłem po skrzypce. Po roku nauki wydobywałem z nich kilka melodii, które dało się

od siebie odróżnić.

Maître przypominający mi koncertmistrza Noma z orkiestry zdrojowej w C. odradzał mi ten instrument, ale uparłem się na *Tiomnuju nocz* i się jej w końcu nauczyłem. Melodia popłynęła łagodnie, choć rozmiar mieszkania i niski sufit psuły każdy szlachetny ton, każdą lepszą frazę.

Zamknąłem oczy i po raz pierwszy nie zobaczyłem kamiennego miasta zroszonego deszczem podczas krótkiej czerwcowej nocy ani schodów z bulwaru do rzeki, ani dziewcząt w popelinowych płaszczach, kurtkach, swetrach – studentek, licealistek, robotnic – przypominających do złudzenia Julię. Nie zobaczyłem ciemnej tarczy zegara wskazującego drugą i nie usłyszałem kurantów.

I *Tiomnaja nocz* stała się bez tego obrazu melodią jedną z wielu, z jakimi niekoniecznie warto się męczyć.

Wyglądało na to, że jakiś sukinsyn zwinął mi wszystkie przyjemności i wzruszenia. Wierzyciel? Mój pieprzony wierzyciel?

Telefon odezwał się po raz piąty lub szósty. Odłożyłem instrument i podniosłem słuchawkę.



Miałem wrażenie, że w głosie Szymona brzmi obcy mu niepokój, gdy zapytał, jak się miewam i czy nie trzeba mi w czymś pomóc.

Odpowiedziałem, że miewam się nieźle jak na kogoś, kto już, najpewniej, nie żyje.

– To się w naszym wieku zdarza – rzekł Szymon. – Mógłbym podesłać kogoś, kto by cię nie krępował.

– Nie fatyguj się. Gdyby było trzeba, tobym cię o to poprosił.

– Nie odbierałeś telefonu.

– Włóczyłem się po mieście.

– Nie wiem, czy to rozsądne, stary. W twoim stanie.

– Bez obaw, Szymon.

– Gdybyś jednak czegoś potrzebował...

– To się odezwę. Mam twoją wizytówkę.

Wydało mi się, że na wysokości mej twarzy, na ścianie obok okna, która nigdy nie była jasna, bo przemarzała, pojawił się cień postaci stojącej za mną i drżącej jak liść na wietrze. Choć zdarzyło się to kilka razy wcześniej, nigdy nie brałem tego za znak od opatrznosci. Powiedziałem:

– Lecz skoro się dodzwoniłeś, to pozwól, że o coś zapytam.

– Naturalnie! – krzyknął Szymon z entuzjazmem, który na jego miejscu bym ukrył.

– Czemu postanowiłeś się ze mną zobaczyć?

– Bo nie widzieliśmy się pół wieku.

– Traktuj mnie poważnie.

– Bo mamy wspólny kłopot. – Roześmiał się ponuro.

– Tak było w południe, Szymon. – Przyjazny byłem i spokojny. – Bo teraz, wieczorem, kłopot mam tylko ja. Wiedziałaś, że zamieszałem się w życie Julii, a ona w moje, bardziej niż ty, Marta, Ola?

– Podejrzewałem.

– Że nim przewiozłem Julię przez granicę, rozjechałem dozorcę placu tatrą morderczynią tak, że nie została mu jedna cała kość?

– To nie jest jasne, stary. – Oddech Szymona przyspieszył. – To nie jest jasne, co mówisz.

– Że trzy lata później uczyniłem kalekę z człowieka ze złotym zębem, który wysługiwał się policji politycznej?



– Nie czujesz się dobrze, prawda?

– Że dwa lata nie minęły, jak zawiozłem kapitana do opuszczonej willi z posępną sławą i pozostawiłem go na pastwę demonów, na myśl o których, wierz mi, Szymon, skóra cierpnie.

– Jak tylko cię zobaczyłem po tylu latach, jak idziesz mi na spotkanie holem, między kolumnami, pomyślałem: z tym facetem nie jest dobrze.

– Nim dowiedziałem się, że wszyscy trzej oszpecili Julię brzytwą, skazując ją, być może, na życie, o jakim chce teraz opowiedzieć twój dziennikarz z Włoch; jak mu tam...

– Powinieneś chyba zostać w tym szpitalu.

– Że na górskim parkingu w prowincji Cuneo rozwaliłem z belgijskiego automatu dwóch rzezimieszków, którzy zasztyletowali Julię, nie oszczędzając jej strachu i cierpienia.

– Stary, proszę!

– Że się nie cofnę. Wiedziałeś to, Szymon, że się nie cofnę, gdy poprosiłeś mnie o spotkanie? Że się, kurwa, nie cofnę.

– Jesteś chory. Skąd miałbym to wszystko wiedzieć? Skąd miałbym to wszystko wiedzieć i po co? To chora konfabulacja. Majaczysz.

Nie wiem czemu, może dlatego, że nic nie przychodzi w porę, przypomniałem sobie, jak Julia bezskutecznie próbowała nauczyć dwunastoletniego Szymona przewrotu w przód na materacu, tak by nie walił się na bok. Obserwujący to woźny Wierbłowski powiedział: z tego chłopaka nic nie będzie, proszę panią, a Julia rzuciła się na niego z pięściami, bo nienawidziła takich uwag.

– Od kilku, a może kilkunastu lat pytam siebie, a przy okazji opatrność, kim jest wierzyciel – odezwałem się tak cicho, jakbym mówił do siebie. – Bo nie zasłużyłem na życie, jakie mi się trafiło. Obdarowało mnie przyjemnościami i zdolnością ich odczuwania, wygodą i bezkarnością. Teraz już wiem.

– Co wiesz? – Głos Szymona zabrzmiał tak, jakby wraz ze mną zapadł w starość.

– To absurd. Moim wierzycielem jest absurd. A z panem absurdem interesów się nie robi. Nie dostanie centa. Twój Włoch nie dokończy reportażu o Julii Neider, o Ciętej, i go nie opublikuje.

– Czemu?

– Bo go zabiję.

– Żartujesz?

– Bandycką sotnię podniesiono o świcie.

– Że co?

– Że żartuję, ale on o tym nie wie.

– Co to zmieni?

– Wszystko. Świat jest taki, jak go opisujemy. Jesteś nadal sukinsynem, który pozbawiał ludzi czci, rodzin, domów, bezpieczeństwa, trzymał ich po kryminałach, wykonywał na nich drakońskie wyroki. Ale teraz jesteś inaczej opisywany i dlatego dostaniesz komandorię, a może nawet Orła Białego, z niezłomną legendą. Nie oburza mnie to. Wykazałeś się rozumem, kiedy ja nęciłem tylko przygody. Nie jestem lepszy. Julia ma być nieopisana. Mniej nie można. Ile ma lat?

– Kto?

– Twój Włoch.

– Skąd mogę wiedzieć? Siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć. W wieku Julii.

– Spotkasz się z nim, jak cię prosił. To najpewniej miły i ostrożny człowiek. Nie zaryzykuje.

– Nie mieszaj mnie do tego – jęknął Szymon. – Proszę.

– Mam cię nie mieszać?! – krzyknąłem do słuchawki. – Sam się wmieszałeś pół wieku temu. Pamiętasz, co powiedziała nam Ola Hnatiuk, gdy nawialiśmy Julii, spędziliśmy noc w lesie, a rano zaczęliśmy tego żałować. Pamiętasz?

– Proszę cię!

– Słucham?

– Nie pamiętam.

Cień spelzł z przemarzniętej ściany, ale wrażenie czyjejs obecności za plecami miałem nadal. Jeżeli prawdą było, że nie żyję lub nie żyję w jakimś stopniu, to w śmierci nie znalazłem tego ukojenia, jakiego po niej oczekiwałem.

Powiedziałem tonem, na jaki Szymon, którego nigdy nie lubiłem, zasłużył:

– To nie zabrzmiało jak prośba, Szymon. Przykro mi.

– Co mam zrobić?

Ściana naprzeciwko zaczęła falować i coraz bardziej szarzeć, pozostałe postępowały ku mnie centymetr po centymetrze i dotyczyło to też tej z wielkim oknem na sąsiedni budynek. Powiedziałem cicho:

– Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę. Julia zaczęła się starzeć, zapragnęła ekspiacji i rozgrzeszenia, ale nie pomożemy jej w tym. Przemienie zdeprawowana i...

– Chryste!

– ...i niewypowiedzana. Wykiwała mnie. To suka. To suka, której jednak coś zawdzięczam.

Zamiast się wyłączać, jak to po estanazolu i winie, wchodziłem w stan przeciążenia, z jakim moje kruche ciało radziło sobie coraz gorzej.

– Nie było spotkania! – Szymon wracał do równowagi, los wytrenował go w zmaganiach z ludźmi, zbić z tropu można go było na chwilę. – Nie widzieliśmy się dzisiaj ani nigdy.

Jesteś chory. Zauważyłem to, jak tylko wyszedłeś mi naprzeciw w Le Blanc.

– Julia nie dostanie szansy na oczyszczenie, bo na nią nie zasłużyła. Jej najbliższy kontrahent, absurd, nie zasłużył na triumf, a Paolo Volpi na reportaż. Twej legendy nie zakłóci przykry incydent z dzieciństwa. A ja... ze mną jest najprościej.

– To znaczy?

– Umarłem lub podjąłem taką próbę, co na jedno wychodzi. Więc wszystko, o czym powiedziałem, już beze mnie. Ale możesz się mną posłużyć.

– Nonsens.

– Powiesz Volpiemu, że nikt, kto zaczął Julię, nie skończył dobrze. Powiesz mu, że człowiek, którego nie powinien lekceważyć, zabierze Julię ze sobą, bo nie ma nikogo innego.

Szymon zapytał głucho:

– Dokąd?

– A kto to wie, Szymon?

– Nonsens.

Teraz miałem wrażenie, że cios w splot słoneczny sprzed blisko czterdziestu lat odezwał się, znowu rozprawdzając ból od środka. Że musiałem być jego głęboką przechowalnią, a teraz znalazł się kluczyk i ból został uwolniony. Odezwałem się szeptem:

– W porządku, Szymon, niech będzie, że nonsens.

Słuchawka tkwiła jeszcze przez chwilę w mej zaciskającej się dłoni. Samsung był agresywny jak te żółtki, które go wymyśliły, i wdierał się do mieszkania przez żaluzje, a rzeźnienie rury kanalizacyjnej w łazience nie ustawało.

Nie szukałem Julii, jak Orfeusz szukał Eurydyki, ale od czasu, kiedy znów zobaczyłem ją lata temu w starej szkole, nie opuszczała mnie na dłużej niż mgnienie oka i wplątała w konstrukcję, w której każdy poza mną znalazł swoje miejsce. Jedni zaszczyty, inni grób. Julia nie miała związku z moimi przyjemnościami, poza tą jedną o zmierzchu ostatniego upalnego letniego dnia 1963 roku, gdy zapłaciła mi sobą za wolność wyboru, ale miała związek, chciała tego czy nie, z sensem czy choćby jego pozorem.

Bo moje nienękanie niczym sumienie mówiło mi, że czyny, jakich się dopuszczam, rozgrzesza jej krzywda. I tak ma być nadal; jakby dzień dzisiejszy mnie ominął, a absurd wierzyciel razem z Julią taką, jaka była naprawdę, poszedł precz.

Chciałem, by mój gniew trwał, lecz wszystko mnie obezwładniało.

To już nie był ten czas, gdy dwie tabletki estanzolu i pół butelki białego wina uderzały jak młot pneumatyczny. Teraz wszystko w moim niewielkim, ascetycznym mieszkaniu zrobiło się ospałe, nieruchomiało w zniechęceniu. Ale spokój wraz ze snem się ociągał. Żegnał mnie świat materialny, a duchowość podejrzewałem o pustkę.

Sypnęło śniegiem, który po szybach za ażurowymi żaluzjami spływał wodą.

Gdy odkładałem słuchawkę, Szymon krzyknął do swojej, tak że usłyszałem: co powiedziała nam Ola?! Przypomnij mi!

Postanowiłem odpowiedzieć: uniosłem dłoń ze słuchawką. Tak, tak, być może podniosłem nawet słuchawkę, ale opadła wraz z dłonią, wysunęła mi się z palców i uderzyła o podłogę. Czy wtedy właśnie ujrzałem przestrzeń w blasku południa, która tym się różniła od tych, jakie poznałem, że nie zamykał jej horyzont? Być może.

Minąć musiała północ. Miasto świeciło nadal, lecz w zastanawiającej ciszy. Między moimi wargami tkwił niezapalony players trzymany na specjalną okazję. Pozostał z czasów, kiedy playersy miały jeszcze jakiś smak. Poczułem ciepło, które nie męczy.

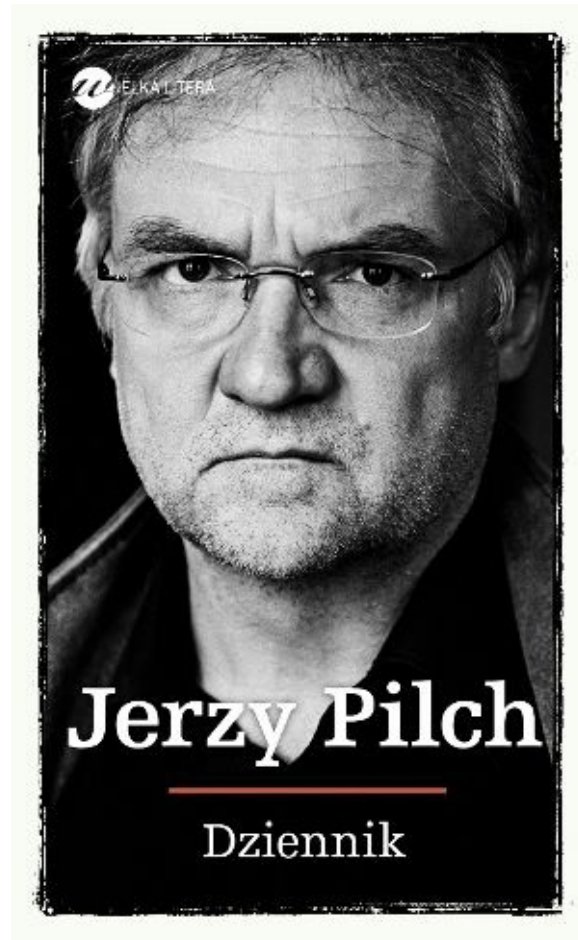
Nie panoszyła się we mnie nostalgia, obcy byłem tak zwykle łaszącym się do mnie wspomnieniom, nie wabiłem nastrojów, iluzje traciły swoje szanse, przyjemności – smak, nie stąpał za mną krok w krok mój brat lęk, nie przywoływałem bliskich mi kobiet ani jeszcze bliższych pejzaży, nie wypatrywałem Julii.

Uwolniony od właściwości gotów byłem na zmiany.



W serii *CZYTELNIA POLSKA*

*ukazały się:*





WIELKA LITERA

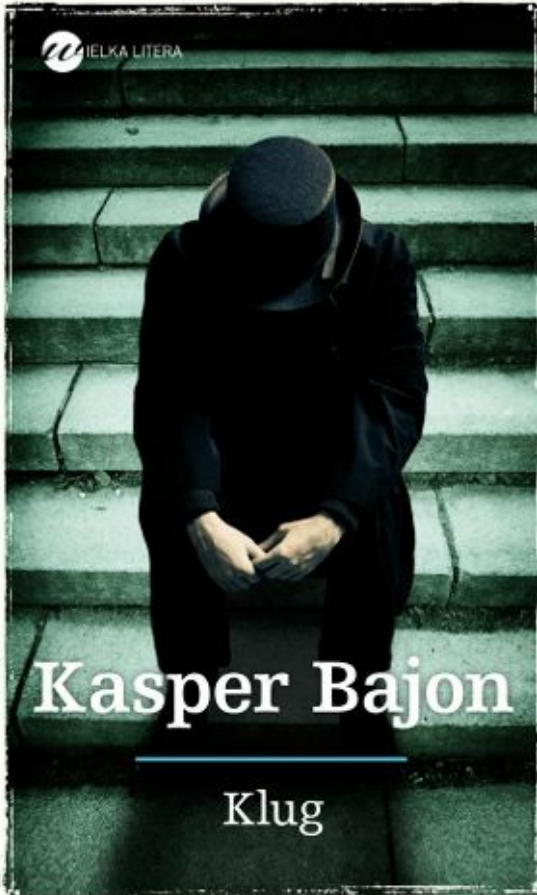


Inga Iwasiów

Na krótko




WIELKA LITERA



Kasper Bajon

Klug

 WIELKA LITERA



Piotr Czerwiński

---

Pigułka wolności

 WIELKA LITERA



Jerzy Pilch

---

Wiele demonów



# Obok Julii

## Spis treści

### [Karta tytułowa](#)

### [Część pierwsza Poranek](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

### [Część druga Południe i reszta dni](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)  
[31](#)  
[32](#)  
[33](#)  
[34](#)  
[35](#)  
[36](#)  
[37](#)  
[38](#)  
[39](#)  
[40](#)  
[41](#)  
[42](#)  
[43](#)  
[44](#)  
[45](#)  
[46](#)  
[47](#)  
[48](#)  
[49](#)  
[50](#)  
[51](#)  
[52](#)  
[53](#)  
[54](#)  
[55](#)  
[56](#)  
[57](#)  
[58](#)

[W serii CZYTELNIĄ POLSKA](#)

[Karta redakcyjna](#)



Redakcja  
*Katarzyna Krawczyk*

Korekta  
*Elżbieta Jaroszuk*  
*Agnieszka Trzeszkowska-Bereza*

Projekt serii  
WKDesign

Zdjęcie na okładce  
*Margie Hurwich/ARCANGEL IMAGES*

Zdjęcie autora  
*Robert Wolański*

Copyright © by Eustachy Rylski 2013  
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013

Wielka Litera Sp. z o.o.  
02-953 Warszawa  
ul. Kosiarzy 37/53

ISBN 978-83-63387-90-7



Odwiedź  
nas na 



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: kontakt@elib.pl  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)